

Jules Verne

Sfinks lodowy

68 ilustracji George'a Rouxa

Przekład M.D.

Warszawa 1898

SPIS TREŚCI

[Część pierwsza 3](#)

[ROZDZIAŁ I 4](#)

[Wyspy Kerguelen. 4](#)

[ROZDZIAŁ II 8](#)

[Żaglowiec „Halbran”. 8](#)

ROZDZIAŁ III 13

Kapitan Len Guy. 13

ROZDZIAŁ IV 18

Od Kerguelen do wyspy księcia Edwarda. 18

ROZDZIAŁ V 25

Powieść Edgarda Poë. 1 25

ROZDZIAŁ VI 34

Nadzwyczajne spotkanie... 34

ROZDZIAŁ VII 39

Wyspy Tristan d'Acunha. 39

ROZDZIAŁ VIII 44

W drodze ku wyspom Falklandzkim. 44

ROZDZIAŁ IX 48

Przygotowania do podróży podbiegunowej. 48

ROZDZIAŁ X 54

Na początku podróży. 54

ROZDZIAŁ XI 59

Od Sandwich do koła biegunowego. 59

ROZDZIAŁ XII 65

Między kołem biegunowym, a lodowcami. 65

ROZDZIAŁ XIII 71

Wśród zapory lodowej. 71

ROZDZIAŁ XIV 76

Głos we śnie. 76

ROZDZIAŁ XV 80

Wysepka Bennet. 80

ROZDZIAŁ XVI 85

Wyspa Tsalal. 85

Część druga 91

ROZDZIAŁ I 92

A Prym? 92

ROZDZIAŁ II 100

[Postanowienie. 100](#)

[ROZDZIAŁ III 105](#)

[Zniknięcie archipelagu. 105](#)

[ROZDZIAŁ IV 110](#)

[Od 29 grudnia do 9 lutego. 110](#)

[ROZDZIAŁ V 115](#)

[Niepokojące usposobienie załogi. 115](#)

[ROZDZIAŁ VI 121](#)

[Ziemia? 121](#)

[ROZDZIAŁ VII 126](#)

[Na lodowcu. 126](#)

[ROZDZIAŁ VIII 132](#)

[Daremne usiłowania. 132](#)

[ROZDZIAŁ IX 138](#)

[Co począć? 138](#)

[ROZDZIAŁ X 143](#)

[Przywidzenia. 143](#)

[ROZDZIAŁ XI 147](#)

[Wśród mgły. 147](#)

[ROZDZIAŁ XII 151](#)

[Założenie obozu. 151](#)

[ROZDZIAŁ XIII 155](#)

[Dick Peters na morzu. 155](#)

[ROZDZIAŁ XIV 159](#)

[Historia jedenastu lat. 159](#)

[ROZDZIAŁ XV 161](#)

[Sfinks lodowy. 161](#)

[ROZDZIAŁ XVI 167](#)

[Dwunastu z siedemdziesięciu. 167](#)

Część pierwsza

ROZDZIAŁ I

Wyspy Kerguelen.

Puste, odstrasające silnymi mrozami, pozbawione prawie wszelkiego życia, zarówno zwierzęcego jak roślinnego, daleko ku południowemu biegunowi wysunięte wyspy, przez kapitana Cooka „Wyspami Smutku” nazwane, stały się dziwnym zbiegiem okoliczności, widownią osobliwych aż do nieprawdopodobieństwa wypadków, zaszłych w pamiętnym mi na zawsze 1839 roku.

Właściwą geograficzną nazwą tych ziem położonych między 49° 54’ szerokości południowej, a 69° 6’ długości, jest „Kerguelen” nadana im ku pamięci francuskiego barona tegoż nazwiska, który pierwszy w 1772 r., w podróży swej do bieguna południowego zaznaczył ich istnienie, chociaż mylnie uważał je za nowy ląd stały.

Jakakolwiek jednak byłaby naukowa ich nazwa, mojem zdaniem najwięcej licuje z ich charakterem miano „Wysp Smutku” – taka tęsknota jakaś żałobna rozpostarła swe panowanie nad skalistymi, całunem śniegu pokrytymi ziemiami, wśród ciszy przerywanej jedynie hałasem burz południowego oceanu.

A jednak mimo tego, zamieszkują tu ludzie zarówno europejskiego, jak amerykańskiego pochodzenia, których nieliczne ówczesne grono powiększyła moja obecność od dnia 2-go czerwca 1839 r., gdym wylądował w porcie Christmas[1], mając na celu badania geologiczne i mineralogiczne. Wulkanicznego pochodzenia, o gruncie z wielką ilością kwarcu i kamienia barwy niebieskawej, wyspy Kerguelen najeżone stromymi skałami, mają wybrzeża poszarpane w głębokie zatoki, tworzące naturalne i wygodne dla okrętów przystanie. Z nich wszystkich jednak port Christmas, który posiada największa z tych wysp, przedstawiająca powierzchnię równą połowie francuskiej Korsyki, najczęściej jest odwiedzanym, mianowicie przez okręty rybackie, które przybywają w te strony dla połowu wielorybów, pojawiających się tu w wielkiej ilości w pewnych porach roku. Port ten osłonięty od północy ostro w morze wysuniętym przylądkiem „Francuskim” na którym wznosi się na 1800 stóp wysoka góra „Table-Mount”, jest tak obszerny i wygodny, że okręty raz zarzuciwszy w nim kotwicę, czują się zupełnie bezpieczne aż do czasu tworzenia się lodów, przed którymi wypada im z konieczności uciekać.

Krótką, właściwą podbiegunowym już okolicom, pora letnia, budzi dożycia twarde, zielonkawe mchy i łomikamienie, suche, osobliwe krzewy, wreszcie jedynie tu napotykanym pewien rodzaj kapusty, z liśćmi o smaku bardzo kwaśnym.

Na tem tle tak mało powabnym, ukazuje się w wielkich gromadach, nadciągające tu nieraz aż z północy różne ptactwo morskie, przeważnie „pingwiny królewskie”, oryginalne bezlotki, które w swem upierzeniu barwy żółtej z białą, w stojącej zwykle postawie, z głową w górę wzniesioną, z

krótkimi skrzydełkami, opadającymi na piersi nakształt ramion, powolne w ruchach, gdy chodzą po wybrzeżu, przypominają z daleka jakieś fantastyczne postacie ludzkie.

Oprócz tych pierzastych przybyszów, wyspy Kerguelen posiadają jeszcze z królestwa zwierząt: pokryte gładkim futrem psy i cielęta morskie, foki opatrzone trąbami, i inne ssące, które żyją w zimnych wodach mórz północy i południa naszej ziemi, lubią w pewnych porach wychodzić na ląd i stają się wtenczas przedmiotem zabiegów myśliwskich, jako materyał podatny do handlu.

Jednego dnia, gdy stęskniony i znudzony otaczającą mię bezgraniczną, jak się zdawało pustką, chodziłem wzdłuż wybrzeża portu, spotkałem mego oberżystę, który powitawszy mię, zagadnął uprzejmie:

– Bodaj coraz więcej nudzisz się pan u nas, panie Jeorling?

– Rzeczywiście, czas oczekiwania wydaje mi się zbyt długim, niech cię to wszakże nie obraża, panie Atkins!

– Och, bynajmniej – spieszył zapewnić mię mój gospodarz – do podobnych bowiem odpowiedzi jestem tak przyzwyczajony, jak nadbrzeżne skały do uderzeń bałwanów.

– I stoisz pan wobec nich z równą obojętnością...

– Bezwątpienia, panie Jeorling. Tego samego bowiem dnia, gdyś pan wylądował w Christmas, i gdyś stanął w oberży Felicyana Atkinsa pod „Zielonym kormoranem”, powiedziałem sobie: za dwa tygodnie, jeżeli już nie za tydzień, gość mój będzie miał tej przyjemności dosyć i pocznie żałować, że wylądował na wyspach Kerguelen.

– Nie mam zwyczaju żałować czegokolwiek, com już uczynił...

– Dobry zwyczaj, panie!

– Zresztą, przebiegając te wyspy, miałem sposobność poznania wielu ciekawych dla mnie rzeczy – i zarówno z pokładów ziemi, jako też z twardych mchów i porostów które stanowią całą jej roślinność, zabieram z sobą cenne dla nauki okazy. Zwiedziłem wasze skały i płaszczyzny, gdzie albatrosy żyją w licznych gromadach i to mi również przedstawiło się go dnem poznania. Od czasu do czasu ugościłeś mię pan przyprawionem własnoręcznie mięsem z petrela, które smakuje nieźle, gdy się ma dobry apetyt, i w ogóle nie mogę się skarżyć na przyjęcie pod „Zielonym Kormoranem”, za co jestem panu szczerze wdzięcznym. Lecz jeśli się nie mylę, już dwa miesiące upływa od czasu, jak w tym oto porcie opuściłem pokład chilijskiego statku, a pora zimowa, przyznasz to pan sam, nie jest tu nazbyt ponętą.

– Więc naturalnie masz pan już wielką ochotę wrócić do ojczystego Connecticut’u i jego stolicy Prowidencji, która to ziemia również i moją jest ojczyzną. A może też pilno już panu, po trudach nużącej podróży zapuścić w rodzinnym gruncie głębsze korzenie?...

– Człowiekowi jak ja, mającemu już z górą lat 40, który przez długie lata wiódł życie wśród ciągłej zmiany, jaką dają podróże, trudno jest bardzo osiąść na miejscu i jak pan mówi, „zapuścić

korzenie.”

– No, no! – odpowiedział Amerykanin, mrużąc filuternie prawe oko – spróbuj pan tylko osiąść na miejscu, a wnet nie tylko korzenie, ale i konary odrastać poczną...

– Bywa tak w świecie, mój dobry panie. Zdaje mi się jednak prawdopodobniejszem, iż skoro dotąd nie mam rodziny, ród mój zaginie wraz ze mną. Co innego pan, który jesteś tu już drzewem i to ładnym drzewem...

– Dębem panie Jeorling, dębem zielonym – wtrącił z widocznym zadowoleniem oberżysta.

– I nie żałujesz pan z pewnością, że spełniłeś ogólne prawo nadane nam przez naturę, która, obdarzwszy nas nogami do chodzenia...

– Dała nam też na czem spocząć – dokończył Atkins jowialnie. – Od lat piętnastu – ciągnął dalej – siedzę sobie wygodnie w Christmas, wraz z moją żoną Babtystą i sześciorgiem dzieci, z których najmłodsze, jak młode koty, wdrapują mi się jeszcze na kolana...

– A nie masz pan zamiaru wrócić do ojczyztego kraju?

– Do Baltimore, na dawną nędzę, panie, gdy tu nie miałem dotąd powodu skarżyć się na losy? – zawołał z przejęciem – nie panie!

– Winszuję ci, panie Atkins! Ale możebne jest wszakże, że kiedyś przyjdzie ci ochota...

– Cóż znowu! Dąb ze mnie, mówiłem panu, dąb z zapuszczonemi w ten grunt głęboko korzeniami...

Z przyjemnością, chociaż nie bez zdziwienia słuchałem słów tego człowieka, który umiał czuć się szczęśliwym, jak owe pingwiny na skalistych, pustych brzegach niegościnniej ziemi Kerguelen, żyjąc tam wraz z zabiegliwą żoną i doskonałym zdrowiem cieszącymi się dziećmi, z których starsi synowie już na własną pracowali rękę: jeden jako cieśla, a dwaj drudzy zajmując się rybołówstwem lub polowaniem na foki. Swoją drogą interesa pod Zielonym Kormoranem szły wcale nie źle; pan Atkins bowiem miał zdolności kupieckie, więc starał się zawsze dobrze zaopatrzyć swój magazyn – i przybijające do portu okręty znajdowały tu potrzebne zapasy smoły, żywicy, tłuszczów, solonego mięsiwa ze zwierząt morskich i ryb, a wreszcie niejedną buteleczkę whisky i wódek wszelakich.

– Tak więc, panie Atkins – odezwałem się po krótkiej chwili, aby zakończyć rozmowę – przyjemnie mi żem zwiedził te ziemie, ale też nie będę się wcale gniewał, gdy się już znajdę znowu na okręcie.

– Jeszcze odrobinę cierpliwości – perswadował filozoficznie Atkins – nie trzeba nigdy pragnąć zbyt gorąco, ani przyspieszać chwili pożegnania! Zresztą nie zapominaj pan, że niebawem i do nas piękna nadejdzie pora. Za pięć lub sześć tygodni...

– A tak – zawołałem – za pięć lub sześć tygodni! Tymczasem zaś góry i doliny, skały i wybrzeża pokrywa gruba warstwa śniegu, a promienie słońca nie zdolne są rozpędzić mgły zakrywającej widnokrąg!

– A jednak z pod białej koszuli zimowej przegląda już trochę zieloności – wmawiał we mnie oberżysta.

– Może przez jakie szkła cudowne dopatrzeć ją pan zdołałeś! Bądź wszakże szczerym ze mną Atkinsie i powiedz mi, czy w miesiącu sierpniu, który się równa lutemu naszej półkuli północnej, wody zatoki Christmas, nie pokryją się jeszcze lodami?

– Stanowczo przeczyć temu nie mogę, bywa bowiem z tem różnie, jak ze wszystkim zresztą na świecie. Pewną jest wszakże rzeczą, że tegoroczna zima łaskawą była dla nas; to też tylko patrzeć jak ze wschodu lub zachodu przybędą okręty na bliski już połów...

– Niechże Opatrzność czuwa nad nami! – zawołałem. – Czy statek Halbran?...

– O, kapitan Len Guy – przerwał mi oberżysta – dzielny jest marynarzem, chociaż jest Anglikiem, boć ostatecznie dzielnych ludzi w każdej narodowości spotkać można. Kapitan, mówię, zawsze zaopatruje się pod Zielonym Kormoranem.

– Więc myślisz pan, że Halbran...

– Pewny nawet jestem, że za tydzień lub najdalej za dwa tygodnie, ujrzymy z przylądka wysokie maszty statku; chyba żeby już nie stało kapitana Len Guy'a; a gdyby kapitana nie było, znaczyłoby to samo, że Halbran zatonął między Kerguelen i przylądkiem Dobrej Nadziei!... – Tu oberżysta zrobił wymowny gest, dający do zrozumienia całą niemożliwość podobnego wypadku, i pożegnał mnie skinieniem głowy.

Więcej niż kiedykolwiek skłonny byłem dnia tego do uwierzenia słowom Atkinsa, i począłem z duszy całej przyzywać nadejścia tej pięknej pory, którą mi tak wymownie zachwalał mój gospodarz.

Piękna pora – na tych przestrzeniach – to wyrazy zakrawające istotnie na ironię, bo chociaż Kerguelen leżą na szerokości odpowiadającej położeniu Paryża, lub Kwebeku w Kanadzie, jednak nie zapominajmy, że na południowej półkuli zima daleko jest ostrzejsza, aniżeli na północnej, a w takim samym stosunku zostaje również i lato. To też Kerguelen mają zimniejszy klimat o każdej porze roku, nawet od północnego przylądka Horn i wysp Falkland, co jak wiadomo jest koniecznym wynikiem pochylenia osi ziemi, a nadto lądy te wystawione są na straszliwe huragany i gwałtowne burze, szalejące zwykle na południowym oceanie.

– Niechżeby już raz przybył ów „Halbran” – myślałem, wodząc dokoła stęsknionem okiem, ten wyjątkowy statek tak zachwalany mi przez Atkinsa, który zwykł mi powtarzać teraz każdego wieczoru i ranka.

– Nie mógłś pan lepszego zrobić wyboru: ze wszystkich kapitanów jakich znam, przyjaciel mój kapitan Guy, najlepiej zna swoje rzemiosło, a śmiały jest i odważny jak mało kto. Gdyby tylko odrobinę był rozmowniejszy i łatwiej udzielający się, byłby skończoną doskonałością.

Tak więc, skoro tylko ów statek zawinie do portu Christmas, i zatrzyma się w nim dni parę, jak to zwykle podobno bywało, postanowiłem nieodwołalnie zająć na nim miejsce i odpłynąć do wyspy

Tristan d'Acunha, gdzie zamierzałem zatrzymać się parę tygodni, i gdzie również Halbran miał złożyć swój ładunek cyny i miedzi.

Tworząc jednak te plany, nie polegałem na nich, bo rozsądek każe – jak mówi Edgar Poe – „obliczać się zawsze z wszelkimi, zająć mogącymi przeszkodami; ze wszystkim co niewiadoma przyszłość przygotowuje dla nas”. Powyższe słowa genialnego autora amerykańskiego, wydały mi się nawet tem więcej godne uwagi, że sam będąc umysłu niezmiernie praktycznego, nie posiadając żadnej pomysłowości, ze szczerym podziwem byłem dla tego poety, obdarzonego wyjątkowo bujną fantazyą.

Tymczasem mijały dni i już ze spadzistości skalnych znikła powoli monotonna białość śniegu, a na bazaltowych odłamach wybrzeży oraz w zacisznych dolinach zjawiały się blado zazielenione mchy i inne skromne rośliny miejscowe poczęły wychylać nieśmiało swe listki.

Każdego ranka śledziłem z zajęciem postęp budzącej się z uspienia przyrody, skrzętnie poszukując nowych okazów. Życie zwierzęce wszakże na lądzie nie zbogaciło się wcale, prócz bowiem kilku bezskrzydłych prawie motyli, oraz drobnych o nędznej powierzchowności owadów, nic nowego odnaleźć nie mogłem, gdy tymczasem wody wybrzeży zapełniły się zwierzętami właściwymi tym stronom, a doliny i skały pozajmowały na letnie mieszkanie obok znanych nam już pingwinów, całe gromady czarnych jaskółek morskich czyli „petreli”, mew różnego gatunku, silnych kormoranów, zwinnych „fregat”, które może jeszcze dnia poprzedniego na północnej zimowały półkuli – wreszcie wyróżniających się wielkością bezlotków zwanymi „królewskimi”, które zimując na wybrzeżach Afryki, instynktownie przeczuwają chwilę, gdy lody nie przeszkodzą im już wrócić do ojczystych okolic bieguna południowego. Niezliczone te rzesze wrzaskiem i krzykiem nie do opisania, napełniały powietrze.

Pewnego razu udało mi się szczęśliwie być świadkiem ciekawej sceny odlotu albatrosa, którego pozostałe gromady pingwinów żegnały, jako dobrego widać przyjaciela, najprzeróżliwszym swym krzykiem. Zauważyłem poprzednio, jak tenże sam albatros siedział nieruchomo czas dłuższy na szczycie wysokiej skały, niby na jakowejś strażnicy, z okiem zwróconem na pełne morze, aż nagle rozwinął szerokie skrzydła, przykurczył nogi, wyciągnął szyję, zakrakał głośno, wzniósł się w powietrze z szybkością nadzwyczajną i za chwilę jako maleńki punkcik czarny zniknął w mgłach otaczających widnokrąg.

ROZDZIAŁ II

Żaglowiec „Halbran”.

Objętości trzystu beczek ładunku, dokładnej i mocnej budowy, z okuciami z grubej miedzianej blachy, a pochyłymi, więc podatnymi pod najłżejszy wietrzyk masztami, wśród których wyróżnia się maszt wielki, z szerokim żaglem i całą siecią mocnych lin; na przodzie żagiel trójkątny i para łodzi po bokach. Taki był wedle opisu Atkinsa ogólny wygląd zewnętrzny żaglowca „Halbran”, który obok wytrzymałości jaką zapewniał, wyglądał lekko i zręcznie, czyniąc tem samem zasłużoną reklamę warsztatowi okrętów w Birkenhead, skąd pochodził.

Kapitan Len Guy, jako w 3/5 częściach właściciel statku, rozporządzał nim dowolnie, a będąc w bezustannym ruchu na morzach południowej Afryki i Ameryki, prowadził od lat sześciu handel różnemi towarami od wyspy do wyspy, od jednego do drugiego lądu stałego.

Jako więc wyłącznie kupiecki okręt, Halbran nie potrzebował owej licznej załogi, która jest niezbędną na statkach polujących na wieloryby; to też obok kapitana znajdował się tam jeden tylko oficer, jeden „bosman” czyli zawiadowca załogą, kucharz i ośmiu marynarzy. Że jednak wody, których się wyłącznie prawie trzymano, były stale nawiedzane przez rozbójników morskich, przezorność więc kazała uzbroić Halbrana w odpowiednią do obrony ilość armat, oraz wszelakiej broni i amunicji, a baczną straż dniem i nocą zajmowała swe posterunki.

W czesnym rankiem dnia 7-go sierpnia, zostałem nagle przebudzony silnem stukaniem do drzwi mego pokoju, oraz znanym mi głosem pana Atkinsa, który pytał:

– Panie Jeorling, czy śpisz pan jeszcze?

– A któżby mógł spać wobec hałasu, jaki pan robisz! – odpowiedziałem. – Cóż tam zaszło nowego?

– Widać okręt w oddaleniu sześciu mil jeszcze; zdaje się jednak, iż zmierza do naszego portu...

– Może to Halbran – zawołałem, zrywając się z łóżka.

– Przekonamy się o tem za parę godzin; w każdym razie jest to pierwszy okręt w tym roku, więc słusznie należy się mu jak najlepsze przyjęcie!

Z wyjątkowym pośpiechem dokończyłem szczegółów mego ubrania i podążyłem do portu, z którego jednej strony odsłaniał się szeroki widok na morze.

Dzień był jasny, powietrze wolne od mgły, a morze lekko kołysane łagodnym powiewem wiatru.

Kilkunastu ludzi, przeważnie rybaków, zgromadziło się już w porcie, otaczając Atkinsa, jako osobistość bezwątpienia najbogatszą i najwięcej też poważaną wśród miejscowej ludności. Mimo, że wiatr sprzyjał przybywającemu okrętowi, tenże nie spieszył się zbytnio, czekając widocznie chwili przyływu. Zebrane towarzystwo skracało więc sobie chwile oczekiwania żywą rozmową, a nawet sprzeczką w kwestyi narodowości widzianego zdala statku.

Nie biorąc w tem osobistego udziału, z niemałym wszakże zajęciem słuchałem wygłaszanych zdań, choć przyznać muszę, że odczuwałem rzeczywistą przykrość, ilekroć wątpiono, aby to był tak upragniony przezemnie Halbran.

– Cóż znowu – oburzał się Atkins – któżby inny jeśli nie kapitan Len Guy przybywał tu pierwszy! Jestem tak tego pewien, jakbym już trzymał jego rękę w mojej i dobijał targu na parę centnarów kartofli, które zwykł odemnie kupować.

– Masz pan mgłę przed oczami! panie Atkins – odważył się powiedzieć jeden z rybaków.

– Ty na pewno masz większą we własnej głowie! – odrzucił gniewnie oberżysta.

– Ten okręt nie ma charakteru okrętów angielskich! – zauważył znowu ktoś inny. – Sądząc z jego śpiczastego przodu, przyznałbym mu raczej budowę amerykańską.

– Przeciwnie, jest całkiem angielski – upierał się Atkins – mógłbym przysiąc na to, że zbudowany został w Birkenhead, skąd właśnie i Halbran pochodzi.

– Ot, próżne gadanie! – dał się słyszeć stary jakiś rybak – już ja się znam na tem, i wiem że to jest „Amerykanin”, pochodzący z Baltimore.

– Głupiś! – z największą niecierpliwością – zawołał oberżysta; – przetrzyj sobie lepiej okulary i patrz jaką tam wywieszają chorągiew!

I rzeczywiście, właśnie w tej chwili zajaśniała nad żaglami chorągiew Zjednoczonego królestwa Wielkiej Brytanii, co naturalnie zakończyło wszelkie sprzeczki i domysły względnie do narodowości przybywającego, lecz jeszcze nie dało żadnego zapewnienia, aby to był stanowczo Halbran.

Ale i te niepewności upadły przed nadejściem południa, gdy rzeczywiście statek kapitana Len Guy'a zarzucił kotwicę w porcie Christmas.

Pocziwy Atkins nie posiadał się z radości, którą wymownie objawiał gestami rąk i głowy, zwróconemi jako radosne powitania ku stojącemu na pokładzie kapitanowi. Tymczasem usunięty nieco na bok, mogłem uważnie przyjrzeć się temu człowiekowi, którego mi oberżysta w tak pochlebnem przedstawił świetle. Był to mężczyzna w wieku około 45 lat, silnie zbudowany, muskularny, lecz chudy, z twarzą ogorzałą i włosiem już siwiejącym. Czarne jego oczy błyszczały jak zarzewie z pod krzaczatych brwi, a zaciśnięte. wargi ust świadczyły o powściągliwości w mowie. Ogólnie biorąc, obok rysów znamionujących bystrość umysłu i wiele silnej woli, widoczne w niem było pewne zamknięcie w sobie, pewna ostrożność w stosunkach z ludźmi.

Druga osobistość żyjąca na Halbranie, z którą mię również oberżysta opowiadaniem swem

oddawna zaznajomił, był bosman Hurliguerly, rodem z wyspy Wight, lat przeszło 40. Przedstawiał on typ marynarza wyprobowanego na wszelkie warunki życia na morzu, lecz zarazem będącego uosobionem przeciwieństwem swego kapitana – tak ruchliwym, gadatliwym i szukającym towarzystwa wydał mi się od pierwszej chwili, gdy nazajutrz, dobrze już powiadomiony przez Atkinsa o mojej osobie, pierwszy zaczął mię słowami:

– Witam pana, panie Jeorling!

– Witam – odrzekłem nieco zdziwiony – jaki masz pan interes?

– Chcę panu ofiarować me usługi.

– Pańskie usługi? Względem czego?

– Odnośnie do zamiaru, jaki pan masz zapisania się na pasażera statku Halbran.

– Z kim jednak mam przyjemność?...

– Jestem bosmanem tego statku, a nazywają mię ogólnie Hurliguerly. Jestem wiernym towarzyszem kapitana Len Guy'a, który chociaż jest znanym z tego, że niczyich rad nie słucha, względem mnie wszakże robi często wyjątek.

– A więc przyjacielu – odpowiedziałem pod wpływem myśli, że usługi tego człowieka mogą rzeczywiście stać mi się przydatne – pomówmy trochę o interesie, jeżeli masz obecnie czas wolny.

– Rozporządzam całymi dwiema godzinami, chociaż w ogóle mało jest roboty dzisiaj. Jutro trzeba będzie trochę towaru wyładować, nieco też zabrać znowu na statek, ale to żadna praca: to wypoczynek dla załogi. Chodźmy więc – dodał, wskazując ręką oberżę, i szerokim krokiem podążył w tymże kierunku.

– Czy nie moglibyśmy porozumieć się tutaj – zauważyłem.

– Rozmawiać, panie Jeorling, stojący i z suchym gardłem, gdy tak łatwo usiąść za stołem pod „Zielonym Kormoranem”, z lampeczką mile rozgrzewającego whisky...

– Nie pijam nigdy, panie bosman...

– Szkoda wielka! Będę jednak pił za pana i za siebie! Nie sądź pan wszakże, abym był nałogowym pijakiem! Nigdy więcej nad miarę, a tyle tylko, ile trzeba...

– Widocznie dobry to pływak po karczemnych wodach – pomyślałem, idąc za rozprawiającym ciągle marynarzem. Zaszedłszy do oberży w nieobecności Atkinsa, zajętego właśnie na pokładzie statku traktowaniem sprzedaży i kupna przedmiotów swego handlu, kazałem podać dla mego towarzysza butelkę whisky i skoro wychylił pierwszą szklanę, rzekłem:

– Rachowałem głównie na Felicyana Atkinsa, że mi ułatwi porozumienie z kapitanem Len Guy, zostaje z nim bowiem, jak mię zapewniał, w przyjaznych stosunkach.

– Et – mruknął Hurliguerly – Atkins jest poczciwym człowiekiem, kapitan przyznaje to nawet, ale w tej sprawie nic on nie znaczy; pozwól mnie samemu działać, panie Jeorling.

– Czyż to rzecz tak trudna do przeprowadzenia? – zapytałem zdziwiony – czy niema ani jednej wolnej kajuty na waszym Halbranie? Mnie najmniejsza wystarczy, a zapłacę dobrze.

– Wtem przeszkoda najmniejsza, bo kajutę wolną, dotychczas ani razu jeszcze nie zajęta, mamy przecież na naszym statku. Ale widzi pan, (ja tylko w zaufaniu panu to mówię), że trzeba wielkiego sprytu, większego niż go ma Atkins, aby skłonić naszego kapitana do zabrania obcego pasażera. On temu zawsze stanowczo się opierał... Za pomyślność pańską! – dodał, wychylając drugi kieliszek, poczem zabrał się do nałożenia mocno woniejącym tytuniem, swej krótkiej, od użycia zczerniałej fajeczki.

– A więc panie Hurliguerly – rzekłem, przerywając chwilowe milczenie.

– Słucham pana – odpowiedział mój towarzysz, otoczony kłębem dymu.

– Powiedz mi, jakie są przyczyny tak niegościnnego usposobienia waszego kapitana.

– Bo się to nie zgadza z jego upodobaniem, bo nie lubi krępować się niczem. Jeździ gdzie i jak mu się podoba, nieraz też każe wpół drogi nawracać, a nikt z nas nie wie dla czego. Nawet mnie tego nie powie, chociaż już długie lata żyjemy razem, jeżdżąc bezustannie od Australii do Ameryki, od Hobarttown do Kerguelen, od Tristan d'Acunha do Falklandu. Parę razy zapuściliśmy się nawet aż do lodowców morza podbiegunowego. Jednym słowem, jedziemy gdzie wiatr nas poniesie, a wszędzie zatrzymujemy się tyle tylko, ile potrzeba dla interesów handlowych. W takich warunkach, widzi pan, każdy pasażer jest zawadą krępującą niepotrzebnie.

Słuchając mego towarzysza, powziąłem przekonanie że posiadając ogólną wadę marynarzy, lubi bardzo mijać się z prawdą, i widziałem w tem jedynie chęć przedstawienia mi w jakimś tajemniczym mroku statku Halbran, i kapitana jego pchanego fantazyą lub siłą przeznaczenia w bezcelowe tułactwo.

– Jest jednak rzeczą pewną, że opuścicie Kerguelen za cztery lub pięć dni?

– Najniezawodniej.

– I udajecie się stąd do Tristan d'Acunha.

– Być może...

– A więc, panie bosman, ta „możebność” wystarczy mi, i ponieważ ofiarowałeś mi swoje usługi, zechciej więc wpłynąć na swego kapitana, aby mię przyjął jako pasażera.

– Może pan uważać to już za rzecz pewną...

– Doskonale! i zapewniam cię panie bosman, że nie będziesz miał powodu żałować oddanej mi przysługi.

– Przyjemnie mi, że będę panu użytecznym; tymczasem jednak muszę już odejść, nie czekając nawet powrotu Atkinsa! – zakończył marynarz. I wychyliwszy ostatnią szklanekę whisky, pożegnał mię przyjacielskim uśmiechem, a kołysząc się na łukowato zgiętych nogach, otoczony kłębamii dymu swej fajki, przyspieszonym krokiem podążył do portu.

Pozostawszy sam w obszernej izbie oberży, pogrążyłem się w głębokiej zadumie, nie mogąc rozwiązać pytania, jakaby w rzeczywistości mogła być przyczyna tak niechętnego przyjmowania obcych pasażerów na pokład Halbrana. Że kapitan Len Guy, według zapewnień Atkinsa, jest dzielnym marynarzem, o tem nie miałem racyi wątpić. Dla czego wszakże owa tajemniczość i dla czego unikanie obcych ludzi? Czy przypadkiem dzielny kapitan nie uprawiał w skrytości kontrabandy, lub co gorsza, nie prowadził handlu niewolnikami? Nie byłoby w tem nic nieprawdopodobnego, mimo gorących zapewnień Atkinsa o jego zacności, bo i co wreszcie mógł wiedzieć taki oberżysta, który nie miewał z nim innych stosunków, prócz zamiany drobnych towarów, w czasie jego krótkiego spoczynku u wysp Kerguelen. A może też szanowny bosman ze swem zbyt widocznem upodobaniem do whisky, starał się usługi swe spotęgować, by tem sowitszą otrzymać nagrodę. Może sam kapitan, jako kupiec z zawodu, będzie nawet bardzo zadowolonym, że znajdzie pasażera tak mało wymagającego, a gotowego płacić sowicie. Wszystko to jest możebnem, powiedziałem sobie wreszcie, i by skrócić czas oczekiwania, postanowiłem przejść się trochę.

Po godzinie przechadzki spotkałem Atkinsa na brzegu portu i opowiedziałem mu rozmowę z bosmanem.

– A to ci panie zarozumiałe stworzenie z tego Hurliguerly – zawołał z oburzeniem oberżysta – on bodaj chciałby wmówić w każdego, że kapitan nosa sobie nie utrże bez jego dorady! W gruncie nie zły to człowiek, lubi jednak pasyami wyciągać gwineje z cudzej kieszeni... Miej się więc pan na baczości przed nim, ściśnij swoją sakiewkę i nie pozwól się wyzyskać!

– Dziękuję ci za życzliwą radę, mój dobry Atkinsie – odrzekłem – powiedz mi wszakże, czyś mówił już z kapitanem Len Guy w moim interesie?

– Jeszcze nie, panie Jeorling, mamy na to czasu dosyć, toż Halbran zaledwie osiadł na kotwicy.

– To prawda, chciałbym jednak mieć już w tym względzie pożądaną pewność.

– Bądź pan zupełnie spokojnym! Niema się czego obawiać, rzecz ta ułoży się sama. Tylko trochę cierpliwości! Zresztą nie ten, to inny statek, których przybycia tylko patrzeć, zabierze pana bez trudności. Wkrótce będziesz pan miał wybór większy, niż między domami jakie otaczają oberżę pod Zielonym Kormoranem, za to poręczam panu moją osobą.

Lecz piękne te słowa i zapewnienia zarówno ze strony bosmana jak oberżysty, nie zadowolniły mię wcale, postanowiłem więc przy pierwszej sposobności osobiście sprawę rozjaśnić.

Nie czekałem długo. Zaraz na drugi dzień rankiem, gdym chodził w przystani, podziwiając silną a lekką budowę żaglowca spostrzegłem idącego tam również kapitana, i mimo widocznej jego chęci ominięcia mię, podążyłem ku niemu.

W chwili jednak, gdym już miał wymówić słowa powitania, nadszedł pułkownik, i oba tak szybkim krokiem zwrócili się w bok, iż niebawem zniknęli mi z oczu za ostrym załomem skały.

– Tam do licha! – zawołałem zniecierpliwiony – i znowu głupia niepewność! Ale jutro nie będę już czekał żadnej sposobności, pójdę zaraz rano wprost na statek, niechże raz wiem: „tak czy nie”!

Uspokojony nieco tem postanowieniem, wróciłem do oberży, bo też obiadowa zbliżała się już godzina. Jest wszakże wrodzonem naturze ludzkiej, że wbrew doznanyim zawodom, spodziewa się jeszcze otrzymać czego pragnie. Więc i ja mimowolnie jakoś opóźniłem rozkaz podania obiadu, w nadziei spożycia go w towarzystwie kapitana, który, jak mi się zdawało, nie omieszka skorzystać ze sposobności zmiany pożywienia, tak ogólnie pożądaney dla zdrowia.

Lecz i w tem czekał mię zawód. Samotny, jak przez tyle dni poprzednich, zasiadłem do stołu i noc już zapadać poczęła, gdym wychodząc, spotkał na progu oberżystę palącego spokojnie swą fajkę. Spojrzałem w stronę portu, nadśluchując zwykłego objawu ruchu i życia wśród przybyłej na wypoczynek załogi. Żaden jednak głos ludzki, żadne kroki przechodzącego nie wmieszały się do szumu i łoskotu wywołanego przyływem morza. Oprócz jednego światełka z masztu, ciemność otaczała Halbran.

– Bodaj wszyscy tu z akuratnością życia w koszarach, stawić się muszą do nocnego spoczynku równo z zachodem słońca – pomyślałem.

– Zdaje się, że kapitan nie bardzo lubi odwiedzać twoją oberżę, panie Atkinsie – zagadnąłem po chwili oberżystę.

– Zachodzi tu czasem w niedzielę, a dziś sobota, panie.

– Nie mówiłeś z nim dotychczas o moim interesie?

– Owszem, mówiłem... – odpowiedział zagadnięty lecz w głosie jego odczułem pewne wahanie.

– Więc cóż?...

– Nie tak, jak się spodziewałem i jak pan tego pragniesz...

– Odmawia?...

– Atkinsie – powiedział mi – ty wiesz, że mój statek nie jest pasażerski, nie miałem nigdy nikogo obcego na nim, i na przyszłość mieć nie chcę!

ROZDZIAŁ III

Kapitan Len Guy.

Spałem źle tej nocy, po kilka razy „śniłem, że śpię”, co według zdania Edgarda Poë, poprzedza zawsze natychmiastowe przebudzenie. Budziłem się też co chwila, zawsze z uczuciem urazy i niechęci względem kapitana Len Guy’a, który mógł stanąć w poprzek mym planom, i to jedynie z powodu niczem nieuzasadnionego kaprysu.

Wzburzony i zły obudziłem się wreszcie rano, postanawiając co najprędzej rozmówić się z tym „kolczastym jeżem”, jak go w mym gniewie przezwałem. Gdym jednak spojrział przez szyby mego okna, na zakryte ciężkimi chmurami niebo, na potoki deszczu zlewające ziemię i posłuchał wycia rozbijającego się wśród skał wichru, wzburzenie moje doszło do szczytu.

– Czyżby i niebo samo sprzysięgło się przeciwko mnie? – pomyślałem, ubierając się z nerwowym pośpiechem. – Na taki czas, gdzie to jak mówią „i psa źle wygnać”, nie mogę się spodziewać bym kapitana spotkał na wybrzeżu. Podpłynąć zaś w łodzi do żaglowca, nie uważałem za stosowne, raz dla silnie wzburzonego morza, a potem jako gościowi, nie wypadałoby mi tam odpowiedzieć na stanowczą odmowę tak, jak to sobie układałem. W podobnych warunkach zawsze stosowniejszym jest grunt neutralny.

Postanowiłem więc uzbroić się raz jeszcze w cierpliwość i przeczekać niepogodę, bacząc wszakże pilnie przez zalewane deszczem okno mego pokoju, na każdą zmianę, na każdy ruch w przystani.

Tak upłynęły mi długie dwie godziny, a jak się to często na Kerguelen zdarza, wiatr zmienił nagle swój kierunek i popędził w bok deszczowe chmury.

Copędzej ubrałem się w futro, nasunąłem na głowę czapkę i pospieszyłem na brzeg. W tej właśnie chwili do spuszczonej łodzi Halbran’a schodziło dwóch ludzi, jeden z nich siadł na ławie, drugi ujął wiosło. Łódź pomknęła szybko i za chwilę człowiek siedzący wyskoczył z niej na brzeg przystani.

Poznałem w nim kapitana. Bez chwili namysłu podszedłem ku niemu, nie zwracając uwagi na widoczne w jego twarzy niezadowolenie, rzekłem

– Chcę prosić pana o chwilę rozmowy.

Zagadnięty zwrócił na mnie bystre spojrzenie czarnych jak węgiel ocz swoich, w których głębi widniał dziwny jakiś smutek, i po chwili głosem cichym, prawie szeptem, zapytał:

– Pan jesteś tu obcym?

– Tak jest – odpowiedziałem – obcym na Kerguelen.

– Narodowości angielskiej?

– Nie panie, amerykańskiej.

– Przyjemnie mi – rzekł kapitan, składając mi sztywny ukłon, na który równie ceremonialny gest był odpowiedzią z mej strony.

– Zdaje mi się – rzekłem bez zwłoki czasu – że właściciel oberży pod Zielonym Kormoranem, przedstawił wczoraj panu moją propozycję.

– Propozycję zabrania pana na mój statek? – zapytał kapitan.

– Tak właśnie.

– Przykro mi bardzo, iż nie mogę życzeniu pana uczynić zadość.

– Czy wolno mi wiedzieć, jaki jest powód tej odmowy?

– Nie mam zwyczaju zabierać pasażerów, to pierwsza przyczyna.

– A druga, kapitanie?

– Plan podróży Halbran'a nie bywa nigdy z góry oznaczony. Jedziemy od portu do portu, stosownie do tego, jak mi z interesów wypada. Nie należę bowiem do żadnego stowarzyszenia kupieckiego i statek Halbran jest w większej części moją własnością; nie potrzebuję więc słuchać niczych rozkazów.

– W takim razie jedynie też od pana zależy, zabrać mnie lub nie.

– Tak jest rzeczywiście, to też przykro mi że zmuszony jestem powiedzieć: „nie”!

– Może pan zmienisz zdanie, gdy cię zapewnię, iż jest mi obojętną rzeczą dokąd właściwie mię zawieziesz, bo przecież w jakieś nieznane strony...

– W nieznane strony... i to być może... – odrzekł dziwny ten człowiek, zwracając smutne spojrzenie – tak mi się przynajmniej zdawało, ku dalekiemu południu.

– A więc panie – rzekłem, opanowując jeszcze zniecierpliwienie – zgadzam się i na taką możebność, bo przede wszystkim zależy mi na szybkim opuszczeniu wysp Kerguelen, na których nie mam już co robić.

Kapitan stał chwilę zamyślony, nie dając mi żadnego objaśnienia, ale też nie okazując chęci pożegnania.

– Pan mię zrozumiałeś, sądzę – rzekłem, aby przypomnieć mu moją obecność.

– Tak jest – brzmiała odpowiedź, jakby człowieka zbudzonego ze snu.

– Dodam więc jeszcze, że jeżeli mię fałszywie nie poinformowano, Halbran miał wyruszyć z portu Christmas do wyspy Tristan d’Akunha.

– Może tam, może do Przylądka, może do Falklandu, albo gdzieindziej jeszcze.

– Więc kapitanie, właśnie tam „gdzieindziej” i ja chciałbym podążyć – odpowiedziałem z widocznym już zirytowaniem.

Tu nagle zaszła zmiana w tym zagadkowym człowieku. Głosem ostrym, stanowczym, powiedział mi w krótkich słowach, że odmowa jego jest nieodwołalną, a poświęcony mi czas zbyt długo się przeciąga, z krzywdą jego własnych interesów.

Już wyciągnąłem ramię, aby przytrzymać odchodzącego i rozmowa, która się źle rozpoczęła, mogła jaknajgorszy mieć koniec, gdyby znowu pod wpływem nagłej zmiany, kapitan Len Guy nie był się ku mnie zwrócił i począł się tłumaczyć głosem łagodnym i smutnym:

– Niech mi pan wierzy, iż z prawdziwą przykrością przychodzi mi okazać się tak mało uprzejmym i nie zadowolnić życzenia pana. Nie wypada mi wszakże inaczej postąpić, bowiem w podróży naszej może nagle zajść jakoweś zdarzenie, najmniej nawet oczekiwane, a wtenczas obecność obcego pasażera, choćby tak zgodnego jak pan, stałaby się dla mnie krępującą.

– Powtarzam panu, panie kapitanie, że jeżeli zamiarem moim jest wrócić do Ameryki, do Conecticutu, to znowu jest mi obojętnem, czy podróż ta potrwa trzy czy sześć miesięcy, tą albo inną drogą; i gdyby nawet statek pana popłynąć miał aż do morza antarktycznego...

– Do morza podbiegunowego? – zawołał kapitan głosem, w którym brzmiało nieukrywane zdziwienie, i zatopił we mnie wzrok bystry, badawczy. – Dla czego mówisz mi pan o morzu antarktycznym? – dodał, chwytając mię za rękę.

– Nie miałem nic szczególnego na myśli, mówię o niem tak samo, jak o każdej innej stronie świata, jak np. o biegunie północnym – odpowiedziałem spokojnie.

Kapitan stał nieruchomo, zdawało mi się tylko, że łzy zabłyśły w jego oczach; aż po dłuższej znowu chwili, jakby usiłując dać nowy bieg swym myślom, rzekł zwykłym sobie cichym głosem:

– Biegun południowy, któż śmiałyby się tam zapuścić!...

– Dosięgnąć go jest rzeczą niemożliwą, nawet zupełnie bezpożyteczną – odparłem – wszakże znajdują się ludzie umysłów dość awanturnicznych, by przedsiębrać podobne wyprawy.

– Tak jest, umysły awanturnicze – szepnął kapitan Len Guy.

– Co więcej, same nawet Stany Zjednoczone popierają wyprawę Karola Wilkes’a.

– Stany Zjednoczone, mówisz pan? Twierdzisz, że jest przedsięwziętą wyprawa do mórz

antarktycznych? Czy to rzecz pewna?

– Najpewniejsza w świecie. Jeszcze bowiem przeszłego roku, przed moim wyjazdem z Ameryki, dobrze we wszystko zaopatrzony okręt wypłynął w tym celu na morze, i w obecnej chwili, mając rok cały za sobą, kto wie czy śmiały Wilkes nie posunął się już znacznie dalej od wszystkich poprzedników swoich, którzy kiedykolwiek tą samą co on podążali drogą.

Kapitan pogrążył się znowu w zadumę, a po chwili rzekł:

– Jeżeli wszakże Wilkes zdoła przebyć koło biegunowe i lodowce tamujące dalsze ruchy podróżnych, w każdym razie wątpię aby posunął się dalej, aniżeli...

– Niżli Belinghausen, Forster, Kendall, Biscoë, Morrell, Kemp i Balleny... – zakończyłem.

– I niżli... – z widocznym wahaniem wtrącił kapitan.

– Któż jeszcze? – zapytałem.

– Pan pochodzi z Connecticut – zagadnął nagle, przerywając dawny tok rozmowy.

– Tak – odpowiedziałem, zdumiony tym zwrotem.

– Z jakiej miejscowości? – pytał dalej.

– Z Prowidencji.

– Czy zna pan wyspę Nautucket?

– Zwiedziłem ją kilka razy.

– Sądzę, że wiesz pan – mówił dalej kapitan, patrząc mi prosto w oczy – iż to tam właśnie wasz romansopisarz Edgar Poë, wskazał miejsce urodzenia bohatera swego Artura Pryma.

– W rzeczy samej – potwierdziłem – przypominam sobie, że powieść owa rozpoczyna się na tej wyspie.

– Mówisz pan „powieść”, czy uważasz, że dobrze tak określiłeś to dzieło?

– Bez wątpienia.

– Więc sądzisz mylnie, jak prawie wszyscy ludzie!... Ale wybacz pan, niepodobna mi dłużej tu pozostać. Żałuję szczerze żałuję... proszę mi wierzyć, gdybym tylko mógł... Zresztą nie będziesz pan długo czekał, niebawem przybędą kupieckie i rybackie statki; będziesz pan miał wybór wielki, z tą pożądaną pewnością dla każdego podróżnego, że cię zawiozą tam, gdzie cię obowiązki wzywają. Co do mnie, powtarzam, żałuję bardzo, i żegnam pana!

Z temi słowy opuścił mię kapitan Len Guy, kończąc w sposób grzeczny, lecz stanowczy naszą

rozmowę.

Ponieważ byłoby wprost nierozumnym, upierać się w dalszym ciągu przy tem, co mi stawione zostało jako niemożliwe, dałem więc za wygraną i począłem się godzić z myślą, że Halbran opuści port Christmas nie zabrawszy mię na swój pokład. Lecz mimo rozumowania, nie mogłem się oprzeć uczuciu niechęci względem kapitana, którego postać przedstawiła mi się nadto dziwnie niejasno i zagadkowo.

Ciekawość moja została niezwykle podrażnioną. Przeczuwając ukrywającą się na dnie duszy marynarza jakowąś tajemnicę, zapragnąłem ją zgłębić – i to tem usilniej, im większe ku temu znalazłem przeszkody.

Również jak ja niezadowolony, chociaż z innych powodów, oberżysta Atkins przysiadł się do mnie w czasie obiadu i dowiedziawszy się o danej mi stanowczej odmowie, począł szeroko się rozwodzić, jakiego doznał zawodu z przyczyny małej sprzedaży i kupna; jak za oczywistym zakazem, cała załoga nie opuszcza statku; jak nikt z marynarzy prócz jednego Hurliguerly, nie zajrzał nawet do oberży, na czem wszystkim on, Atkins, ponosi znaczne straty.

Wzmianka ostatnia przypomniała roi znowu obietnicę bosmana. Czy jednak i on napróżno starał się skłonić ku memu żądaniu decyzję kapitana, nie mogłem się dowiedzieć, gdyż Hurliguerly nie pokazał się więcej i przez trzy dni następne t. j. 10, 11 i 12 sierpnia, wszyscy na żaglowcu w ciągłym zostawali ruchu. Jedni zajęci znoszeniem lub pakowaniem towaru, inni znowu obowiązkiem zbadania stanu masztów, żagli i całego statku.

Czynności te odbywały się cicho, systematycznie, bez nawoływań i tak ogólnego w podobnych razach zamieszania.

– Widocznie załoga Halbranu trzymaną jest w niezwykle surowej dyscyplinie – myślałem sobie, patrząc na stojący w zatoce statek, który, jak mię powiadomił Atkins, już 15-go miał podnieść kotwicę.

W przechadzkach mych zdarzyło mi się kilkakrotnie spotkać kapitana, lecz mijaliśmy się zawsze jak obcy sobie ludzie. Zauważyłem wszakże raz, pewne z jego strony wahanie, jak gdyby miał zamiar zatrzymać się i coś przemówić, nie uczynił jednak tego, a ja z mej strony nie myślałem już wcale o ponowieniu mej prośby. Było mi nawet nieprzyjemnie, gdy uprzejmy oberżysta wyznał mi, iż jeszcze raz, choć znowu napróżno, usiłował wytłomaczyć kapitanowi niepojęty w tym względzie upór jego. Hurliguerly jednak utrzymywał podobno, że nie uważał mej sprawy za zupełnie przegraną, bo znając kapitana, wie, iż tenże dotąd ostatniego nie powiedział jeszcze słowa.

Bądź jak bądź, to wszystko uprzykrzyło mi się w końcu do tego stopnia, że najchętniej zwracałem myśli w innym kierunku, zdecydowany stanowczo poczekać za innym okrętem.

Jednakże widocznie zapisanem było w mej księdze przeznaczeń, bym opuścił Kerguelen właśnie jako pasażer żaglowca Halbran, co mię wprowadzić miało w czynny udział wydarzeń tak nadzwyczajnych, o jakich do owej pory w kronikach żeglugi morskiej nie było nawet przybliżonej wzmianki.

Wieczorem dnia 14 sierpnia, gdy mimo cienia nocy, ponieważ powietrze było suche, a niebo zasiane gwiazdami, używałem jeszcze poobiedniej przechadzki nad brzegiem przystani, zbliżył się ku mnie człowiek jakiś, którego z razu w ciemności poznać nie mogłem, lecz którego zdradził głos podobny do szeptu:

– Panie Jeorling, jutro Halbran rozwija żagle, jutro rano z odpływem morza... – mówił kapitan.

– Zbyteczną jest mi ta wiadomość – odparłem – ponieważ pan odmówiłeś mi...

– Namysliłem się, i właśnie przychodzę powiedzieć panu, abyś, jeżeli zechcesz, stawiał się o godzinie 7-ej rano na pokładzie mego statku...

– Dziękuję kapitanie, postaram się być punktualnym.

– Kajuta jest przygotowaną...

– Co się tyczy opłaty – zacząłem.

– To rzecz najmniejszej wagi, załatwimy to później. A zatem do widzenia!

– Do widzenia! – powtórzyłem i wyciągnąłem rękę, aby uścisnąć dłoń kapitana, czego jednak prawdopodobnie w ciemności nie dojrzał, bo zwrócił się spiesźnie do łodzi oczekującej go u brzegu.

Jeszcze pod pierwszym wrażeniem tej nagłej zmiany podążyłem do oberży, gdzie nie omieszkał zawiadomić Atkinsa o moim jutrzejszym wyjeździe.

– Ho, ho, ten stary lis Huliguerly miał jednak słuszość – zawołał oberżysta; – widocznie zna on dobrze swego pana, który miewa kaprysy źle wychowanej dziewczyny! Tak czy owak wszakże, pragnienie pana bliskim jest spełnienia; pozostaje mi więc tylko życzyć mu szczęśliwej przeprawy, jeśli jeszcze tam na statku nie zmienią decyzji, choćby w ostatniej godzinie; po nich bowiem wszystkiego, jak widzę teraz, spodziewać się można!...

Obawy tej nie podzielałem wcale. Co więcej, pod wpływem głębszego namysłu, przyszedłem do przekonania że istnieć muszą jakieś nieznane mi powody, które wpłynęły na tak wyraźne ustępstwo ze strony kapitana Len Guy'a i pewny byłem że niedaleka przyszłość dozwoli mi je poznać.

Przygotowania moje do drogi nie wymagały dużo czasu: podróżując bowiem wiele, doszedłem do wprawy obarczania się jak najmniejszym bagażem. Oczywiście tym razem, najwięcej miejsca zabrały ciepłe futrzane ubrania, w które dla mroźnego klimatu z konieczności zaopatrzyć się wypadało.

Nazajutrz więc, równo ze wschodem słońca, pożegnałem Atkinsa, mego dzielnego współziomka, dziękując mu szczerze za doznaną gościnność na tych wyspach „Smutku”. Uprzejmy gospodarz towarzyszył mi aż na pokład statku i nie zaniedbał polecić mię opiece bosmana, który już widocznie czekał tam na moje przybycie, a wyraz tryumfu i zadowolenia jaśniał na jego twarzy.

– A co, czym próżną, dawał obietnicę? Ho, ho! Dużo tu trzeba było zachodu i perswazyj... Ale od czego głowa bosmana! – Przechwalał się marynarz.

Pomimo że nie bardzo wierzył, aby wpływ jego choć w najmniejszej rzeczy podziałał na zmianę postanowienia kapitana, podziękowałem mu wszakże uprzejmie, ponawiając dawniej przyrzeczoną nagrodę.

– Za chwilę Halbran podniesie kotwicę, a ja znajduję się na jego pokładzie, to mi wystarcza na teraz! – pomyślałem z wielkim zadowoleniem.

Tymczasem ruch towarzyszący zwykle chwili odjazdu zajął wszystkich; majtkowie rozpinali żagle, a porucznik stojący na pokładzie wydawał rozkazy, odnośne do ostatecznych czynności.

– Do widzenia! – rzekł uprzejmie oberżysta, zbliżając się do kapitana – do widzenia w roku przyszłym!

– Do widzenia, z Bożą pomocą, panie Atkins – odpowiedział tenże, podając swą rękę do pożegnalnego uścisku.

Jeszcze jedno mniej już ceremonialne pożegnanie z bosmanem, jeszcze jedno zwrócone ku mnie skinienie głowy, i poczciwy Atkins opuścił Halbran, którego wysmukły korpus wnet drgnął cały – i gdy lekki wietrzyk wzdął białe jego żagle, jak skrzydła olbrzymiego ptaka, wypłynęliśmy z portu Christmas na pełne morze, i zanim słońce doszło do zenitu, zniknęły już w dali śmieżne wierzchołki „Table Mount” i „Hawergal” wznoszące się na wyspie Kerguelen jeden na dwa, drugi na trzy tysiące stóp nad poziom morza.

ROZDZIAŁ IV

Od Kerguelen do wyspy księcia Edwarda.

Nie można życzyć sobie lepszych warunków do podróży morskiej nad te, które niebo łaskawe otoczyło żaglowiec Halbran od pierwszej chwili opuszczenia portu Christmas. To też z tem większem zadowoleniem znajdowałem się na pokładzie statku, unoszącym mię z szybkością 9 mil na godzinę, a myśli moje błądząc tu i owdzie, wracały uporczywie do pytania, jaka właściwie przyczyna podziałała na zmianę zdania kapitana Len Guy, odnośnie do mej osoby.

Wewnętrzne urządzenie statku odpowiadało w zupełności jego zewnętrznemu wyglądowi. Wszędzie ład i porządek iście holenderski; akuratność w obsłudze; rygor wojskowy wśród załogi.

Znajdująca się na przodzie kajuta kapitana, dozwalała mu, przez odpowiednio umieszczone okno, spoglądać na całą przestrzeń morza i zarazem mieć baczenie na tę stronę pokładu. To też nie ruszając się z miejsca, mógł on wydawać swym podwładnym potrzebne rozporządzenia.

Takaż sama kajuta jaką zajmował pułkownik, znajdowała się w tyle okrętu. Obie rozmiarów zaledwie koniecznych, obie z urządzeniem nad wyraz skromnem. Z dwóch drugich umieszczonych po bokach statku, jedna była wspólną jadalnią, z długim stołem i takimiż ławami – druga stała się mojem czasowem pomieszczeniem. O wykwincie lub zbytku, nie mogło być tam i mowy; sprzęty zaledwie niezbędne i twarde materac na łóżku, nie byłyby pewno zadowolniły wielu podróżnych. Mnie jednak wystarczyły, tem więcej, że nie dłużej nad 4 do 5-ciu tygodni miałem korzystać z gościnności kapitana.

Na przodzie, tuż pod trójkątnym żaglem mieściła się w głębi kuchnia i cała część gospodarcza żaglowca; osobne schodki od ruchomej kłapy w pokładzie, która w razie niepogody hermetycznie mogła być zamkniętą, prowadziły tutaj.

Z ośmiu ludzi załogi, Marcin Holt czuwał wyłącznie nad całą, skomplikowaną i trudną sztuką stosownego użycia żagli; Hardi doglądał całości statku, Roger, Drap, Francis, Gratian, Burry i Stern, byli majtkami w wieku od 25 do 35 lat. Wszyscy Anglicy z okolic wybrzeży kanału La Manche, wszyscy zręczni i odważni w swem rzemiośle, wszyscy posłuszni na skinienie żelaznej ręki, która nimi kierowała, ręki nie samego kapitana, lecz oficera jego, człowieka wyjątkowych zdolności, jak od pierwszej chwili poznałem pułkownika Jem West.

Urodzony na statku, gdyż ojciec jego był właścicielem rybackiej gabary na której żyła też cała rodzina, Jem West, to dziecko morza w całym tego słowa znaczeniu, nie wiedząc prawie czem jest życie na lądzie, był marynarzem z rzeczywistego powołania. Pracą i zamięłowaniem w swym zawodzie, oraz nabytem doświadczeniem, od chłopca okrętowego dosługiwał się szybko stopni coraz wyższych, tak, iż już o lat 10 pełnił na Halbranie obowiązki porucznika, pod rozkazami kapitana Len

Guy'a.

Ambitny, lecz nie w kierunku wzbogacenia się, a jedynie w nabyciu potrzebnych zawodowi jego wiadomości, znał jak niewielu może pośród najwytrawniejszych współczesnych mu marynarzy, całą trudną sztukę bezpiecznego prowadzenia żaglowca w takich warunkach, na jakie wystawiony był Halbran, w swych bezustannych wędrówkach po morzach południowych.

Mając lat nie więcej nad 35, silnej budowy, o regularnych rysach, z twarzą bez zarostu i jaśniejącą bystrością w oczach, porucznik Jem West, równie małomówny jak jego kapitan, był mu oddany całą duszą.

Aby nie pominąć nikogo z załogi, należy tu jeszcze wspomnieć o murzynie Endirot, który rodem z wybrzeży południowej Afryki, pełnił na statku również od lat wielu obowiązki kucharza.

W przyjaźni z bosmanem znawcą sztuki kulinarnej, poczciwy murzyn skracał sobie wolne od zajęcia chwile, długimi z nim pogawędkami. Wszakże nowe „menu” potraw, które najczęściej były wynikiem tych rozpraw, nie zdołały nigdy zwrócić uwagi obojętnych, po większej części, w tym kierunku, współbiesiadników Halbranu.

Regulamin życia był tu surowy i prosty, pozbawiony jakiegokolwiek urozmaicenia. Ten jednak brak towarzystwa i ta monotoność nie przykrzyły mi się wcale, owszem, miarowe kołysanie statku usposabiało mię do rozmyślań, wprowadzając do duszy jakiś dobroczynny spokój i ciszę.

Być może, że wrodzona każdemu ciekawość domagała się i u mnie bliższego poznania kapitana; nie uważałem jednak za stosowne naprzykrzać mu się swoją osobą, skoro widocznie sam unikał wszelkiego ze mną zbliżenia.

Jednakże w czasie krótkich chwil przeznaczonych na wspólny posiłek, gdy po zamianie ogólnego powitania i co najwyżej, jakiejś uwadze o stanie pogody, zwykła cisza zapanowała przy jadalnym stole, pochwyciłem kilka razy skierowane na mnie badawcze spojrzenie tego człowieka, i jakby chęć wyraźną pytania mię o coś. Czego wszakże pragnął on dowiedzieć się odemnie, gdy nie ja jemu, lecz on mnie winien był do pewnego stopnia wytlomaczenie.

Najmowniejszym z całej załogi okazywał się Hurliguerly, który każdego ranka nie zaniedbał mię witać, pytając troskliwie, czy nie mam jakiego życzenia, czy mi pożywienie smakuje, czy nie pragnę jakiej zmiany?

– Dziękuję ci, Hurliguerly – odpowiedziałem mu dnia jednego; – wystarczy mi zupełnie to, co jest. U przyjaciela twego pod Zielonym kormoranem, nie byłem lepiej żywionym.

– Ho! ho! zna się stary Atkins na interesie, choć w gruncie dobry to człowiek.

– Tego samego zdania i ja jestem.

– Mnie się tylko zawsze dziwnem wydaje, panie Jeorling, jak ten Amerykanin wraz ze swą rodziną godzi się na takie życie...

– Na jakie właściwie?

– Że się czuje na tych wyspach szczęśliwym.

– Dowodzi tem wielkiego rozsądku.

– Być może!... Żle jednak wybrałby się do mnie z propozycją o zamianę. Czuję się tu lepiej, niż gdziekolwiek.

– Powinszować ci, bosmanie...

– I wierz mi pan – mówił dalej z zapalem marynarz – że za szczęśliwego może się uważać każdy, kto na Halbranie miejsce dla siebie znalazł. Nasz kapitan mówi wprawdzie mało, również niezbyt szczodrym w słowach jest porucznik...

– Zauważyłem to już...

– A jednak rzadko o takich ludzi, możesz mi pan wierzyć, i przekonany jestem, iż z żalem opuścisz nasz statek.

– Miło mi to słyszeć, bosmanie.

– A zważ pan tylko, że z wiatrem który nam tak przyjaźnie wieje i tak spokojnem morzem, którego powierzchnię jedynie wieloryby i rekiny poruszają, nastąpi to bardzo szybko. Nie więcej nad dni 10 potrzeba nam będzie na przebycie tych 1300 mil, które rozdzielają Kerguelen od Prinz-Eduard, a około dni 15-stu wystarczy nam pewnie znowu na owe 23000 mil, od tych ostatnich do Tristan d'Acunha.

– Zobaczymy, co nam czas przyniesie, bo nie obcem pewnie jest ci przysłowie marynarskie, które mówi: kto chce kłamać, niech przepowiada pogodę; przyznaj, że dużo jest w tem prawdy.

Pogoda jednak nie zawiodła nas w najmniejszej rzeczy, i 18 sierpnia po południu strażę oznajmiły widziane w dali góry wysp „Crozet”, położonych między 42° 59 szerokości południowej, a 47° długości zachodniej.

Nazajutrz zostawiliśmy za sobą wyspy Possession i Schweine, uczęszczane tylko w czasie połowu na wieloryby, a których jedynymi w owe czasy mieszkańcami były całe gromady pingwinów. O poszarpane brzegi tych ziem rozbijały się z hukiem spienione wody oceanu, zabierając odłamy lodowców. Temperatura bowiem w miesiącu sierpniu na przestrzeniach południowej półkuli, mroźną jest jeszcze i zimową zupełnie.

Ponieważ w monotonnem życiu na pełnem morzu, ukazanie się lądu jest wypadkiem budzącym ogólne zainteresowanie, spodziewałem się, że kapitan skorzysta ze sposobności i przerwie uporczywe milczenie względem swego pasażera. Spotkał mię jednak nowy zawód, przeciwko któremu wszakże nie zanadto się już burzyłem – i godziłem się z myślą, że jednostajności mej podróży nie urozmaici już żaden wypadek. Tymczasem, gdym dnia jednego siadł na chwilę na pokładzie, kapitan Len Guy ukazał się z przeciwnej strony statku i więcej zapewne z

przyzwyczajenia, niż z potrzeby, zatrzymał się przy wielkim kompasie. Popatrzył następnie czas jakiś na długą smugę białej piany, którą przejście żaglowca zostawiało za sobą na wodach, aż wreszcie ku wielkiemu memu zdziwieniu, zbliżył się szybkim krokiem do mnie i mimo szelestu żagli i szumu fal, rzekł właściwym sobie szeptem:

– Chciałbym z panem pomówić, panie Jeorling.

– Słucham pana – odrzekłem.

– Z natury małomówny, nie uczyniłem tego dotychczas; zresztą, czyż rozmowa ze mną mogłaby pana w czemkolwiek zainteresować...

– Niesłusznie sądzisz, kapitanie: przeciwnie rozmowa z panem, budzi najwyższe me zajęcie – odrzekłem z odcieniem ironii w głosie.

Czy nie dostrzegł jej, czy też umyślnie ją pominął, dość że zajął miejsce obok mnie na ławie.

– Słucham pana – rzekłem grzecznie, lecz tonem zimnym.

Kapitan zdawał się chwilę wahać, jak człowiek który rozpoczynając już rozmowę, zastanawia się jeszcze czy nie lepiej zrobi, zachowując milczenie.

– Czyś pan – rzekł nareszcie – nie szukał powodów które wpłynęły na zmianę mego zdania, odnośnie do podróży twej na Halbranie?

– Rzeczywiście, zastanawiałem się nad tem, choć napróżno – odrzekłem. – Może będąc sam Anglikiem i nie mając do czynienia z ziomkiem, nie zależało panu na tem, aby...

– Przeciwnie, panie Jeorling. Właśnie dla tego tylko że jesteś Amerykaninem, ofiarowałem panu miejsce na. mym statku.

– Że jestem Amerykaninem? – zapytałem zdziwiony.

– Że pochodzisz z Connecticut i zwiedzałeś wyspę Nantucket; że może znasz rodzinę Artura Pryma?

– Tego bohatera, o którym nasz powieściopisarz Edgar Poë zadziwiające opowiedział historye.

– Właśnie tego samego! Opowiadanie jego oparte jest na zaczerpniętych z pewnego rękopisu wiadomościach, dotyczących nadzwyczajnej i przerażającej podróży na morzu antarktycznym.

– Czy ja śnię? – pomyślałem, słuchając tych słów kapitana. – Jako, więc on naprawdę uwierzył w istnienie rękopisu Artura Pryma! Przecież opowiadanie Edgarda Poë, jakkolwiek bardzo zajmujące, jest tylko wytworem fantazyi, a oto człowiek inteligentny i przy zdrowych, jak się zdaje zmysłach, uważa te bajki za prawdziwe wydarzenia.

– Pan słyszałeś moje zapytanie? – odezwał się kapitan z naciskiem.

– Tak panie, najniezawodniej – odpowiedziałem z mimowolnym zmieszaniem, podczas gdy w myśli pytałem siebie, jak mam właściwie uważać tego człowieka, z którym rozmawiam. – Tak, słyszałem, nie wiem jednak czym dobrze pojął...

– Powtórzę je zatem w słowach krótkich i jasnych, prosząc nawzajem o szczerą odpowiedź.

– Przyjemnie mi będzie zadowolnić pana.

– Zapytuję więc, czy w Connecticut nie poznałeś pan osobiście choćby jednego z członków rodziny Prymów, która zamieszkiwała wyspę Nautucket, i spokrewnioną była z wybitniejszymi rodami w kraju. Ojciec Artura Pryma, był dostawcą przy marynarce, ciesząc się ogólnym uznaniem człowieka uczciwego i zamożnego. Edgard Poë dowiedział się z ust samego Artura o nadzwyczajnych wypadkach, których tenże stał się igraszką w swej awanturycznej podróży.

– Podróż ta mogła być więcej awanturkowo przedstawioną – zauważyłem – ponieważ to wszystko jest tylko wymysłem autora.

– Wymysłem – powtórzył kapitan, kładąc coraz silniejszy nacisk na każdą sylabę. – Więc pan temu nie wierzysz?

– Ani ja, ani ktokolwiekby na świecie, i wyznaję że pan jesteś pierwszym, od którego słyszę twierdzenie, jakoby ten utwór nie był dziełem jedynie imaginacji autora.

– Posłuchaj mię, panie Jeorling: jeżeli ta powieść, jak ją pan nazywasz, ukazała się w druku dopiero zeszłego roku, i jeżeli 11 lat już minęło od wydarzeń które opisuje, niemniej przeto wszystko w niej jest prawdą i oczekujemy jeszcze ciągle ostatniego słowa tajemnicy.

– Stanowczo – pomyślałem sobie – kapitan Len Guy uległ smutnej chorobie, dziwacznej jakiejś manii. Na szczęście Jem West może go bezpiecznie zastąpić w dalszym prowadzeniu żaglowca.

– A więc, panie Jeorling – odezwał się znowu kapitan głosem, którego drżenie było niezawodnym objawem wewnętrznego wzburzenia – zdaje mi się, żeś nigdy nie spotkał ani w Prowidencji ani w Nautucket rodziny Prymów.

– Ani gdziekolwiekby – odpowiedziałem.

– Szkoda wielka! – zawołał. – Strzeż się pan wszakże twierdzić, że Artur Prym nie istniał wcale, że jest on tylko wymarzoną postacią, że przygody jego są jedynie wytworem fantazji autora. Tak, strzeż się pan tego na równi, jakbyś się strzegł przeczeniu dogmatów wiary naszej! Bo powiedz sam, czyby człowiek nawet tak genialny jak Edgard Poë, zdolnym był wymyśleć, zdolnym był stworzyć.....

Gwałtowność, z jaką kapitan ostatnie domawiał słowa, wskazały mi wyraźnie, że chory jego umysł wymagał zupełnego spokoju, i wszelka dalsza z nim dysputa mogła jedynie doprowadzić go do przykrego wybuchu.

– Zechciej więc pan – mówił dalej nieco już spokojniej, lecz z niezwykłą siłą w głosie – zechciej

posłuchać wypadków które ci opowiem. Są one rzeczywiste, potwierdzone dowodami, a więc nieulegające żadnej kwestyi. Możesz pan zrobić z nich użytek, jaki się panu spodoba, mam wszakże nadzieję, że nie zmusisz mię do tego abym żałował, iż przyjąłem cię jako pasażera na mym statku...

Przeświadczony o tem z kim miałem do czynienia, byłem już tym razem ostrożny. Uczyniłem więc jedynie głową znak przyzwolenia. Czemże bowiem mogło być opowiadanie człowieka na wpół tylko przytomnego, pod wpływem dziwacznej manii która opanowała chorobliwy jego umysł?...

– Gdy opowiadanie Edgarda Poë ukazało się w 1838 roku, znajdowałem się właśnie w Nowym Yorku – rozpoczął kapitan; – niezwłocznie też udałem się do Baltimore, gdzie mieszkała rodzina autora, którego dziad dosłużył się stopnia oficera w czasie wojny o niepodległość. Przypuszczam, że uznajesz pan istnienie rodziny Poë, jeżeli przeczysz istnieniu Prymów.

Milczałem, nie chcąc się już niczem sprzeciwiać mówiącemu.

– Dowiedziałem się łatwo o mieszkaniu Edgarda, spotkał mię wszakże pierwszy zawód: autor bowiem krótko przedtem opuścił Amerykę. Nie mogłem widzieć się z nim, ani listownie porozumieć.

– Rzeczywiście – pomyślałem sobie – wielka szkoda, gdyż dla zdolnego powieściopisarza, postać kapitana przedstawiałaby bądź co bądź ciekawe studium.

– Na nieszczęście – mówił tenże dalej – jeżeli nie zastałem Edgarda, trudniej mi jeszcze było widzieć się z Arturem Prym. Bowiem śmiały ten żeglarz umarł jeszcze przed ukazaniem się w druku znanego nam dzieła, o czem w swoim czasie zawiadomiły publiczność stosowne ogłoszenia w pismach.

Fakt ostatnio wspomniany, rzeczywiście miał miejsce – ale zgodnie ze zdaniem publiczności, uważałem to ogłoszenie, za pochodzące tylko od samego autora, który nie mając pewnie dość już śmiałości, by doprowadzić wszystko do możliwego rozwiązania, wolał przedstawić, jakoby ostatnie trzy rozdziały z pamiętnika Artura Pryma, nie zostały mu doręczone przez tegoż, w skutek nagłej i grozą przejmującej jego śmierci. Wstrzymałem się jednak od wszelkich głośnych uwag.

– Tak więc – mówił dalej bez przerwy kapitan – gdy Edgard Poë był nieobecny, a Artur Prym umarł, pozostało mi jedynie odszukać człowieka, który był jego nieodstępnym towarzyszem w całej podróży, aż za koło biegunowe – i z kąd obaj wrócili razem, choć niewiadomo jakim sposobem... Ten Dick Peters, bo o nim właśnie mówię, miał mieszkać w Springfield, w Stanie Illinois, i mógł z zdaniem Edgarda Poë, interesowanym udzielić bliższych objaśnień.

Pojechałem więc tam niezwłocznie, ale...

– Ale nie było go tam – wtrąciłem mimowolnie.

– Tak jest, panie Jeorling, nie było go tam, a raczej nie było go tam „już”. Kilka lat przedtem opuścił on Stany Zjednoczone i niewiadomo gdzie się udał. Ludzie jednak, u których mieszkał przed swym odjazdem, mówili mi, że opowiadał im liczne przygody swego życia. Tajemniczego wszakże zakończenia podróży nie wspominał nigdy, zatem ważne te szczegóły do niego samego teraz tylko

należą.

– Jako, więc rzeczywiście ten Dick Peters miał istnieć – pomyślałem, i pod wpływem głębokiego przeświadczenia, z jakim kapitan całą tę historię mi przedstawiał, gotów już byłem jednej chwili wszystkiemu sam uwierzyć; ale zdrowy rozsądek powstrzymał mnie w porę. Nie chcąc jednak drażnić biednego chorego, udałem że uznaję za prawdę wszystko o czym mię zapewniał.

– Przypominasz pan sobie – mówił tenże dalej – że w znanym nam dziele jest wzmianka o butelce, w której ukryty był list kapitana tego statku, na który Artur Prym dostał się wypadkiem, i że butelkę tę złożono u podnóża jednej ze skał wyspy Kerguelen?

– Rzeczywiście wzmiankę tę przypominam sobie – odpowiedziałem.

– A więc w jednej z ostatnich moich podróży, szukałem tego dowodu i – znalazłem, panie Jeorling. Posiadam więc list, w którym kapitan ów oświadcza, że wraz z Arturem Prymem przedsięwzięje wyprawę aż do ostatnich krańców morza południowego.

– Pan znalazłeś tę butelkę? – zapytałem z wielkim na razie ożywieniem.

– Tak panie...

– Wraz z listem?

– Jak już powiedziałem...

Stałem zdumiony: oczywiście człowiek ten, jak wielu maniaków, doszedł już do uwierzenia własnym wymysłom. Już nawet miałem go prosić o pokazanie tego listu, lecz zaraz zrobiłem sobie słuszną uwagę, że przecież nie trudną było mu rzeczą, samemu odpowiedni napisać dokument. Rzekłem więc tylko:

– Nieodżałowanym prawdziwie jest fakt, iż nie mogłeś się pan widzieć z owym Petersem, który byłby mu niezawodnie opowiedział, przez jaką cudowną pomoc zdołali obadwaj ci ludzie wrócić do Ameryki. Bo przypomnij pan sobie, że historia kończy się sceną, gdy łódź w której płynęli, dążyła gwałtownie ku zasłonie nieprzejrzanym mgieł; że z chwilą gdy wpadała w przepaść, niby olbrzymiego wodospadu, ukazuje się ich oczom jakaś osłonięta postać ludzka... Tu autor urywa nagle, kładąc tylko całą linię domyślników.

– Wielka rzeczywiście stała mi się krzywda, że owego Petersa nie mogłem wybadać – potwierdził kapitan – bo zważ pan, iż nietylko on jeden mógł mię objaśnić co do owego powrotu, ale nadto mógł mi on udzielić wskazówek odnośnie do drugich...

– Drugich? – zapytałem zdziwiony – o kim chcesz pan mówić?

– O kapitanie i reszcie załogi okrętu angielskiego, na którym Artur Prym i Dick Peters po zatonięciu „Grampiusa” znaleźli przytułek, a który zawiózł ich przez morze podbiegunowe do wyspy Tsalat...

– Kapitanie – odezwałem się tonem, jakbym wszystkiemu dawał wiarę – ci ludzie zginęli przecież, jedni w czasie napadu na statek, inni w skutek sztucznego trzęsienia ziemi wywołanego przez krajowców Tsalal...

– Któż to wie, panie Jeorling – odpowiedział kapitan głosem stłumionym od wewnętrznego wzruszenia – kto wie czy kilku z tych nieszczęśliwych nie zdołało się ocalić, bądź w chwili ogólnej rzezi, bądź w następnej katastrofie! Kto wie, czy nie zdołali ująć pogoni krajowców...

– W każdym razie – zauważyłem – trudno jest przypuszczać, aby, jeśli wtenczas ocaleli, żyli jeszcze w obecnej chwili.

– Dla czego?

– Bo wypadki, o których mówimy, miały miejsce lat temu jedenaście.

– Panie – zawołał kapitan – jeżeli Artur Prym i Dick Peters mogli posunąć się za 84 stopień szerokości, jeżeli znaleźli środki do życia tam pod samym biegunem, dla czegoż by ich towarzysze, jeśli nie padli z rąk dzikich krajowców, nie mieli znaleźć sposobu dostania się na jedną z wysp, które poznali w swej podróży! Dla czegożby ci nieszczęśliwi moi współziomkowie, nie mieli tam żyć dotychczas, oczekując z tęsknotą pomocy i wybawienia?

– Zdaje mi się, iż pozwoliłeś się kapitanie zbyt opanować współczuciu dla tych ludzi – rzekłem, by uspokoić mówiącego. – Gdyż prawdziwym jest niepodobieństwem...

– Niepodobieństwo, panie!... A jeśli zdarzy się wypadek, jeżeli napotkam dowody materialne o istnieniu tych nieszczęśliwych opuszczonych u krańców ziemi, dowody których bezustannie szukam, czyżby jeszcze wtenczas śmiał kto zawołać: „Niemożliwe!” i nie spieszył na ich ratunek!

W tej chwili kapitan, który z trudnością tłumiał łkania rozsadzające mu piersi, zamilkł; nagle zerwał się z miejsca i zwrócił w kierunku południowego bieguna, jakby wzrokiem swym chciał przejrzeć dalekie horyzonty.

Zwrot ten uwolnił mnie szczęśliwie od trudnej zaprawdę odpowiedzi, więc milcząc pozostałem na miejscu.

Tymczasem biedny chory zwrócił się znowu do mnie i kładąc rękę na mem ramieniu, szepnął mi do ucha:

– Tak, panie Jeorling, jeszcze dotąd ostatnie słowo o losie załogi „Orionu” nie zostało wypowiedziane... poczem spieszonym krokiem zwrócił się ku swojej kajucie.

– Orion! – zawołałem, zostawszy sam – rzeczywiście, przypominam sobie, tak właśnie miał się nazywać żaglowiec, który przyjął Artura Pryma i Dicka Petersa, po nieszczęsnym rozbiciu okrętu „Grampus.” Kapitan Len Guy, w ciągu długiej swej rozmowy pierwszy raz nazwę tę wymienił... I w tejże chwili wraz z nazwą statku przypomniałem sobie, że Orionem miał dowodzić również jakiś Guy. Czyżby ta wspólność imienia, dość zresztą pospolitego w Wielkiej Brytanii, nie stała się przyczyną chorobliwego nastroju umysłu kapitana? – pomyślałem. – Może on wmówił w siebie, że

należy do rodziny zaginionego wśród wód południowych, i dla tego tak się rozczuła nad jego nieszczęsnym losem...

– Byłoby rzeczą ciekawą – rozważałem dalej – czy pułkownik Jem West wtajemniczony jest w tę urojoną troskę; pytać go wszakże o to nie wypada, nadto bowiem drażliwą jest kwestya stawiająca w wątpliwem świetle równowagę umysłową zwierzchnika. A zresztą, pocóż mi zajmować się tem wszystkim w dalszym ciągu? Czyż za kilkanaście dni nie miałem opuścić Halbranu, by pozostać sam na wyspie Tristan d'Acunha?

Nazajutrz dnia 22 sierpnia wraz z pierwszym brzaskiem dnia, minęliśmy wyspę Marion z jej wulkanem wznoszącym się do 4,000 stóp i również zostawiliśmy w dali wyspę księcia Edwarda, położoną między $46^{\circ} 55'$ szerokości południowej, a $37^{\circ} 46'$ długości zachodniej.

ROZDZIAŁ V

Powieść Edgarda Poë.[2]

Oto w skróceniu treść powieści wydanej w Richmond pod tytułem: „*Przygody Artura Pryma*”, które tak chorobliwie zajął się umysł kapitana Len Guy’a, a które niby sam bohater w formie pamiętnika podaje.

Najpierw więc w przedmowie objaśnia, jako za powrotem z podróży do bieguna południowego, zaznajomił się z Edgardem Poë, redaktorem „Kroniki literackiej”, poczytnego pisma w Richmond – i jako za jego poradą pomieścił w szpaltach tegoż pisma pierwszą część swych Pamiętników, a zachęcony niebywałym uznaniem wśród czytającej publiczności, zgodził się wreszcie na wydanie osobnego dzieła, zawierającego wspomnienia z nadzwyczajnych wydarzeń jego życia.

Pierwsze rozdziały poświęca autor młodości swojej. Dowiadujemy się więc, iż urodził się w Nautucket, gdzie do 16-go roku życia pobierał nauki w szkołach, a po ich ukończeniu przeszedł na studia uniwersyteckie.

Tutaj zaprzyjaźnił się niebawem, ze starszym od siebie o dwa lata synem kapitana okrętu, Augustem Bertol, który towarzyszył już ojcu w paru wyprawach na wieloryby. Naturalnie, ulubiony i nigdy niewyczerpany temat do rozmowy między młodymi, stanowiły podróże tem więcej, że Artur Prym miał od dzieciństwa szczególne w tym kierunku upodobanie, podniecane teraz barwnymi opisami Augusta.

Obaj też przyjaciele postanowili poświęcić się marynarce, obaj poprzysięgli sobie zbadać nieznane dotąd morza bieguna południowego.

Pierwsza próba samodzielnej podróży morskiej obu tych zapaleńców, przedsięwziętą została na małej szalupie „Ariel” która była własnością kapitana Bertol. Potajemnie, nocą, opuścili oni port bez żadnego przygotowania.

Wkrótce też na łasce rozhukanych fal, w czasie nagle powstałej burzy, znajdując się już w rozpaczliwym położeniu, zostali jeszcze najechnani przez jakiś wielki żaglowiec. Walcząc z rozszalałym żywiołem, widzą już wreszcie bliską śmierć przed sobą, gdy najniespodziewaniej udziela im ratunku znajomy statek i odwozi do ojczystego Nautucket.

Tak niefortunny początek nie oziębił w nich wszakże zapału do awanturnicznych przygód, owszem, tem usilniej szukali odtąd sposobności dostania się na jakikolwiek okręt. To też gdy w kilka miesięcy po wypadku z Arielem, stary Bertol udać się miał na połów wielorybów, jako kapitan dość już zrujnowanego okrętu Grampius, młody August tak długo naprzykrzał się ojcu prośbami, aż go ten zdecydował się zabrać. Odmówił jednak stanowczo przyjęcia Artura, wiedząc, jak rodzina jego była

temu przeciwną.

Ale właśnie owa trudność w urzeczywistnieniu najgorętszych pragnień, rozegzaltowała do tego stopnia młodzieńca, iż postanowił bądź co bądź towarzyszyć Augustowi. Z jego więc też pomocą dostaje się potajemnie na okręt i ukrywa w najniższym piętrze przeznaczonym na skład narzędzi rybackich, beczek do tłuszczu wielorybiego, oraz przeróżnych pak i ciężarów.

Ciemna ta i cuchnąca dziura połączona była ukrytem wejściem z kajutą, którą miał zajmować August, a który przygotował tamże dla przyjaciela zamykaną skrzynię z materacem i kołdrą, oraz pewną ilość żywności, dzban wody do picia, butelkę koniaku, wreszcie latarkę, świece i krzesiwko.

Do tej kryjówki wszedł Artur już na trzy doby przed odjazdem Grampiusa, i nie prędzej miał się ukazać kapitanowi, aż gdy wypłyną na pełne morze, t. j. gdy odwrót stanie się już niemożliwym.

Nie łatwą wprawdzie było rzeczą siedzieć tam w głębi, bez światła, ruchu, a nadewszystko bez powietrza, któremby płuca odetchnąć mogły. Od czegoż jednak siła woli i młodości!

Skoro wszakże dobrowolny nasz więzień poczuł pierwsze zakołysanie się okrętu, które mu oznajmiło że kotwica podniesioną została, doznał już pewnej ulgi, jedynie pod wrażeniem nadziei, iż niezadługo skończy się to przykre położenie. W kilka też godzin potem wyszedł ze skrzyni, by wyprostować ścierpnięte członki, a potykając się o rozrzucony w nieładzie ładunek, odszukał ukrytą w górze klapę, przez którą August obiecał wprowadzić go do swej kajuty. Upewniwszy się że wyjście to istnieje, pełen nadziei i dobrej otuchy, wrócił do swej kryjówki, posilił się zimnym mięsem, wychylił kieliszek koniaku i zasnął. Nazajutrz wszakże napróżno oczekiwał przyjaciela, i nad wyraz przykry ten zawód powtarzał się przez kilka dni następnych.

– Czyżby obawa przed gniewem ojca, powstrzymywać dotychczas miała Augusta-myślał zrozpaczony już wreszcie Artur. – Ale cóż mi zrobić może stary kapitan? Gdyby mię nawet kazał wrzucić do oceanu, wolałbym taką śmierć raczej, aniżeli powolne tu konanie!

I rzeczywiście, zabójcze powietrze, zapełniające dolną część rybackiego statku, zatruwało każdego dnia, każdej godziny do tego stopnia organizm młodego Pryma, że nareszcie popadł w jakiś stan gorączkowy, w którym miewał przykre halucynacje i straszne udręczenia.

Razu jednego zdawało mu się, iż napadnięty przez olbrzymiego lwa pustyni, staczał z nim walkę o śmierć lub życie – a gdy poczuł kosmatą łapę zwierzęcia na piersi swojej, ogarnęło go takie przerażenie, że, by nie zdradzić się fatalnie resztą przytomności, ledwie zdołał stłumić okrzyk najwyższej trwogi. Wysiłek ten jednak wyczerpał go do tego stopnia, że padł zemdłony na swe posłanie i długo leżał nieświadomy co się z nim działo.

Owym lwem jednakże, z którym rozgorączkowana fantazja Artura staczała tak nierówną walkę, było zwierzę oddane mu z całym przywiązaniem, na jakie tylko pies zdobyć się może. Był to Solt, piękny dog wprowadzony przez Augusta na okręt, który odszukał wreszcie swego pana, i radość swoją objawił lizaniem twarzy i rąk zemdlonego.

Tak więc samotny więzień dostaje towarzysza, który jednak w czasie kilku dni zupełnej

nieprzytomności jego, zdołał zjeść zapasy żywności, a co gorsza wypić resztę wody ze dzbana.

Nieszczęśliwy chory nie znajduje zatem ani jednej kropelki, którąby mógł zwilżyć spieczone usta.

Wyczerpany, bezwładny prawie, usiłuje jednak doczołgać się do skrytego wejścia i bądź co bądź przywołać Augusta na pomoc. Lecz zastaje otwór ten zamknięty, a wprowadzony w szparę nóż przekonał go, że ciężkie jakieś przedmioty przywalają drzwiczki, które miały wyprowadzić go na swobodę – do zdrowia i szczęścia.

Świadomość ta, jest dla niego jakby ostatecznym wyrokiem śmierci.

Ledwie dysząc, ostatkiem sił wrócił na swe posłanie, na które padł z głuchym jękiem, podczas gdy wierny Solt nie przestawał się łasić, skomląc żałośnie, gdyż i jego dręczyło już przykre pragnienie.

Nagle obojętny już na wszystko Prym, wypadkiem dotyka ręką szyi zwierzęcia i czuje przywiązany tam na sznurku zwinięty kawałek papieru.

Nadzieja, że może to karteczka, jako oczywiście od Augusta pochodząca, da mu jakieś wytłómaczenie i obietnicę pomocy, wzbudza w nim tyle jeszcze energii, że krzesiwem wywołuje odrobinę światła, (olej w latarni bowiem wypalił się już doszczętnie) i przy tym krótkotrwałym blasku, czyta ostatnie słowa zdania: *krew... zostawaj w ukryciu – życie twoje od tego zależy.*

– Co to znaczy? – jęknął nieszczęśliwy. – Czy ja śnię? Nie, to rzeczywistość. Czuję papier w ręku! ... Mam jeszcze tu zostać, to znaczy umrzeć. Czy to jego wola, abym zginął tak marnie?... Ale ten wyraz „krew”!... Może walka jaka została tam stoczona – może rozbójnicy morscy, może bunt załogi... Od jak dawna właściwie ja tu jestem?...

Pytania te jak rój owadów napęliły dziwnym jakimś szumem wyczerpany umysł Artura, poczem znów nastąpił ów przykry stan bezwładnej świadomości.

Możnaby sądzić, że w opowiadaniu którego drobiazgowość pomijam, autor wyczerpał już cały zasób swej fantazyi. Gdzie tam, wiedzie go ona jeszcze dalej, bo oto:

Jakiś dziwny świst zwraca uwagę apatycznie leżącego Pryma...

To Solt dyszy gwałtownie, Solt, którego oczy fosforycznym blaskiem migocą w ciemności, a ostre kły zgrzytają złowrogo, Solt który dostał napadu wściekliwości...

Wrodzony każdej istocie instynkt samozachowawczy, wywołuje u nieszczęśliwego młodzieńca nowy wysiłek woli.

Szybkim ruchem odskakuje w bok przed ziejącą paszczą zwierzęcia, wrywa kołdrę, w której tenże zatopił swe kły, i zatrzaskuje drzwiczki do skrzyni, zamykając w niej psa dotkniętego najstraszniejszą z chorób, a rozbijającego się tam w szalonej niemocy.

Wzruszenie to wszakże i ten ruch gwałtowny, wyczerpuje resztkę sił Artura, tak, że pada na ziemię z głuchym łoskotem bezwładnego ciała. Chwila jeszcze, a ostatnia iskierka jego życia byłaby

bezpowrotnie zagasła, gdyby August nie był nadszedł wreszcie i udzielił koniecznej pomocy.

Butelka ze świeżą wodą przyłożona do ust zemdlonego, wypróżniła się niebawem, a ten nektar najlepszy ze wszystkich, pokrzepił go do tego stopnia, iż w parę godzin potem mógł wysłuchać przy blasku ukrytej latarki, opowiadania przyjaciela o wypadkach, zaszłych na okręcie od chwili opuszczenia portu.

Zaraz więc po wypłynięciu na pełne morze, powstają wśród załogi składającej się z 36 ludzi, niezadowolenia i bunt, co uniemożliwia Augustowi zejście do kryjówki Artura. Czwartego dnia żeglugi, pod przywództwem kucharza, niespokojnego Murzyna, przychodzi do krwawych walk, w których ginie większa część stronników kapitana – on sam zaś wraz z czterema najzaufańszymi sobie ludźmi, rzucony jest do łodzi i w okolicy wysp Bermudów zostawiony na łasce fal.

Po takim usunięciu starego Bertola, objął na okręcie dowództwo pierwszy oficer, człowiek chciwy i dzikich instynktów, który zamierza oddać się rozbójnictwu morskemu. August zawdzięcza jedynie zachowanie życia opiece powroźnika okrętowego, który pochodził z indyjskiego plemienia Upsarakas, i nazywał się Dick Peters. Jednakże z rozkazu kapitana okuty został w kajdany i zamknięty w kajucie, stając się na dłuższy czas zupełnie obojętnym. Nieustannie wszakże dręczony myślą o losie Artura, uwolnił się wreszcie cudownym jakimś sposobem z kajdan, i gdy w żaden sposób przywalonej ciężarami kłapy otworzyć nie mógł, wykroił kieszonkowym swym nożem niewielki otwór w deskach dzielących go od dolnego piętra okrętu i wpuścił tam wiernego Solta z przywieszoną karteczką u szyi. Tymczasem minęło znowu dni kilka wśród nieustannych walk między pozostałymi na okręcie, tak że bez narażenia na niechybną śmierć, zarówno siebie jak przyjaciela, nie mógł pójść do niego aż do owej chwili, w której mu pospieszył z pomocą. Nieliczna już wreszcie załoga, rozdzieliła się jeszcze na dwie partye. Jedna z Dick Petersem na czele chciała się skierować do Przylądka Zielonego, druga do wysp oceanu Spokojnego.

W takim położeniu stosunków na Grampiusie, przedstawiło się przyjaciółom trudne do rozwiązania zadanie, wyszukania dla Artura nowej kryjówki, wobec zupełnej niemożności pozostawienia go dłużej w dotychczasowej, nie tylko już ze względu na zatrute powietrze, ale nadto z uwagi, że porzucony tam ładunek, przy silnem kołysaniu okrętu, w ciągłym również zostawał ruchu, grożąc każdej chwili przygnieceniem.

Po długich namysłach August wynajduje dla Artura jakiś bezpieczny kątek w wyższych piętrach. Okazuje się, też że Solt nie uległ wściekłości, lecz dręczony był tylko szaloną gorączką pragnienia, która ustąpiła niebawem, skoro wreszcie dostał wody.

Ponieważ Dick Peters nie przestawał okazywać swej życzliwości Augustowi, przeto syn nieszczęsnego kapitana począł marzyć o objęciu rządów na okręcie, gdy znowu z powodu spotkania małego żaglowca, powstają nowe walki wśród załogi, z której jedni chcieli koniecznie ścigać i złupić statek, wbrew woli drugich.

Po tym bezustannym krwi rozlewie, pozostaje na Grampiusie wraz z ukrywającym się ciągle Arturem Prymem 13-tu tylko ludzi, rozdwojonych jeszcze niezgodą. Gdy więc nadchodzi szalona burza, beładnie umieszczony na spodzie ładunek, rzucony jest o ściany starego okrętu tak, iż tworzą się wkrótce uszkodzenia, któremi woda poczyną wdzierać się do wnętrza.

Jedynie energiczne użycie pompy i spieszne załatanie otworów, może ocalić statek od największego niebezpieczeństwa. Niema jednak nikogo, kto by się chciał tem zająć, bowiem nagła śmierć jednego z majtków należących do partyi Dick Petersa, śmierć z trucizny podsuniętej ręką starszego oficera, ostrzega tamtych, aby bez zwłoki czasu usunęli przeciwników.

W tej krytycznej chwili August opowiada Petersowi wszystko co dotyczy Artura, który też zaraz wychodzi z ukrycia i oświadcza się, że stanie po ich stronie.

Przeciwnicy wszakże mimo tego mają jeszcze przewagę w liczbie. Zdecydowany na wszystko Peters, wrzuca do morza jednym silnym pchnięciem majtka stojącego na straży, co mu tem łatwiej przychodzi, że wzburzone wody szalejącą wciąż burzą podzwrotnikową, rzucają okrętem, jak drobną łupiną.

Pozostali zwolennicy starszego oficera, do których chwilowo przyłączył się kucharz, ucztowali właśnie w kajucie kapitana, i chociaż ogólnie byli już w stanie nietrzeźwym, jednakże zdaniem Petersa, wypadało działać z możliwą ostrożnością.

Tu Arturowi Prym przychodzi myśl, przebrania się za otrutego majtka i występując w roli tegoż, podziałać na zabobonne zwykle umysły marynarzy.

Sztuczka ta wywołuje nadspodziewane wrażenie, bo zaledwie oficer zobaczył niby widmo swej ofiary, krzyknął przeraźliwym głosem i padł martwy na ziemię.

W tejże chwili ukryci za drzwiami Peters i August z psem, wpadają do kajuty i rozpoczyna się walka, w której giną wszyscy biesiadnicy, prócz jednego majtka Richarda, człowieka zupełnie biernego.

Tak więc z całej załogi 36 ludzi, pozostaje na Grampiusie zaledwie 4-ch i to w chwili tak ważnej, w której trzeba było działać z całą energią i znajomością rzeczy, by opóźnić o ile można nieuniknione już zatonięcie okrętu.

Napróżno jednak usiłowano coś rozpocząć. Burza zdawała się wzmaczać ciągle, a przód Grampiusa obciążony wodą coraz głębiej zanurzał się w falach, tak że te co chwila zalewały pokład.

Kołysanie statku doszło do takiej siły, że aby nie porozbijać się o jego ściany lub nie wpaść do wody, musieli się wszyscy poprzywiązywać linkami na całą prawie dobę, do stale umocowanych przedmiotów.

Gdy wreszcie szalejący żywioł uspokoił się nieco, na tonącym Grampiusie rozpoczynają się znowu dnie niewysłowionej męczarni, spowodowanej brakiem wody słodkiej i jakiegokolwiek żywności; wszystkie bowiem zapasy zalane przez dłuższy już czas na spodzie okrętu, przeszły w stan cuchnącej i trującej zgnilizny.

Po szczegółowym opisie tortur przez jakie przechodzą nieszczęśni ci ludzie, następuje wstrętne scena ciągnięcia słomek, których wyrokiem majtek Richard pada pod nożem Petersa, by krwią i ciałem swoim uratować życie pozostałym.

Upały podzwrotnikowe i przejazd jakiegoś tajemniczego statku, przewożącego ciała umarłych, których wyziewy zanieczyszczają powietrze, sprowadzają śmierć Augusta.

Nareszcie okręt tonie, a pozostali przy życiu Artur Prym i Dick Peters, szukają ratunku na przewróconej łodzi, żywiąc się przez dni kilka przyczepionymi do jej ścian ślimakami, aż wreszcie 4 sierpnia spotykają żaglowiec „Orion”, którego kapitan spieszy im na ratunek i gościnne daje schronienie.

Jakkolwiek cała ta pierwsza część utworu Edgarda Poë przepełniona jest samem i nadzwyczajnymi zdarzeniami, jednakże trudno nam stanowczo twierdzić, aby przekraczały one granicę wszelkiej możliwości, czego już w żadnym razie nie możemy powiedzieć o części drugiej, gdzie rozbijała fantazja autora nie krępuje się niczem zgoła!

Lecz nie uprzedzajmy faktów...

Artur Prym więc i Dick Peters przyjęci na Oriona w stanie budzącym rzeczywiste współczucie, znajdują się otoczeni taką opieką i staraniem, że po upływie dwóch tygodni zostało im zaledwie wspomnienie przebytych cierpień. Natura bowiem ludzka ma wiele odporności w sobie i bądź co bądź, dąży zawsze usilnie do równowagi i utrzymania życia. Droga, jaką podążał kapitan Oriona, Wilhelm Guy, była właśnie tą samą, którą zakreślał teraz Halbran, lecz w odwrotnym kierunku. Gdy zatem 13 października ominął wyspę księcia Edwarda, a następnie wyspy Crozet, stanął u wysp Kerguelen, które niedawno temu z takim zadowoleniem opuściłem, a gdzie on przybywał dla łowów na foki.

Trzy tygodniowy tam pobyt dal mu możność obfitych zdobyczy, ale właśnie też tutaj ulegając namowom Artura Pryma, zdecydował się puścić w awanturniczą podróż do podbiegunowego morza, i jako dowód tego postanowienia zostawił ów list w butelce, który odnalazł, lecz zapewne w wyobraźni swej tylko, chory mój kapitan.

Opuszczając Kerguelen 12 listopada, żaglowiec Orion podążył z powrotem do Tristan d'Acunha, gdzie zatrzymał się dni kilkanaście, i 5-go grudnia popłynął do nieznanych i dotąd na żadnych kartach geograficznych nie oznaczonych wysp Aurora.

Dnia 12 stycznia Orion dąży już wprost ku biegunowi.

Omija szczęśliwie licznie płynące kry olbrzymie, okrąża i znajduje przejście wśród gór lodowych, przekracza linię polarną i wydostaje się cudownie pod 81° szerokości połud. a 42° długości zachodniej, na równe, spokojne morze, którego wody posiadają ciepła 1,11 Celsyusza, a powietrze nad niem dochodzi 8° Cel. wyżej zera.

Każdy przyznać musi, że już tutaj Edgard Poë dowolnie fantazyuje; jest bowiem rzeczą pewną, iż nikt nie posunął się dalej ku południowemu biegunowi od kapitana Wedell, który w 1822 roku, nie zdołał przejść nawet 74 równoleżnika. Lecz Artur Prym, albo raczej Edgard Poë opowiada zarówno ten fakt jak i następne, z przekonaniem dochodzącym aż do naiwności.

Przedewszystkiem Orion nie spotyka już tam ani śladu lodowców, przeciwnie, powierzchnię

morza rozweselają całe stada ptaków, wśród których znajdują się olbrzymie pelikany, z mięsem tłustem i bardzo smacznym, o czym przekonano się, zabiwszy jednego wystrzałem z fuzji.

Niebawem zauważono ląd jakiś, który okazuje się maleńką wysepką. Kapitan Wilhelm Guy nazywa ją ku pamięci współnika swego wyspą Bennet.

Ostrzegam jednak poufnie czytelnika, by nie fatygował się napróżno odszukaniem tej ziemi na jakiegokolwiek karcie, bowiem istniała ona jedynie w imaginacyi autora.

Oczywiście, w miarę zbliżania się żaglowca do bieguna, widocznem jest coraz mniejsze zbaczanie igły magnesowej, coraz łagodniejsza temperatura powietrza i wody, z lekkim powiewem wiatru od północy i czystym, pięknym szafirem nieba. Jasność dnia trwa teraz bez przerwy. Mimo tak przyjaznych warunków, wypadki skorbutu wśród załogi decydują kapitana do odwrotu, lecz ulega znowu namowom Pryma i płynie jeszcze dalej, czego nie żałuje ostatecznie, gdy 18-go stycznia zauważono znowu jakąś ziemię. Była to wyspa należąca do liczego archipelagu, ciągnącego się ku zachodowi.

Żaglowiec skierował się ku niej i stanął w oddaleniu kilkunastu sięgów na kotwicy. Załoga otrzymała broń, a Dick Peters i Artur Prym spuścili się do łodzi.

Tymczasem w drodze zostali zatrzymani przez cztery łódki, napełnione ludźmi, „ludźmi nowymi”, jak ich nazywa opowiadanie.

Byli to krajowcy, czarni jak posągi z hebanu, odziani skórami zwierząt również czarnych, i zbrojni w dziwaczne jakieś narzędzia. Ponieważ nie okazali wrogiego usposobienia, a tylko ustawicznie powtarzali słowa: *anamoo-moo* i *lama-lama* przeto Artur Prym zawrócił z powrotem, a poznawszy z gestów przywódcy, Too-Wita, że tenże chciałby zbliżka zobaczyć statek, porozumiał się z kapitanem, i niebawem kilka postaci czarnych pojawiło się na pokładzie Oriona.

Podziw ich dla wszystkiego na co spojrzeli, nie miał wprost granic. Żadnego przedmiotu nie śmieli dotknąć rękoma, a pocałunkami tylko okazywali swe uwielbienie, jak, gdyby żaglowiec był jakąś świętością lub istotą żyjącą. Zachęcony tem łagodnem usposobieniem krajowców, kapitan Wilhelm Guy poleciwszy załodze pilną straż nad wszystkim, udał się z kilku jeszcze ludźmi na zwiedzenie wyspy.

Kierując się za miejscowemi łodziami, łódź kapitana ominęła liczne rafy, znajdujące się u brzegów lądu, które tworzył czarny, jak węgiel, piasek.

– Cóż to za dziwna kraina, ta ziemia Tsalal! jeżeli damy wiarę opowiadaniu Pryma.

Drzewa i rośliny tamtejsze niepodobne są w niczem do znanych gatunków na całej kuli ziemskiej, a równie jak piasek na brzegu morskim, tak cały grunt tej wyspy oraz dziwacznych kształtów sterczące skały, składają się z części mineralnych, obcych zupełnie uczoneму naszemu światu.

Co więcej, woda nawet w płynących tam strumieniach, niema przezroczystości naszych wód, a spójność jej cząstek tak jest małą, że „przecięta” ostrzem noża, nie łączy się zaraz, lecz długo

oddzielnymi płynie smugami.

Aby się dostać do pierwszej osady na wyspie, trzeba było przejść pieszo około trzech mil angielskich.

Żadnych wszakże chat, choćby najlichszych, krajowcy nie znają, a rozpięte namioty z czarnych skór zwierząt domowych, tworzą nędzne dla wszystkich schronienia. Licznie spotykane tam czworonogi, przypominają nieco pospolite nasze świnie i owce, wśród których chodzą sobie swobodnie oswojone albatrosy i czołgają się większe i mniejsze żółwie.

Jednym słowem świat całkiem inny, że tak powiemy „czarny”, przedstawił się oczom podróżnych, na których krajowcy w coraz liczniejszych zbierając się gromadach, (w osadzie bowiem, zdaniem Pryma, mogło ich być około 2,000) patrzeli zdumieni – i choć kolor biały w ogóle, a szczególnie ciała ludzkiego, jako zupełnie im nieznanymi, budził w nich lęk i nieufność, tak natarczywie jednak cisnęli się ku przybyłym, że ci zmuszeni byli siłą utrzymywać ich w należnym oddaleniu.

Po chwilowym spoczynku w namiocie Too-Wit'a, kapitan, ze swymi towarzyszami wrócił do czekających go u brzegu ludzi. W tem powrotnym jednak przejściu, zauważył nieprzebraną bodaj ilość pianki morskiej, mięczaka cenionego i poszukiwanego w handlu, szczególnie przez Chińczyków.

Ponieważ lekka pianka nie obciążając żaglowca, mogła stanowić doskonały towar sprzedażny zarówno w Ameryce jak Europie, przeto porozumiano się z przywódcą, który pozwolił kapitanowi w zamian za mały jakiś podarek, zbudować szopę gdzieby kilku robotników z załogi Oriona przysposobiło nowy ten ładunek. Sam zaś kapitan korzystając z czasu, podpłynął wyżej jeszcze do bieguna.

Po upływie miesiąca, odpowiednia ilość pianki przysposobioną została, a ludzie, którzy tem zajęci byli, nie mogli się skarżyć na najmniejszą krzywdę, ani posądzać nawet o jakiegokolwiek złe zamiary czarnych mieszkańców wyspy Tsalal.

To też za powrotem swym, kapitan Wilhelm Guy zapragnął raz jeszcze zwiedzić osadę Klock-Klock. Zostawiwszy więc na pokładzie Oriona sześciu ludzi uzbrojonych, którym zalecił baczność na wszystko, i zabronił surowo dopuszczania krajowców na statek, udał się na ląd z resztą swej załogi.

Otoczony kilku setkami swych podwładnych, wyszedł Too-Wit na spotkanie gości, wiodąc ich do osady wązkim przejściem wśród wzgórz z kamienia steatydowego, jakiego Artur Prym nie widział nigdzie potem. Niekiedy przejścia te tworzyły tak ciasne wąwozy, że pojedynczo tylko jednemu za drugim, można było precyzyjnie się przez nie.

Jakkolwiek miało to do pewnego stopnia pozór jakowejś zasadzki, kapitan Wilhelm Guy wszakże spokojny był zupełnie.

Wyprzedzając trochę towarzyszy, Artur Prym i Dick Peters oraz marynarz Allen, zobaczywszy zwieszające się u drzewa niezmiernie grona jakiegoś szczególnego gatunku orzechów, zeszli trochę na bok, by zerwać z nich parę i posmakować, gdy nagle, silne trzęsienie gruntu powaliło ich na ziemię, a

całe bryły kamieni przygniotły ich tak, że chwilowo stracili przytomność.

Przyszedłszy do siebie, uważali się za pogrzebanych żywcem. Artur i Dick znaleźli się obok, Allen jednak nieco dalej przygnieciony wielkimi bryłami, nie miał już nigdy wrócić do życia.

Torując sobie drogę w steatydomem zwalisku dużymi, ostremi nożami, które z przezorności mieli zawsze w swych kieszeniach, dostają się towarzysze dawnej niedoli do glinkowatego pokładu, stawiającego im silniejszy opór, aniżeli ten tłustawy, podobny do twardego mydła materiał „steatytem” zwany.

Nie dali jednak za wygraną i póty wiercili nożem, pracowali rękoma, aż nie wygrzebali sobie otworu, przez który mogli odetchnąć swobodnie, a nawet rozejrzeć się po okolicy.

Niebawem też rozważywszy wszystko, doszli do przekonania, że trzęsienie było sztucznie wywołane przez krajowców, aby zgubić kapitana Wilhelma Guya wraz z 28 marynarzami, którzy też znaleźli niewątpliwie śmierć pod ową masą ziemi i kamieni, przechodzącą zapewne milion beczek objętości. Własne swe, cudowne prawdziwie ocalenie, zawdzięczali jedynie wypadkowi, że właśnie w chwili katastrofy ustąpili nieco na bok przesmyku, który sztucznie, z obmyśleniem zdrady, utworzony został przez krajowców.

Tymczasem, jak oko zasięgnąć mogło, kraj cały zaroił się tłumami czarnych postaci, i przyplływające z sąsiednich wysp łodzie otoczyły zbitą masą żaglowiec, oczywiście w nadziei bogatego łupu. Sześciu marynarzy, którzy z rozkazu kapitana trzymali straż na Orionie, bronili się długi czas uparcie, dając ognia z początku z karabinów, wreszcie zwróciwszy ku napadającym wystrzwały armatnie.

Prawie po trupach poległych swych braci, czerń ta straszna dostała się jednak na pokład i po wymordowaniu obrońców, zabrano się z okrzykami radości do rabunku.

Nagle ukazują się płomienie pożaru, wznieszonego prawdopodobnie wypadkiem, a w chwilę potem następuje z nieporównanym hukiem wybuch prochu, który rozrywa na cząstki i wysadza w powietrze cały żaglowiec. W raz z nim ginie tysiące krajowców, tysiące innych odnoszą ciężkie rany.

Wśród niezrównanego popłochu, ci którzy ocalili, uciekają z wielkim krzykiem powtarzając wyrazy: *Tekelili! Tekelili!*

W ciągu całego następnego tygodnia, żywiąc się jedynie orzechami i roślinami zbieranymi ukradkiem, siedzieli Artur Prym z Petersem w jakiejś głębokiej jamie, wykopanej dla wydobycia steatydu, i pewnego rodzaju czarnego marglu, zmieszanego z grubymi ziarnkami nieznanego metalu.

Jama ta zajmowała przestrzeń znaczną, którą obchodząc, napotkali ułożone z drobnych kamieni jakieś linie i figury zagadkowe. Artur Prym nie omieszkał je odrysować, i przekonał się później, że całość ich złożyła znaki staroarabskiego pisma, które oznaczały: „Istota biała” i „kraje południa.”

Jak widzimy, autor amerykański rozwinął tu w całej pełni swą fantazyę, tak bogatą i tak twórczą, że jeden z poważnych jego krytyków słusznie powiedział o nim: „Fantazyja góruje tu nad wszystkimi

innymi zdolnościami; jest to niby jakaś siła niezwykła, zdolna przeczuć najtrudniejsze do zbadania tajemnice, przeniknąć najzawilszy stosunek rzeczy.”

Lecz kończmy dalsze opowiadanie:

Ponieważ, co łatwo zrozumieć, zarówno Prym jak i Peters, nie przyjęli biernie smutnego losu ukrywania się w tym dole aż do końca bodaj życia, przeto spróbowali jednego razu ucieczki, kierując się ku wybrzeżom morza. Niebawem jednak ujrzeni się ścigani przez pięciu krajowców, i wkrótce przyszło do nieuniknionej walki, która dzięki nadzwyczajnej sile Petersa, a jeszcze więcej wystrzałom z rewolweru Pryma, skończyła się zabiciem czterech przeciwników, gdy piątego powlekli jako jeńca ze sobą, wskoczyli spiesznie do najbliższej łodzi, i popłynęli w niej z biegiem prądu dalej ku biegunowi, na 84° szerokości.

Jakkolwiek kilka wysp rysowało się w niezbyt odległej przestrzeni, jednak roztropność kazała ominąć je ostrożnie. Zresztą dwa olbrzymie żółwie, któremi łódź była naładowana, mogły im dostarczyć na jakiś czas pożywienia.

Był to właśnie początek marca, a więc początek zimy w tych stronach. Ponieważ Prym był zdania, że temperatura musi być coraz łagodniejszą bliżej bieguna, przeto nie obawiano się uwięzienia wśród lodów. Potrzebny żagiel do szybszej podróży i korzystania z przyjaznego powiewu wiatru, urządzili też na prędcie, rozpinając swe koszule między znajdującymi się na przodzie łodzi grubymi gałęziami.

Białość płótna, podniesiona jeszcze blaskiem światła, wzbudziła nieopisany strach w jeńcu, który skulony zakrył sobie oczy, a czarne usta jego szeptały niezrozumiale: *Tekeli-li, Tekeli-li!*

Posuwając się dość szybko, Artur Prym i Peters wjechali niebawem w świat pełen szczególnych osobliwości. Najpierw na skłonie nieba ujrzeni niby leciuchną zasłonę z szarawej mgły, którą przecinały miejscami smugi świetlane, podobne do promieni zorzy północnej.

Woda, po której sunęła ich łódź, stawała się coraz gęstsza i coraz wyraźniej mlecznej barwy, a podnosząca się stale jej temperatura, wskazywała że wewnętrzne jakieś ciepło musi ją ogrzewać. Mimo tego silny prąd unosił łódź z wzrastającą szybkością, podczas, gdy z pogodnego nieba począł się sypać białawy popiół, którego widok wzmógł na nowo przestrach Nu-Nu, czarnego jeńca z wyspy Tsalal.

Dnia 9-go marca suchy ten deszcz zamienił się w prawdziwą ulewę, a woda stała się tak gorącą, iż niepodobna było ręki w niej utrzymać! W dziwnej też mglistej zasłonie, rozciągniętej na całej linii horyzontu, poznał wreszcie Peters jakiś niezmierny wodospad, zlewający się niby z nadpowietrznych z wyżyn.

Przez dwanaście dni następnych panowały dokoła zupełne ciemności, przerywane tylko błyskami świetlanymi, unoszącymi się z mlecznych wód oceanu antarktycznego, do którego bezustannie sypał się, podobnie do padającego śniegu, ów popiół białawy.

Łódź z szaloną szybkością pędziła teraz ku wodospadowi, poza którym, gdy równą jego masę rozdzierał od czasu do czasu silniejszy prąd powietrza, ukazywały się dziwaczne jakieś i niewyraźne

obrazy.

Wśród przerażającej dokoła nocy, przeciągały gromady sinej białości ptaków, wypełniając powietrze dziwnym, powtarzanym tu zarówno przez ludzi jak i zwierzęta krzykiem: Tekeli-li! Tekeli-li!

Na widok ich Nu-Nu, popadł w okropne konwulsje i wkrótce wyzionął ducha.

Nagle porwana zdwojoną siłą prądu, zdążyła łódź prosto do wodospadu. W chwili jednak, gdy już, już ma zginąć w strasznej głębi przepaści, staje tuż przed nią jakaś olbrzymia postać ludzka, której białosc ciała i okrywającej ją zasłony, równa się najczystszej białosci śniegu...

Taki jest koniec fantastycznego utworu Edgarda Poë, a cała linia domyslników daje do zrozumienia, że to co nastąpiło jeszcze, albo autorowi jest nieznanie, albo przekracza już nawet te granice, które bujna jego wyobraźnia obejmuje. Może też i słuszenie zrobił, nie wodząc czytelnika dalej w tę krainę niemożliwości, bo czyż nie dosyć nam już tego, nam ludziom przywykłym brać rzecz wszelką pod krytykę zdrowego rozsądku?

ROZDZIAŁ VI

Nadzwyczajne spotkanie...

Podróż nasza odbywała się w dalszym ciągu systematycznie i spokojnie, pogoda bowiem stale wyjątkowo była piękną, a porucznik Jem West przewidywał zawsze naprzód, jakie należało dać rozporządzenia.

– Nasz porucznik nie ma sobie równego! – rzekł do mnie jednego dnia, rozmowny jak zwykle Hurliguerly. – Doprawdy, jemu przysiałoby prowadzić najpiękniejszy statek admirałski!

– Rzeczywiście – potwierdziłem – Jem West jest wyjątkowo zdolnym marynarzem.

– Ale też przyznaj pan, że wyjątkowym żaglowcem jest nasz Halbran. Twardy on i wytrzymały jak żelazo, a lekki i zwinny jak mewa. Doprawdy, możesz mi pan być wdzięcznym za to, że namówił kapitana...

– Jeżeli rzeczywiście twój wpływ to zrobił, dziękuję ci bosmanie.

– I jest za co, panie! Kapitan dyabło się upierał... „Nie i nie!” Było z tem biedy niemało!

– Bądź pewny iż nie zapomnę w swoim czasie, że dzięki twemu pośrednictwu, zamiast się nudzić jeszcze na Kerguelen, będę już za kilka dni w Tristan.

– Tak jest, za kilka dni, panie Jeorling! – potwierdził bosman. – Widzi pan – dodał po chwili – tam w Anglii i Ameryce zajmują się podobno zbudowaniem statku z jakąś piekielną maszyną, kołami i śrubami, które jak nogi kaczkom mają, pomagać okrętom do bardzo szybkiego pływania! Bóg tam raczy wiedzieć, co to warte, ale myślę zawsze, że to wielkie głupstwo w porównaniu z piękną fregatą z całym jej lasem masztów i żagli... i że tego co nasi ojcowie uznali za dobre, nam nie godzi się rzucać, bo taka poniewierka zawsze złem się kończy...

Nie miałem żadnych podstaw do przeczenia bosmanowi. Myśl bowiem zbudowania parowców mogła być słusznie uważaną jeszcze w owe czasy, jako nigdy nie dające się spełnić marzenie uczonych. Co zaś przyszłość okazać miała, któż mógł przewidzieć.

Lecz właśnie w tej chwili przypomniałem sobie Oriona, owego Oriona, o którym kapitan Len Guy mówił, jakoby go kiedy na własne widział oczy, a który w piętnaście dni przepłynąć miał przestrzeń między Prinz Edward, a Tristan d’Acunha. Ale Edgard Poë rozporządzał wedle swej fantazyi, zarówno falą morską, jak siłą i kierunkiem wiatru.

Przekonany też widocznie kapitan Len Guy, że próżno usiłowałby mię jeszcze zjednać dla swych

chorobliwych przywidzeń, nie zaczął mnie już więcej w tym przedmiocie, z czego oczywiście byłem szczerze zadowolony.

Bo czyż możliwym jest, aby żaglowiec angielski zdołał dotrzeć aż pod 84° szerokości południowej, a podróż ta zupełnie pominiętą została przez świat uczonego? Czy możliwym aby taki Artur Prym, powróciwszy z głębin podbiegunowych, nie był stawiony wyżej nad Cooka, Wedella i Biscoë? A potem, jeżeliby rzeczywiście zdołał tam dotrzeć, jeżeliby opis wszystkich tych nadzwyczajności nieznanego świata był prawdziwym, jeżeliby go nawet otchłań wodospadu nie pochłonęła, to jakże mógł odbyć powrotną drogę, w kruchej i wątlej łodzi krajowców wyspy Tsalal, gdy najsilniejsze nawet okręty nie wytrzymują ciśnienia lodowców, między którymi płynąć tam trzeba. Dla czegoż wreszcie sam Artur Prym, po cudownym swym powrocie miałby się ukrywać, gdy wieść o takiej podróży zwróciłaby na niego uwagę całego świata i uczyniła po wszystkie wieki sławnym. Czyżby zmusiły go do tego jakieś ważne powody, jaka straszna tajemnica może?...

Ale otóż znowu zająłem się zupełnie bezpożytecznie historią nie wytrzymującą najsłabszej krytyki, bo wiara jaką jej daje kapitan, budzić tylko może współczucie dla niego, jako dla chorego maniaka.

Od chwili ostatniej z nim rozmowy, widywałem go znowu bardzo rzadko: a jeśli wyjątkowo ukazał się na pokładzie, twarz jego zaciemniała niezmiennie chmura żałoby i smutku, a wzrok skierowany był zawsze ku południowemu biegunowi.

Na szczęście, pod każdym innym względem zachował wrodzoną przytomność, i Jem West nie potrzebował w najmniejszej rzeczy zastępować go w roli kapitana, jak tego z początku pewny byłem.

Dnia 3-go września przechadzałem się właśnie wzdłuż pokładu, myśląc z zadowoleniem jak szybko i lekko unosi nas Halbran, i mimowoli porównałem rozpięte jego żagle do skrzydeł owych białych albatrosów, które jedenaście lat temu miał spotkać Prym w swym zmyślonym świecie podbiegunowym, gdy naraz zwróciła moją uwagę gromadka majtków stojąca po drugiej stronie, żywo zainteresowana czemś, co w pewnym jeszcze oddaleniu wyraźnie występowało ponad wzburzone nieco fale. Zaciekawiony podszedłem ku nim.

– To nie może być wieloryb – zapewniał Marcin Holt. – Od czasu jak tu stoimy, byłby już ze dwa, albo trzy razy wyrzucił strumień wody.

– Niema co mówić – potwierdził Hardzie – prędzej jest to kadłub jakiegoś rozbitego okrętu, który przyplął tu z prądem...

– Do kroćset! – zawołał Roger – ładne spotkanie! A gdyby tak w noc ciemną, jakże go wyminąć! Anibyśmy się obejrzeni gdy nasz Halbran poszedłby wraz z nim na dno morza...

– Takie lichy – dorzucił Drap – gorsze jest od skał i raf podwodnych, bo o tych wiesz gdzie sterczą, a tamto, niech Bóg broni!...

– Co myślisz o tem, Hurliguerly – zapytałem bosmana, który nadszedł w tej chwili i oparł się o poręcz obok mnie.

– Mojem zdaniem – rzekł tenże, popatrzysz chwilę, podczas gdy żaglowiec zbliżył się już znacznie do zaciekawiającego wszystkich przedmiotu – mojem zdaniem – powtórzył – nie jest to ani wieloryb, ani też kadłub okrętu, lecz wielka bryła lodowca.

– Lodowca? – powtórzyłem zdziwiony.

– Hurliguerly ma słuszość – odezwał się porucznik, który z perspektywą w ręku, stał pośród nas dobrą już chwilę. Jest to bez żadnej wątpliwości lodowiec uniesiony aż tutaj silnym prądem wody.

– Czy podobna? Pod 45 równoleżnikiem, zważ poruczniku!

– Są to wypadki niezwykle zapewne, wszakże zupełnie możebne. Wiadomo nawet, że francuzki kapitan Boseville spotkał w 1828 r. olbrzymią taką bryłę aż u samego Przylądka.[3].

– W każdym razie pod wpływem temperatury, jaką tu obecnie mamy, lodowiec musiałby stopnieć wkrótce.

– Najniezawodniej! To też bryła tamta jest bezwątpienia drobną już tylko częścią olbrzymiej góry lodowej, której waga przechodzić musiała miliony beczek – objaśniał ku wielkiemu memu zdziwieniu zwykle milczący Jan West.

W tej chwili nadszedł kapitan i po zamianie z porucznikiem kilku słów cichym szeptem, wziął od niego perspektywę i skierował ją w stronę coraz wyraźniej rysującej się wśród fal i błyszczącej w słońcu bryły.

– Możemy sobie powinszować – rzekł niebawem – iż udało nam się szczęśliwym wypadkiem ominąć ten lodowiec. Spotkanie z nim mogłoby nasz statek przyprawić o znaczne uszkodzenia.

Stojąc opodal, patrzałem uważnie na kapitana, który ani na chwilę, z widocznym natężeniem uwagi, nie odjął szkieł od ocz swoich – a bladość znamionująca silne wzruszenie, pokryła chudą i ogorzałą twarz jego, podczas gdy usta bezwiednie prawie wymawiały urywane jakieś słowa.

Tak upłynęło kilka minut ogólnego oczekiwania. Tymczasem Halbran przez odpowiednie rozpięcie i pochylenie żagli z rozkazu porucznika, podpłynął ku lodowcowi, który topniał tak widocznie, że jasne strumienie wody spływały z powierzchni jego do morza.

Kapitan Len Guy odłożył wreszcie szkła, całkiem już zbyteczne, bowiem wszyscy golem nawet okiem zauważyliśmy przedmiot jakiś czerniejący na bliskiej nam o jakie 3 sięgi bryle.

Okrzyk zdziwienia i przerażenia wyrwał się z piersi naszych, gdy w przedmiocie tym poznaliśmy najwyraźniej kształty ciała człowieka. Była nawet chwila, w której pewny byłem że ciało to porusza się, że wyciąga ku nam ręce, jakby z prośbą o pomoc.

Ale nie, ono samo było sztywne i nieruchome, tylko powoli wraz ze spływającą wodą zsuwało się na dół.

Spojrzałem na kapitana, twarz jego była równie trupiej bladości, jak spoczywającego na lodowcu,

a płynącego tu może z podbiegunowych stref...

Spełniono szybko rozkaz porucznika i do spuszczonej łodzi zesłi: bosman, Gracyan i Francis, którzy w silne dłonie ujęli wiosła.

Może jeszcze iskierka życia tli w tym człowieku, a w takim razie każda sekunda jest drogą. Jeżeli zaś martwe już tylko są te członki, może znajdzie się przy nim papier jakiś, jakie notatki dające świadectwo, kim był, skąd przybywa...

Łódź sunęła prędko. Zręcznym ruchem wiosła pchnął ją bosman ostatecznie do lodowca, łamiąc kruche jego brzegi, a upatrzawszy miejsce dość jeszcze pewne, zatopił w nim hak łańcucha od łodzi, aby trzymać ją nieruchomo i wskoczył z Gracyanem na bryłę.

Chwila jeszcze, a sztywne, zmrożone członki nieznanego człowieka złożone najpierw w łodzi, przeniesione zostały na pokład okrętu.

Kapitan Len Guy przystąpił ku nim i patrzył długo, jakby spodziewał się poznać w nich dobrego znajomego...

Był to marynarz w grubym, mocno zniszczonym i połatanym ubraniu z wełny, okrywającym tak nadzwyczajnie wychudzone ciało, że raczej do szkieletu już tylko było podobne. Chociaż nie mógł być starszym nad lat 40, jednak bujne włosy, zakrywające w nieładzie część twarzy, były już prawie zupełnie siwe.

Jakie straszne cierpienia, jakie tortury głodu i zimna przeżyć on musiał, zanim wynędzniałe jego ciało przeszło w ten stan lodowatego skostnienia!

Kapitan Len Guy pochylił się nad trupem, ujął głowę jego w obie dłonie, odgarnął delikatnie, jakby z pieśczołą, stargane włosy, szukał spojrzenia martwych ocz, których powieki mróz skleił, aż wreszcie głośnym wybuchnął łkaniem.

– Waterson! Waterson! – powtarzał.

– Waterson! – zawołałem mimowoli; zdawało mi się bowiem, że to nazwisko wprawdzie dość pospolite, łączyło się w mej pamięci z jakimiś dobrze mi znanymi wypadkami. Gdzie jednak słyszałem je wymawiane? A może czytałem je tylko?...

Tymczasem kapitan stojąc wsparty o poręcz pokładu, przebiegł wzrokiem dalekie linie horyzontu, jakby upatrywał jeszcze czegoś, lub pragnął podążyć natychmiast ku biegunowi.

W tej samej chwili bosman, na skinienie Jana Westa, przeszukał ubranie zmarłego, i wyjął z kieszeni ściągniętej rzemieniem kurtki, nóż składany, zwitek grubych nici, wreszcie książeczkę skórzaną z metalowym ołówkiem. Gdy przedmioty te podawał porucznikowi, kapitan zwrócił się właśnie w tę stronę.

– Daj mi to – rzekł, ujmując książeczkę w drżące ręce. Drobne pismo wypełniające kilka pierwszych kartek, stało się pod wpływem wilgoci zupełnie prawie nieczytelne, przy ostatniej

dopiero notatce zatrzymał się kapitan dłużej, i ku naszemu najwyższemu zdziwieniu i wzruszeniu zarazem, począł czytać wolno, głosem, w którym odczułem głęboką boleść jego serca.

„Orion... wyspa Tsalal... przez ośmdziesiąty trzeci... tam od jedenastu lat... kapitan... pięciu marynarzy żyją... spieszcie im z pomocą...

Tu znajdował się podpis z nazwiskiem Waterson.

– Waterson! tak, przypomniałem sobie! Tego imienia był drugi oficer na statku Orion, który przyjął gościnnie Pryma i Petersa, nieszczęsnych rozbitków z okrętu Grampiusa, statku Orion, który dopłynął do wyspy Tsalal i przez jej mieszkańców został złupiony i wysadzony w powietrze, podczas gdy większa część załogi zginęła w czasie trzęsienia ziemi, a ci którzy uratowali swe życie, kryjąc się przed okrucieństwem miejscowego plemienia, pozbawieni są aż do tej pory możliwości powrotu.

Więc to wszystko było prawdą?... Więc Edgard Poë napisał dzieło historycznej wartości, a nie zmyśloną powieść? Więc rzeczywiście posiadał on pamiątki Pryma, znał go i czas dłuższy utrzymywał z nim stosunki przyjaźni?... Cóż za podróż nadzwyczajna! Do jakiego punktu ziemi dotarł właściwie ten człowiek, po opuszczeniu wyspy Tsalal? Jaką drogą znalazł się znów w Ameryce? Z czyjej ręki czy woli, owa śmierć nagła i straszna, którą autor tłumaczy brak ostatnich rozdziałów, mogących dać objaśnienie tak wielkiej doniosłości?...

Myśli te opanowały w jednej chwili do tego stopnia całą istotność moją, iż sądziłem że mię wytrąca z równowagi umysłowej.

– Miej się na baczności – ostrzegłem wreszcie sam siebie, zebrawszy całą siłę woli – wszystko to jest pomyłką tylko, przesłyszałeś się zapewne!...

Jan West tymczasem spokojniejszy od kapitana, zdołał wyczytać jeszcze urywki ze stronic książki, uszkodzonej przez wilgoć.

„Uniesiony na lodowcu 3 czerwca w północną stronę Tsalal... Kapitan Wiliam Guy i pięciu ludzi z Orionu żyją tam. Lodowiec mój przepłynął zaporę gór lodowych. Brak mi żywności... 13 lipca spożyłem resztę zapasów... dziś 16 lipca – muszę umrzeć...”

Urywane te zdania pisane ręką człowieka, którego martwe zwłoki leżały tuż przedemną, jako nieme, a jednak niedające się zaprzeczyć poświadczenie, musiały mię wreszcie przekonać, że opowiadane mi przez kapitana wypadki, nie były wcale chorobliwym wymysłem; że nawet nadzieja jego znalezienia przy życiu ludzi z załogi Orionu, okazała się zupełnie uzasadnioną.

– Boże mój – zawołałem – dla czegoż nie możemy przywołać do życia tego człowieka, albo raczej, dla czego to spotkanie nie nastąpiło trzy miesiące temu, gdy jeszcze płynął żywy na lodowcu! Ile cennych objaśnień, ile ważnych wskazówek mógł być nam udzielić w kwestyach, które teraz na zawsze może pozostać nam nieznane.

Kapitan Len Guy zwrócił na mnie wymówne swe spojrzenie, a blade usta jego wyrzekły słowa:

– Więc uwierzyłeś pan wreszcie?

– Wierzę, wierzę wszystkiemu! – zapewniłem gorąco.

– A teraz trzeba, aby wszyscy tu obecni wiedzieli również, że Wiliam Guy kapitan Oriona, i Len Guy kapitan Halbranu, są rodzonymi braćmi – zawołał doniosłym głosem tak, aby być słyszany przez całą załogę.

Gdy w chwilę potem zwróciliśmy oczy w stronę, w której płynął lodowiec, nie znaleźliśmy już śladu z niego, tak szybko ciepło wody i słońca, znaczne już o tej porze, rozpuściło resztę bryły, na której dziwnym zaiste zbiegiem wypadków, przybyły ku nam aż z pod bieguna zwłoki martwe i złodowaciałe, lecz dające świadectwo o życiu innych, oczekujących pomocy od lat tak wielu.

ROZDZIAŁ VII

Wyspy Tristan d'Acunha.

Tak jest, przyznaję szczerze, mimo że rozum mój burzył się jeszcze przeciw uznaniu za prawdziwe tego, com nie dalej jak wczoraj nazywał wybrykiem fantazyi, posuniętym aż do granic nieprawdopodobieństwa – pogrzebałem jednak w głębiach oceanu resztę mych wątpliwości wraz z ciałem nieszczęsnego Watersona, któremu tę żalobną usługę oddał Jan West, wobec zgromadzonej na pokładzie załogi Halbrana.

Teraz też dopiero zrozumiałem, że nie chorobliwy stan umysłu, lecz serdeczna miłość braterska, kazała kapitanowi Len Guy błądzić po wodach mórz południowych, na których wytrwale spodziewał się znaleźć jakąkolwiek wskazówkę odnośnie do losu zaginionych.

I nie dziwiło mię już wcale, że niepewny gdzie mu nieprzewidziane i nagłe wypadki każą się zwrócić, niechętnie godził się na zabranie obcego pasażera, bo gdyby nie zbyt ważne przeszkody, których w żaden sposób lekceważyć nie mógł, pewny jestem, żeby bez straty jednej chwili skierował się ku południowi. Lecz byliśmy zaledwie w pierwszym tygodniu września, a wiedziano nawet już w owym czasie, że dopiero w porze od połowy lutego aż do końca marca, śmiałe próby przebycia lodowego łańcucha gór podbiegunowych, mogą jedynie być uwieńczone powodzeniem. Z łagodniejszą bowiem już wtenczas, zatem nie tyle trudną do zniesienia temperaturą, oraz mniej groźnymi burzami, wśród powstałych na wodach oceanu wolnych przejść, w skutek topniejących, a unoszonych prądem lodowców, wreszcie przy trwającej bez przerwy jasności dnia, przedstawiają się żeglarzom łatwiejsze do zwalczenia warunki.

Jedynie więc dzięki konieczności przeczekania do tej pory, podążaliśmy dalej ku wyspom Tristan d'Acunha, gdzie wedle dawnego planu pozostać zamierzałem, do chwili przybycia innego statku, któryby mię zawiózł na stały ląd Ameryki – podczas gdy Halbran po krótkim tylko spoczynku skierować się miał do Falklandu, w którego porcie w czasie kilkotygodniowego pobytu, poczynićby mógł odpowiednie przygotowania, jakich wymagała postanowiona podróż aż po za linię koła biegunowego.

Upłynęło też zaledwie trzy doby od wypadku, który poruszył nas do głębi, gdy przednia straż oznajmiła ukazanie się w dali wysokiego wulkanu wyspy Tristan, o której mi bosman nie omieszkiał udzielić wiadomości, jakich tylko osobiste poznanie miejsca dać może. Wiedziałem więc, że klimat wyspy jest łagodny, wilgotny i mglisty; temperatura nie spada tu nigdy niżej 4° i nie podnosi się nad 20° Celsjusza, zaś stale wiejące prądy wiatru są północno-zachodnie, a tylko zimą przez sierpień i wrzesień południowe.

W 1811 r. wyspa została po raz pierwszy zamieszkaną przez amerykańskich rybaków,

przynęconych bogatym połowem fok i wielorybów; następnie przybyli tu żołnierze angielscy, obowiązani czuwać nad więźniem z wyspy św. Heleny, i opuścili tę ziemię dopiero w 1821 r., to jest po śmierci Napoleona.

W dwadzieścia lat później ludność miejscowa dość już liczna, a składająca się z Europejczyków, Amerykanów i Holendrów przybyłych z Przylądka, utworzyła republikę z patryarchą na czele, która to dostojność przyznawaną była przez dłuższy przeciąg czasu, ojcu posiadającemu najliczniejszą rodzinę.

Uznanie przez kolonistów obecnego zwierzchnictwa Anglii, nastąpiło dopiero po roku 1839, w którym właśnie po raz pierwszy miałem zwiedzić te ziemie i przekonać się, że nie przedstawiały one bynajmniej zbyt łakomego kąska, jakkolwiek jeszcze w XVII wieku „ziemią życia” nazwane zostały.

Flora miejscowa bardzo jest skąpa, ogranicza się bowiem jedynie na różnych gatunkach mchów, widłaków i porostów, pokrywających spadzistości górskie, u których podnóża rozkładają się liściaste paprocie, oraz drobne i większe krzewy. Jedyne drzewo jakie wyspa posiada, jest szakłak, dorastający najwyżej 20 stóp wysokości. Z warzyw uprawiane bywają dowiezione tu przez kolonistów: kartofle, kapusta, buraki, marchew, cebula i dynie; z owoców: gruszki, brzoskwinie i wino, dość miernej zresztą wartości.

Brak na miejscu drzewa opałowego, wynagradza fala, wyrzucająca często na niskie brzegi szczątki rozbitych okrętów.

Amator ptactwa zmuszonym byłby zadowolnić się tu jedynie: mewą, petrelem, pingwinem i albatrosem, gdyż ornitologia wyspy nie posiada innych nad te okazów, prócz domowego drobiu. Świat zaś czworonogi przedstawiają woły, owce, i trzoda chlewna, stanowiąca całe bogactwo mieszkańców. W zamian jednak nie spotkałem na Tristanie ani jednego płazu lub gadu; ani jeden owad nie naprzykrzy się tam ludziom.

Dnia 6 września Halbran omijając daleko w morze rozgałęzione sploty roślin wodnych, które niby zdradliwie zastawione sieci, tamowały przystęp do brzegów, zarzucił kotwicę w zatoce Falmouth, czyli u największej z grupy wysp Tristan d'Acunha, do której należą jeszcze: Inaccessible i Nithingale.

Całość tego archipelagu rozciąga się na 37° 8' szerokości południowej i 12° 8' długości zachodniej. Nazwę zaś swą otrzymały wyspy od Portugalczyka tegoż imienia, który w początkach XVII stulecia pierwszy tutaj zawinął.

Tristan d'Acunha, widziana z morza, kształtem swym przypomina rozpięty parasol chiński; bowiem wulkanicznego pochodzenia grunt jej, zakreślając brzegami równe prawie koło o 15-to milowym obwodzie, wznosi się skalisto coraz wyżej ku środkowi, aż do krateru czynnego jeszcze wulkanu.

Ponieważ kapitan Len Guy od chwili pogrzebu Watersona, unikając wszelkiej styczności z ludźmi, pogрузił się wyłącznie w studyach nad mapami i dziełami dotyczącymi różnych podróży odbytych poprzednio w tak mało znane strony antarktycznego świata – przeto nie uważałem za stosowne

narzucić się mu swoją osobą, tem więcej że nawet Jem West trzymał się zdala. Mimo tego pewny byłem, że nadejdzie chwila w której sam zechce podzielić się ze mną tem, co postanowił przedsięwziąć dla odszukania swego brata Wiliama.

Tymczasem, mimo że Halbran spoczął już dawno na kotwicy, kapitan pozostał niewidzialny, a tylko oficer jego traktował wszelkie kwestye sprzedaży i kupna z dostojnym panem Glass, byłym kapralem wojsk angielskich, który od lat wielu tu osiadły, zdobył sobie powoli stanowisko wybitne, zarządzając w zupełnej niezależności kolonią z kilkudziesięciu ludzi i wzbogacając się każdego roku zręcznie prowadzonym handlem.

Jak każdy dorobkiewicz lubił pan Glass pochlebne słówka dla swej osoby, a nadewszystko cenił oddawany mu przez niektórych tytuł gubernatora wyspy. Będąc jednak na wskroś kupcem, stawał się uprzedzającym dla swych klientów, co następnie kazał sownie wynagradzać sobie w wysokich cenach sprzedawanego towaru.

Ponieważ do przygotowania statku do dalekiej i niebezpiecznej podróży, najodpowiedniejsze miejsce przedstawiały wyspy Flakland, przeto Jem West zostawiając panu Glass przywieziony ładunek cyny i miedzi, ograniczył się tu jedynie na zebraniu dostatecznej ilości żywego drobiu, solonego mięsa i przeróżnego warzywa, a nadewszystko na zapełnieniu beczek świeżą słodką wodą, czego Falkland nie posiadała w takiej obfitości.

Wraz z porucznikiem pospieszyłem również na ląd, ciekawy go poznać z naukowego punktu widzenia. Błądząc tu i owdzie w celu zbadania geologicznej formacji gruntu, napotkałem byłego kaprała, który mimo swych 60 lat trzymał się krzepko i zachował wrodzoną bystrość, obok pewnej przebiegłości w charakterze.

– Łatwy do rozmowy, gadatliwy niemal, ofiarował mi uprzejmy gubernator pomoc swą w osobie przewodnika w głąb wyspy.

– Chętnie przyjmuję ten dowód uprzejmości pańskiej – odpowiedziałem – tem więcej, że Halbran kilka dni tylko ma zatrzymać się w przystani.

– Uważam, że kapitanowi waszemu spieszno bardzo w dalszą podróż – rzekł pan Glass. Pułkownik jego nie zakupuje nawet tym razem ani skór fok, ani tłuszczu wielorybiego.

– Bo zbyteczny nam byłby wszelki ładunek, oprócz świeżej żywności i słodkiej wody – objaśniłem.

– Ha, trudna rada! Czego jednak nie zabierze Halbran, zabiorą inne statki – odpowiedział ze źle ukrywanym niezadowoleniem nowy mój znajomy. – Ale w jakie właściwie strony macie zwrócić się obecnie?

– Zapewne do wysp Falkland, gdzie statek ma być cały wyrestaurowany.

– Pan jednak jesteście tylko pasażerem statku, jeśli się nie mylę?

– Tak, panie, i nawet pierwotnie miałem zamiar pozostać tutaj parę tygodni. Ostatecznie jednak

zdecydowałem się jechać dalej jeszcze.

– Żałuję bardzo, że tracę przez to miłą sposobność ofiarowania panu gościny w mym domu – pospieszył zapewnić pan Glass.

– Jestem panu szczerze wdzięcznym, lecz tym razem już korzystać nie będę z uprzejmości pańskiej – rzekłem, uchylając kapelusza.

W samej rzeczy, w ostatnich zaledwie chwilach przed wylądowaniem, postanowiłem dojechać jeszcze Halbranem do wysp Falkland, a stamtąd dopiero wrócić do Ameryki. I jakkolwiek jeszcze w tej kwestyi nie zdążyłem mówić z kapitanem, pewny jednak byłem jego zezwolenia.

– dziwna rzecz, że dotąd nie miałem sposobności poznać osobiście waszego kapitana – zauważył były kapral.

– Zdaje się, że nie ma zamiaru opuścić swego statku – objaśniłem.

– Czyżby był chory? – zapytał.

– Nie sędzę; zresztą zapewne nie robi to panu różnicy żadnej, skoro w zupełności porucznik go zastępuje.

– Nie zbyt to rozmowny człowiek! Na szczęście jednak, piastry łatwiej płyną z jego kieszeni, aniżeli słowa z ust jego.

– Otóż to właśnie rzecz najważniejsza w interesie, prawda panie Glass?

– Bezwątpienia! – Z kimże jednak mam przyjemność? – zagadnął go po chwili.

– Jeorling z Connecticut – odpowiedziałem.

– Miły mi zaszczyt poznania pana. Proszę jednak wyobrazić sobie, panie Jeorling, że dotąd nie znam również nazwiska kapitana Halbranu.

– Nazywa się Guy, Len Guy...

– I jest Anglikiem zapewne.

– Tak jest, panie.

– W takim razie sędzę, że mógłby zadać sobie odrobinę trudu i odwiedzić mię, jako swego ziomka. Ale pozwól pan! Nazwisko kapitana nie jest mi zupełnie obcem... Tak jest, Guy – Guy...

– Wiliam Guy – dopomogłem spiesznie, żywo zainteresowany.

– Otóż to! Wiliam Guy, pamiętam dobrze!

– Który dowodził żaglowcem Orion.

– Rzeczywiście, taka była nazwa statku.

– A który ostatni raz zatrzymał się u brzegów Tristan, jest temu lat jedenaście.

– Zapewne będzie już tyle. Siedm lat właśnie mijało wtenczas od chwili mego tu osiedlenia, przypominam sobie najdokładniej! Dzielny to był człowiek ten Wiliam Guy! Szczery, przystępny, prawdziwy gentleman; może trochę dumny, ale poczciwa natura.

– A statek Orion przypominasz pan sobie?

– Jakbym go wczoraj dopiero widział. Stał właśnie na tem samem miejscu, które zajmuje w obecnej chwili Halbran. Żaglowiec jakich mało, mówię panu! Lekki wysmukły, o wązkim, prawie śpiczastym przodzie. Liwerpool był jego stałym portem.

– Tak rzeczywiście być miało.

– Gdzież się on teraz znajduje?

– Mamy wiadomość, że Orion zginął wraz z całą prawie załogą.

– Czy nie wiadomem jest panu jakim sposobem?

– Owszem, panie Glass. Orion opuścił Tristan d'Acunha, aby odszukać wyspy Aurora i inne ziemie, o których krążyły niepewne jeszcze wiadomości.

– Wiadomości te ja sam otrzymałem, od rybaków wracających z łowów na wieloryby. Więc Orion odnalazł te ziemie?

– Przeciwnie, mimo że kapitan Wiliam Guy poświęcił w tym celu kilka tygodni czasu...

– A jednak pewny jestem, że nie tylko Aurora, ale i inne zaznaczone tam wyspy, istnieć muszą. Była nawet kwestya nazwania ich mojem imieniem.

– Najszlachetniej w świecie należałoby się to panu – odpowiedziałem grzecznie, choć nie bez pewnej złośliwości. – Gdy jednak kapitan Oriona lądów tych odnaleźć nie mógł, postanowił spełnić oddawna powzięty zamiar, przebycia koła biegunowego południowego, do czego namówił go głównie wypadkowy jego pasażer, rozbitek z okrętu Grampius.

– Pamiętam go – zawołał z ożywieniem pan Glass. Człowiek ten nazywał się Artur Prym, a towarzysz jego Dick Peters!

– Więc znałeś ich pan osobiście?

– A jakże, panie Jeorling! O! ten Prym, była to ciekawa figura! Śmiały awanturnik, zdolny wybrać się w podróż choćby na księżyc! Tam jednak, sędzę że nie dojechał nigdy.

– Na księżyc, zapewne że nie! Lecz wraz z Wiliamem Guy przepłynął koło biegunowe, przebył zaporę lodową i posunął się na południe dalej od wszystkich najświetniejszych dotąd żeglarzy.

– To mi się nazywa podróż wspaniała! – zawołał pan Glass z wielkim zadowoleniem zacierając rękę.

– Rzeczywiście nadzwyczajna. Na nieszczęście jednak Orion nie powrócił ztamąd nigdy.

– Więc zginął też i Artur Prym i jego towarzysz, ten siłacz indyjski, którego nie zmogłoby i sześciu barczystych chłopów?

– Przeciwnie, ci właśnie uszli szczęśliwie katastrofy. Zdołali nawet wrócić do Ameryki, chociaż doprawdy pojąć nie mogę, jakim sposobem. Dość, że dopiero przed dwoma laty Prym miał tam zginąć tajemniczą jakąś śmiercią.

– A Wiliam Guy? – badał dalej były kapral.

– Kapitan Wiliam Guy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, żyje jeszcze. Właśnie kilka dni temu cudowny prawdziwie wypadek, dał nam o nim pewne wiadomości.

Tu opowiedziałem o spotkaniu lodowca i znalezieniu ważnych notatek przy zwłokach Watersona.

– Ach panie Jeorling, co to za dziwna historia – powtarzał zdumiony kapral. – Ależ tym ludziom trzeba spieszyć z pomocą!

– Właśnie też ma tam podążyć Halbran, skoro tylko stosowna nadejdzie pora i wszystko będzie w pogotowiu. Bo dodać mi jeszcze trzeba, że obadwaj kapitanowie Guy są rodzonymi braćmi.

– W każdym razie muszą usposobieniem różnić się bardzo – zauważył pan Glass, który widocznie nie mógł wybaczyć kapitanowi Halbranu, jego obojętności i braku uznania dla swej osoby.

Len Guy jednakże nie troszczył się bynajmniej o to, co o nim powie nawet rodak jego. Zamknięty ciągle w swej kajucie, siedział pochylony nad stołem, na którym wśród rozłożonych różnych książek, map i notatek, widniało grube dzieło z tytułową kartą: „*Przygody Artura Pryma*”

ROZDZIAŁ VIII

W drodze ku wyspom Falklandzkim.

Wieczorem dnia 8-go września pożegnałem „Jego Excelencyę generalnego gubernatora archipelagu Tristan d’Acunha”, albo raczej byłego kaprała, bowiem tytuł powyższy pan Glass samowolnie tylko sobie nadawał.

Nazajutrz Halbran rozwinął żagle i niebawem skromne domki Ansiedlung zginęły w głębi Falmouth-bay. Jednakże minął jeszcze dzień cały, zanim szczyt wysokiego wulkanu wyspy zatonął w dali, w mgłach wieczornych.

Podróż obecna miała nas sprowadzić znacznie ku południowi, bowiem z 38 równoleżnika trzeba nam było zejść aż pod 55-ty na którym leżą ziemie Falklandu.

Ponieważ następnie celem podróży kapitana Len Guy była wyspa Tsalal, leżąca w głębi morza antarktycznego, najstosowniejsza przeto nadchodzi pora przedstawienia czytelnikom kolejno wszystkich usiłowań, jakie do owej chwili podejmowali sławni żeglarze dla zbadania tych stron globu ziemskiego.

Przedewszystkiem jednak zaznaczyć mi wypada, że ogólna nazwa morza antarktycznego, odnosi się do przestrzeni poza 60-tym $\text{\textcircled{S}}$ szerokości południowej.

Pierwszy raz zatem w styczniu 1772 r. kapitan Cook i Furneaux dopłynęli z wielkim trudem i niebezpieczeństwem, wśród istotnego labiryntu gór lodowych, do $67^{\circ} 15'$ szerokości południowej, poczem zmuszeni byli nawrócić z powrotem.

Następnego roku Cook przedsięwziął drugą wyprawę, w której walcząc ze straszliwymi mrozami i gwałtownym huraganem, znalazł pod 70° zaporę olbrzymich gór lodowych, dochodzących 300 stóp wysokości, a tworzących u spodu jedną olbrzymią spiętrzoną masę, niemożliwą w żaden sposób do przebycia.

w 30 lat później, kapitanowie Kruzenstern i Lisiański nie zdołali posunąć się poza 70° .

W 1818 Wiliam Smith, i niezależnie od niego Barnesfield odkryli południowe Shetlandy, a w 1820 r. Botwell stanął przy południowych Orkadach, Palmer zaś i kilku innych rybaków zaznaczyli wyspy św. Trójcy.

W 1819 r. Bellingshauzen i Łazarew poznawszy wyspę Gergię, opłynęli Sandwich, a następnie odkryli wyspy Piotra I-go i Aleksandra I-go, które sądzili bliskimi ziem, zaznaczonych przez Amerykanina Palmera.

W 1822 r. kapitan Jan Weddell z marynarki angielskiej, dosięgnął, jeśli możemy dać mu wiarę, $74^{\circ} 15'$ szerokości południowej, co go upoważniło do przeczenia istnieniu stałego ładu podbiegunowego.

Wspomnieć mi tu należy, że droga przez niego zakreślona, była tą samą jaką w sześć lat później przebył Orion Wiliama Guy.

W 1823 r. Benjamin Marrell, znany podróżnik amerykański, dopłynął w miesiącu marcu pod $70^{\circ} 15'$ na morzu zupełnie wolnem od lodowców, przy temperaturze bardzo umiarkowanej. Mógł był zatem posunąć się jeszcze dalej; na nieszczęście jednak brak żywności zmusił go do odwrotu. Następną wyprawę jego podjętą 1829 r. uwieńczoną została odkryciem południowej Grenlandyi, a równocześnie z podróżą Wiliama Guy i Artura Pryma, Anglicy: Forster i Kendal jakkolwiek nie przekroczyli 64° , jednakże poczynili ważne naukowe spostrzeżenia.

W 1830 r. Jan Biscoë odkrył pod $65^{\circ} 57'$ ziemię, którą nazwał Anderby, w następnej zaś wyprawie zaznaczył istnienie Ziemi Grahama, co upoważniło towarzystwo geograficzne w Londynie do wniosków, że między 66° a 67° szerokości południowej, znajduje się obszerny ład stały.

Okazało się wszakże, że Artur Prym miał słusność, przecząc temu domysłowi, ponieważ poprzednio już Weddell, a w kilka lat później Wiliam Guy, znaleźli na tych przestrzeniach wolne zupełnie morze.

W 1835 roku, kapitan Kemp, Anglik z pochodzenia, wypłynąwszy od wysp Kerguelen znalazł pod 66° wybrzeże, które należało prawdopodobnie do ziemi Enderby.

Wreszcie w 1639 roku Balleny, właściciel rybackiego statku, odkrył ład, który nazwał Sahrina, a równocześnie, gdy Halbran zmierzał w tamte strony, Karol Wilkes, członek marynarki Stanów Zjednoczonych, postawił sobie za cel życia zwiedzić, o ile się da dokładnie i naukowo te okolice bieguna południowego, z których wedle obliczenia, pozostawało jeszcze w owym czasie zupełnie nieznanych około 5 milionów mil kwadratowych.

Gdym wiadomości powyższe czerpał z wielkiem zajęciem z dzieł dostarczanych mi z biblioteki Len Guy i Jem Westa, budziło się w mej myśli coraz żywsze pragnienie towarzyszenia dalej wyprawie mego kapitana, pragnienie, które wreszcie doszło do niezmiennego postanowienia. Bo w rzeczy samej, cóż mogło mi zależeć na tem, kiedy wrócę do Ameryki? Kilka miesięcy wcześniej lub później, nie stanowiło różnicy żadnej wobec kwestyi odbycia tak ze wszech miar ciekawej podróży.

Pozostawało mi jedynie porozumieć się z kapitanem, ku czemu odpowiedniej tylko czekałem sposobności. Nie było zresztą potrzeby przyspieszać tej chwili, gdyż tym razem podróż nasza miała dłużej potrwać, aniżeli obliczonym było. Po dziesięciodniowej bowiem pięknej i sprzyjającej żegludze pogodzie, nastąpiła zupełna cisza, w czasie której żaglowiec prawie nie ruszał się z miejsca, poczem nagle podniósł się gwałtowny wicher, zupełnie przeciwny kierunkowi, w jakim miał podążać nasz Halbran. Mimo więc prawdziwie zdumiewającej umiejętności, której dowody złożył Jem West w tak trudnem dla żeglarza położeniu, zboczyliśmy o tyle z drogi, że prześladowałem już bosmana udaną obawą, iż wkrótce znajdziemy się u brzegów Patagonii.

Wreszcie 4 października stan powietrza uległ pożądanej zmianie; silny wicher zmieniwszy się nagle na północno-zachodni, cichł powoli; wzburzone morze poczęło się uspokajać, a pod pogodnym sklepieniem niebios, Halbran mógł znowu rozwinąć swe skrzydła do równego i prawidłowego lotu.

W kilka dni potem ciesząc się ustaloną wreszcie pogodą, siedziałem właśnie na pokładzie, gdy kapitan Len Guy zbliżył się do mnie, siadł obok na ławce i przemówił głosem mniej przyciszonym jak zwykle:

– Już od dłuższego czasu nie miałem przyjemności pomówienia z panem...

– Rzeczywiście, kapitanie, miałbym prawo skarżyć się na to – odpowiedziałem, na wpół żartem, na wpół seryo.

– Proszę mi wybaczyć! Tyle trosk, tyle obowiązków spadło na mnie. Ułożyć cały plan podróży, nie zaniedbać, wszystko przewidzieć. Przyznasz pan, że było nad czym pracować przez te parę tygodni...

– Rozumiem to dobrze, kapitanie, i w gruncie rzeczy nie mam urazy żadnej...

– Bardzo mię to cieszy, bo odkąd miałem sposobność poznać pana i ocenić, mogę sobie tylko powinszować, że byłeś pasażerem na mym statku.

– Wdzięczny jestem za to, co uczyniłeś pan dla mnie, a słowa pańskie zachęcają mię...

Sądziłem, że chwila była sposobną do wyjawienia kapitanowi mego zamiaru. Len Guy wszakże zagadnął mię w tejże chwili.

– Więc masz już teraz, panie Jeorling, ustalone zdanie co do podróży Oriona i dzieła Edgara Poë?

...

– Bezwątpienia, kapitanie! Dawno uznałem wszystko za zupełnie prawdziwe, i życzyć tylko mogę, aby ci niebo pobłogosławiło w odszukaniu biednych rozbitków.

– Jest to jedynem pragnieniem mej duszy, oraz celem najtrudniejszych w życiu zabiegów – i, jak Bóg wielki, muszę tego dokazać! – zawołał z wielkiem przejęciem Len Guy.

– Mam wszelką nadzieję, a nawet pewność, że usiłowania pańskie nie będą próżne i jeśli się pan zgodzisz?...

– Czy nie miałeś pan wypadkiem sposobności, rozmawiania na Tristan z niejakim Glassem, ex-kapralem, który nazywa się chętnie gubernatorem wyspy? – zagadnął kapitan, przerywając mi po raz wtóry rozpoczęte zdanie.

– Poznałem go rzeczywiście – odparłem – i to, co mi opowiedział ten człowiek, przyczyniło się niemało do rozproszenia reszty wątpliwości, odnośnie do faktów opisanych przez Artura Pryma.

– A o czymże on panu mówił?

– Glass przypomina sobie najdokładniej Oriona, gdy jedenaście lat temu zatrzymał się w przystani.

– Więc znał może i mego brata?

– Wspominał o nim z wielkim uznaniem.

– Może utrzymywał z Orionem stosunki handlowe?

– Tak samo, zdaje się, jak obecnie z Halbranem.

– To Orion stał wtenczas w przystani Falmouth-bey?

– Podobno właśnie na tem samym miejscu, które zajmował niedawno twój żaglowiec, kapitanie.

– I kogoż więcej z załogi znał jeszcze Glass, oprócz mego brata?

– Mówił mi o Arturze Prymie i Dick Petersie. Utrzymywał, że Prym był śmiałym, gotowym się ważyć na wszystko, awanturnikiem.

– Powiedz pan raczej, szaleńcem, niebezpiecznym szaleńcem! – zawołał kapitan. – Bo czyż to nie on właśnie pchnął mego brata w tę nieszczęsną podróż?

– Możemy powziąć to przekonanie, sądząc z własnych słów jego.

– I nie zapomnieć o tem nigdy! – dorzucił Len Guy silnie wzburzony. – Czy mówiłeś pan byłemu kapralowi co się z nim stało?

– Nadmieniałem o jego tajemniczej śmierci. Ten Glass znał również Waterzona, jako starszego oficera na Orionie.

– Zaczny to był człowiek, serce złote, doskonały, wypróbowanej odwagi, marynarz! Był on duszą całą oddany memu bratu...

– Jak Jem West oddany jest tobie, kapitanie.

– Dla czegoż trzeba nam było znaleźć jego martwe już zwłoki na tym lodowcu! – rzekł z głębokim westchnieniem Len Guy. – A czy Glass wie, jaki jest los pozostałych – zapytał po chwili milczenia.

– Powiedziałem mu historję całą, wspomniałem również, że niezawodnie pospieszysz im pan z pomocą.

– Chciałem cię zapytać, panie Jeorling, czy sądzisz, że wszystko jest dokładne i nie podlegające kwestyi żadnej, co Artur Prym opisuje?

– Zdaje mi się – rzekłem po chwili namysłu – że biorąc w rachunek szczególne usposobienie autora, można niejedne fakta podać w wątpliwość pewną. Pisze on np. że cała załoga Oriona zginęła w dolinie Klock-Klock, gdy...

– Ależ on tego nie twierdzi, on przypuszcza tylko, że tak być mogło, że tak być musiało, sądząc ze skutków katastrofy. A o taką pomyłkę nie możemy mieć do Pryma pretensyi żadnej, sam to pan przyznać musisz.

– Rzeczywiście, wszelkie pozory mogły go na taki domysł wprowadzić.

– Lecz mamy teraz pewność z notatek Watersona, że brat mój i pięciu jego towarzyszy uszło szczęśliwie śmierci.

– Tak jest, kapitanie, mamy tę pewność, jakkolwiek Waterson nie wspomina nic w jakich warunkach oni tam żyją, ani jakim sposobem on sam uniesiony został na lodowcu.

– O tem dowiemy się kiedyś, panie Jeorling, tak jest, dowiemy się niezadługo, skoro tylko mamy raz już to przeświadczenie, że oni tam na wyspie Tsalal żyją jeszcze...

– Kapitanie – zagadnąłem wreszcie – czy przyjmujesz mię za towarzysza, aż do końca zamierzonej twej wyprawy po wodach antraktycznych?

Len Guy objął mię byстрыm swym wzrokiem, jakby mię na wskroś chciał przejrzeć. Nie zdawał się jednak bynajmniej zdziwionym przedstawioną sobie propozycją, przeciwnie, sądzić mogłem, że raczej spodziewał się jej nawet. Po krótkiej też chwili rzekł tylko to jedno słowo:

– Jak najchętniej!

ROZDZIAŁ IX

Przygotowania do podróży podbiegunowej.

W równoległoboku, którego długość od wschodu na zachód wynosi 65, a szerokość od południa na północ 40 mil morskich, pod $60^{\circ} 10'$ i $64^{\circ} 30'$ długości zachodniej, a 51° i $52^{\circ} 45'$ szerokości południowej, leżą dwie wielkie wyspy i mnóstwo drobnych wyseppek, które razem nazwane zostały Falkland albo Maluiny, a które o 300 mil od cieśniny Magelańskiej, tworzą jakoby ostateczny punkt granicy między Atlantykiem a Oceanem Spokojnym.

W 1592 r., Anglik, Jan Dawis, pierwszy zaznaczył ich istnienie. Zwiedził je następnie ziomek jego Hawkins, trudniący się rozbojem morskim, a w 1689 r. żeglarz angielski Strong, nadał im nazwę Falklandów.

Cały wiek później usunięci z Kanady Francuzi, utworzyli przy tym archipelagu miejsce spoczynku dla okrętów, kursujących pośród wód okolicznych. Ponieważ zaś osadnicy ci w liczbie około stu kilkudziesięciu, byli przeważnie korsarzami z Saint-Malo, przeto niezależnie od dawnej nazwy w 1763 r. zostając pod wodzą Bougainville'a, przezwali nową swą ojczyznę Maluinami.

Niebawem dobrobyt zakwitnął w kolonii, co zwróciło uwagę państw europejskich. Najpierw wystąpiła Anglia ze swemi pretensjami i zajęła przystań Port-Egmont, następnie Hiszpanie drogą ugodową nabyli od Ludwika XV-go prawo opieki nad wyspami, lecz już w 1833 r. wrócili znowu Anglicy i ze swą zadziwiającą zdolnością wywłaszczania, stali się wkrótce panami Falklandów.

Sześć lat też zaledwie upłynęło, odkąd archipelag przeszedł pod rząd brytyjski, gdy 16 października żaglowiec nasz zarzucił kotwicę w Port-Egmont, znajdującym się w północnej stronie wyspy West-Falkland, która wraz z nieopodal leżącą East-Falkland albo Soledad, stanowią największe ziemie tej grupy.

Zaraz dnia pierwszego kapitan Len Guy zwolnił od obowiązków na 12 godzin całą swoją załogę, bo już nazajutrz czekała ją praca około odpowiedniego wzmocnienia statku. Również bez zwłoki żadnej, zeszedł on sam na ląd, by zawiązać stosunki z miejscowym; przez królową angielską mianowanym gubernatorem, który okazał się nadzwyczaj uprzejmym, obiecując mu swą pomoc we wszystkim, czego by tylko zapotrzebował.

Mimo jednak ogólnego ruchu przez tych kilkanaście godzin, Halbran nie był zupełnie bez opieki; czuwali nad nim Jem West i Hurliguerli, a obowiązkowy porucznik nie spoczął ani na chwilę, przeglądając z drobiazgową uwagą cały spód okrętu.

Co do mnie, postanowiłem dopiero na drugi dzień wylądować, nie miałem bowiem nic nagłego do załatwienia, a na zwiedzenie wyspy i badania naukowe, aż za wiele jeszcze bodaj pozostawało mi

czasu.

Nie zaniebwał też korzystać z mej obecności zawsze chętny do rozmowy bosman.

– Moje najszczerze powinszowania, panie Jeorling! rzekł, zbliżając się do mnie.

– Z jakiej okazji, bosmanie?

– Właśnie dowiaduję się, że jedziesz pan z nami, aż do krańców morza antarktycznego.

– O, nie tak daleko znowu! O ile wiem, mamy dosięgnąć tylko 84-go równoleżnika.

– Niechże i tak będzie! W każdym razie Halbran przepłynie pewno więcej stopni z szerokości ziemi, aniżeli ma łokci płótna w swoich żaglach.

– O tem przekonamy się dopiero...

– I to pana nie przestrasza?

– Bynajmniej!...

– I mnie również nie, panie Jeorling! Ho, ho! Widzisz pan, ten nasz kapitan, choć nie jest rozmownym, ma jednak swoje dobre strony, aby tylko wiedzieć jak z nich korzystać. Gdy więc na razie robił trudności w przewiezieniu pana do Tristan, teraz nie sprzeciwia się zabrać go aż do samego bieguna.

– Ależ tu nie ma wcale mowy o biegunie, Hurliguerly!

– Eh, zobaczy pan, że się jednak na tem skończy...

– Wątpię bardzo, toż wiadomem ci jest przecie, że kapitan ma jedynie na myśli wyspę Tsalal...

– Tak jest, na teraz wyspę Tsalal tylko... – potwierdził marynarz. – Przyznaj pan jednak, że nasz kapitan okazał się bardzo uprzejmym dla pana...

– Zyskał też zupełnie moje uznanie, i wdzięczny mu jestem również jak i tobie Hurliguerly, że za twoim wpływem dostałem się na statek i dojechałem do Tristan...

– I że następnie jedziesz pan dalej jeszcze! – przechwalał się stary gaduła...

– Nie wątpię o tem, bosmanie – odpowiedziałem z pewną ironią w głosie, której wszakże pocziwiec pewno nie zauważył, bo z wielkiem zadowoleniem począł mi rozpowiadać różne szczegóły dotyczące ziem, na które spoglądaliśmy, siedząc na pokładzie... A znał on je dokładnie, zarówno jak wszystkie inne wyspy na południowym Atlantyku.

W epoce tej Falklandy nie były jeszcze tak wyzyskane, jak są obecnie, dopiero bowiem znacznie później poznano u wyspy Soledad przystań Stanley, ten ważny port dla którego geograf francuski

Elisée Reclus, nie ma dość słów pochwały. Tak bowiem jest dogodnym i tak obszernym, że całą flotę Wielkiej Brytanii mógłby z łatwością pomieścić.

Gdybym wszakże od dwóch miesięcy jechał z zawiązanymi oczyma, bez świadomości gdzie zmierzam, i stanąwszy wreszcie u brzegów Falklandu, zapytany był gdzie jestem, znalazłbym się w rzeczywistym kłopotcie, tak ziemie te skaliste, ze stromemi, poszarpanemi brzegami, przypominają północną Norwegię. Nawet klimat morski wolny zarówno od zbyt dokuczliwych mrozów, jak i od wielkich upałów, z gęstą mgłą opadającą w porze wiosennej i jesienią, a tak silnemi nieraz wichrami, że nie oprą się im nawet warzywa na grzędach ogrodowych, są tu i tam charakterystycznymi cechami.

Tylko roślinność południa różni się od miłej zieloności drzew iglastych w jakie obfituje Norwegia, o czym przekonała mię zaraz pierwsza przechadzka po najbliższych okolicach Port-Egmont. Falklandy nie posiadają drzew żadnych. Skromne zaledwie krzewy wznoszą się nieco nad ziemię, zaścieloną bujnemi, soczystymi trawami, wśród których ukrywają się, lub strzelają w górę fiołki, szczawiki, baldayany, azorele, szczodrzewica, oraz o czerwonych lub białych łodygach nadzwyczaj cenne ziele, którego sok działa zbawiennie w objawach skorbutu. Na torfiastym zaś, uchylającym się pod nogami gruncie zielenieją puszyste mchy, niby najpiękniejsze kobierce wschodnie. Wszystko to jednak różnem jest bardzo od uroczych, tajemniczą jakąś poezią owianych stron, w których powstały przepiękne legendy Odinów i Walkiryi.

W głębokiej cieśninie rozdzielającej obie większe wyspy Falklandów, rozrastają się do zadziwiających rozmiarów właściwe jedynie miejscowej florze rośliny wodne, utrzymujące się na powierzchni za pomocą drobnych, powietrzem napełnionych pęcherzyków, któremi są otoczone.

Brzegi morskie ożywia ruch wielki. Foki, wieloryby, psy, wilki i cielęta morskie gromadzą się tu w tak niezmiernej ilości, że połów na nie staje się łatwym dla dziecka nieledwie; to też gdy niezgrabne ich ciała, spoczywają czasami gromadnie na lądzie, rybacy ubijają je często jednym silnem uderzeniem kija.

Krzyki i krakanie różnego osiadłego tam ptactwa, jak nurów, kormoranów, łabędzi o czarnych głowach, wreszcie nieprzeliczonych gromad bezlotków, stawały się wprost ogłuszającymi.

– Zapewne hodujecie tu wielką ilość osłów? – zapytałem starego marynarza, stojącego w porcie.

– Osłów nie mamy tu wcale, panie, to pinguiny tak krzyczą.

– Pinguiny! – powtórzyłem – ależ głupim tym ptakom udałoby się zwieść, nawet same bodaj osły!

...

Tymczasem drobiazgowa rewizya statku wykazała, że Halbran znajdował się w jaknajlepszym stanie. Tułów jego nie poniósł najmniejszego uszkodzenia. Pozostawało zatem jedynie wzmocnić osadę steru, zaostrzyć przedni dziób, by łatwiej mógł rozbijać młode lody, wreszcie zdwoić miedziane kłamy otaczające wszelkie spojenia, a dające żaglowcowi bez porównania większe bezpieczeństwo w zetknięciu się z lodowcami, aniżeli całkowite nawet okucie blachą.

Przy tej więc robocie, której przewodniczył doświadczony Hardie, podczas miarowego łoskotu młotów, upłynęło dni kilka, poczem zabrano się do opatrzenia masztów, rei, lin i żagli, w czym znowu niezrównanym mistrzem okazywał się Marcin Holt.

By na swój sposób zużytkować te chwile, robiłem dnia każdego bliższe i dalsze wycieczki pod opieką miejscowego przewodnika, gotowego mi zawsze służyć w zamian za piastry pełne dla niego uroku.

Przekonałem się też niebawem, że wyspa West-Falkland znacznie jest większą od Soledad, a nadto u południowego krańca Byrons-Sound, posiada drugą wygodną przystań.

Ludność miejscowa dochodząca wówczas zaledwie kilku setek, składała się z Anglików, Portugalczyków, Hiszpanów oraz krajowców z Pampasów Argentyńskich i Ziemi Ogniowej. Natomiast hodowane przez nich, a raczej dziko hodujące się same, nieprzeliczone stada owiec i bydła rogatego, wprowadziły mnie w rzeczywiste zdumienie. Ale bo też sama nawet Australia, jakkolwiek tak bogata w żyzne pastwiska, nie przedstawia suciej zastawionych uczt, dla wszelkiego gatunku przeżuwających i roślinożernych.

To też powziąłem słuszne przekonanie, że Falklandy z wielu względów są wymarzoną przystanią dla okrętów, dążących bądź to ku cieśninie Magelańskiej, bądź też, jak nasz Halbran, ku ziemiom podbiegunowym. Świeżego mięsa bowiem i słodkiej wody nie zabraknie tu nigdy.

– Jakże uważasz pan, czy dostateczne są me zabiegi, aby ochronić statek od niebezpieczeństw, na jakie wkrótce może być narażonym? – zagadnął mię kapitan.

– Co do mnie, ufam w jaknajlepsze powodzenie wyprawy – pospieszyłem ze szczerą odpowiedzią – zarówno bowiem twój żaglowiec, kapitanie, jak i cała załoga budzą zupełne zaufanie.

– Postaramy się, aby inne jeszcze warunki odpowiednio nam sprzyjały, a co przechodzi już moje siły, składam w ręce wszechmocnego Boga! – rzekł Len Guy z przejęciem. – Nie wiem – dorzucił po chwili – co kiedyś dać może para, wątpię jednak, aby statek z maszyną dość łatwo ulegającą zniszczeniu, z tą gmatwaniną kół i kółek, mógł dorównać dobremu żaglowcowi, szczególnie w podróżach wśród lodowców podbiegunowych. A potem te konieczne zapasy węgla, które trzeba sprowadzać z odległych krajów nieraz... gdy obecnie wystarcza nam zupełnie znajomość spożytkowania siły wiatru, wśród dobrze nastawionych żagli.

– Jestem w tym względzie zupełnie twego zdania, kapitanie. Wracając jednak do naszej podróży, która może potrwać dłużej nieco, nad czas z góry obliczony, sądziłbym, że kwestya żywności...

– Zabieramy jej tyle, iż mogłaby nam wystarczyć choćby na całe dwa lata, a jest w najlepszym gatunku ze wszystkiego, co posiada Port-Egmont.

– Jeszcze jedna uwaga, jeśli pan pozwoli...

– Proszę bardzo, cóż takiego?...

– Czy nie uznajesz pan potrzeby wzmocnienia swej załogi? Obecna jej liczba wystarcza

wprawdzie zupełnie w zwykłych warunkach podróży, lecz nie zapominajmy, że tam, gdzie zamierzamy się udać, może zająć konieczność zbrojnego nawet starcia. Toż Artur Prym obliczał mieszkańców wyspy Tsalal na parę tysięcy. A jeśli brat pański i jego towarzysze zostają u krajowców w niewoli...

– Spodziewam się, panie Jeorling, że artyleria nasza w każdym razie obroniłaby lepiej Halbran, jak to mogła uczynić artyleria Oriona. Mimo tego jednak rozumiem to dobrze, iż nieodzownie trzeba nam więcej ludzi; mam też zamiar zrekrutować jeszcze pewną ilość majtków.

– Czy przedstawia to wielkie trudności?...

– Tak i nie!... Mam obietnicę gubernatora, że mi w tym względzie pomoże-

– Sądzę, że podwyższeniem żołdu, możnaby pozyskać sobie przychylność tych ludzi...

– Żołd w każdym razie podwojonym będzie, zarówno dla dawnych jak i dla nowo zaciągniętych...

– Pragnąłbym, kapitanie, abyś przyjął mię w części za współnika w tej wyprawie. Wydatki są znaczne, a kasa moja dość jest zaopatrzoną, gotowy jestem każdej chwili wyłożyć sumę potrzebną...

– Z głębi serca dziękuję ci, drogi panie! Później zobaczymy jak się rzeczy ułożą, na teraz jednak, sądzę, wystarczy mi własny kapitał. Abyśmy tylko jak najprędzej dobrali sobie ludzi i za jaki tydzień gotowi już byli do drogi!

Propozycja, którą uczyniłem kapitanowi Len Guy, nie była rzuconą nieopatrnie, pod wpływem chwilowego tylko zapału. Przeciwnie, im dłużej zostawałem pasażerem Halbranu, tem szczerzej przejmowałem się celem podróży jego, tem żywiej do serca brałem to dziwne zaiste powiązanie wypadków. Umysł mój zawsze trzeźwy i rozważający, uległ pod wpływem dzieł Edgara Poë takiej zmianie, iż zdawało mi się nieraz, jak owemu bohaterowi z powieści „Dziedzictwo Arnheim”, „że podróż do mórz południowych odpowiada każdej istocie ludzkiej, dla której zupełne odosobnienie, wszelka trudność i walka, stanowią najwyższy ideał szczęścia”. A nadto, czyż nie zależało tu głównie na spieszeniu z pomocą nieszczęśliwym, których los mógłby poruszyć nawet i kamienne serce!...

Wiadomość o zamierzonej przez kapitana podróży poza koło biegunowe, jako i o powiększeniu załogi Halbranu, rozeszła się szybko po wyspie i wywołała wśród tamecznej, przeważnie z marynarzy składającej się ludności, wielkie zainteresowanie.

Gdyby jednak szło tylko o dobór siły na jakąś krótką, między wyspami Sandwich a Nową Georgią wyprawę rybacką, stawiloby się niezawodnie tylu amatorów, że kapitan miałby tylko trudność w wyborze.

Dalekie wszakże i nieznanne strony biegunowe odstraszyły wielu, a z tych co się przedstawiali Len Guy nie przyjmował pierwszego lepszego, lecz zasięgał wpierw wiadomości o nim, by nie zgromadzić na swój statek ludzi niespokojnych i nie znających karności.

W tym względzie wielką pomocą był mu uprzejmy gubernator, dla którego los wyprawy nie

pozostał rzeczą obojętną.

Dzięki też jego staraniom, oraz obietnicy hojnej nagrody, kapitan wkrótce potrójnie zwiększył swą załogę, a wśród nowo przybyłych, jak się później okazało, byli w większej części ludzie dobrzy i pracowici, znaleźli się jednak źli i nieulegli. Ogólnie jednak biorąc, nie można było zrobić lepszego wyboru.

Tak więc z 19-tu rekrutów, pięciu było Anglików, pięciu Amerykanów, ośmiu zaś pochodzenia nieznanego, w pół Holendrów, w pół Hiszpanów lub krajowców z Ziemi Ogniowej. Najmłodszy z nich liczył 19, najstarszy 40 lat. Większa część obeznaną już była z życiem i obowiązkami marynarza, ci zaś, którzy dotąd nie pełnili służby na żadnym okręcie, mieli stanowić siłę zbrojną żaglowca.

Ostatecznie załoga Halbranu, nie biorąc mnie w rachunek, liczyła z kapitanem i jego oficerem aż 31 ludzi, co zdawało się już zupełnie wystarczającym.

W wigilię odjazdu wszakże, właśnie gdy kapitan stał w porcie, zbliżył się do niego człowiek jakiś, który ubraniem swym, a więcej jeszcze ruchami zdradzał zawód marynarza, a który przemówił głosem ostrym i dość niewyraźną mową:

– Mam do ciebie prośbę, kapitanie...

– Jaką? – zapytał tenże.

– Zechciej mię rozumieć. Czy masz jeszcze miejsce wolne na swym statku?

– Czy dla marynarza?

– Tak jest, dla marynarza.

– Tak i nie – odpowiedział kapitan.

– Pod jakimi warunkami tak? – pytał przybyły.

– Jeżeli ten, który się przedstawi będzie mi odpowiedni...

– A więc czy zechcesz mię pan?

– Jesteś marynarzem?

– Żyłem na okrętach przez 25 lat...

– Gdzie?

– Na morzach południowych.

– Daleko?

– Tak... zechciej mię pan rozumieć... bardzo daleko...

– Twój wiek?

– Lat 44.

– Jesteś obecnie w Port-Egmond.

– Trzy lata będzie na święta Bożego Narodzenia, jak tu przyjechałem.

– Czy zamierzałeś nająć się na statek rybacki?

– Nie.

– Cóżże zatem tu robił?

– Nic. Zechciej mię pan rozumieć, ja nie chciałem więcej służyć...

– Więc dla czego teraz się przedstawiasz?

– Mam pewną myśl... Wiadomość, że jedziesz pan do bieguna... Tak jest, jabym pragnął... jabym chciał z pozwoleniem pańskim, należeć do tej wyprawy...

– Czy jesteś znanym w Port-Egmond?

– Znają mię. Nie zasłużyłem nigdy na naganę odkąd tu jestem.

– Więc dobrze, zasięgnę wiadomości o tobie.

– Pytaj kapitanie, a gdy zezwolisz, będę na pokładzie dziś jeszcze.

– Jakże się nazywasz?

– Hunt.

– A narodowość twoja?

– Z Ameryki jestem, kapitanie.

Zewnętrzny wygląd Hunta wyróżniał go z pomiędzy wielu jego towarzyszy. Średniego zaledwie wzrostu, lecz z silnie rozwiniętym torsem, zdradzał niepomierną siłę fizyczną, co potwierdzały długie, muskularne ramiona, zakończone olbrzymimi rękami. Ogorzałą twarz jego przypominającą kolorem spaloną cegłę, otaczały siwiejące już, w wielkim nieładzie utrzymane włosy, a ponad gęstą brwią błyszczały dziwnym wyrazem małe, ciemne oczy. Co zaś nadawało osobliwy charakter całej tej fizygnomii, to bezmiernie wielka głowa, i szerokie aż do śmieszności, przecięcie ust, o wązkich wargach, poza którymi jaśniały długie, białe zęby, tak rzadkie u marynarzy, którzy w tych stronach mianowicie, łatwo podlegają skorbutowi.

Wiadomości jakie zdołał zebrać kapitan o Huncie, nie były zbyt obszerne. W prawdzie już przed trzema laty przybył on na Falkland; mało jednak towarzyski, trzymał się zawsze zdala, zajęty samotnie rybołówstwem, które mu przynosiło dostateczne dochody na skromne jego potrzeby. Nie widziano go nigdy pijanego, nie wszczynał żadnych kłótni lub bójek, lecz prócz tego, że był marynarzem, z przeszłości jego nikt nic powiedzieć nie umiał.

Czy jednak można było żądać dokładnego życiorysu o człowieku, zajmującym skromne miejsce majtka okrętowego? Powyższe też dane wystarczyły kapitanowi, i Hunt został przyjętym na Halbran.

Ze wzmocnioną więc załogą, z zapasem wszelkiej żywności, jak: mięsiwa, krupów, sucharów, mąki oraz baryłkami wódki i świeżej słodkiej wody, z dostarczoną przez gubernatora bronią i potrzebną amunicją, żaglowiec nasz stanął wreszcie gotowy do dalekiej podróży, która go czekała.

Rankiem 27-go października, wobec zgromadzonej ludności wyspy Falkland i reprezentantów miejscowej władzy, po ostatej zamianie życzeń, podniesiono kotwicę i gdy północno-zachodni wiatr wzdał żagle, opłynęliśmy zdala przylądek Tamar-Hart, zostawiliśmy za sobą wyspę Soledad z przylądkiem Dolphin i Pembroke, i słońce jeszcze nie zeszło z horyzontu, gdyśmy się znaleźli na pełnym morzu.

Czy powróci tu kiedy Halbran? Bogu jednemu wiadomo... W Jego rękach spoczywają losy tych odważnych ludzi, którzy nie bacząc na niebezpieczeństwa, dążą śmiało w imię miłości bliźniego, ku odstrasżającym przestrzeniom antarktycznym.

ROZDZIAŁ X

Na początku podróży.

Opuściwszy Falklandy, kapitan Len Guy skierował się ku wyspom Sandwich, tą samą drogą, którą w 1833 r. przebył Biscoë zużytkowując na ten przejazd 36 dni czasu. Nieprzyjazna jednak pogoda zmusiła tego żeglarza zboczyć następnie aż do 45° długości wschodniej, gdzie właśnie odkrył ziemię Enderby.

– Oto droga, którą zakreślił Biscoë, – tłumaczył kapitan, wskazując oznaczoną linię na karcie, gdyśmy się raz z Jem Westem znajdowali w jego kajucie, a oto ta, którą w 1822 r. przebył szczęśliwszy od niego Weddell.

– Wybierzmy w takim razie plan podróży Weddella – rzekłem – tego prostego rybaka, który bez odpowiedniego wykształcenia, dotarł jednakże dalej, aniżeli wszystkie wyprawy naukowe zdołały to uczynić.

– Takim jest też moje zdanie, panie Jeorling. Jeżeli jednak Halbran nie znajdzie żadnej w żegludze swej przeszkody, moglibyśmy stanąć już w połowie grudnia przed zaporą lodową, co byłoby za wcześnie. Weddell bowiem dopiero w połowie lutego dosięgnął 72 równoleżnika i wtenczas, jak to sam zaświadcza, nie znalazł już ani odrobiny lodu na swem przejściu, co mu dozwoliło posunąć się aż pod 74° 36'. Żaden zaś okręt prócz Oriona, nie dotarł do tego punktu szerokości południowej. Jest więc prawdopodobnem, że jeżeli istnieje jakiś ląd stały pod samym biegunem, to w miejscu tem musi się znajdować głębokie werznięcie się wód, skoro Artur Prym mógł posunąć się jeszcze dalej.

Jem West słuchał swego kapitana z uszanowaniem podwładnego, nie robiąc uwagi żadnej, a tylko pilnie śledząc wzrokiem znaki i linie na rozłożonej karcie.

Nie krępowany takimi względami:

– Sądziłem zawsze, iż Halbran będzie jak najdokładniej trzymał się drogi, którą odbył Orion – zauważyłem.

– Naturalnie, o ile tylko warunki pozwolą – odparł kapitan.

– Więc brat pański opuściwszy Tristan d'Acunha udał się najpierw na poszukiwanie wysp Aurora, a nie znalazłszy ich, przeciął koło biegunowa między 41 a 42 stopniem długości geograficznej, co nastąpiło dopiero, według Artura Pryma, pod datą 1-go lutego.

– Pamiętam o tem. Chciałbym też aby Halbran dosięgnął przedewszystkiem wyspy Bennet, a

stamtąd podążył do Tsalal. Rzecz główna, byśmy równie jak Orion i jak okręt Weddella znaleźli przed sobą wolne już wtenczas morze!

– Czy nie lepiej w takim razie byłoby, przeczekać jeszcze czas jakiś u któregoś z lądów? – zrobiłem uwagę.

– Uczynimy, co okaże się potrzebnym Ów olbrzymi jednak wał lodowy otaczający dokoła biegun, jest wedle opisów niby mur jakiś, w którym nagle otwiera się brama i równie nagle zamyka. Trzeba być blisko, aby z tej chwili korzystać i przejść na drugą stronę, nie troszcząc się o warunki powrotu.

– Jakkolwiek zawsze nieodżałowanym jest wypadek, żeś nie odnalazł kapitanie Dick Petersa, jednakże dzięki szczegółowym notatkom Artura Pryma, mamy pewną przed sobą drogę – odezwał się milczący dotąd Jem West.

– Jest to bezwątpienia bardzo ważna i szczęśliwa okoliczność – odpowiedział Len Guy – że znamy tak dokładnie geograficzne położenie wyspy Tsalal.

– Obyśmy tylko nie potrzebowali posunąć się w naszych poszukiwaniach aż poza 84° – zauważyłem.

– Ależ to całkiem byłoby zbyteczne, gdy wiemy przecie, iż ci, którym spieszymy z pomocą, nie opuścili Tsalal! – odparł żywo kapitan.

– Tak jest, wiemy o tem – potwierdziłem, i zamyśliłem się głęboko, zdawało mi się bowiem samemu dziwnem, i jakby snem tylko, że się dałem opanować jakiejś sile nagle wzbudzonej we mnie, sile, która mię pchała ku nieznanym, niezbadanym, pełnym tajemniczej grozy stronom podbiegunowym.

– Kto wie – zawołałem wreszcie – może właśnie teraz ten „Sfinks lodowy” świata antarktycznego, pierwszy raz przemówi i da się poznać!

W pierwszych dniach podróży, nowa załoga obeznawała się powoli ze swymi obowiązkami, w czem znajdowała chętną pomoc wśród dawnej, wypróbowanej już obsługi Halbranu. Wszyscy też okazali się gorliwi w spełnianiu swych czynności, nie tyle może jeszcze z naturalnego usposobienia, ile pod groźbą nieubłaganej surowości porucznika. Hurliguerly bowiem, nie omieszkał ich poinformować, że Jem West żelazną ma rękę, która umie być dotkliwie czynną, gdy tego zachodzi potrzeba.

Jeżeli jednak inni nowicyusze liczyli się na pewno z wymaganą karnością, Hunt nie zdawał się potrzebować takiego postrachu. Milczący jak ryba, z akuracnością maszyny wypełniał obowiązki swoje, a nie łącząc się nawet na spoczynek z resztą załogi, sypiał w jakimkolwiek kącie na pokładzie.

Mimo wiosennej już ówczesnej pory, temperatura była jeszcze dość chłodną; wszyscy też zachowaliśmy niezmiennie ubrania zimowe, które dla majtków składały się z wełnianych koszul i takichże, z grubego materiału kurtek i spodni, na co wkładano jeszcze płaszcze z ceratowym

kapturem, który zabezpieczał głowę od deszczu, śniegu i ostrych podmuchów wiatru.

Stosownie do zamiaru kapitana, wyspy Sandwich miały być punktem wyjścia wprost ku południowi, po której to drodze wypadało zatrzymać się Nowej Georgii, oddalonej już o 800 mil morskich od Falklandów, poczem Halbran zachowując kierunek linii południka, miał zejść aż pod 84 równoleżnik.

Dnia 2-go listopada znaleźliśmy się pod 52° 15' szerokości, a 47° 33' długości zachodniej, w którym to miejscu zaznaczono istnienie wysp Aurora; mieliśmy zatem okazję stwierdzić mylność tych wiadomości, bowiem na najdalszej nawet przestrzeni, nie było można dostrzedz nawet najmniejszego kawałka lądu.

Stanowczo więc ambicje pana Glass, odnośnie do nadania ziemiom tym jego nazwiska, nie urzeczywistnią się nigdy.

Tymczasem sprzyjająca nam stale pogoda, przerwana została nawałnicą z gwałtownym wichrem, trwającym całe dwie doby. Dla bezpieczeństwa zatem, a choćby tylko dla ulżenia statkowi w tej walce z rozszalałym żywiołem, Jem West wydał rozkazy zwinięcia niektórych żagli, pochylenia drugich, słowem zastosowania wszelkich odpowiednich warunków. Z próby tej nowa załoga wywiązała się tak dobrze, że zyskała nawet pochwałę bosmana, który przed wszystkimi wyróżnił jeszcze Hunta, jako najzręczniejszego, mimo tak niekształtnej na pozór budowy ciała.

– Doskonały to nabytek z tego Hunta, panie Jeorling – rzekł nazajutrz do mnie – nie omyliłem się, gdym twierdził że stary już z niego wilk morski.

– Sam się przyznał kapitanowi do długoletniej służby na okrętach – objaśniłem. – Dobrze, że choć w ostatniej przedstawił się chwili.

– Ale czy spojrzalesz też pan na niego kiedy uważniej?

– Owszem, przypatrywałem się mu już nieraz. W Ameryce w okolicach Far-West spotykałem podobne jemu typy; pewny też jestem, że pochodzić musi z rasy tamecznych indyjskich plemion.

– Ba, i u nas w Lancashire albo i w Kent nie braknie takich, którzy by jemu w sile dorównali.

– Nie wątpię, nie wątpię – zapewniałem – choćby ty sam bosmanie...

– Daj pan pokój! Ot, każdy jest tem, czem jest... bronił się Hurliguerly przeciw mym żartom.

– A rozmawialesz też kiedy z tym Huntem? – zapytałem.

– Tyle co nic! Mówię panu, wydostać od niego choćby słowo jedno, to bodaj sztuka największa! Nie dla braku ust, myślę, boć ma je duże od ucha do ucha. A ręce! Czy widziałeś pan kiedy te niedźwiedzie łapy? Do kroćset, nie wesoło być musi temu, kto się znajdzie w jego uścisku!...

– Na szczęście jednak Hunt zdaje się być człowiekiem spokojnym, nie szukającym zaczepki i kłótni, w którychby mógł popisywać się ze swą nadzwyczajną siłą.

Rzeczywiście, postać Hunta była dla mnie interesującym okazem, i niejednokrotnie siedząc na pokładzie, przypatrywałem się mu z podziwem, mianowicie gdy szeroką swą dłoń oparł na sterze i kierował nim lekko, bez cienia nawet wysiłku. W zamian wszakże, często też spotykałem przenikliwy i badawczy wzrok jego, skierowany ku mnie. Czemże jednak właściwie zaciekawiać go mogłem? Czyby szczególną rolą moją pasażera na statku, który dążył daleko, aż za koło biegunowe, ku jakiejś bajecznej wyspie Tsalal?...

Dnia 10-go listopada, przednie strażce oznajmiły ukazanie się lądu. Była to ziemia św. Piotra, albo jak ją Anglicy ponazywali: południowa Georgia, Nowa Georgia, lub wreszcie wyspa Króla Jerzego, która leży pod 41° 13' długości zachodniej.

Jeszcze przed Cookiem pierwszy zawinął tu Francuz, nazwiskiem Barbe; angielski wszakże podróżnik nie licząc się z tem bynajmniej, nadał jej powyższe nazwy, które też w geografii przyjęte zostały.

Otulona w ciężkie, żółtawej barwy mgły, wyspa ta pustą jest zupełnie, a na jej skalistym gruncie, nad który wznoszą się odwiecznym śniegiem pokryte góry, zaledwie słabe widnieją oznaki życia roślinnego w postaci bladych, bezbarwnych prawie mchów i porostów.

Wieczorem już, Halbran minawszy zatoki Possession i Cumberland, zarzucił kotwicę w przystani Royal, aby zatrzymać się tu dobę całą, głównie dla zaczerpnięcia świeżej wody, która w baryłkach na spodzie statku, bardzo prędko się zagrzewa.

Gdy nazajutrz kilku naszych ludzi zapuściło się w głąb wyspy w celu poszukiwania czystych źródeł, udałem się wraz z nimi, aby poznać tę ziemię której grunt w nizinach nie tyle jeszcze jest jałowym, ile wiejące tu od bieguna mroźne wichry, wstrzymują wszelką wegetację.

Gromady pingwinów płoszone naszym nadejściem, krzykiem wielkim zdawały się protestować przeciwko temu wtargnięciu ludzi w bezpodzielne ich prawie dotąd królestwo.

Dnia 12-go listopada Halbran opłynął przylądek Charlotte i skierował się na południo-wschód, ku oddalonym o 300 mil wyspom Sandwich.

Do tej pory nie spotkaliśmy ani jednego lodowca, co świadczyło, że słońce nie ogrzało jeszcze dostatecznie stron biegunowych, bo jakkolwiek 50 równoleżnik tej półkuli odpowiada położeniu Paryża lub Quebec'u na północy, jednakże płynące tu góry lodowe, nie bywają osobliwością żadną.

Tymczasem niebo przybrało ciężką, szarawą barwę – i gdy ulewny deszcz zacinął ostro, gęste mgły które się dokoła rozłożyły, utrudniały do pewnego stopnia żeglugę, jakkolwiek na szczęście, właśnie ta przestrzeń oceanu wolna od raf podwodnych, nie przedstawiała niebezpieczeństw żadnych dla całości statku.

Widocznie jednak mgła ta nie krępowała w najmniejszej rzeczy stada przelatujących ptaków, które przeciw kierunkowi wiatru płynęły lekko, nie poruszając prawie skrzydłami, a tylko przeraźliwym krakaniem zwiastując nam swą obecność.

Natomiast nie obdarzeni tak bystrym wzrokiem, jaki natura dała ptakom, nie zdołaliśmy, dla owej mgły właśnie, dostrzedz leżącej w bok między Nową Georgią a Sandwich, wyspy Trawersy, odkrytej przez Bellingshausena, oraz czterech drobnych wysepek, które zaznaczył Brown, nazywając je: Welley, Polkar, Prince-Island i Christmas.

Co prawda, o tyle tylko zależało nam stwierdzić ich istnienie, o ile mieliśmy zamiar zdaleka je ominąć dla ich skalistych, niebezpiecznych brzegów.

W nocy z dnia 14-go na 15-ty szczególny blask czerwony, niby łuna odległego pożaru, zajaśniał w stronie zachodniej – i podczas gdy zaciekawieni, mimo deszczu zebraliśmy się na pokładzie, Len Guy wytłomaczył zjawisko słusznym prawdopodobnie przypuszczeniem, iż pochodzi z czynnego często wulkanu na wyspie Trawersal. Ponieważ jednak przy bacznej uwadze, nie dosłyszeliśmy żadnego łoskotu towarzyszącego zwykle wybuchowi, przeto musiała nas rozdzielać dość znaczna odległość, zapewniająca nam zupełne bezpieczeństwo. Bez żadnej więc zmiany Halbran podążał dalej w obranym kierunku.

Gdy nad ranem dnia 16-go uciszył się wiatr i wraz z ustaleniem pogody poczęły opadać gęste mgły, majtek Stern spostrzegł zdala na północno-wschodniej stronie wielki trójmasztowy okręt, który wszakże niebawem znowu tak szybko mgły przysłoniły, iż nie można było rozpoznać jego narodowości.

Może był to jeden z żaglowców należących do wyprawy Wilkesa, a może też tylko jakiś okręt rybacki, polujący na dość licznie ukazujące się wieloryby.

Tymczasem zbliżyliśmy się do wysp Sandwich, którym Cook zrazu miano Southern-Thule nadał, uważając je za ziemie najdalej na południe położone.

Od tych to brzegów wypłynął Jan Biscoë w 1830 roku, by szukać przejścia do bieguna, a drogę tę przebyło następnie aż do obecnej chwili wielu innych podróżników.

W 1822 r. Morrell zawinął do Sandwich w nadziei znalezienia drzewa opałowego, którego brak dokuczliwie dawał mu się we znaki; doznał jednakże zupełnego zawodu, bo ostrość klimatu wstrzymuje tu wszelką bujniejszą wegetację.

To też nie w podobnym celu doświadczony Len Guy zatrzymał się tutaj, lecz by zachowując wszelką przezorność, rozpatrzyć te ziemie, równie jak wszystkie inne leżące na tych krańcach oceanu i nie pominąć jakiegokolwiek śladu, mogącego dać mu świadectwo o obecności którego z ludzi Oriona. Łatwe bowiem było przypuszczenie, biorąc w rachunek spotkany lodowiec ze zwłokami Watersona, że podobny los mógł również spotkać innego jeszcze z jego towarzyszy niedoli. A potem czy lodowiec taki szczęśliwym wypadkiem, nie mógł zatrzymać się u brzegów spotkanego na swej drodze lądu?

Archipelag Sandwich leżący pod 59° szerokości, a 30° długości zachodniej, składa się z mnóstwa drobnych, przeważnie w kształcie głowy cukru wysepek, wśród których pierwsze co do wielkości miejsce zajmują wyspy: Bristol i Thule. W pobliżu pierwszej Halbran zarzucił kotwicę.

Gdy nazajutrz Jem West udał się z kilku majtkami na wielkiej łodzi do skalistej, o trudnym przystępie Thule, kapitan Len Guy wraz ze mną zwiedzał pustą i przerażająco smutną Bristol.

Wszakże poszukiwania nasze zarówno dnia tego jak i następnego okazały się próżne. Wśród tych nagich skał, u których podnóża zaledwie zieleń się nędzne, drobne roślinki, nic nie wskazywało pobytu istoty ludzkiej. Kilka też wystrzałów danych z armaty Halbranu, odbiły się jedynie głuchym echem, płosząc wrzaskliwe ptactwo, osiadłe na wybrzeżach.

Rozmowa nasza w tych wycieczkach obracała się naturalnie około tego samego, a tak żywo obydwóch zajmującego przedmiotu.

– Wiadomem ci jest, kapitanie rzekłem wreszcie – że podług pierwotnego zdania Cooka, wyspy te miały być lądem stałym, który to błąd później dopiero sprostował, pozostając w każdym razie przekonany o istnieniu obszernej ziemi pod samym biegunem...

– Sądziłbym, że istnieć tam mogą dwa nawet lądy rozdzielone szeroką przestrzenią wody, a jeśli jest jeden tylko, to posiadać musi, jak już raz nadmieniałem, nadzwyczaj głęboką zatokę, która dozwoliła Weddellowi, a w sześć lat po nim memu bratu, dopłynąć tak daleko. Jeżeli też wielki nasz podróżnik zmuszonym był nawrócić już od 72-go równoleżnika, nie mając szczęścia w napotkaniu tego przejścia, innym udało się to już uczynić – inni jeszcze uczynią to w przyszłości.

– Do tych ostatnich my najpierw należeć będziemy, kapitanie...

– Z Bożą pomocą! – potwierdził Len Guy. – I gdy Cook śmiał twierdzić, że mogące istnieć tam ziemie, nigdy przez ludzi poznane nie zostaną, wiadomem nam jest iż osiągnięto już 82-go równoleżnika.

– A nawet Artur Prym miał posunąć się jeszcze dalej – przypomniałem.

– Być może, panie Jeorling, na teraz jednak losy Pryma nie zajmują mię wcale, gdy pewnym jest fakt, że zarówno on jak i Dick Peters, wrócili do Ameryki...

– A jeśli Prym nie powrócił...

– Sądzę, że niema w tem najmniejszej wątpliwości – odparł kapitan spokojnie.

ROZDZIAŁ XI

Od Sandwich do koła biegunowego.

Po sześciu dniach żeglugi statek nasz znalazł się naprzeciw grupy wysp Nowych-Południowych-Orkney'ów, z których Coronation z górą wysoką na 2,500 stóp, oraz Laurie, zakończona na zachód przylądkiem Dundas, wyróżniają się z pomiędzy wielu, niekiedy tylko pojedynczymi skałami wznoszących się nad poziom morza, drobnych lądów.

Archipelag ten odkryty wspólnie przez Amerykanina Palmera i Anglika Botwella w 1822 roku, rozkłada się między 44 a 45 równoleżnikiem.

Skaliste, poszarpane brzegi tych lądów, otaczały jeszcze dokoła niby zwaliska forteczne, olbrzymie bryły lodowe, które niebawem popłynąć miały z prądem, ku stronom o klimacie więcej umiarkowanym.

Z należą ostrożnością przeprowadził Len Guy statek zdala od lodowców wyspy Laurie i dnia 25-go stanął przy południowych brzegach wyspy Coronation.

Poszukiwania tu nasze, odnośnie do rozbitków Oriona okazały się bezowocnymi, przy czym stwierdzić mogliśmy, że są to prawdziwe ziemie żałoby i smutku szczególnie w porze, póki je nie ogrzeją nieco cieplejsze promienie słońca, pobudzające do życia nadzwyczaj skromną tylko roślinność.

To też Weddell stracił napróżno czas i trudy, przybywając tu we wrześniu w 1822 roku w celu zaopatrzenia się we futra fok; zima bowiem jeszcze wtenczas trwała w całej swej potędze, gdy obecnie już Halbran mógłby zabrać tego towaru ładunek niemały.

Wśród pingwinów i innego ptactwa osiadłego tu w tysiącnych gromadach, zwróciły uwagę moją również liczne, tak zwane „białe gołębie”, których pojedyncze okazy spotykałem już w innych miejscowościach. Nie są to wszakże płetwonogie lecz szczudłowate, o dziobach długich, stożkowatych i czerwonych wokoło ócz obrączkach; tak zaś mało okazują płochliwości, że można je żywe, bez najmniejszego trudu chwycić.

Dbały o żywność załogi bosman, poczynił też z nich zapasy znaczne, nie gardząc również mewami, a nawet pingwinami i gdyśmy razem na łodzi wracali do Halbranu, nie omieszkał zachwalać mi swej zdobyczy.

– Pingwiny, panie, gdy dobrze przysposobione, nie ustępują w niczem nawet pieczystemu z kurczęcia. Ale prawda, musiałeś je pan już jadać tam na Kerguelen...

– A jakże, stary Atkins nie omieszkiał zapoznać mię z tym przysmakiem, który zawsze własnoręcznie przyrządzał.

– Już to, nasz Endirot nie gorzej pewnie od niego zna się na tej sztuce – zapewniał Hurliguerly, dumny z talentu swego przyjaciela.

I rzeczywiście, jeszcze tego samego dnia cała załoga raczyła się z wielkim zadowoleniem pieczysem z pingwinów, które dało świadectwo wielkiej znajomości sztuki kulinarnej naszego poczciwego kucharza murzyna.

Dnia 26 listopada o szóstej godzinie rano, Halbran skierowany ku południowi, podążył wedle ścisłego obliczenia, drogą Weddella i Wiliama Guy. Mogliśmy więc mieć wszelką nadzieję zawinięcia wprost do wyspy Tsalal.

Któż jednak przewidzieć zdoła przeszkody, jakie nas może czekały, a na które zawsze lepiej być naprzód przygotowanym!

Tymczasem wiatr wschodni sprzyjał nam wyjątkowo i Halbran w pełni rozwiniętych swych żagli sunął z szybkością 12 mil na dobę, co jeśliby potrwało dłużej, sprowadzić nas miało wkrótce do koła biegunowego.

To też rozmawiając z Len Guy:

– Wiesz kapitanie – rzekłem – jeżeli pójdzie tak dalej, staniemy przed zaporą lodową bodaj jeszcze przed ruszeniem się lodowców.

– Kto wie, panie Jeorling, obrachunek z tem trudny bardzo. Zresztą zauważyłem, że tegoroczna wiosna wyjątkowo jest tu wczesną; już bowiem u wyspy Coronation widziałem odrywające się bryły lodu, co zwykle ma miejsce zaledwie w sześć tygodni później.

– Byłaby to dla nas bardzo szczęśliwa okoliczność, gdybyśmy nie czekając końca stycznia, mogli przebyć zaporę już w pierwszych dniach grudnia – odrzekłem.

– Rzeczywiście, warunki temperatury zdają się nam sprzyjać – potwierdził Len Guy.

– Dodać jeszcze muszę, że Biscoë w drugiej swej wyprawie zaledwie w połowie lutego dosięgnął ziem, nad którymi się wznoszą szczyty Wiliam i Stowerley pod 64°. Tak przynajmniej podają opisy podróży, których mi udzieliłeś, kapitanie.

– A o których dokładności wątpić nam nie wypada.

– W takim razie zatem, nim upłynie miesiąc...

– Za miesiąc, panie Jeorling mam nadzieję znaleźć się już po drugiej stronie lodowców, na owych bezpiecznych obszarach wodnych, o których mówi zarówno Weddell jak Artur Prym. Tam też nie przeszkodzi nam nic zapewne dopłynąć najpierw do wyspy Bennet, a następnie do Tsalal...

– Jestem twego zdania, kapitanie! Najważniejsza jednak kwestya przebyć lodowce! Oby nam tylko pomyślny wiatr służył i nadal!

– Na własnym i drugich doświadczeniu polegając, pewny jestem stałości tego wiatru, bo gdy od 30-go do 60-go równoleżnika wieje przeważnie wiatr zachodni, dalej już bierze stałą przewagę z przeciwnego kierunku idący prąd, o czym sam już przekonać się pan mogłeś, odkąd przebyliśmy tę linię.

– Tak jest w rzeczy samej, kapitanie, i to mię cieszy prawdziwie. Zresztą, wyznaję szczerze, a nawet nie wstydę się tego, że zaczynam wierzyć w przeznaczenie...

– A dlaczegożby nie, panie Jeorling dla czegoż nie mielibyśmy dać wiary, że opiekuje się nami Opatrzność Boża, wyższa nad naszą wolę i nad nasz rozum. Alboż nie możemy tego stwierdzić w najpowszedniejszym nawet życiu ludzkim, jeśli nie wspomnę już o losach marynarza? Czyż to właśnie nie ta Opatrzność sprowadziła na naszą drogę nieszczęsnego Watersona, który na lodowcu przybywa z tak odległych stron i choć martwym już ciałem, daje świadectwo o życiu tamtych. Pomyśl pan tylko: jedna spóźniona godzina spotkania, a nie dowiedzielibyśmy się nigdy tego, o czym mamy przekonanie teraz i ku czemu dążymy... Co więcej, ducha mego utrzymuje silna wiara: że skoro niebo łaskawe uczyniło tyle dla nas, by nas naprowadzić na drogę ku naszym nieszczęśliwym, nie zechce nas też opuścić i w najcięższych potrzebach tej podróży...

– Niewątpliwie – odrzekłem – wola Boska kieruje nami odpowiednio do naszego ducha i woli nasiej! Tylko ludzie bez religii wierzyć jeszcze mogą w starożytne „fatum” albo ślepy traf. Życie nasze łączy się w jeden łańcuch...

– Łańcuch – podchwycił kapitan – którego w tym razie pierwsze ogniwo stanowi lodowiec Watersona, a ostatnim będzie wyspa Tsalal! Tak jest mój bracie i wy wszyscy towarzysze jego niedoli! Z błogosławieństwem Boga spieszę wam teraz z pomocą, której naprózno oczekiwaliście przez długie lat jedenaście. Dziś mam nadzieję, że niezadługo przycisnę was do swych piersi...

Silne wzruszenie kapitana poruszyło mnie do głębi i choć budziły się w mej myśli pewne obawy, pewien lęk przed możliwym niepowodzeniem, nie śmiałem jednak, choćby jednym słowem wytrącić go z tego spokoju, jaki daje przeświadczenie o pomocy Bożej.

Takiz sam duch ufności w jaknajlepsze powodzenie, widny był wśród marynarzy, mianowicie wśród starej służby żaglowca, oddanej bezpodzielnie kapitanowi. Nowozaciągnięci oczywiście obojętnymi byli o tyle na losy wyprawy, o ile to nie dotyczyło całości ich osoby i wypłaty umówionego żołdu. Jeden tylko Hunt, zawsze milczący, w gorliwym spełnianiu służby przechodził wszystkich, nawet naszych poczciwych starych.

– Bodaj czy ten człowiek nie myśli więcej jak mówi... Dotychczas nie znam prawie jeszcze głosu jego – przekładał mi Hurliguerly nie mogący nikomu wybaczyć małomówności.

– Jeżeli względem ciebie milczy, nie rozmowniejszy jest ze mną – odparłem.

– A jednak wiesz pan co mi się zdaje?...

– Cóż takiego?

– Otóż musiał on już kiedy spłynąć temi wodami, musiał być bardzo daleko, dalej jak za kołem biegunowym, za lodowcami nawet. Jeśli się myślę, nazwij mię pan jak zechcesz...

– Co cię jednak naprowadza na podobne wnioski, bosmanie?

– Z ócz mu to patrzy, panie Jeorling! Z tych jego ócz, zwróconych w każdej chwili na południe, a w których pali się jakiś ogień, niby żar dwóch pochodni.

– Zauważyłem już sam ten jego wzrok dziwny.

– I widziałeś pan, że jeśli nie jest na służbie, stoi zawsze na przodzie statku, równie milczący, jak nieruchomy. Właściwie biorąc, miejsce jego powinno być tam wysoko, gdzie zwykle umieszczają godła okrętów i chociaż nie byłaby to, przyznasz pan, najpiękniejsza z urody figura, ale równie jak drewniana, stałaby zawsze nieruchoma. A gdy steruje, do kroćset... możnaby sądzić, że siedzi tam znieczulony siłą igły magesowej. Pochlebiam sobie, że jestem sam niezłym sternikiem, ale ten Hunt nie zboczył jeszcze dotąd choćby na jedną linijkę... i myślę, że gdyby wypadkiem nocą, lampa zgasła, on by jedynie przy świetle własnych ócz swoich, jeszcze się nie zmylił...

Stanowczo gadatliwy bosman starał się w mem towarzystwie wynagrodzić sobie obojętność, z jaką przyjmowany był przez kapitana i Jem Westa, ilekroć brała go chętka dłuższej nieco pogawędki. Przyznać wszakże musiałem, że uwagi jego odnośnie do Hunta z wielu względów były dość trafne.

W każdym razie był to człowiek tak niepowszedni, tak bardzo różniący się od innych, że śmiało można by go zaliczyć do jakichś na wpół fantastycznych postaci; i gdyby Edgar Poë znał go osobiście, pewny jestem, że uczyniłby z niego bohatera najoryginalniejszej swej powieści.

W miarę, jak żaglowiec nasz posuwał się naprzód z najwyższą swą szybkością, przy niezmiennie sprzyjającym wietrze, wiosenne słońce ogrzewało coraz silniej atmosferę i w licznych gromadach płynące wieloryby ożywiły fale morskie. Nowo też zaciągnięni marynarze, mianowicie amerykańskiego pochodzenia, przypatrywali się im z wielkim zajęciem, nie ukrywając bynajmniej swego niezadowolenia, że nie mogą skorzystać z tak łatwej zdobyczy, tak łatwego z bogacenia się cennym w handlu tłuszczem wielorybów.

Najgłośniejszym ze wszystkich w tym względzie był Hearne, wytrawny rybak, duch niespokojny i mało uległy, który umiał sobie odraz u wśród towarzyszy wyrobić wpływ i powagę.

Przy każdej robocie na statku, zręcznością swą i siłą wykazywał, czem mógł być w swem rzemiośle, któremu, jak sam to wyznał, oddawał się z całą namiętnością dzikiej swej natury.

Ponieważ jednak Halbran, jako statek kupiecki południowych stron Atlantyku i Oceanu Wielkiego, nie zajmując się nigdy łowami, nie posiadał nawet odpowiednich ku temu narzędzi, przeto wieloryby, nie płoszone niczem, igrały swobodnie wokoło.

Jednego dnia, gdym w porze południowej chodził zwolna na pokładzie, przypatrując się z pewną przyjemnością ruchom tych olbrzymów, Hearne i kilku jego kolegów stało wspartych o poręcz,

prowadząc głośną rozmowę

– Ot patrzcie tam, co za wspaniały okaz *lin-back'a*, paszczę ma wielką niby dom cały! A tutaj znowu tych kilku, jak sobie płynie spokojnie z prądem, ani się ruszy ich cielsko... Dajcie mi tylko harpun, a głowę moją kładę w zakład, że ugodzę tego samca właśnie między cztery żółtawe plamki, które są widne na jego grzbiecie!... Ale w tym przeklętym pudle kupieckim człowiek zgnić może... ani sposobu zabawić się tu trochę! Do dyabła takie życie!...

Tu posypało się w dalszym ciągu całe bogactwo przekleństw w jakie specjalnie obfituje język marynarski.

– A tamtem znowu – zawołał żywo Hearne, po krótkiej przerwie.

– Który? Czy ten z garbem na grzbiecie, niby u wielbłąda?...

– Tak, tak... właśnie ten sam! To *hum-back*, czy widzisz skórę na jego bokach w grube zmarszczoną fałdy i wielkie pletwy na przedzie? Nie łatwe na te bydlęta polowanie, bo lubi ci to płynąć głęboko, a szybko ucieka, jakby mu skrzydła wyrosły. Do kroćset! Zasłużyliśmy, żeby nam tak wymierzył potężne uderzenie ogonem w tułów okrętu, gdy mu niedołąźnie nie wpakujemy harpuna w jego cielsko!...

– Bacność! bacność! – zawołał w tej chwili bosman nie z obawy przed owym przewidywanym przez Hearną uderzeniem, lecz że zauważył olbrzymiego wieloryba, przyplływającego tuż do statku i wyrzucającego fontannę zwykle cuchnącej, brudnej wody, która tak silnym strumieniem biła właśnie w górę, że cała ta strona pokładu oraz wszyscy stojący w pobliżu w jednej chwili oblani nią zostali.

– Dobrze nam tak! – zamruczał Hearne, wzruszając ramionami, podczas gdy inni otrząsali się z niemilej tej kąpieli, klnąc nie żartem.

Oprócz tych dwóch gatunków wielorybów, które wymienił Hearne, uganiały się na powierzchni wody spokojniejsze *right-whales*, które pozbawione skrzeli, obfitują w grubą warstwę słoniny. Ponieważ łowy na nich nie przedstawiają niebezpieczeństwa, więc rybacy wyszukują ich najchętniej, mianowicie na południowych morzach, gdzie trzymają się one gromadnie dla wielkiej ilości skorupiaków, stanowiących wyłączone prawie pożywienie ich olbrzymich ciał o przełyku nadzwyczaj wązkim.

Właśnie też w odległości dwóch zaledwie sięgów płynął taki *right-whales*, piękny, do 60 stóp długi okaz, mogący dostarczyć około 100 beczek tłuszczu. Trzy zatem podobne zdobycze wystarczyłyby w zupełności na ładunek jednego dużego statku.

– Tak, to mi prawdziwy wieloryb – zawołał znowu Hearne – poznać go odrazu można po wytrysku wody krótkim a silnym, innym zupełnie od tego tam w tyle okrętu, który znowu wyrzuca *right-whales*. I powiedzieć, że to wszystko przesuwają ci się pod nosem, bez korzyści żadnej! Do pioruna, nie wypełniać swych baryłek, gdy można tak łatwo, równem jest głupstwem jak wyrzucać pełnemi garściami złoto na dno morza! Prawdziwym też niedołągą jest kapitan, który pozwoli ginąć marnie zdobycze i krzywdzi w ten sposób swą załogę!...

– Hearne – zagrzmiał w tej chwili donośny i surowy głos Jem Westa – idź natychmiast w górę na maszty, stamtąd wygodniej możesz przyglądać się wielorybom!...

– Poruczniku!...

– Ani słowa... albo zatrzymam cię tam aż do jutra. Dalej marsz, bez zwłoki jednej chwili!...

Uznając, że opór wszelki mógłby tylko pogorszyć położenie, Hearne usłuchał, choć cały drżał z tłumionej złości.

Żaglowiec przerzynał właśnie przestrzeń morza z kolorytem czerwonym, które to zabarwienie nadawała mu niezmierna ilość drobnych skorupiaków z rodzaju krewetek. Wieloryby też nie utrudzały się ich połowem, wystarczało im bowiem zagarnąć od czasu do czasu jednym lub drugim wąsem sterczącym u szerokiej ich paszczy, aby takowe napełniać. Ze zaś olbrzymom tym dla dostatniego wyżywienia codziennie bodaj miliardami pochłaniać trzeba drobne te żyjątka, możemy wytworzyć sobie pojęcie o niezmierzonej ich ilości w tamtych stronach oceanu, ilości prawdziwie wyjątkowej, co stwierdziły jeszcze nasze obserwacje, odnośnie do bardzo wczesnej w tym roku pory wiosennej.

Mimo jednak tak łatwej zdobyczy, do której zapalał się Hearne, nie spotkaliśmy tam ani jednego rybackiego okrętu; odległość bowiem tych miejsc odstraszała jeszcze w pierwszej połowie naszego stulecia nawet najodważniejszych.

Dziś, przy zaszłych zmianach w stosunkach, przez poczynione wynalazki, odległość wszelka maleje, a gdy i wieloryby na północy wskutek nieumiarkowanych łowów uległy prawie zupełnemu wyniszczeniu, przybywają już i tu tak licznie różnej narodowości rybacy, że lękać się wypada, aby w niedalekiej bodaj przyszłości zwierzę to morskie nie stało się wreszcie jakimś osobliwym okazem zaginionego gatunku.

W jednej też z coraz częstszych pogadank z kapitanem, który nietylko nie unikał mię już, lecz raczej szukał mego towarzystwa, poruszyliśmy kwestyę owej nadmiernej ilości widzianych tu wielorybów.

– Zazwyczaj ukazywanie się ich w większej liczbie, zapowiada bliskość lądów – tłumaczył Len Guy – gdyż samice szczególnie trzymają się mielszych wód, by na ich spodzie mogły złożyć swe młode. A nawet drobne te skorupiaki które stanowią główne wielorybów pożywienie, rzadko bywają widziane na dalekich od wybrzeży głębiach morskich.

– Jeśli tak jest w istocie, kapitanie, to strażę powinnyby koniecznie zaznaczyć, choćby w dali, którykolwiek z archipelagów, jakie mają się znajdować między południowemi Orkneyami, a kołem biegunowem.

– Uwaga pańska jest słuszną, a jednak musielibyśmy zboczyć o jakie 15 stopni na zachód, bądź to do Nowych-południowych Szetlandów Bellingshausena, bądź do wysp Aleksandra i Piotra, bądź wreszcie do ziemi Grahama odkrytej przez Biscoë,

– Z tego wynikałoby, że obecność wielorybów nie zawsze wskazuje bliskość lądów – zauważyłem.

– Być i tak może! Przyznam się panu, że w tym kierunku nie mam zdania opartego na osobistych spostrzeżeniach. Może też jedyną przyczyną tak niezwykłego ożywienia w tych wodach jest wczesna wiosna...

– Przypuszczenie to w każdym razie zgadza się z faktem nie ulegającym żadnej wątpliwości.

– A z którego nie omieszkamy osiągnąć odpowiednich dla nas korzyści – rzekł Len Guy z ożywieniem.

– I to nie zważając wcale na niezadowolenie załogi....dodałem.

– Niezadowolenie tych ludzi niema żadnych podstaw, wiedzieli bowiem dobrze, iż nie zaciągają się na jakiś okręt rybacki. Słusznie też Jem West surowością swoją ukrocił dalszy demoralizujący wpływ Hearn'a. Prawdziwie, tylko rozumem wskazywana konieczność, zmusiła mnie do powiększenia załogi. Z moimi starymi było mi tak dobrze! Ale kto wie co nas czeka u wyspy Tsalal...

Dla ścisłości faktów wypada mi nadmienić, że jeśli łowy na wieloryby były na Halbranie nie tylko niedozwolone, ale jak już wytłómaczyłem, wprost niemożliwe, to znowu wszelkiem innym rybołóstwem zabawiali się do woli nasi marynarze.

Sam nawet bosman oddawał się tej rozrywce z wielkim zapałem, zakładając różnego gatunku wędki, gdyż biorąc pod uwagę szybkość ruchu żaglowca, nie mogło być mowy o zarzucaniu jakichkolwiek sieci.

Silne jednak wędki dostarczały codziennie na nasz stół przeróżnych odmian ryb, jak: sztokfisze, łososie, makrele, węgorze morskie. głowacze i t. p., z których przyrządzone potrawy urozmaicały przyjemnie zwykłą monotonność pożywienia okrętowego.

Wśród ptactwa dążącego na wszystkie strony horyzontu, spotykaliśmy przeważnie odmiany petreli, z pomiędzy których białe i niebieskie kształtnością swoją w szczególności wyróżniały się sposób. Nie mała też, dnia każdego, ciągnęła ilość albatrosów, a nawet w pewnej odległości zauważyłem „petrela olbrzyma,” którego ojczyznę są okolice cieśniny Magelańskiej, a który w swym siągu dochodząc stóp czternastu, dorównywa nawet wielkim albatrosom.

Ptaki jednak nie budziły ogólnie na naszym żaglowcu takiego zajęcia jak ryby, namiętne zaś zamięłowanie Hearn'a i jego ziomków do łowów na wieloryby, tłumaczyć można do pewnego stopnia samem ich pochodzeniem, gdyż Ameryka dostarcza dotąd stale największą ilość okrętów rybackich. O ile też sobie przypominam, już w 1827 roku, wedle zebranych przez rząd Stanów Zjednoczonych cyfr statystycznych, wypływało rocznie z portów amerykańskich około 200 okrętów rybackich, które zwoziły mniej więcej 50,000 baryłek tłuszczu wielorybiego. Liczby zaś te wzrastając z każdym rokiem, czyniły przed 14-stu laty dla samych tylko Stanów Zjednoczonych 1/10 wszystkich dochodów państwowych z eksportu.

– Po części możemy mieć Hearnę za wytłomaczonego – rzekłem też do kapitana – obudzona bowiem raz namiętność do rybołówstwa, nie łatwo zasypia w człowieku. Niechże jednak Ameryka się strzeże przekroczyć ostateczne granice, bo w końcu wypadnie jej szukać wielorybów bodaj za lodowcami, za którymi prześladowane przez ludzi zwierzęta, szukać będą schronienia.

– Pod tym względem Anglicy okazywali zawsze więcej umiarkowania – zapewniał Len Guy.

Po dokładnych i ścisłych obliczeniach, okazało się, iż dnia 30-go listopada Halbran znajdował się pod $66^{\circ} 23' 3''$ szerokości południowej, zatem przebył właśnie linię koła biegunowego, tej półkuli globu naszego.

ROZDZIAŁ XII

Między kołem biegunowym, a lodowcami.

Z chwilą, gdy Halbran przebył linię koła, którą wyobraźnia ludzka zakreśliła w odległości 23 1/2 stopni od bieguna, doznaliśmy uczucia, jakoby nowy świat jakiś odkrył się przed nami, „świat ciszy i smutku, wśród oceanu wód i powodzi światła” – jak powiada Edgar Poë.

Bo rzeczywiście, cała ta przestrzeń antarktyczna, której powierzchnia wynosi więcej nad 5 milionów mil kwadratowych, zostaje w miesiącach letnich t. j. w czasie jedynie przystępnym dla ludzi północy, stale oblana promieniami słońca, poczem znowu następuje długa, kilkomiesięczna noc, z ciemnościami rozjaśnianymi jedynie blaskami zorzy polarnej.

Na umysł wrażliwy dzień taki bez przerwy, w którym poranek zda się podawać rękę wieczorowi, sprawia silne wrażenie. Człowiek czuje się mimowoli, jakby przeniesionym w jakieś sfery nadprzyrodzone, pełne dziwów i czarów bajecznych, gdzie spodziewa się napotkać nowe objawy życia ze świata zwierząt, roślin i minerałów – „nowych ludzi” jak powiada Artur Prym. I pociąga go siłą magnetyczną ten świat nieznan, niezbadany, którego strzegą jakieś potężne duchy, wołające słowami poety: „Ani kroku dalej!”

Obdarzony mniejszą wrażliwością i fantazją, jakkolwiek silnie poruszony, zdołałem się utrzymać w granicach rzeczywistości. Jedyne też moim pragnieniem było, aby warunki atmosferyczne sprzyjały nam zarówno tu, jak poprzednio.

Lecz na ogorzałych, pod wpływem morskiego powietrza twarzach, zarówno prostych majtków, jak samego kapitana i jego porucznika, widne było wielkie zadowolenie na wiadomość o przebyciu 66-tego równoleżnika. Nazajutrz też Hurliguerly zaczął mię wesołym wykrzyknikiem:

– A co, panie Jeorling, oto już sławne koło za nami!

– Jeszcze niezbyt daleko, bosmanie – odparłem.

– Pójdziemy i dalej z Bożą pomocą! – Mam jednak powód do niezadowolenia...

– Cóż takiego cię trapi?

– Ot, nie dopełniliśmy ceremonii chrztu, którą zwyczaj uświęcił od wieków, gdy okręt przechodzi tak ważną linię...

– Nie rozumiem, o co ci chodzi, bosmanie. Toż o ile wiem, zarówno ty, jak wszyscy twoi towarzysze, nie pierwszy już raz przekroczyliście koło biegunowe.

– Naturalnie, my nie pierwszy już raz, ale pan, panie Jeorling... – mówił stary, mrużąc filuternie oczy.

– Rzeczywiście – odrzekłem – mimo, że wiele już podróżowałem, tak daleko jeszcze w szerokości naszej ziemi nie posunąłem się nigdy...

– Więc należy się panu chrzest koniecznie! – Ot tak sobie cichutko, bez zwykłej ceremonii, z dziadkiem polarnym na czele... Gdybyś tak pan, chociaż mnie pozwolił...

– Dobrze, dobrze, Hurliguerly – odrzekłem, kładąc z uśmiechem rękę do kieszeni, chrzczij mię ile ci się tylko podoba, a oto piasz na buteleczkę whisky, którą wypijesz za moje zdrowie w najbliższej oberży...

– Na wyspie Bennet albo Tsalal! – zawołał stary rozpromieniony cały, chowając monetę. – Oj, niby to wielu jest takich Atkinsów chcących żyć w lodowym pustkowiu?

– A teraz powiedz mi, bosmanie, jakże tam Hunt? Czy bardzo jest zadowolony, że znajduje się już za kołem biegunowym?

– Alboż ja wiem! on zawsze milczy jak głaz lodowy, niczego się pan od niego nie dowie. Jednak, jak dawniej, pewny i teraz jestem, że zna on lepiej te strony od nas wszystkich...

– Co jednak naprowadza cię właściwie na ten domysł?

– Nic i wszystko! Są rzeczy, panie Jeorling, które raczej odczuć tylko można.

I rzeczywiście, jakkolwiek Hunt nie starał się zwrócić na siebie uwagi, przeciwnie nawet, usuwał się z przed oczu ludzkich, było w nim jednak coś, co mię w szczególny sposób zaciekawiało, dla czego miałem dla niego zdwojoną uwagę.

W pierwszych dniach grudnia przyjazny wiatr począł słabnąć i po chwilach zupełnej ciszy, w czasie której wszystkie żagle opadły w koło masztów, zauważyliśmy zwrot prądu ku stronie północno-zachodniej. Wiadomem zaś jest każdemu, kto choć krótko znajdował się już na tych morzach, że zmiana taka jest niechybnie zapowiedzią gwałtownej burzy, lub choćby tylko dłuższej niepogody.

Gdy więc Halbran począł zwalniać w biegu i wreszcie stanął zupełnie nieruchomo na powierzchni morza, gładkiej, niby szyba zwierciadlana, kapitan Len Guy, okazał żywe zaniepokojenie.

– Ocean „przeczuwa” coś niezwykłego – rzekł do mnie rano dnia 5-go grudnia. – Tam – dodał, wskazując ręką wschodni, mroczny horyzont – tam, pewny jestem, szaleje teraz straszna burza.

– Uważałem już sam, że powietrze niezwykle mgliste jest w tej stronie – potwierdziłem. – Może jednak południowe słońce...

– Nie wielką jest tu siła słońca, nawet w porze letniej, objaśnił Len Guy, a przywołałszy porucznika:

– Cóż myślisz o takim niebie? – zapytał.

– Mojem zdaniem nie wróży ono nic dobrego, trzeba nam być przygotowanym czy to na dłuższą niepogodę, czy też na gwałtowną, burzę...

– Pamiętaj Jem, jak ważną jest rzeczą trzymać się, bądź co bądź, tego samego południka... – zalecał Len Guy.

– Zrobi się wszystko, kapitanie, co będzie w naszej mocy! Dotychczas jesteśmy na dobrej drodze...

– Zdaje mi się, że strażę oznajmiły płynące właśnie już lodowce – rzekłem.

– Tak jest, a spotkanie z nimi mianowicie w czasie burzy, może być dla nas fatalne – odpowiedział widocznie stroskany kapitan.

Straże nie omyliły się. Już około południa ciężkie bryły lodu przesuwały się powoli ku wschodowi. Nie były to jeszcze olbrzymie góry, lecz bezkształtne masy, które Anglicy nazywają „pack” gdy są podłużne na 300 do 400 stóp, albo „palch” gdy mają kształt więcej okrągły. Płynąc jednak w pewnym oddaleniu, nie one przeszkadzały nam w żegludze, lecz coraz częściej zjawiające się ciężkie bałwany, które wywoływały przykre kołysanie żaglowca.

Tymczasem już o godzinie 2-iej zakotłowało w powietrzu od wiejącego, zda się ze wszystkich stron wichru, i Halbran doznał tak silnych wstrząśnień, że okazała się konieczność usunięcia z pokładu wszelkich przedmiotów łatwiej ruchomych.

Gdy o 3-ciej ciągle wzmagający się w sile wicher, przybrał wyraźnie kierunek północno-zachodni, porucznik kazał spuścić brygantynę i maszt przedni, czem spodziewał się oprzeć uderzającej sile i uniknąć konieczności zbieżenia z drogi Weddella. Mimo tego jednak, Halbran ulegał tak silnemu kołysaniu, że gdyby nie pewność, iż wszystko w dolnych piętrach i na samym dnie okrętowym, umieszczone jest i przymocowane starannie, mogłaby nas niepokoić słuszna obawa przed smutną katastrofą, jakiej uległ niegdyś nieszczęsny Grampus.

Zresztą sumienna praca około wzmocnienia korpusu żaglowca, dokonana u Falklandów okazała się w tej próbie zupełnie zadawalniająca. Zapuszczone pompy nie wydobyły ani jednej kropelki wody.

Jak długo mogła potrwać ta burza, dobę jedną, czy dni kilka? Któż był w stanie przewidzieć! Najdoświadczeńszy nawet żeglarz nie wie nigdy, co mu zachowają tajemnice morza antarktycznego.

Tymczasem wraz ze znacznym obniżeniem temperatury do + 2 $\frac{1}{2}$ Celsyusza, zaczął padać deszcz ulewny zmieszany z płatami śniegu. Na szczęście jednak, mimo, że wedle zegaru, wieczorna już nadeszła pora, i jakkolwiek słońce grube przysłaniały chmury, mieliśmy jeszcze dość światła w tym nieustannym dniu podbiegunowym, aby czynić odpowiednie dla bezpieczeństwa manewra.

Niepodobieństwem wszakże było oprzeć się prądowi, który unosił nas ku południowo-wschodniej stronie, a kołysanie okrętu doszło do takiej wreszcie siły, że wierzchołki masztów, z głuchym trzaskiem zakreślały w powietrzu olbrzymie koła, podczas gdy Halbran zdawał się nieraz jakby

przełamanym na dwoje, tak od sztaby czyli przodu, do ruf u czyli tyłu statku, nie można było nic zobaczyć.

Wzburzone fale z nieporównanym hukiem i szumem rozbijały się w białą pianę, niby o skaliste brzegi lądu, o płynące coraz liczniej lodowce, które każdej chwili groziły, najniebezpieczniej z wszystkim, zetknięciem się z żaglowcem.

Gdy po zwinięciu mniejszych, okazała się jeszcze konieczność spuszczenia żaglu wielkiego, rozporządził kapitan, by rozpięto mały trójkątny żagielek z przodu, a drugi umieszczono przy tylnej sztabie. W ten sposób uderzenia wiatru miały się stać mniej dokuczliwymi dla statku.

Majtek Drap, pod dozorem samego Len Guy, dopełniał drugiej czynności, gdy na przodzie Jem West dawał rozkazy ludziom, którzy zajęli się rozpięciem trójkątnego żagla.

W tym celu trzeba było wejść po drabinie sznurowej aż do rei masztu wielkiego. Czterech marynarzy wyznaczonych zostało do tej pracy.

Pierwszy Hunt pospieszył w górę, za nim podążyli Marcin Holt, Burry i jeden z rekrutów.

Nie miałem nigdy pojęcia, że człowiek może rozwinąć tyle rzutkości i zręczności w swych ruchach, jak to widziałem wtenczas u Hunta. Zdawało się nieraz, że całym ciałem zawisł jedynie w powietrzu, tak nogi jego i ręce zaledwie dotykały szczebli drabiny, a dosięgnąwszy rei zawisł wśród sieci lin, niby olbrzymi pajak.

Marcin Holt umieścił się z przeciwnego końca drąga, dwóch pozostałych zatrzymało się w pośrodku. Skoro tylko żagiel zostanie przytwierdzonym tam w górze, załatwioną będzie największa trudność, ponieważ uwiązanie dolnych końców do niższej części masztu, nie przedstawiało już niebezpieczeństwa żadnego, a kapitan i porucznik jego wiedzieli dobrze, że manewrem tym jedynie utrzymają żaglowiec w możliwej równowadze, chroniącej go od coraz silniejszego szamotania.

Właśnie jednak w tej chwili burza szalała z największą wściekłością.

Karnaty, to jest liny utrzymujące maszt w pionie od bakortu do sztymbarku, czyli od lewego do prawego boku okrętu, dźwięczały od silnego naprężenia, jak metalowe struny instrumentu.

Nagle, gwałtowne uderzenie bałwanów rzuciło Halbranem, tak, że cały przód jego zarył się w fali aż po same reje wielkiego masztu – i w tejże chwili mimo ogłuszającego łoskotu, ucho nasze wyróżniło krzyk jakiś. To Marcin Holt kończący już właśnie swą pracę, porwany został, a raczej zmieciony przez rozszalałą falę.

Na krzyk jego nadbiegli majtkowie do burt, lecz na razie wśród spienionych bałwanów nie można było dojrzeć nieszczęsnego, który dopiero po dłuższej chwili ukazał się na powierzchni, rozpaczliwie rzucając rękoma, aby go woda powtórnie nie zalała.

Poczęto gorączkowo rzucać mu różne przedmioty: ten linę, ów próżną barylkę, ów drąg ujęty na prędcę, którego mógłby się uchwycić i utrzymać, chociażby czas jakiś...

Gdy sam powalony na pokład w czasie owego wstrząśnienia, ledwie przyszedłem do przytomności i podniosłem się, trzymając się poręczy, naraz przedmiot jakiś spadający z wielkiego masztu, mignął mi przed oczami. Byłbyż to drugi nieszczęśliwy wypadek?...

Nie! jest to czyn wolnej woli – czyn poświęcenia... Dokończywszy przymocowania ostatnich lin trójkątnego żagla, Hunt rzucił się w pomoc tonącemu.

– Dwóch ludzi w morzu!... – wołano wśród załogi.

Tak jest, dwóch! Czy jednak poświęcenie drugiego nie okaże się wprost szalonym tylko porywem, czy obadwaj nie zginą w tak fatalnych warunkach?... Jem West poskoczył do steru i jednym małym obrotem dyszla, skierował do wiatru żaglowiec w ten sposób, że przez dłuższą chwilę staliśmy prawie nieruchomo. W niemem oczekiwaniu patrzeliśmy w głębię spienionych wód. Niebawem ukazały się głowy obu ludzi w znacznym jeszcze od siebie oddaleniu, ale gdy ciało Holta traciło już władzę ruchów, Hunt silnym swym ramieniem rozbijał bałwany, by zbliżyć się do tonącego, którego co chwila zalewały fale.

– Straceni... obaj straceni!... – jęknął cicho kapitan. – Jem, każ spuścić łódź prędko!... łódź na pomoc! – zawołał po chwili.

– Jeżeli wydasz rozkaz, kapitanie, ja pierwszy schodzę do niej, jakkolwiek będzie to narażeniem się na niechybną śmierć. Trzeba mi jednak rozkazu twego...

Upłynęły minuty nad wyraz przykrego oczekiwania. Nikt w tej chwili nie myślał już nawet o tak poważnie zagrożonym bezpieczeństwie całego statku... Wszystkich uczucia ześrodkowały się tam, gdzie każda sekunda stanowiła o życiu dwóch ludzi.

Nagle głośny okrzyk załogi zabrzmiał wśród huku fal, okrzyk tryumfu i radości, gdy Hunt z właściwą jedynie sobie zwinnością i siłą rzucił się między dwie fale, tam właśnie, kędy ostatni raz zamajaczyło, wśród białej piany, ciemne ubranie Holta, i gdy po chwili dźwigając zemdlone ciało starego marynarza na lewym swym ramieniu, prawą dłonią, niby żelaznym wiosłem torował sobie drogę pośród spienionego żywiołu.

– Hura! hura! – wołała załoga...

– Nawróć od wiatru! – krzyknął Jem West do sternika.

Z trzaskiem żagli i wyprężonych lin, niby rozhukany koń, którego osadza na miejscu dłoń jeźdźca, ściągając pysk jego wędzidłem, a on buntując się staje dęba, tak statek cały zadrzał w swych posadach – pochylił się w tył – skoczył w górę, by znowu zagłębić się silniej...

Minęła długa, niby wieczność, minuta... Dwóch ludzi, z których jeden z nadludzką siłą ciągnął drugiego, to znikali pod wodą, to znowu wydobywali się na wierzch.

Wreszcie Hunt podpłynął do żaglowca i wolną ręką uchwycił koniec rzuconej mu liny, służącej do holowania statku.

Jednym obrotem koła obaj tonący zostali wciągnięci na pokład, i gdy nieprzytomny Marcin Holt legł u stóp masztu, gdzie mu natychmiast pospieszono z należną pomocą tak, iż wkrótce zaczął przychodzić do siebie, dzielny Hunt, jakby nic nie zaszło, zabierał się już do swych obowiązków.

– Marcinie Holt – rzekł kapitan, pochylony nad marynarzem, spoglądającym wokoło zdziwionym wzrokiem – oto powróciłeś nam z daleka...

– Tak kapitanie, źle było ze mną! Kto jednak dał mi pomoc?...

– A któżby inny, tylko Hunt – zawołał bosman – Hunt naraził swe życie dla ratowania ciebie...

Marynarz wsparł się na łokciu, szukając wzrokiem swego wybawcy, gdy jednak tenże zdawał się raczej chować przed nim, Hurliguerly ujął go za ramię i podprowadził do Holta, którego twarz rozjaśniło uczucie szczerzej wdzięczności.

– Uratowałeś mi życie... bez ciebie byłbym stracony... dziękuję ci! – rzekł, wyciągając rękę.

Ale Hunt stał nieruchomo.

– Czy nie słyszysz Huncie? – odezwał się kapitan.

Ani słowa odpowiedzi...

– Ja chcę ci podziękować – zaczął znowu Marcin Holt – chcę uścisnąć dłoń twoją...

Hunt cofnął się o kilka kroków, a głową zrobił ruch mogący się tłómaczyć:

– Na co tyle podziękowań za taką drobnostkę... poczem zwrócił się ku przodowi statku, gdzie właśnie pod naciskiem nowych uderzeń wichru, pękła jedna z lin głównego masztu.

– Stanowczo ten Hunt jest bohaterem poświęcenia i odwagi, ale również stanowczo jest to istota zamknięta w sobie i nie dająca przystępu żadnym uczuciom – pomyślałem.

Tymczasem burza nie ustawała ani na chwilę. Niejednokrotnie też jeszcze byliśmy w rzeczywistej obawie o całość Halbranu, który w szalonych ruchach, rzucając przez rozhukaną falę, niby napadnięte i rozjuszone walką zwierzę, rwał się i szamotał z głuchym trzaskiem swego silnego kadłuba.

– Jem – rzekł wreszcie kapitan, o godzinie 5-ej rano – czy myślisz, że trzeba nam uciekać...

– Jeśli każesz, kapitanie! Będzie to jednak dobrowolne rzucenie się w paszczę morza – odrzekł porucznik.

I rzeczywiście, niema nic niebezpieczniejszego dla okrętu, jak odwrót w takich warunkach, gdy niemożliwym jest wyprzedzić szalony pościg bałwanów. Zresztą, gdybyśmy nawet poddając się kierunkowi wiatru zoczyli na wschód, dostalibyśmy się niezawodnie w największy zamęt płynących tam najliczniej lodowców, w których uścisku, nawet tak silne ściany, jakie posiadał Halbran, zostałyby odrazu zdruzgotane...

Przez całe jeszcze następne doby 6, 7 i 8-go grudnia, nie zaszła żadna na lepsze zmiana; ta sama walka, to samo niebezpieczeństwo...

Zarówno wszakże Len Guy, jak dzielny jego porucznik złożyli wtenczas niezaprzeczone dowody odwagi, przytomności umysłu i wielkiego doświadczenia, a Hunt stawał zawsze pierwszy do spełnienia ich poleceń. Idąc zaś śmiało przeciw największemu niebezpieczeństwu, wyróżniał się dodatnio od reszty swych towarzyszy, którzy, jeśli byli posłuszni, jeśli spełniali jako tako swe czynności, to tylko ze świadomości że próżnym byłby opór rozkazom takiego, jak Jem West oficera. Ież to razy wszakże zdarzyło mi się słyszeć ich sarkania i słowa niechęci wypowiedane na uboczu...

– Obym się mylił – pomyślałem wtenczas – lecz nie wróży to nic dobrego na przyszłość.

Wróciwszy szybko do zdrowia, Marcin Holt szedł o lepsze z Huntem w zręczności i gorliwości w służbie.

– Powiedz mi – rzekłem raz do dzielnego tego człowieka – w jakichże stosunkach zostajesz teraz z Huntem?... Czy zbliżyliście się choć trochę do siebie?...

– Gdzie tam, panie Jeorling; unikał mię on zawsze, a teraz bodaj jeszcze więcej niż kiedy.

– Czy być może!

– Nieinaczej, pomimo że chciałbym mu nieraz okazać moją wdzięczność.

– A to szczególne!...

– Tak jest – potwierdził Hurliguerly – zauważyłem to sam już kilka razy...

– Więc stroni od ciebie tak, jak od innych?...

– Więcej nawet jak od innych...

– Dla jakiej przyczyny?...

– Tego już wcale domyśleć się nawet nie mogę...

Dziwne zachowanie się Hunta względem starego marynarza, było rzeczywiście rzucające się w oczy. Napróżno jednak próbowałem rozwiązać tę zagadkę... Zawsze przy pracy, zdala od drugich, nie odezwał się nigdy ani słowem, jakby natura pozbawiła go cennego daru mowy...

Nareszcie w nocy z 8-go na 9-ty grudnia, uspokoiło się morze, a wiatr począł wyraźnie przybierać kierunek wschodni – co nam dodało otuchy, że niezadługo będziemy mogli nawrócić ze znacznego zboczenia w jakie nas rzuciła burza.

Następnego też dnia rozwinięto znowu pewną część żagli i Halbran, jakby zmęczony jeszcze wysiłkiem przebytej walki, posuwał się zwolna i ostrożnie naprzód, wśród różnej wielkości lodowców, których mnogość upewniła nas, że na południo-wschodzie otwarła się jedna brama w

owej fortecy lodowej, okrążającej południowy biegun.

ROZDZIAŁ XIII

Wśród zapory lodowej.

Tak więc mimo przebytej burzy, mimo nawet dość silnego zboczenia, mieliśmy jednak, bądź co bądź, niemało jeszcze szczęścia.

Bo jeśli już w pierwszej połowie grudnia przekroczymy zaporę lodową, uczynimy to wcześniej o cały miesiąc od Weddela, który tą samą drogą...

Ale otóż używam wyrażenia, jakby rozkładał się przed nami wygodny gościniec obsadzony drzewami, na którego drogowskazie widnieje napis: „Do bieguna południowego!” gdy tymczasem zagłowiec nasz otoczony ze wszystkich stron płynąciami krami, dochodzącymi niekiedy wysokości gór alpejskich, lub znowu rozkładającymi się w obszerne równiny, nie mało miał trudności w utorowaniu przejścia, a warunki te pogorszały się w miarę posuwania się naprzód.

Mimo jednak poważnego niebezpieczeństwa, które aż nadto było widocznem, nie mogłem się oprzeć urokowi nadzwyczajnych, a przepięknych widoków, przesuwających się przed naszymi oczami.

Najpierw więc otaczająca nas atmosfera przybrała wyraźną barwę żółtawą. Zjawisko to znane jest rybakom, jako towarzyszące zwykle obecności lodowców, będące wynikiem załamania się promieni światła w ich błyszczących bryłach. Niekiedy masy te lśniły niby drogocenne kamienie, mieniąc się różnemi barwami, w których raz przeważał kolor czerwony, to znowu niebieski lub fioletowy, jak w pięknie rżniętych starych kryształach.

A obok tak zajmującej, czarownej gry światła, jakąż różnorodność przedstawiały same kształty tych brył! Tu olbrzymie, ciężkie piramidy egipskie, tam gmachy zdobne w śpiczaste lekkie wieżyczki, lub poważne kopuły świątyni bizantyńskich, owdzie znowu całe szeregi wysmukłych kolumn, sterczących niby na zwaliskach starożytnych miast greckich. Słowem wszystkie kształty, jakie oko nasze dostrzega czasem i śledzi z zajęciem wśród płynących w górze obłoków, któremi fantazja nasza lubi się zająć, wszystkie te linie niby bezładne, a jednak w dziwną zlewające się całość, odnajdywałem w błyszczących bryłach. A wśród nich, jakby dla dopełnienia czarodziejskiego widoku, biły w górę fontanny wody, wyrzucane przez licznie zawsze, mimo wszystkiego, uwijające się, wieloryby. Wysoko zaś ponad naszymi głowami przelatywały z szumem skrzydeł i hałaśliwym krakaniem, gromady petreli, kormoranów i innego ptactwa, które spuszczało się czasem dla chwilowego spoczynku, aż do lodowych szczytów, pokrywając je całkowicie.

Dokonane dnia 14-go obliczenia wykazały, iż znajdujemy się między 72° a 73° szerokości południowej; był to punkt, którego nie dosięgnął ani Ballemys ani Bellinghausen, a nad który już tylko o 2 stopnie poszedł dalej Weddell.

– Panie Jeorling – rzekł do mnie dnia tego kapitan – nie pierwszy już raz próbuję się dostać na te morza, mam więc już pewne doświadczenie, jakie trzeba zachować ostrożności, jednak...

– Nieustannie podziwiam rzeczywisty talent pana, w tak rzadkiem połączeniu śmiałości z konieczną przezornością. To też przymioty te, będące owocem doświadczenia, dają nam zupełną gwarancję...

– Nie tak bezwzględna jeszcze, drogi panie, gdyż morze po drugiej stronie zapory jest mi całkiem nieznane.

– Jeśli go wszakże osobiście nie zwiedziłeś, kapitanie, to z opisów Weddella i Artura Pryma...

– Wiem, wiem, że mówią oni o morzu zupełnie wolnem.

– Czy nie wierzysz pan temu? – zapytałem nieco zdziwiony.

– Przeciwnie, mam nawet przekonanie że inaczej być nie powinno; lodowce te bowiem, które my Anglicy znamy pod nazwą *ice-fields* i *ice-bergs* czyli pól lodowych i gór lodowych, nie mogłyby w żaden sposób tworzyć się na pełnym morzu. Muszą one koniecznie tam w wyższych jeszcze stronach otaczać bądź to wyspy, bądź jakiś ląd stały, od którego odrywa je nadzwyczajna siła prądu, w czasie gdy spojność ich skrusza pod wpływem wiosennego ciepła – i ten sam prąd unosi je coraz dalej ku północy, aż osiągną znacznie cieplejszych okolic – gdzie ostatecznie zginąć im wypadnie.

– Z zajęciem słucham dowodzeń pana – odrzekłem – i przyznaję, że przypuszczenia jego mają wszelkie prawdopodobieństwa...

– Nie zapominaj pan nadto – mówił dalej kapitan – że nie możemy się spodziewać w tych samych warunkach bieguna południowego, w jakich zostaje biegun północny. Sam Cook już utrzymywał, że nigdy na morzu Grenlandzkim nie spotkał tak olbrzymich gór lodowych, jakie nie są wcale rzadkością na południu.

– Na czym jednak, jak sądzisz kapitanie, polega przyczyna tego?

– Przedewszystkiem szukać jej musimy w tem, że na północy przewagę bierze wiatr ciepły, idący od obszernych lądów Europy, Azji i Ameryki – gdy tutaj najbliższe ziemie stanowią dość oddalone, a wąskie brzegi przylądków Dobrej Nadziei, Patagonii i Tasmanii. Wpływ więc ich na złagodzenie temperatury jest albo bardzo mały, albo zupełnie żaden. Dla tego też w stronach antarktycznych temperatura bywa więcej jednostajną.

– Spostrzeżenie to jest bardzo ważne i tłumaczy twierdzenia o zupełnie wolnem tam dalej morzu – rzekłem.

– Pewny jestem, że tak rzeczywiście być musi, przynajmniej na jakieś 10 stopni z drugiej strony zapory. Gdy więc takową przebedziemy, największa trudność w naszej podróży usunięta zostanie...

Tymczasem w miarę posuwania się naprzód, otaczały nas coraz więcej skupione lodowce, których

wysokość, wedle pomiarów dokonanych przez Jem Westa, dochodziła od 10 do 100 sążni.

Często też przy silnie wzburzonych falach podnosił się jeszcze wiatr gwałtowny, zmuszający nas do zwinięcia niektórych żagli.

Załoga wszakże zrazu mocno zaniepokojona temi warunkami żeglugi, powoli oswajała się z nimi, nie okazując wreszcie ani zdziwienia, ani obawy.

Dla zacieśnionego widoku na morze, kazał Jem West zbudować na wielkim maszcie tak zwane „gniazdo bocianie” czyli kosz, w którym bezustannie na zmianę, zajmował miejsce jeden z marynarzy, i dawał porucznikowi sygnały skoro tylko coś nadzwyczajnego spostrzegł, coby mogło grozić statkowi.

Ta nieustanna praca i czujność, utrudzała w wysokim stopniu załogę, nieraz bowiem ostre, nagle ukazujące się załamania u brzegów brył lodowych, które przepływały tuż przy Halbranie, zmuszały porucznika do ciągłych zmian w rozporządzeniach.

– Zwróć do wiatru! Kieruj na stybark! – rozlegała się raz wraz komenda, wzywająca wszystkich do nowych manewrów.

Jeżeli jednak nikt na Halbranie nie zaznał wtenczas spoczynku, Hunt zdawał się nawet nie potrzebować go zupełnie. Najtrudniejsze czynności niczem były dla niego. Ilekroć też wypadło podpłynąć łodzią do którego z lodowców, by zarzucić w nim kotwicę i przytwierdzić linę, dla powolnego holowania statku w miejscach grożących wielkiem niebezpieczeństwem, zawsze tylko Huntowi polecał to kapitan; był bowiem pewien, że on sam najdokładniej i najszybciej dokona roboty.

Słusznie też zyskał w końcu dziwny ten człowiek uznanie, zarówno u kolegów, jak i u swoich zwierzchników, za rzadką w swoim rodzaju doskonałość. Gdy wszakże zdarzyło się razy kilka, iż musiał się do tejże samej łodzi z Holtem, spełniał posłusznie jego rozkazy, jako wyższego od siebie stanowiskiem, nigdy jednak na zapytania nie dawał odpowiedzi – nigdy jednym nie odezwał się słowem. Tajemniczość też pewna otaczająca jego osobę, zaciekawiała wszystkich w najwyższym stopniu.

Jednakże mimo wszelkiej ostrożności, niepodobieństwem było uniknąć kilku silniejszych starć. Jakkolwiek boki okrętu okazały się nadzwyczaj wytrzymałe, to ster przy gwałtownych i bezustannych ruchach groził zupełnem obłuznieniem w obsadzie. Baczny na wszystko porucznik kazał go co prędzej wzmocnić dwoma równymi krokwiami i otoczyć wspólną klamrą, co mu nowej dodało siły.

Dnia 17-go grudnia zabrzmiał donośny głos strażnika, który ze swego bocianiego gniazda wołał:

– Od strony stybarku na przodzie!...

Pospieszaliśmy żywo w tę stronę pokładu i gdy rozsunęły się nieco lodowce, ujrzelśmy jeden, nieskończenie zda się, długi łańcuch gór lodowych, niby pasmo Alp, których profil rysował się wyraźnie na dość pogodnym sklepieniu nieba; a u którego dolnych brzegów poszarpanych w

głębokie, ostre załomy, ciągnęły miliony większych i mniejszych odłamów lodowych.

Widok ten upewniał mię co do słuszności domysłów kapitana, który stanowczo wyróżniał charakter powstania owych olbrzymów lodowych, tworzących tak trudną do przebycia zaporę, od tak zwanego wału lodowego.

Pierwsze więc muszą koniecznie mieć przy tworzeniu swem jakowąś pewną podstawę, czy to brzegi lądu, czy też skalne niezbyt głębokie dno morza, od którego odrywają się dopiero, gdy cieplejsze prądy dolne roztoczą, że się tak wyrażę, ich spód. Wtenczas to z hukiem nieporównanym spadają w głębie morską, by niezadługo wypłynąć, jako wielkie ruchome góry, których często połowa zaledwie widną jest nad powierzchnię morza.

Rozmawiając w tym przedmiocie z kapitanem, czyniliśmy sobie wzajemne uwagi i spostrzeżenia.

– Nigdy na pełnym morzu takie góry lodowe tworzyć się nie mogą – tem też tłumaczy się trudność przebycia zapory – nie łatwo bowiem odszukać wolne przejście – dowodził Len Guy. – Inny już zachodzi stosunek w powstawaniu lodowego wału, który się tworzy ze zbitej, napływającej kry i jest jakoby amalgamatem większych i mniejszych odłamów...

– Zapora jednak lodowa którą mamy przed sobą, nie może tworzyć nieprzerwanej całości.

– Jeżeli zamkniętą jest w najostrzejszej porze, wiemy, iż gdy lody idą, otwiera się przejście wolne, z którego korzystał już Weddell, a następnie brat mój... Stało się to wszakże przy warunkach bardzo przyjaznych...

– Gdy więc mamy tę zaporę zaledwie o kilka mil przed sobą...

– Postaram się zbliżyć, o ile tylko będzie można z Halbranem, dla odszukania przejścia. Może nam to wszakże nie pójść tak łatwo; może wypadnie okrążyć daleko! – Niechby nas tylko północno wschodni wiatr nie opuszczał – zakończył kapitan z ożywieniem i widoczną ufnością w powodzenie.

Gdy wreszcie, wśród ciągle tych samych warunków, znaleźliśmy się zaledwie o trzy mile od zapory, przez odpowiednie nastawienie żagli, Halbran stanął prawie nieruchomo na miejscu, a do spuszczonej łodzi zeszedł sam Len Guy, bosman i kilku majtków, który w silne dłonie ujęli wiosła.

Po uciążliwej jednak trzygodzinej wyprawie, po nadaremnych szukaniu upragnionego przejścia, łódź wróciła do statku.

W parę godzin potem ulewny deszcz ze śniegiem, zakrył przed nami nieco dalszy widok, a termometr Celsyusza wskazywał znowu tylko + 2°.

Nie pozostawało nam przeto nic innego, jak płynąć dalej w kierunku południowo-wschodnim, oczywiście jednak z wielką uwagą, by otaczające nas dokoła góry lodowe, nie zgniotły Halbranu siłą swego parcia. Jem West wydał też rozkazy odchylenia rei pod wiatr, poczem ruszyliśmy z szybkością siedmiu do ośmiu mil, a wyćwiczona już załoga sprawiała się jaknajlepiej, gdy szło o wyminięcie większego lodowca – na mniejsze bowiem, pokrywające teraz prawie całkowicie powierzchnię morza, uderzał żaglowiec ze swemi miedzianymi okuciami, niby jakimś olbrzymim taranem, i rozbijał

w drobną masę.

Jeżeli jednak łatwiej omijać sterczące wysoko góry czyli tak zwane *ice-bergs*, daleko trudniejszą sprawę, szczególnie przy gęstej mgle, która zawisała w powietrzu, przedstawiały w żegludze naszej zaledwie czasem dostrzegalne na powierzchni olbrzymie płaszczyzny *ice-fields*, które z trudną do pojęcia siłą, i całkiem niespodzianie uderzały w dno okrętu.

Jednakże i z tem złem dawaliśmy sobie jakoś radę przy zdwojonej pracy i bacznej uwadze. Byle tylko dalej, byle znaleźć wreszcie upragnione przejście na drugą stronę! Cóżbyśmy wszakże poczęli, gdyby nas teraz mianowicie zaskoczyła znowu burza?!...

Ale pogoda ustaliła się powoli, i pod ciepłymi promieniami słońca przy temperaturze + 9 Celsyusza, topniały lody tak, że spadające strumienie z ich wyżyn, wyłabiały na nich w swym biegu głębokie bruzdy i tysiącami kaskad zlewały się do morza.

Po kilka razy zbliżaliśmy się na jakie dwie mile do zapory, zawsze jednak napróżno. Zwarte lodowce ciągnęły się w dal, jak tylko oko nasze zasięgnąć zdołało.

Wreszcie, zawsze spokojny Jem West, począł tracić zwykłą sobie zimną krew.

– Całe nieszczęście – skarżył mi się – że nie mamy statku rezerwowego, który moglibyśmy wysłać na rekonesans. W takiej podróży jest to rzecz najkonieczniejsza, gdyż mając tylko jeden, musimy go bardzo oszczędzać.

– Przeworność tę zachował Weddell, wyprawa jego bowiem z dwóch składała się żaglowców – odrzekłem.

Nareszcie dnia 19-go grudnia radosny okrzyk straży na górnym maszcie zwrócił naszą uwagę.

– Co tam? – zapytał porucznik.

– Zapora jest przerwana, na południo-wschodzie!...

– A dalej?...

– Nie mogę nic dojrzeć...

Szybko począł Jem West wspinać się po drabinie do gniazda bocianiego. Na pokładzie zapanowało gorączkowe oczekiwanie.

– Jeżeliby straż się pomyliła, on, Jem West, nie pomyli się pewno! – powtarzano sobie.

– Morze wolne! – zawołał wreszcie porucznik.

– Hura... hura!... – zagrzmiało na statku...

W pełni rozwiniętych żagli, Halbran podązał o ile się dało szybko w oznaczonym kierunku – i w

dwie godziny później, błyszczące w promieniach słońca morze wolne od lodowców, rozciągało się przed nami.

ROZDZIAŁ XIV

Głos we śnie.

Wolne od lodowców morze!!.... Tak, lecz nie zupełnie jeszcze. Tu i owdzie w dali płynęły większe odłamy, czasem i góry olbrzymie. W każdym razie ruchy Halbrana były już swobodne i nie ulegało wątpliwości żadnej, że musiało znajdować się tam głębokie werżnięcie się wód w jakiś obszerny ład stały, od którego oderwane, płynące z prądem lodowce zrobiły przełom w zaporze.

Tą też jedynie drogą mógł płynąć Weddell, tą samą w sześć lat później posuwał się Orion...

– Bóg nam dopomógł! – rzekł Len Guy rozpromieniony – teraz już cel naszej podróży leży prosto przed nami!...

– I za tydzień możemy stanąć u wyspy Tsalal. Najpierw trzeba nam zawrócić ze zboczenia, w jakim znajdujemy się obecnie. Przy takim wszakże morzu pójdzie to dość prędko...

– I przy tak pożądanym kierunku wiatru... – dodałem.

– Niechno tylko ukaże się wyspa Bennet... Szukać jej wszakże musimy tam dalej na zachód.

– Myślę, kapitanie, że może na Bennecie znajdziemy jakiś dowód pobytu Oriona...

– Być to może! Teraz przede wszystkim spieszę dopełnić wymiarów co do wysokości w jakiej się znajdujemy, i stosownie pokierować Halbranem...

Gdy więc Len Guy wraz z porucznikiem zajęli się tą czynnością wymagającą specjalnego obznajmienia, poświęciłem znowu kilka godzin rozpatrywaniu pamiętników Artura Pryma, zestawiając wszelkie dane pod bezstronny, krytyczny sąd, a wniosek stąd otrzymany, jak już obecnie własnym doświadczeniem stwierdzić mogłem, wypadł na korzyść dokładności i prawdy opisów odnośnie do samej podróży. Natomiast w dość wątpliwym świetle przedstawiały się trzeźwej mej myśli owe nadzwyczajności wyspy Tsalal: jej grunt, rośliny, zwierzęta i ludzie, których Prym przedstawia, jakby z innej zgoła pochodzili planety. Nieprawdopodobną wydała mi się też owa grotka z hieroglificznymi znakami, ów lęk szczególny dla białej barwy, jakiego mieli doświadczać czarni mieszkańcy wyspy. Dalsze już nadzwyczajne wypadki, jak mgliste zaćmienie przestrzeni, w którą prąd unosił łódź Pryma; jak zasłona, czy katarakta spadająca z napowietrznych wyżyn, wreszcie olbrzymia postać, ukazująca się nagle przed lecącymi w przepaść, mogły być przywidzeniem, rodzajem halucynacji, której podlegają łatwo organizmy wycieńczone głodem, lub nadmiernym wysiłkiem fizycznym czy moralnym.

Postanowiłem też odtąd kontrolować fakt każdy, by odłączyć, o ile będzie możebnem, fałsz od

prawdy.

Jeżeli jednak kwestye te zajmowały mię obecnie dość żywo, dla kapitana Len Guy pamiętniki Pryma o tyle tylko miały wartości, o ile odnosiły się jeszcze do wyspy Tsalal.

Pogodne tymczasem niebo i powietrze wolne od mgły, dozwoliły dokonać dnia 19-go grudnia ścisłych bardzo obliczeń, które wykazały $74^{\circ} 45'$ długości geograficznej.

Zatem Halbran znajdował się już o $1 \frac{1}{2}$ stopnia dalej ku południowi, aniżeli Orion pod datą znacznie późniejszą; za, rzucona zaś przez Jem Westa linka z odpowiednim ciężarem wskazała nam zgodnie z relacyami Pryma, że prąd wody w tej przestrzeni dążył wyraźnie ku południowi.

Okrażenie zapory lodowej zepchnęło nas więc o cztery blisko stopnie na wschód, które z powrotem wypadało odbyć, aby trzymać się linii 43-go południka. Oczywiście, dzień trwał ciągle bez przerwy; nie widzieliśmy ani wschodu ani zachodu słońca, które zdawało się bezustannie zataczać w górze całkowite koło. Za parę jednak miesięcy zniknie ta wspaniała gwiazda, ale i wtenczas jeszcze ciemności zimy podbiegunowej rozjaśni zorza z całą swą gamą barw świetlanych. Kto wie nawet, może jeszcze będziemy świadkami tego zjawiska, którego wpływ elektryczny ma oddziaływać z dziwną siłą na człowieka...

Licząc się z opowiadaniem Pryma, przypomniałem sobie właśnie, że w dniach od 1-go do 4-go stycznia 1828 roku Orion walczył jeszcze z wielu trudnościami, których główną przyczyną była niepogoda, a raczej gwałtowna burza, jaka zaskoczyła statek w najniebezpieczniejszych warunkach żeglugi, gdyż jeszcze przed przejściem zapory lodowej, co nastąpiło zaledwie 5-go stycznia, przy temperaturze 0° Cel. Pochylenie wtenczas igły magnesowej na $14^{\circ} 28'$ na zachód, było właśnie toż samo, jakie wskazywała obecnie busola Halbranu.

Gdy jednak Orion, przy bardzo niskiej nawet poza lodowcami temperaturze, nieustannej mgle i licznych jeszcze wówczas lodowcach, potrzebował całych dwóch tygodni t. j. od 5 do 19 lutego na przebycie 10 stopni czyli 600 mil do wyspy Tsalal, Halbran już 19-go Grudnia znajdował się od tego punktu tylko o 7 stopni, czyli około 400 mil. Przy warunkach zaś tak przyjaznych jakie się zapowiadały, liczyć było można, iż nim tydzień upłynie, staniemy, jeżeli jeszcze nie u Tsalal, to chociażby u brzegów wyspy Bennet.

Wprawdzie od czasu do czasu zjawiały się jeszcze lodowce, szły jednak tak ciężko i powoli, że Halbran przy prawidłowej żegludze, wymijał je bez trudu żadnego. Powierzchnia też morza równą i cichą była, zaledwie bowiem kiedy niekiedy marszczyła ją lekka fala, a piękne barwne meduzy cieszyły się ciepłem $+ 9$ Celsjusza, roztwierając swe płatki, niby jakieś cudowne kwiecie pływające na wodzie.

Powietrze roilo się od ptactwa, a obsiadłe przez ich gromady lodowce, przypominały mi spacerowe yachty zajęte przez wesołą, krzykliwą drużynę. Niekiedy też, niby wielka czarna plama, przyczepiona do pływającej bryły, foka odbywała sobie najspokojniej daleką jakąś podróż.

Załoga nasza wróciła powoli do przerwanej rozrywki rybołówstwa, i smaczne mięso dorady (gatunek ryb morskich) dość często urozmaicało „menu” naszych obiadów.

Z jaśniejącą od wewnętrznego zadowolenia twarzą powitał mię gadatliwy bosman.

– Dzień dobry, panie Jeorling, dzień dobry! – Wołał przez całą długość pokładu, zbliżając się do mnie.

– Dzień dobry Hurliguerly – odpowiedziałem z przyjaznym uśmiechem, bo dzień był rzeczywiście, choć zegar wskazywał wieczorną porę.

– No i cóż? Jakże pan znajdujesz to morze? – zapytał stary gaduła.

– Moznaby je porównać do rozległych jezior Szwecyi lub Ameryki...

– A tak, do jezior, których brzegi zamiast gór, zdołają; prześliczne, lśniące lodowce...

– Dodać też muszę, że jak dotąd, trudno nam wymagać więcej, niechby tylko podróż trwała tak, aż do samej Tsalal...

– A dlaczegożby nie dalej, panie Jeorling, dlaczegoż nie do samego bieguna?...

– Cóż znowu, bosmanie, biegun jeszcze bardzo daleko i nikt nie wie co się tam znajduje.

– Właśnie też, że nikt nie wie! Gdy więc tam będziemy, dowiemy się o wszystkim... Najprostszy to i niezawodny sposób poznania prawdy, przyznaj to pan sam, panie Jeorling!

– W zasadzie tak jest rzeczywiście – potwierdziłem. – Zapominasz jednak bosmanie, że kapitan Len Guy nie w takim celu, nie dla poznania bieguna, wybrał się w tę podróż, lecz aby ratować swego brata i jego towarzyszy. Sądzę też, że nie ma innych ambicyi nad to serdeczne pragnienie.

– Rozumiem to, panie Jeorling, rozumiem doskonale! Gdy jednak będziemy już zaledwie o jakie 300 lub 400 mil od bieguna, powiedz pan czy nie byłoby ładnie, przypatrzeć się krańcowi osi, wokoło której ziemia nasza obraca się niby kurczak narożnie – dowodził bosman, śmiejąc się filuternie.

– Ale czyż warto byłoby narażać się na nowe niebezpieczeństwo, czyż warto posuwać namiętność zdobywcy naukowych, aż do lekceważenia wszystkiego!

– Może tak, może i nie, panie Jeorling! Bo co do mnie, przyznać muszę że pochlebiałoby bardzo mojej dumie marynarza, gdym był dalej, aniżeli wszyscy wielcy podróżnicy przed nami; dalej może, aniżeli ktokolwiekbądź po nas...

– I myślisz, żeby cię to okryło sławą po wszystkie wieki.

– Właśnie! właśnie, panie Jeorling! Gdyby stawiony nam został projekt posunięcia się jeszcze stopni kilka za wyspę Tsalal, nie ja z pewnością tworzyłbym opozycję...

– Nie zdaje mi się, abyś się doczekał czegoś podobnego...

– Ja też tak sądzę, bo niechno tylko kapitan odnajdzie swych rozbitków, niezawodnie pospieszy zaraz do Anglii.

– I będzie to całkiem naturalne i logiczne. Bo zresztą jeśliby stara służba Halbranu poszła za swym wodzem, gdzie by mu się tylko podobało ją poprowadzić, to nowozaciągnięci nie okazaliby pewno tej gorliwości. Nie zostali bowiem najęci, i nie obowiązali się wcale do tak długiej i niebezpiecznej podróży, jaką byłaby droga do bieguna.

– Masz pan zupełną słuszość! Sądzę jednak, że znaczne korzyści mogłyby nawet i tam ich pociągnąć.

– Mojem zdaniem, i z tym warunkiem nie możnaby jeszcze na pewno liczyć na nich.

– Ha, może i nie! – odparł po namyśle Hurliguerly. W każdym razie oni przeważają nas w liczbie, a dało mi się już słyszeć, że Hearn i jego ziomkowie nie bardzo są radzi z tego, iż Halbran przebył zaporę lodową. Im zdawało się koniecznym, że po za koło biegunowe wyprawa nasza nie dosięgnie. Ale ten Hearn, to zły duch, panie! Trzeba go mieć na oku!... I nie zaniedbuję tego! – zakończył bosman z widocznym poczuciem swego obowiązku.

Od czasu gdym zostałem pasażerem Halbranu, udawałem się na spoczynek o 9-ej godzinie wieczorem, i spałem snem twardym aż do 5-ej rano. Zwyczaj ten, mimo nieustannego dnia, zachowałem i teraz.

Sen mój jednak z dnia 19-go na 20-ty przerwany został dziwnym jakimś marzeniem, czy też złudzeniem. Zostałem bowiem zbudzony (takie przynajmniej miałem uczucie) jakimś żalonym szepem czy jękiem, który się ciągle powtarzał, tuż blisko mego pośłania.

Nadstawiłem uważniej ucha, i słyszałem wyraźnie, jak głos jakiś, głos całkiem mi nieznanym, powtarzał słowa:

– Prym... Prym... biedny Prym!...

– Czyby ktoś ukrył się w mej kajucie? – pomyślałem – nie zamykam wprawdzie nigdy drzwi na klucz, ale zabawka podobna byłaby co najmniej niesmaczną...

– Prym – mówił tymczasem głos dalej – nie trzeba nigdy zapominać o biednym Prymie...

– Co to wszystko znaczy? Dla czego to dziwne ostrzeżenie do mnie właśnie jest zwrócone? Cóż mię mógł obchodzić Prym, którego nigdy nie znałem, a wiedziałem na pewno, że zginął już dawno jakąś śmiercią tajemniczą, po powrocie swym do Ameryki.

Poruszyłem się żywiej na łóżku i tym razem z całą już świadomością wstałem spiesznie i otworzyłem okiennice mego okienka.

Nie znalazłem jednak nikogo w kajucie; na pokładzie też pusto było i cicho, jeden tylko Hunt siedział przy sterze wpatrzony w busolę i jak zwykle prawie nieruchomy. Wróciłem na pośłanie z tem przeświadczeniem, że głos ten był jedynie snem lub przywidzeniem; pomimo jednak iż znowu

zasnąłem, kilka razy jeszcze zdawało mi się słyszeć te same żalodne słowa:

– Prym... Prym... biedny Prym...

Nazajutrz czytałem w pamiętnikach Pryma, o zaszłym pod datą, 10-go stycznia, smutnym bardzo wypadku. Jeden z najlepszych marynarzy na Orionie, niejaki Peters Vridenbourgh, pochodzący z Nowego Yorku, spadł z masztu do morza, a dostawszy się między dwa lodowce, zginął bez ratunku.

Była to pierwsza ofiara nieszczęsnej tej wyprawy, pierwsza z tylu innych czekających załogę Oriona...

Ale Wiliam Guy znajdował się wtenczas jeszcze z tamtej strony zapory lodowej, walcząc z silnymi mrozami i szalejącą burzą wśród niebezpiecznych lodowców; dziwniejszem było, że i na tych już przestrzeniach po przebyciu zapory, gdy Halbran płynął spokojnie bez żadnych nadzwyczajnych wypadków, Orion miał ich kilka, z których ciekawszem jest spotkanie na lodowcu olbrzymiego wzrostu i siły białego niedźwiedzia. Artur Prym, Dick Peters i Waterson, jako drugi oficer statku, wreszcie kilku uzbrojonych marynarzy, spuścili się do łodzi.

Zwierzę było wyjątkowych rozmiarów pięknym okazem stref podbiegunowych, z białem, nieco kudłatym futrem i okrągłym pyskiem jak u buldoga. Kilka danych wystrzałów ugodziło go wprawdzie, lecz nie powaliło, to też ryknawszy z bólu, skoczył do wody i rzucił się na łódź której o mało nie wywrócił, opierając o jej brzegi kosmate swe łapy. W tejże wszakże chwili Dick Peters ugodził go między łopatki, długim swym nożem, zagłębiając go aż po samą rękojeść. Czynem tym ryzykownym uratował wprawdzie swych towarzyszy, sam jednak straciwszy równowagę, runął wraz z przeciwnikiem do morza – i dopiero rzucona mu linka pomogła do wyratowania się. Złowione też martwe już zwierzę i wciągnięte na pokład Oriona, nie przedstawiało nic nadzwyczajnego, prócz swej wyjątkowej wielkości, nic przez coby można zaliczyć go między szczególne okazy, jakie opisuje Prym z wyspy Tsalal.

Tymczasem Halbran w jak najlepszych ciągle warunkach płynął dalej, i 2-go grudnia sprawdzono, iż znajdowaliśmy się pod $42^{\circ} 20'$ długości zachodniej a $82^{\circ} 50'$ szerokości południowej.

– Jeżeli zatem wyspa Bennet istnieje, znajdować się musi w pobliżu – pomyślałem.

Czy istnieje? Tak, niezawodnie, bo około 6-ej wieczorem strażnik oznajmił ląd na prawo, od bakortu.

ROZDZIAŁ XV

Wysepka Bennet.

A więc po przebyciu blisko ośmiuset mil od koła biegunowego, Halbran stanął wreszcie naprzeciw wyspy Bennet! I czas już był wielki! Pominąwszy bowiem dawniejsze utrudzenia, niemałą mieliśmy pracę w ostatnich szczególnie godzinach, gdy nastąpiła tak zupełna cisza, że posuwaliśmy się naprzód jedynie holowani przez łodzie. Można też sobie wyobrazić, do jakiego wyczerpania doszła nasza załoga. Aby więc wypoczynek był dla wszystkich zupełny, odłożono wylądowanie do dnia następnego.

Przespawszy spokojnie noc całą, byłem jednym z pierwszych na pokładzie. Oczywiście Jem West nie zaniedbał niczego, co przezorność kazała zachować w tych nieznanach, a z opowiadania Pryma, mocno podejrzanych okolicach; dość więc liczna zbrojna straż czuwała na pokładzie, a nawet armaty stały w pogotowiu, choć Halbran jedną tylko zarzucił kotwicę i to o całą milę od wybrzeży.

Noc jednak przeszła, a głęboka cisza wokół nie została niczem zakłócona. Brzegi zaś wyspy przedstawiały się tak puste, jak bezmierne morze w najgłębszą dal.

– Czy uważasz, panie Jeorling – zagadnął mię Len Guy, gdyśmy stanęli na ganku – tę, oto tam wyżynę?...

– Właśnie na nią zwróciłem w tej chwili uwagę, kapitanie.

– Czy odłamy te skalne nie przypominają ci porzuconych w nieładzie pak bawełny?

– W istocie, podobieństwo jest szczególne – tak właśnie jak o tem nadmieniał autor pamiętników...

– Co nas utwierdza raz jeszcze, że jest to niezawodnie wyspa Bennet – odparł Len Guy – pospieszmy zatem zwiedzić ją dokładnie! Może który z uwięzionych na Tsalal, zdołał się tu schronić... Może znajdziemy chociażby ślad jakiś, który nam rzuci promień światła na obecne ich stosunki... – dokończył cichszym już głosem.

O kilka więc siągów leżała przed nami ziemia, której przed jedenastu laty dotykały stopy Artura Pryma i Wiliama Guy, a której miano Bennet nadane zostało ku pamięci współwłaściciela Oriona.

Gdy jednak żaglowiec Wiliama Guy za przybyciem tu swoim znajdował się w stanie zostawiającym wiele do życzenia, gdy brak paliwa dokuczać począł, a wśród załogi zjawily się poważne objawy skorbutu, Halbran trzymał się jak najlepiej; zapasy jego były bogate, załoga zaś cieszyła się zupełnym zdrowiem.

To też Len Guy był niezwykle ożywionym – i w czarnych jego źrenicach jaśniały blaski fosforyczne, gdy pełen niepokoju pragnął conajprędzej znaleźć się już na wyspie.

Był wszakże człowiek, którego wzrok wyrażał więcej jeszcze, jakkolwiek tłumionej, niecierpliwości. Człowiekiem tym był Hunt. Od chwili zarzucenia kotwicy, oparty o poręcz na przodzie statku, z zaciśniętymi wargami wielkich ust swoich, z całą siecią zmarszczek na wypukłym czole, utkwiał wzrok w rozkładającym się przed nim lądzie i stał nieruchomy, rzechy można skamieniały...

Tymczasem gdy łódź spuszczoną została, Len Guy przed samem jeszcze zejściem do niej zalecał porucznikowi czujność nad wszystkim i dozór szczególnie nad nowo zaciężnymi, choć czynił to zapewne więcej dla własnego spokoju, aniżeli z uznania potrzeby – wiedział bowiem, że na Jem Westa może liczyć równie jak na siebie samego.

– Jeszcze jedno, Jem! – zawołał w końcu – sędzę, że pół dnia wystarczy mi tam zupełnie; gdybym jednak po tym czasie nie wrócił, wyślij mi naprzeciw drugą łódź z uzbrojonymi ludźmi.

– Dobrze, kapitanie – spełnię wszystko wedle rozkazów. – Co zaś dotyczy nowo najętych, weź ich ze czterech ze sobą, będzie o tyle mniej niespokojnych głów na statku.

Uwaga była słuszną, Hearn bowiem i jego towarzysze okazywali przy lada okazji brak karności.

Gdy więc czterech ludzi wybranych z rekrutów ujęli wiosła, Hunt na wyraźną swą prośbę stanął przy sterze, a kapitan, bosman i ja, wszyscy dobrze uzbrojeni, siedliśmy do łodzi, która ruszyła dość żwawo ku wybrzeżom wyspy.

W pół godziny później okrążyliśmy przylądek z owym stosem złomów skalnych, przypominających z dala paki bawełny, i ujrzeliśmy przed sobą tę samą przystań, gdzie przed jedenastu laty zatrzymała się łódź kapitana Wiliama Guy.

Tutaj też pokierował nas Hunt. Na instynkcie tego człowieka mogliśmy polegać w zupełności, a nawet patrząc jak zręcznie wymijał sterczące tu i owdzie rafy, wybierając przejścia pewne, z trudnością oparłem się posądzeniu, że miejsca te muszą mu być już znane.

Wysiedliśmy w głębi zatoki, z której właśnie ustępowało morze, zostawiając nagie piaski, zasiane mnóstwem drobnych, czarnej barwy kamieni.

Len Guy zwrócił mą uwagę na liczne też mięczaki, długie do 18-tu, szerokie do 3 cali, z których jedne spoczywały na płaskiej stronie swego ciała, inne czołgały się powoli, szukając zapewne potrzebnego im pożywienia, do budowy koralowych raf, których wierzchołki wznosiły się miejscami nad morze wokoło wysepki.

– Ślimak ten – tłumaczył kapitan – jest właśnie owym zwierzątkiem znanem pod nazwą „pianki morskiej” której Orion miał zabrać z wyspy Tsalal bogaty ładunek. Przypominasz pan sobie w jakich warunkach?

– Czy przypominam sobie? Ależ wszystkie te szczegóły które podaje Artur Prym, mam tak żywo w

pamięci, jak gdybym osobiście brał w nich udział.

Z opisów też Cuviera znalazłem tego mięczaka, z naukową nazwą Gasteropada pulmonifera, który czołga się jedynie z pomocą ruchomych pierścieni swego ciała, barwy bladawo-żółtej. Przystosowanie pianki na przedmiot handlu, wymaga dużo pracy. Najpierw bowiem przecina się ją przez całą długość, czyści, obmywa, gotuje, a w końcu suszy na słońcu. Że jednak w Państwie Niebieskiem uchodzi ona nie tylko za przysmak, lecz na równi z gniazdami jaskółczymi za potrawę nadzwyczaj odżywiająca, przeto popyt tam na nią jest znaczny, przy cenie dochodzącej 90 dolarów za wagę mniej więcej 30 funtów – co w każdym razie przedstawia ładne korzyści.

Zostawiwszy na straży dwóch majtków przy łodzi, dwóch drugich zabrał kapitan z sobą. Wraz więc ze mną, bosmanem i Huntem, było nas sześcioro silnych, gotowych na wszystko ludzi.

Milczący zawsze Hunt wysunął się naprzód, przyjmując mimowoli może, rolę przewodnika, przeciwko czemu nikt oczywiście nie protestował.

Grunt po którym stąpaliśmy był jałowy, niepodatny pod żadną uprawę, tak, że nawet dzikie ludy nie znalazłyby na nim pożywienia; co mówię, nawet najmniej wybredne zwierzęta roślinożerne, wzgardziłyby jedyną tu nędzną, twardą roślinką z rodzaju porostów.

– Jeśliby Wiliam Guy i jego towarzysze chcieli tu szukać schronienia – pomyślałem – musieliby już dawno pomrzeć z głodu.

Z wysokości znacznego wzgórza znajdującego się w środku wyspy, oko nasze objęło całą jej niezbyt zresztą obszerną przestrzeń. Nic wszakże, nic dokoła! żadnego śladu życia obecnego...

Może jednak choć odcisk nogi na ziemi, może resztki dawno zgasłego ogniska, może zwaliska chat, może cośkolwiek, co da dowód materialny czasowego tu pobytu ludzi z Oriona!...

Zeszliśmy ze wzgórza, i znów Hunt prowadził nas na południowe wybrzeże.

Gdy jednak i tu oko nasze nic szczególnego nie dostrzegło, bystry wzrok jego zatrzymał się wśród złomów kamiennych, na które wskazał ręką.

Podążyliśmy w tę stronę.

Kawał na wpół już zgniłej belki, widocznie część jakiegoś statku, leżał tam przysypany piaskiem.

– Przypominam sobie! – zawołałem – Artur Prym mówi o tej belce, uważając ją za szczątek okrętu; miały nawet być na niej widoczne ślady rzeźby jakowejś.

– W której brat mój wyróżniał kształty żółwia – dodał kapitan.

– Otóż właśnie wspomniany rysunek – rzekłem, obracając drzewo – jakkolwiek Prym utrzymywał, że żadnych kształtów dopatrzeć się w nim nie mógł. Nie na tem jednak dla nas polega rzecz najważniejsza; wystarcza nam bowiem stwierdzenie, że belka ta znajduje się jeszcze na tem samym miejscu, aby mieć pewność, iż od owego czasu nie był tu żaden człowiek. Sądzę też, że próżną

byłaby strata czasu na dalsze poszukiwanie. Jedyne na wyspie Tsalal znaleźć możemy jakieś wskazówki...

– Tak jest, na wyspie Tsalal! – potwierdził kapitan. – Wzdłuż wybrzeża skierowaliśmy się z powrotem ku zatoce.

W wielu miejscach występowały przerywane części pierścienia koralowego, a pianki morskiej była taka ilość, że wystarczyłaby na cały bogaty ładunek.

Hunt wyprzedzając nas zawsze, miał głowę spuszczoną, jak gdyby upatrywał jeszcze czegoś, ja jednak rozglądałem się wokoło.

Na bezmiernej, gładkiej powierzchni morza, jedynie Halbran stojący w północnej stronie wyspy, stanowił dla wzroku jakiś punkt oparcia. Zresztą nigdzie śladu jakiegokolwiek życia, jakiegokolwiek choćby dalekiego lądu. Nagle Hunt zatrzymał się i począł gwałtownie machać rękoma, przyklękawszy na ziemi. Podbiegliśmy ku niemu.

Na piasku leżał kawał nadpróchniałej deski, a grube, wielkie ręce Hunta dotykały jej z czułością i poszanowaniem, sprawdzając szpary, gładząc jej chropowatość.

Deska była do 6-ciu stóp długą, szeroką zaś na 6 cali. Po jednej stronie czarne, pomalowane znaki, nawpół okryte błotem, nawpół zatarte czy zmyte, wskazywały iż musiała stanowić część większego okrętu.

– Dla mnie wygląda to na tablicę umieszczoną na rufie żaglowca, na której wypisaną bywa nazwa statku – rzekł bosman.

– Masz słuszość, jest to niezawodnie część takiej tablicy – rzekł kapitan.

Hunt, ciągle na kolanach, zrobił głową ruch potakujący.

– Jedyne więc po rozbiciu i zatonięciu jakiegoś statku, mogły wyrzucić ją fale na wyspę Bennet, i kto wie...

– Może to jest!... – zawołał kapitan.

Pod wpływem równocześnie tej samej myśli, pochyliliśmy się obaj, usiłując odczytać zatarte litery, które Hunt obcierał rękawem.

Nie były one tylko malowane, lecz wyłobione w drzewie tak, iż czuć je było pod palcami. Napis ten przedstawiał się tak:

Orion z Liverpoolu!... Tak, niezawodnie!... Cóż to znaczy że kilka liter jest nieczytelnych?... Te które pozostały, wystarczają aż nadto, do złożenia nazwy żaglowca i miejsca jego pochodzenia...

Kapitan Len Guy ujął deskę w obie ręce i przyłożył do ust, a tłumione łkania rozsadzały mu piersi.

Stałem milczący, nie chcąc przerywać próżnemi słowami tak naturalnego wzruszenia.

Hunt tymczasem, iskrzącym wzrokiem, jak u dzikiego zwierzęcia, zapatrzył się w południową dal. Gdy jednak kapitan wstał, podniósł się i on z kolan, i nie rzekłszy słowa, położył deskę na swem ramieniu i szedł dalej z drugimi.

Wkrótce wróciliśmy do zatoki i odpłynęli do Halbranu.

Nazajutrz wszakże nie podniesiono jeszcze kotwicy, kapitan bowiem postanowił poczekać, choćby dzień jeden, w nadziei że wreszcie ustanie ta gnębiąca cisza, bo o ciągłym holowaniu statku nie mogło przecież być mowy.

Gdy więc lekki wietrzyk poruszył ciężką, jak ołów atmosferę, porzuciliśmy pustą wysepkę Bennet, uwożąc z niej cenny dowód katastrofy, jakiej uległ Orion na brzegach Tsalal.

Z pomocą lekkiego wiatru, przy dość wyraźnym prądzie wody ku południowi, płynęliśmy tak spokojnie, że zaledwie dawał nam się odczuwać ruch statku. Pomimo jednak, iż szczególną na wszystko zwracałem bacność, nie zauważyłem wcale, aby morze miało tu barwę wyjątkowo ciemno niebieską, nie widziałem też żadnej osobliwej rośliny na jego powierzchni, ani spotkaliśmy, choćby jednego z tych dziwacznych zwierząt o ciele długim na trzy stopy, wysokim na 6 cali, pokrytem białym, miękkim włosem, z krótkimi nóżkami, zakończonemi czerwonemi pazurkami, ogonem szczura, a pyszczkiem kota, w którym błyskały koralowe zęby.

Osobliwości te, jak się już dawno domyślałem, musiała stworzyć jedynie rozbujała fantazyja autora pamiętników.

Po kilku godzinach spokojnej żeglugi, słońce skryło się za mgły, z poza których jaśniało bladym tylko światłem, a słaby wiaterek cichł znowu tak, iż co chwila opadały żagle wzdłuż masztów.

Opóźnienie takie, właśnie w tym czasie, było dla wszystkich niemiłą próbą cierpliwości.

– A jednak to morze nie zawsze pewno bywa tak ciche... nieraz muszą tu szaleć gwałtowne burze, od których oby nas niebo uchroniło – myślałem dla własnego uspokojenia.

Choć tylko siłą prądu niesiony Halbran, posuwał się jednak o tyle naprzód, że wedle poczynionych

obliczeń znajdując się rano 24 grudnia pod $83^{\circ} 2'$ szerokości, mieliśmy zaledwie 20 mil od Tsalal, aż wreszcie o godzinie 6-tej minut 25 wieczorem, stanęliśmy naprzeciw tej odległej ziemi, wzruszeni i milczący.

Wraz z zarzuceniem kotwicy, cała załoga stanęła pod bronią, a rozstawione straże przykazane miały, baczenie na najmniejszy ruch na morzu.

Były jednak oczy umiejące patrzeć bystrzej od najczujniejszej straży, oczy zwrócone bez żadnej zmiany, niby igła busoli, w jedną nieruchomą ciemną plamę, jaką w pewnym oddaleniu tworzyła wyspa Tsalal, oczy Hunta.

ROZDZIAŁ XVI

Wyspa Tsalal.

Noc minęła spokojnie. Żadna łódź nie wypłynęła od strony wyspy, ani jeden krajowiec nie ukazał się na jej brzegach.

– Może tam nie dostrzeżono jeszcze naszego przybycia. Wiemy od Pryma, iż ludność skupia się tu głównie w środku wyspy, wybrzeża zaś są skaliste, a my zarzuciliśmy kotwicę o trzy mile od lądu – tłumaczyłem zaniepokojonemu kapitanowi.

– Podpłyniemy zaraz bliżej, tuż do koralowego pierścienia okrążającego Tsalal, na podobieństwo wysp Oceanu Spokojnego. Wydałem już odpowiednie rozkazy – rzekł Len Guy.

– Bardzo dobrze! Z punktu tego bowiem będzie nam łatwiej obserwować wszystko, bez zbytecznego narażenia się w każdym możliwym wypadku – odpowiedziałem.

I rzeczywiście, zmiana pozycji dozwoliła nam objąć cały obszar wyspy; mogącej mieć od 9 do 10 mil obwodu. Wybrzeże jej było puste zupełnie. Za skalistymi złomami ciągnęły się faliste wzgórza lub niezbyt obszerne doliny. Wszystko to jednak przedstawiało wygląd zupełnego pustkowia. Na pełnym morzu, ani u poszarpanych brzegów, nie dojrzałem ani jednej łodzi; ani jeden słup dymu nie wznosił się ponad wyżyny i zdawać się mogło, że ani jeden człowiek nie żyje w tej stronie wyspy.

Coś nadzwyczajnego zająć tu musiało od lat jedenastu Czyby umarł już wódz krajowców, ów chytry Too-Wit? Ale w każdym razie pozostała ludność tak liczna i natrętna... Wreszcie sam Wiliam Guy i jego towarzysze, gdzież są, czemu nie spieszą naprzeciw swych wybawców.

Gdy Orion ukazał się w tych stronach, Tsalalczycy ujrzeli wtenczas poraz pierwszy żaglowiec, i w naiwności swojej wzięli go za olbrzymiego ptaka, maszty jego za skrzydła... żagle, za upierzenie. Teraz jednak wiedzieli już co o tem sądzić; jeżeli więc nie spieszyli z wizytą do nas, czemu przypisać należy tę szczególną powściągliwość?...

– Spuścić wielką łódź na morze! – zabrzmiał rozkaz kapitana, a w głosie jego czuć było gorączkowe zniecierpliwienie.

– Jem – rzekł następnie do porucznika, odprowadzając go na stronę – dasz mi ośmiu ludzi, Marcina Holta i Hunta, sam zostaniesz na statku; pilnuj go zarówno od morza jak od lądu!

– Bądź bez obawy kapitanie!...

– Gdy wyląduję, będę usiłował dojść do doliny Klock-Klock, gdyby tymczasem zaszło tu coś

nadzwyczajnego, dasz mi znak trzema wystrzałami.

– Dobrze. Trzy wystrzały w odstępach jednonutowych... – odpowiedział porucznik.

– Gdybyśmy nie wracali przed wieczorem, wyślesz nam w pomoc drugą łódź z bosmanem i dziesięciu zbrojnymi.

– Dobrze.

– Pod żadnym pozorem sam nie opuścisz statku!...

– Pod żadnym!...

– Jeżelibyśmy nie wrócili, jeżelibyś nie odnalazł nas po czynionych możliwych poszukiwaniach, jeżelibyśmy, jednym słowem zginęli, wrócisz z żaglowcem do Falklandów!

– Dobrze kapitanie!...

Wielka łódź została szybko przygotowana. Ośmiu ludzi nie licząc Marcina Holta i Hunta, zeszło do niej. Każdy z nożem za pasem, każdy zbrojny w karabin i pistolet z dostateczną ilością naboju.

– Kapitanie – rzekłem, podchodząc do Len Guya – czy pozwolisz mi towarzyszyć sobie?

– Nie mając nic przeciw wyraźnej twojej woli, nie namawiam cię wszakże, panie Jeorling.

Pobiegłem spiesźnie do mej kajuty, gdzie miałem już wszystko przygotowane. Przewiesiłem więc dubeltówkę przez ramię, opatrzyłem raz jeszcze doskonały, o ośmiu strzałach rewolwer, zapiąłem w pas ładownicę i wkrótce zająłem miejsce obok kapitana, w głębi łodzi.

Omijając skały i rafy rozsiane wokoło, szukaliśmy przejścia wolnego, jak w 1828 roku 19 stycznia czynił to również Artur Prym i Dick Peters na łodzi Oriona.

Gdy jednak naprzeciw nim wypłynęli licznie krajowcy na swych pirogach, i w odpowiedzi na wywieszoną białą chustkę przez Pryma, wydawali okrzyki *anamoo-moo* i *lama-lama*, poczem Wiliam Guy pozwolił im wejść na pokład swego statku – naprzeciw naszej łodzi, nie wypłynął żaden krajowiec. Żaden znak życia, żaden ruch nie objawił się na wyspie.

Nie było jednak powodu skarżenia się na to, gdyż właśnie owo zawiązanie stosunków pozornej przyjaźni, stało się zgubą Oriona. Jak wiemy, kiedy Wiliam Guy powrócił z dalszej jeszcze wyprawy w stronę bieguna, by zabrać pozostałych na Tsalal ludzi wraz z przysposobionym ładunkiem pianki morskiej, dnia 1-go lutego cała prawie załoga statku padła ofiarą podstępny dzikiego plemienia, a Orion wybuchem prochu wysadzony został w powietrze.

Przez 20 minut łódź nasza krążyła wśród skał pobrzeżnych, aż wreszcie Hunt odnalazł wygodną, na 200 sążni szeroką przystań między dwoma przylądkami.

Po stromym zbrazegu wspinaliśmy się pod górę, zachowując się jak najciszej i nadstawiając ucho

na najmniejszy szelest. Nic nam jednak nie przeszło zapuścić się nawet dalej w głąb wyspy, z Huntem na czele.

Postępowałem obok kapitana, z którym robiliśmy sobie wzajemnie uwagi odnośnie do tego kraju, który wedle słów Pryma różnił się tak stanowczo od wszystkich ziem poznanych dotąd przez cywilizowane ludy.

Nie przesądzając co dalej ujrzę, mogłem już jednak od pierwszej chwili stwierdzić, że ogólna barwa gruntu była czarną, jakby powstał ze sproszkowanej lawy wulkanicznej, i że dokoła nie jaśniał żaden przedmiot biały.

Zaledwie uszliśmy ze sto kroków, Hunt popędził z całych sił na pierwsze wynioślejsze wzgórze. Jednym rzec można skokiem, niby zwinny kozioł skalny, znalazł się na jego wierzchołku, skąd rozkładał się widok na kilka mil wokoło. Stanąwszy jednak na miejscu, Hunt przybrał minę człowieka, który nie może rozpoznać dawno znanych sobie miejscowości.

– Co się jemu stało? – zapytał Len Guy, śledząc każdy ruch jego.

– Trudno się domyśleć – odpowiedziałem, bo wiesz równie dobrze jak ja, kapitanie, że w zachowaniu tego człowieka wiele jest rzeczy niewytłomaczonych. Czasami mam prawdziwą pokusę policzenia go do rzędu tak wyjątkowych istot, jakie wedle Pryma zamieszkują te ziemie. Można by nawet powiedzieć, że...

– Że co? – podchwycił Len Guy.

Lecz ja nie kończąc rozpoczętego zdania, zawołałem:

– Czy jesteś pewnym, kapitanie, żeś zmierzył dokładnie położenie tej wyspy?...

– Najpewniejszy...

– I jakie otrzymałeś wymiary?

– 83° 20' szerokości, i 43° 5' długości.

– Dokładnie?

– Najdokładniej.

– Więc niema żadnej wątpliwości, że to jest Tsalal?

– Jeżeli tylko Tsalal leży pod wskazanymi przez Pryma wymiarami, ziemia ta jest nią niezawodnie.

A jednak, chociaż rzeczywiście nie mogło być mowy o pomyłce z naszej strony, chociaż ziemia ta leżała najdokładniej pod wskazanymi przez Pryma stopniami i minutami szerokości i długości geograficznej, nie widzieliśmy tam nic, nic zupełnie z tego wszystkiego, co nam tak szczegółowo opisywały jego pamiętniki.

Gdy więc Prym mówi o drzewach wyjątkowych, nieznanych ani u bieguna północnego, ani w strefach umiarkowanych lub gorących; o skałach formacji zupełnie nowej; o strumieniach, których wody, a raczej płyn gęsty, przypominający roztwór gumy arabskiej, tak małą przedstawiały spójność, że można je było ostrzem noża krajać, nic z tego, a może nic więcej już z tego nie było na Tsalal.

Ani jedno drzewo, ani nawet krzew mały nie urozmaicał jednostajności widoku. W miejsce skał, falisto ciągnęły się nagie czarne pagórki, a wody ani zwyczajnej, ani nadzwyczajnej nie dostrzegłem ni kropelki.

Wkoło straszna, smutna, zupełna pustka!...

Hunt wszakże szedł szybkim krokiem dalej, nie okazując najmniejszego wahania. Zdawało się że ten sam instynkt naturalny, który wskazuje drogę ptakom przelotnym, prowadził go po tej ziemi obcej, a jednak jakby dobrze mu znanej.

Idąc za nim, nie przestawałem rozglądać się uważnie coraz większemu ulegałem zdziwieniu.

Grunt po którym stąpaliśmy, zdawał się świeżo wewnętrzną jakąś gwałtowną przewrócony siłą; czarność jego przypominała spaloną lawę wyrzuconą z głębi wulkanu. Możliwość powiedzieć, że jakaś straszliwa moc, jakiś kataklizm okropny wstrząsnął nią całą i zmienił jej powierzchnię. Jeżeli zaś sama powierzchnia gruntu przedstawiała się tak odmiennie od tego, na co byliśmy przygotowani, nie mniejszą różnicę znajdowaliśmy we wszystkim, albo raczej znajdowaliśmy brak wszystkiego. Ani szczególnego ptactwa z rodzaju kaczek, ani zółwi olbrzymich, ani świń czarnych z puszystymi ogonami i wysmukłymi nóżkami antylop, ani owiec o długiej, miękkiej, czarnej wełnie, ani wreszcie dzikich czy oswojonych albatrosów z pięknym czarnym upierzeniem. Nawet pingwinów tak powszednich i tak licznych na najdrobniejszym lądzie w tych stronach, nie posiadała wcale w obecnej chwili nasza wyspa.

Grobową pustką i milczeniem ponure rozpostarły tu wszechwładne swe panowanie.

A wśród tego spustoszenia widnego zarówno u brzegów jak i w głębi wyspy, czy może być mowa o życiu człowieka? Czy można się spodziewać odnalezienia tutaj Wiliama Guya i pięciu jego towarzyszy?...

Spojrzałem na mego kapitana. Bładość jego twarzy i głębokie zmarszczki na czole wskazywały nadto wyraźnie, że i on począł tracić wszelką nadzieję.

Doszliśmy wreszcie do doliny, w której podług opisu znajdować się miała dawniej wieś Klock-Klock. Ale i tu jak wszędzie zupełny brak życia. Ani śladu chat i namiotów, ani jeden palik lub gałąź drzewa, na których rozpięte były niegdyś skóry zwierząt. Znikły wawozy i pieczary utworzone przez osobliwe steatydy, wyschło i zrównało się koryto w którym płynęły gęste wody strumienia, wijącego się wśród osady. A wobec tak zupełnego przewrotu, cóż się stało z ową liczną ludnością miejscową? Gdzie podzieli się ci ludzie silnie zbudowani, nawpół nadzy, lecz uzbrojeni w szczególnego rodzaju narzędzia? Gdzież podziały się owe piękne w swem rodzaju kobiety, którym równych nie znajdzie w cywilizowanym społeczeństwie? – jak się wyraża Artur Prym. – Gdzież te gromady dzieci, które swą liczbą zwróciły uwagę przybyszów. Tak jest, cóż się stało z tymi osobliwymi ludźmi, o skórze

czarnej, czarnych włosach i również czarnych jak heban zębach, dla których widok białej barwy, był przedmiotem najwyższej trwogi?...

Napróżno też szukałem czterech grubych pni drzewa, między którymi rozpięty miał być namiot Too-Wita; gdzie Wiliam Guy, Artur Prym i Dick Peters oraz starsi z załogi Oriona przyjęci byli z oznakami szacunku; gdzie wydaną była dla nich uczta, na której krajowcy spożywali z dziką drapieżnością, podane jako przysmak największy, ciepłe jeszcze wnętrzności zwierząt?

Długo i napróżno usiłowałem rozwiązać tę zagadkę, aż nagle jakiś promień światła błysnął w moim umyśle.

– Trzęsienie ziemi! Tak, niezawodnie trzęsienie ziemi – zawołałem. – wystarczyło jednego dnia, aby tak pospolite w tych stronach wybuchy wulkaniczne wskutek nagromadzenia pary i wyziewów w łonie ziemi, zmieniły zupełnie powierzchnię, równie małej jak ta, wysepki.

– Myślisz pan, że to wskutek trzęsienia ziemi znajdujemy w tym stanie wyspę Tsalal? – zapytał zgnębionym głosem Len Guy.

– Tak kapitanie; moim zdaniem jest to rzecz najpewniejsza! Tylko bowiem owa siła mogła zniszczyć wszystko, co było na jej powierzchni, wszystko co opisuje tak dokładnie Artur Prym.

Gdym to mówił, Hunt zbliżył się właśnie do nas i poruszeniem olbrzymiej swej głowy dawał znaki, że jednego jest ze mną zdania.

– Bo czyż – ciągnąłem dalej – ziemie bieguna południowego nie są natury wulkanicznej? I gdybyśmy popłynęli aż do ziemi Wiktorya, pewny jestem, że zastalibyśmy tam Drebusa i Terrora w pełnym wybuchu.

– A jednak – zauważył Marcin Holt, gdyby to był wybuch, byłyby też ślady świeżej lawy...

– Nie może być tu mowy o niedawnym wybuchu, przypuszczam tylko trzęsienie ziemi – odpowiedziałem – a im więcej zastanawiam się nad tem, tym prawdziwszem przedstawia się memu sądowi takie rozwiązanie kwestyi...

I w tej chwili przypomniałem sobie, że wedle opisu Pryma, Tsalal należała do grupy wysp ciągnących się w stronę zachodnią; jeżeli więc tamte ziemie nie zostały zniszczone, być może iż ludność tsalalska szukała na nich schronienia! Należało więc koniecznie zwiedzić je teraz, gdyż wraz z krajowcami i reszta załogi Oriona mogła się tam znajdować.

Pospieszyłem podzielić się z kapitanem memi domysłami.

– Tak jest – zawołał tenże i łzy zabłyśły w jego oczach – tak być rzeczywiście może, chociaż znowu, jakże mój brat, jakże jego towarzysze zdołali stąd uciec? Czyż nie jest więcej prawdopodobnem, że zginęli tu w czasie owego kataklizmu...

Tu Hunt uczynił nagle ręką znak, jakby zachęcał nas do pójścia za nim w pewnym kierunku i sam puścił się szybko przez dolinę do miejsca, na którym już zdaleka jaśniały nagromadzone szczątki

szkieletów ludzkich, a które, jak się zdawało, bystry wzrok jego dostrzegł już dawno.

Stanęliśmy na cmentarzysku, na którym rozegrać się musiał straszny dramat owej chwili ogólnego zniszczenia i uczucie grozy sparaliżowało nasze ruchy, przygniatając niemą rozpaczą.

– Mój brat! mój drogi brat – jęknął wreszcie Len Guy, klękając na ziemi.

Tymczasem w umyśle moim zbudziły się znowu pewne wątpliwości. Jakże bowiem pogodzić fakt zaszłej katastrofy z notatkami Watersona, w których zapewniał nas tenże najwyraźniej, że zostawił na Tsalal swych towarzyszy.

A więc w tem trzęsieniu ziemi, które wnosząc ze stanu szkieletów, musiało mieć miejsce przed kilku już laty, zginąć oni w żaden sposób nie mogli. Jeżeli zaś trzęsienie nastąpiło po odpłynięciu Watersona na lodowcu, to znowu nie możliwym było, aby te białe już i czyste kości należały do ofiar tak niedawnego wypadku.

Zatem Wiliam Guy i jego towarzysze nie spoczęli tu jeszcze snem wiecznym. Nie ich szczątki leżały przed nami. Gdzie jednak byli, gdzie należało nam teraz ich szukać? oto najtrudniejsze do rozwiązania pytanie.

Ponieważ dolina Klock-Klock nie ciągnęła się dalej, wypadało nam nawrócić tą samą drogą, aby dosięgnąć wybrzeża. Zaledwie jednak przebyliśmy małe pół milki, gdy Hunt zatrzymał się znowu przed bielejącymi, na wpół już spróchniałymi kośćmi. Kształty ich wskazywały budowę ciała zwierzęcego.

Byłyż to szczątki jednego z dziwnych tych stworzeń, jakie Prym opisuje, a których nie spotkaliśmy dotąd ani jednego żywego okazu?

Krzyk, albo raczej ryk dziki wyrwał się z piersi Hunta, gdy wielka jego ręka podniosła z ziemi i ukazała nam naszyjnik metalowy.

Była to obroża miedziana pokryta już śniedzią, na której wszakże widniały jeszcze wyryte litery, tworzące napis.

Sułtan. Artur Prym.

Sułtan! Taka była, jak sobie przypominamy, nazwa psa, nieodstępного towarzysza Pryma, psa który na Grampiusie dręczony pragnieniem, przeraził swego pana oznakami wścieklizny, który następnie brał czynny udział w ostatecznej na tym okręcie walce marynarzy.

Więc zwierzę to nie zatoneło wraz z okrętem, więc znalazło ocalenie na Orionie, mimo że pamiątki nie wspominają już o niem wcale.

Tysiące sprzecznych myśli opanowało mój umysł. Nie wiedziałem zupełnie, jak pogodzić te wypadki. A jednak jasnym było, iż rzeczywiście Sułtan musiał żywy towarzyszyć swemu panu aż na wyspę Tsalal, i że dopiero tutaj zginął prawdopodobnie w czasie katastrofy, przygotowanej na zniszczenie załogi Oriona.

Ale i tu, między temi szczątkami, nie odnajdziemy kości Wiliama Guy'a i jego towarzyszy, skoro byli oni jeszcze przy życiu zaledwie siedm miesięcy temu...

W trzy godziny później powróciliśmy na Halbran, nie znalazłszy już nic więcej – nic, coby rozświetliło chociaż trochę tajemniczość położenia.

Len Guy zrozpaczony i zgnębiony zamknął się w swej kajucie i nie opuścił jej nawet w porze obiadowej.

Szanując jego boleść, nie starałem się wcale z nim widzieć.

Nazajutrz wszakże zapragnąłem raz jeszcze przejść wyspę od brzegu do brzegu i przepatrzyć każdy jej zakątek. Za pośrednictwem porucznika otrzymałem od kapitana łatwe na to zezwolenie.

Hunt, Marcin Holt i czterech marynarzy, wraz ze mną popłynęli tą samą co wczoraj drogą. Oczywiście wszelka broń była już zbyt słabą wobec pewności, że tam nie grozi nam żadna napaść, żadne niebezpieczeństwo. Hunt służył nam, jak zawsze, za przewodnika.

Kierując się ku dolinie Klock-Klock, przechodziliśmy przez te same miejsca, kędy utworzone były owe sztuczne skały i wąwozy steatydowe, gdzie znajdowała się również ciekawa grota opisana przez Pryma, z hieroglificznymi znakami, których odtworzony rysunek miał oznaczać wyrazy: „Istota biała” i „kraje południa”.

Wszystko to jednak zrównane, zatarte, niczem już nie pobudzało ciekawości naszej – i ziemia ta osobliwa, ta wyjątkowa na kuli ziemskiej, Tsalal, przestała być wyjątkiem i osobliwością.

Okrążając wzdłuż wybrzeża wyspę całą, napotkaliśmy też szczątki szopy wzniesionej przez załogę Oriona, dla suszenia pianki morskiej. Nic wszakże nad te kawałki nadpróchniałych desek i bali, nic coby nam dozwoliło powziąć jakiegokolwiek nowe domysły i przypuszczenia.

Wokoło cisza zupełna, przygnębiająca, której nie przerywał nawet okrzyk *tekeli-li*, wydawany zarówno przez krajowców na widok białej barwy, jak przez olbrzymie jakieś czarne ptaki, ciągnące wówczas w powietrzu.

Gdyśmy doszli do miejsca, w którym Artur Prym i Dick Peters w ucieczce swej dopadli łodzi krajowców, staczając z nimi ostatnią walkę, Hunt stanął nieruchomo ze skrzyżowanym i na piersiach rękami.

– A więc Huncie!... – rzekłem do niego.

Lecz dziwny ten człowiek zdawał się mnie nie słyszeć i nie zwrócił się wcale ku mnie.

– Czegoż tak stoisz, i o czym myślisz Huncie – rzekłem znowu, dotykając ręką jego ramienia. Tym razem drgnął na całym ciecie, a wzrok jego przeszył mię do głębi.

– No Huncie! – zawołał Hurliguerli – czy ty myślisz tu pozostać? Czy nie widzisz, że tam oto Halbran czeka na nas? Jutro zapewne nawrócimy z powrotem, gdy tu niema już co robić!...

Zdawało mi się, iż drżące usta Hunta powtarzały cicho słowa: nic! nic!... podczas gdy całą swą postacią usiłował przeczyć ostatnim słowom bosmana.

Powróciliśmy na statek.

Kapitan nie opuścił dotąd swej kajuty, porucznik też nie otrzymał jeszcze rozkazu przygotowania do odwrotu. Właśnie siadałem na ławce pod wielkim masztem, gdy ujrzałem zbliżającego się do mnie Len Guy'a, zmienionego do niepoznania.

– Panie Jeorling – odezwał się cichym głosem – otóż zrobiłem wszystko co było w mej mocy. Powiedz sam, czy mogę jeszcze mieć nadzieję odszukania mego brata?... mnie się zdaje, że wszystko już bezpowrotnie przepadło. Trzeba więc wracać zanim zima nadejdzie...

– Jutro Jem – dodał po chwili przykrego milczenia, jutro przygotuj wszystko do odwrotu.

W tej chwili gruby, szorstki głos jęknął za nami:

– A Prym, biedny Prym...

Głos ten poznałem, był to ten sam, który jednej nocy niepokoił mię we śnie.

Koniec części pierwszej

Część druga

ROZDZIAŁ I

A Prym?

Postanowienie kapitana Len Guy'a opuszczenia z dniem następnym brzegów wyspy Tsalal, smutna rezygnacja jego, pozbawiona nadziei odnalezienia rozbitków z okrętu Orion, ta wyprawa tak nieudana, mimo szczęśliwego przezwyciężenia trudności żeglugi – wszystko to wzburzyło niezwykle mój umysł.

– Jakże to – pomyślałem – więc tych sześciu ludzi, o których istnieniu zapewniały nas przed paru zaledwie miesiącami wiarogodne notatki Watersona, więc tych nieszczęśliwych, oczekujących bezwątpienia dotąd ludzkiej pomocy, zapewne na którejkolwiek z pobliskich wysp, my teraz opuścić mamy? Czyż nie powinien kapitan Halbranu próbować nawet rzeczy niemożliwych, dla uratowania tych, dla których odbył tak trudną podróż?...

Mieliśmy przecież zaledwie święta Bożego Narodzenia, zostawało nam zatem całe jeszcze dwa miesiące pory letniej w tych stronach. Dwa miesiące, to nie za mało czasu, by zwiedzić choćby najbliższe okolice morza i jeszcze przed nadejściem zimy wrócić na północ... A oto Halbran już z dniem następnym miał przygotować się do odwrotu!...

Gdy wszakże żywe me zainteresowanie losami rozbitków z Oriona, podniecało mój umysł, nasuwając mi powyższe myśli – zimny, zdrowy rozsądek wskazywał mniej świetne warunki, jakie pociągały za sobą, dalsze poszukiwania.

Bo jeśli dotychczas Halbran posuwał się drogą dokładnie zakreśloną wśród obszarów wodnych, dążąc do ściśle oznaczonego celu, jakim była wyspa Tsalal, teraz musiałby tylko błądzić, narażając się na Bóg wie jakie niebezpieczeństwa. A potem sama niepewność, jakiemu losowi uległa ludność tsalalska i wraz z nią nasi nieszczęśliwi... Przyjąwszy bowiem, iż zdołali się ci ostatni mianowicie, uratować w chwili ogólnego zniszczenia wyspy, cóż zapewnia, że są na najbliższych jej lądach? Czyż nie mogli również dobrze w swej ucieczce być porwani przez silny prąd, i uniesieni daleko, jak to miało miejsce z łodzią Pryma i Petersa... Bo, że ten świat podbiegunowy posiada więcej lądów nad te, któreśmy dotąd zwiedzili, uznawałem za rzecz zupełnie pewną. W każdym razie jednak, były to ziemie okryte dotąd zupełną tajemnicą; dziwy bowiem, które opowiadał Prym, z czasów, gdy łódź jego z coraz większą gwałtownością zdążała ku roztwierającej się przed nią przepaści, nie można było brać w poważny rachunek, uważając je raczej za przywidzenia halucynacyjne.

Gdybyż przynajmniej zdołał być kapitan odszukać Dicka Petersa, za swej bytności w Illinois, jakiejże nieocenionej wagi nabrałyby teraz jego wskazówki, jakim dobrodziejstwem nieba stałaby się jego obecność na Halbranie!...

Co wszakże powiedziałyby na dalszą podróż załoga statku, ta załoga, w której żywił obcy

zebranych na Falklandach rekrutów, przeważał? Czy można się było spodziewać, że ludzie ci najemi, pociągnięci tu jedynie zyskiem sówitej zapłaty, zechcą narażać swe życie na niebezpieczny, dłuższy pobyt w tych stronach? I gdyby nawet kapitan nakazał im posłuszeństwo, czy nie należało obawiać się ich buntu? Czy śmiały Hearn nie wystąpiłby pierwszy z protestem?

Wreszcie pomijając nawet to wszystko, zimna rozwaga radziła liczyć się z warunkami klimatycznymi. Po wyjątkowo bowiem wczesnem lecie, mogła także wcześniej nastąpić zima, i to morze obecnie ciche i spokojne, stanie się widownią najstraszniejszych burz i huraganów, o gwałtowności nieznaney w żadnym innym zakątku świata. Powierzchnię jego może ściąć silny mróz, uniemożliwiający dalsze ruchy na całe długie miesiące, a wiadomem jest, że sile tych mrozów nie oprze się żadne żyjące stworzenie.

Wobec więc tylu warunków tak ważnych, czy mógł kapitan nadużyć swej władzy, czy mógł narażać życie całej załogi dla niepewnej nadziei ratowania sześciu ludzi? Prawdopodobnie sumienie jego nie godziło się z tą myślą, i choć serce cierpiało, że nie da pomocy ukochanemu bratu, dla którego dążył tu z takim poświęceniem, jednakże zdobył się na tyle woli, by choć drżącym od wewnętrznej walki głosem, wydać rozkaz porucznikowi:

– Jutro o wczesnej godzinie przygotuj statek do powrotnej drogi.

Mimo wszakże uznania, jakie powziąć musiałem dla tego aktu wielkości duszy, której dowody złożył w tej chwili Len Guy, nie mogłem się w żaden sposób pogodzić z myślą, że wyprawa nasza skończy się tak niefortunnie. W gorączkowym mym zapale byłem gotowy poświęcić wszystko, byle tylko nie opuszczać jeszcze tych stron, byle odszukać wreszcie naszych rozbitków.

Sama nawet kwestya naukowa, to nadzwyczajne już zbliżenie się do bieguna, od którego oddzielało nas zaledwie 400 mil, i możność posunięcia się dalej, przy wolnem zupełnie naokoło morzu, stały przedemną jako silna pokusa, której z pewnością uległby każdy inny, najmniej nawet ambitny podróżnik. A jeśli jeszcze tam, u samej osi ziemi istnieją lądy stałe, dotrzeć do nich było kwestyą kilku, lub kilkunastu dni zaledwie...

Ale kapitanowi nie wolno było poddawać się chwilowym porywom. Na jego sumieniu ciążyła odpowiedzialność za życie całej załogi. Nie na zdobycie lub poznanie bieguna wyruszył on w tę wyprawę, nie w tym celu i nie tak daleko zgodzili się służyć nowozacieżni na Halbranie.

Uważaliśmy więc wszyscy kampanię naszą za skończoną i tem większe było zaciekawienie ogółu, gdy usłyszeliśmy nagle słowa:

– A Prym – biedny Prym?...

Zwróciłem się spiesznie w stronę skąd głos pochodził

To Hunt nieruchomo zapatrzony w daleki horyzont, wydał ten okrzyk...

Pierwszy raz zapewne od chwili, kiedy osobliwy ten człowiek stanął na pokładzie naszego statku, usłyszała załoga głos jego; zdumienie więc było tak ogólne, iż wszyscy otoczyli go kołem, ja zaś

doznałem wrażenia, jakoby nadeszła chwila nadzwyczajnych jakichś zeznań.

Jem West skinieniem ręki kazał cofnąć się wszystkim marynarzom w głąb pokładu; pozostali na miejscu tylko bosman, Marcin Holt i Harin, którzy zajmując nieco wyższe stanowiska, czuli się w prawie do pewnych, wyjątkowych przywilejów.

– Cóżżeś to mówił? – zapytał kapitan, zbliżając się do Hunta.

– Powiedziałem... tak, powiedziałem: A Prym, biedny Prym!

– Cóż miałeś na myśli przypominając nam w tej chwili człowieka, na którym ciąży cała odpowiedzialność za nieszczęsne losy Oriona; człowieka, który pociągnął brata mego w tak niebezpieczną, tak awanturniczą podróż?...

Zdawało się, że Hunt nie rozumie pytania.

– Odpowiedz mi zaraz! – zawołał kapitan zniecierpliwiony.

Hunt milczał jeszcze, nie dla tego wszakże, aby nie wiedział co odpowiedzieć, ale dla trudności, jaką znajdował w wypowiedzeniu swych myśli. Mowa jego była urywaną, niewyraźną, zarówno w słowach, jak w samym sposobie wysłowienia, posiadając nadto akcent właściwy krajowcom indyjskiego pochodzenia z Far West.

– Ja nie wiem, kapitanie – zaczął wreszcie – mój język się płacze... chciej mię pan zrozumieć... Ja mówiłem o Prymie, o biednym Prymie, czy tak?...

– Tak właśnie – potwierdził suchym tonem porucznik. Cóż jednak masz nam do powiedzenia o Arturze Prymie?

– Ja chciałbym powiedzieć, że... że nie należy go opuszczać teraz...

– Nie opuszczać go! – zawołałem.

– Tak jest, nie opuszczać – powtórzył Hunt. Pomyśl pan tylko, to byłoby teraz okrutne... Pójdziemy go szukać, prawda?...

– Szukać go? – zapytał Len Guy.

– Chciej mię zrozumieć, kapitanie. Toż ja dla tego tylko nająłem się na statek, tak, tylko dla tego, by odszukać biednego Pryma...

– Ależ on dawno spoczywa w grobie, w swem rodzinnem mieście – rzekłem.

– Nie, panie, on jest tam, gdzie pozostał, sam, sam jeden... – tłumaczył Hunt, wskazując ręką południe. – A jedenaście już razy od tego czasu wzniosło się słońce nad tym horyzontem...

Obrazową swą mową Hunt chciał bezwątpienia oznaczyć okolice podbiegunowe. Do czego jednak

zmierzał, co miał właściwie na myśli?

– Zdaje się, iż wiesz że Artur Prym już nie żyje – rzekł kapitan.

– Prym umarł? O nie! – zawołał Hunt przecząc równocześnie żywą gestykulacją. – Nie! – powtórzył raz jeszcze z mocą. – Posłuchaj, kapitanie! Ja wiem wszystko... chciej mię pan zrozumieć; on nie umarł...

– Huncie – rzekłem głośno, przystępując ku niemu – przypomnij sobie: w ostatnim rozdziale pamiętników Artura Pryma, Edgard Poë opowiada o jego nagłej i tragicznej śmierci. – W myśli zaś dokończyłem: – fakt ten jednakże pokrywa jakąś dziwną tajemnicą, która mię zawsze drażniła. Czyżbym teraz miał dowiedzieć się wszystkiego, czyżby ten Hunt wiedział więcej niż Poë? Zaciekawienie moje wzrastało z każdą chwilą.

Również żywo zainteresowany kapitan, rzekł też łagodniejszym już głosem:

– Wyłomacz się, Huncie! Namyśl się powoli! Powiedz nam wszystko, co wiesz o tem...

I podczas, gdy Hunt wielką swą dłońią tarł czoło, jak ktoś, który szuka dalekich wspomnień, pochyliłem się do kapitana z uwagą:

– Jest coś dziwnego w zachowaniu się tego człowieka, kto wie, może on jest chorym umysłowo...

Stojący obok mnie bosman, ruchem głowy potwierdził moje przypuszczenie, oddawna bowiem uważał on Hunta za pozbawionego zdrowych zmysłów.

Ale szczególny ten człowiek zrozumiał nasze porozumienie, rzucił się zrazu gwałtownie, potem stanął pewny siebie i ostrym zawołał głosem:

– Nie, waryatem nie jestem! Waryaci są tam na Preriach; ludzie ich szanują, choć im nie wierzą.... ale mnie... mnie trzeba wierzyć... ja nie kłamię... Prym nie umarł!...

– Jednak Edgard Poë utrzymuje przeciwnie – rzekłem.

– Tak, ja wiem... Edgard Poë z Baltimory; ale on nie widział nigdy biednego Pryma...

– Jakto! – zawołał Len Guy – Cóż ty gadasz, przecież oni znali się dobrze...

– Chciej mię zrozumieć, kapitanie, nie znali się!...

– Więc to nie sam Artur Prym opowiadał swe przygody Edgardowi Poë?...

– Nie, kapitanie! Tamten z Baltimore miał tylko notatki, które Prym rozpoczął od pierwszej chwili ukrycia swego na Grampiusie, a pisał je, aż do ostatniej godziny... do ostatniej... chciej mię pan zrozumieć...

Widocznie biedny Hunt obawiał się, iż nie dość jest jasny, nie dość przekonujący, co tem

więcej krępowało jego mowę.

Zresztą trudno temu przeczyć, słowa jego miały tak mało prawdopodobieństwa... Bo jakże przyjąć bez zastrzeżenia, że Artur Prym nie wrócił nigdy do Ameryki, nie miał znać się z Poëm, że autor ten jedynie z notatek czerpał wiadomości, które ogłosił drukiem.

– Któż zatem przywiózł do Ameryki ten dziennik Pryma? – zapytał kapitan, chwytając z żywością rękę Hunta.

– Przywiózł towarzysz Pryma, ten, który go kochał jak własnego syna. Pan wie, ten Dick Peters... pochodzenia indyjskiego, a który sam jeden tylko powrócił...

– Dick Peters? – zawołałem.

– Tak panie...

– To on sam tylko powrócił?...

– Sam!

– A Artur Prym?

– On jest tam! – rzekł Hunt z mocą przekonania, wskazując ręką stronę południową, ku której nieustannie był zwrócony.

Oczywiście, zapewnienia Hunta nie wystarczały nam w zupełności. Marcin Holt trącił też łokciem bosmana, poczem obaj spojrzeli na mówiącego z pewnem politowaniem, podczas gdy Jem West nie spuszczał z niego oka, a kapitan dał mi znak dający się tłómaczyć, iż uważa, jakoby z biednym tym, może oddawna chorym umysłowo, nie mogło być żadnej poważnej rozmowy. A jednak, gdym popatrzył wprost w jego małe, bystre oczy, zdało mi się wyraźnie dostrzegać w nich szczerść i prawdę. Począłem więc stawiać mu dokładne, treściwe pytania, na które również treściwe i szybkie dawał odpowiedzi, nie zmieszawszy się ani na chwilę.

– Posłuchaj – rzekłem – więc po uratowaniu się na łodzi Grampiusa, Artur Prym i Dick Peters, dostali się na Oriona, na którym odbyli podróż aż do wyspy Tsalal?

– Tak panie!

– I tutaj, gdy kapitan Wiliam Guy udawał się do osady Klock-Klock, Prym odsunął się nieco na bok wraz z Petersem i jednym jeszcze marynarzem?

– Tak jest, i marynarz Allen przygnieciony został na śmierć walącemi się kamieniami.

– Ale pozostali przy życiu, patrzyli z daleka na napad krajowców na żaglowiec, i na ostateczne jego zniszczenie?

– Widzieli wszystko – potwierdził Hunt.

– Następnie po jakimś czasie, opuścili wyspę dopadłszy łodzi krajowców, którzy nie zdołali im jej odebrać.

– Tak panie, tak było zupełnie!...

– I w dwadzieścia dni później porwani zostali w przepaść jakiegoś wodospadu?...

Tym razem Hunt nie dał krótkiej, stanowczej odpowiedzi, lecz jękając się, wymawiał urywane, niezrozumiałe słowa.

Zdawało się, iż usiłuje rozbudzić uspioną swą pamięć. Wreszcie spojrzawszy mi prosto w oczy, rzekł z przekonaniem:

– Nie zginął tam wcale – zechciej mię pan zrozumieć... – Dick Peters nigdy mi o tem nie mówił...

– Dick Peters? Alboż ty znałeś Dicka Petersa? – zapytał porucznik.

– Znałem go.

– Gdzie?

– W Wandalia, w Stanie Illinois.

– Czy to od niego masz te wiadomości o owej podróży?

– Od niego, poruczniku!

– Więc on powrócił sam, zostawiwszy tu Pryma?...

– Sam powrócił.

– Opowiedz-że raz wszystko co wiesz – zawołałem, nie mogąc dłużej opanować zniecierpliwienia. Bo oto ten Hunt znał osobiście Dicka Petersa, i słyszał z ust jego wszelkie szczegóły wypadków, które sądziłem, iż na zawsze pozostaną dla nas tajemnicą.

Ulegając wpływowi mego rozkazu, Hunt począł opowiadać w zdaniach urywanych wprawdzie, lecz dość wyraźnych.

– Tak... była tam zasłona z mgły... mówił mi o tem często Peters... niech mię pan zrozumie... Obadwaj, Prym i on płynęli w łodzi z wyspy Tsalal... Potem... potem, nadpłynął lodowiec, nastąpiło silne zetknięcie i Peters wpadł do morza. Zdołał jednak ucześcić się lodowca... następnie wdrapał się na niego i – chciej mię pan zrozumieć, widział, jak łódź biegła dalej z prądem daleko – bardzo daleko... Napróżno Prym usiłował nawrócić i złączyć się z towarzyszem, prąd unosił łódź z wielką siłą... I Prym, biedny Prym... kochany Prym... nie powrócił dotychczas! Jest tam... dotychczas tam!...

Prawdziwie, gdyby Dick Peters we własnej osobie wypowiadał ostatnie słowa, nie byłby z

pewnością zdolny nadać większej siły i głębszego, serdeczniejszego uczucia owemu wykrzyknikowi: biedny, kochany Prym!

Bądź co bądź jednak, oto odkrytym został przed nami fakt, iż Artur Prym rozdzielonym został ze swym towarzyszem, jeszcze przed zasłoną z mgły, którą tworzył wodospad. Odtąd pozostawało jeszcze pytanie, jakim sposobem, gdy prąd unosił Pryma dalej ku południowi, Peters mógł wrócić na północ, przebyć zaporę, koło biegunowe i dostać się do Ameryki. Aby rozjaśnić tę kwestyę badałem Hunta dalej, a on odpowiadał na wszystko zgodnie z tem, co, jak mówił, słyszał po wiele razy od swego przyjaciela Petersa.

A więc w chwili rozdziału, Peters miał właśnie w kieszeni pamiętniki Pryma, i strzegąc ich jak największego skarbu dowiózł do Ameryki, gdzie je oddał znakomitemu autorowi i wydawcy.

– Niech mię pan zrozumie, ja tu nic nie zmyślam – zapewniał Hunt – powtarzam tylko wszystko com słyszał od przyjaciela.

Gdy prąd unosił go na lodowcu, krzyczał biedny z sił całych, ale Prym był już daleko, łódź jego mała w oddaleniu, aż wreszcie zniknął całkiem; dostali się bowiem na dwa przeciwne sobie prądy. Po jakimś czasie głodny i wycieńczony, żywiąc się tylko surowem mięsem ryb, które zdołał pochwycić z lodowca, znalazł się znowu u wyspy Tsalal.

– Jakto, u Tsalal?... – zawołał zdziwiony kapitan. – A ile czasu upłynęło, gdy opuścił wyspę?

– Trzy tygodnie, tak jest, najwyżej trzy tygodnie, jak mię zapewniał Dick Peters.

– Więc musiał wtenczas odnaleźć już tam tych wszystkich z załogi Oriona, którzy swe życie uratowali, musiał widzieć brata mego Wiliama?...

– Nie – odpowiedział Hunt. – Peters myślał zawsze, że oni wszyscy, wszyscy zginęli. Wyspa też była zupełnie pustą, nie było już na niej nikogo.

– Co mówisz, nikogo? – zapytałem zdziwiony.

– Nikogo, chciej mię pan zrozumieć.

– A ludność Tsalalska?...

– Nie było nikogo, mówię panu, ani jednego człowieka. Wyspa była pustą...

Twierdzenie to stało w widocznym przeciwieństwie z faktami, o których mieliśmy pewne przez Watersona wiadomości. Być może jednak, że gdy Dick Peters powrócił na Tsalal, miejscowa ludność, pod wpływem dziwnego jakiegoś strachu, przeniosła się już na sąsiednie wyspy, podczas gdy Wiliam Guy i jego towarzysze nie śmieli jeszcze wyjść ze swego ukrycia, wśród zwalisk steatydowych kamieni. Wszelako możliwość wypadku, że wyspa została tak szybko opuszczoną przez krajowców, tłumaczyła poniekąd, iż przez całe lat 11, kilku nieszczęsnych rozbitków Oriona zdołało ma niej wyżyć spokojnie. A że Waterson zostawił ich jeszcze na miejscu przed siedmiu zaledwie miesiącami, przeto słuszny jest wniosek, iż dopiero w tym ostatnim okresie czasu, trzęsienie ziemi

zmusiło ich do szukania innego schronienia.

– A więc – zagadnął znowu Len Guy – Dick Peters po powrocie swoim, nie zastał ani jednego mieszkańca na Tsalal?

– Ani jednego, kapitanie! – odpowiedział Hunt głosem silnego przekonania.

– A co on sam uczynił potem? – badał kapitan.

– Chciej mię pan zrozumieć; on był głodnym, znalazł... łódź u brzegu, a w niej dużo suszonego mięsa i kilka baryłek wody... pożywił się tem; a potem, gdy wiatr południowy... tak jest, południowy... ale bardzo silny... przypędził znowu lodowiec do wyspy, on na nim popłynął – przez długie... długie tygodnie, w stronę zapory lodowej. Wreszcie lodowiec znalazł sobie przejście – ja nie kłamię, panie – ja mówię com słyszał ze sto razy od Petersa, który tak przepłynął nawet koło biegunowe...

– A potem? – zapytałem.

– Potem – mówił dalej Hunt – spotkał Peters okręt rybacki „Sandy Hook,” który go zawiózł do Ameryki...

Zatem, jeżeli mamy wiarę opowiadaniu Hunta, a przeczyć temu nie miałem żadnej racji, tak zakończył się ów straszny dramat podbiegunowy, odnośnie przynajmniej do Petersa.

Prawdopodobnie też publicysta amerykański, któremu dostały się pamiętniki Pryma, ubarwił, mianowicie ostatnie rozdziały, dodatkami wysnutymi ze swej fantazyi, co nadało opowiadaniu charakter mało zgodny z rzeczywistością. Ponieważ zaś nigdy osobiście nie znał Petersa, przeto wolał zasłonić się przed ciekawością ogółu, zmyślonem doniesieniem o jego śmierci, „śmierci gwałtownej i tragicznej,” jak się wyraził.

– Jeżeli jednak Artur Prym nigdy nie powrócił do Ameryki, jeżeliby nawet nie zginął wkrótce po rozłączeniu z Petersem, to czyż możliwą było rzeczą, aby żył gdzieś w tych stronach, aż do tego czasu? – rzekłem.

– Tak, tak, on żyje! – powtarzał Hunt, a powtarzał to z tak głębokim przeświadczeniem, jak gdyby Dick Peters przelał mu własne uczucie przywiązania, do swego dawnego towarzysza niedoli.

Owo nienaturalne u Hunta przejęcie się losami nieznanego sobie człowieka, nasuwało znowu podejrzenie co do stanu jego umysłu. Byłem też pewny teraz, że głos, który mię parę tygodni temu niepokoił we śnie, nie był żadnym przywidzeniem, lecz że to był głos Hunta, powtarzający żałośnie:

– A Prym – biedny Prym?!...

W chwili, gdym skończył badanie, kapitan ocknąwszy się z głębokiego zamyślenia, zakomenderował załogę, by podeszła bliżej, a gdy wszyscy znowu otoczyli Hunta, Len Guy rzekł tonem rozkazującym.

– Słuchaj mnie Huncie i pamiętaj, że pytania które ci zadam, są wielkiej wagi...

Hunt podniósł głowę i spokojnym wzrokiem powiódł dokoła stojących.

– Utrzymujesz – mówił dalej Len Guy – iż prawdą jest wszystko co zeznał o Arturze Prymie?...

– Tak kapitanie, ja nie kłamię.

– I ty sam znałeś Dick Petersa?

– Znałem go.

– Żyłś z nim przez kilka lat w Illinois.

– Przez dziewięć lat, kapitanie.

– A on ci często opowiadał te rzeczy?

– Bardzo często.

– Więc powtórzyłeś tu dokładnie wszystko o czym on ci mówił? Nie kłamiesz teraz?

– Mówię prawdę, kapitanie.

– Powiedz mi jeszcze, czy Peters nie przypuszczał, że prócz niego i Pryma zdołali się jeszcze inni ocalić z załogi Oriona?

– On myślał, że wszyscy zginęli...

– A Artur Prym czy był tegoż zdania?

– Artur Prym był też pewien, że kapitan Wiliam Guy i cała jego załoga zginęła w tej dolinie pod walącymi się skałami.

– Gdzieżeś widział Petersa ostatni raz?

– W Wandalia.

– Dawno temu?

– Przeszło dwa lata.

– A z was dwóch, który opuścił pierwszy Wandalię?

Na twarzy Hunta widoczny był przez krótką chwilę niepokój i wahanie, odpowiedział jednak:

– Opuściliśmy Wandalię razem.

- Gdzież ty udałeś się wtenczas?
- Do Falklandów...
- A on?
- On – powtórzył Hunt i wzrok jego wylękniiony spoczął przez chwilę na Marcinie Holcie...
- Odpowiedz mi! Czy rozumiesz o co cię pytam?
- Rozumiem, kapitanie.
- Mów zatem! Gdy Dick Peters wyjechał z Illinois, czy opuścił Amerykę?
- Tak.
- I gdzie pojechał?
- Do Falklandów.
- A gdzie jest teraz?
- Przed tobą, kapitanie! Ja jestem Dickiem Petersem – rzekł Hunt cichszym nieco głosem.

ROZDZIAŁ II

Postanowienie.

Ogólne zdumienie po tem wyznaniu, było tak wielkie, iż przez dłuższą chwilę zapanowało na pokładzie zupełne milczenie.

– Jakto, więc ten Hunt, ten dziwny, oryginalny Hunt, był Dickiem Petersem, a my nie domyślaliśmy się nawet, że mamy pośród nas od tak dawna, tyle ważną dla naszej wyprawy osobistość!...

I jakimże sposobem stać się mogło, że ani kapitan, ani Jem West, ani ja wreszcie patrząc na niego codziennie, nie powzięliśmy żadnego podejrzenia, nie wpadliśmy na domysł, iż ten pochodzenia indyjskiego marynarz, przedstawia wiele podobieństwa z opisem, jaki nam podał w pamiętnikach Artur Prym o swym towarzyszu?

Wyznaję szczerze, iż czułem się wprost zawstydzony owym brakiem bystrości i domyślności, jakie nam słusznie zarzucić może czytelnik, dla którego zapewne już dawno fakt ten przestał być tajemnicą. Były wszakże warunki, które nas tłomaczą do pewnego stopnia. Bo jakkolwiek Hunt zdradzał zarówno mową swą jak wyglądem, pochodzenie z indyjskiego plemienia Upsarakos z Far-West, czyż miało to być uważanem za rzecz nadzwyczajną, skoro na Falklandach, skąd się on na statek nasz najał, spotyka się najróżnorodniejsze narodowości wśród marynarzy oczekujących tam pory łowów na wieloryby? A przez cały czas pobytu swego na Halbranie, trzymał się Hunt jak wiemy, zawsze tak zdaleka od wszystkich, że nikt z załogi nie znał dotąd nawet jego głosu.

Dziwaczność wszakże i odrębność jego zachowania się zwróciła przecież moją uwagę i zaciekawienie. I doprawdy, sam zrozumieć nie mogę teraz, co zaciemniało mój umysł, gdy niejedną uprzytomnię sobie chwilę, gdy wspomnę, jak już na wyspie Bennet, a następnie na Tsalal, widocznem było że ziemie te nie są mu zupełnie obce; z jakim nawet rozrzewnieniem dotykał deski, która była szczątkiem żaglowca Oriona, i jak w czasie żeglugi nieustannie badał południowe strony morza.

Sam rysopis nawet Dicka Petersa zostawiony nam przez Pryma, owa krępa, przysadzista postać, nieproporcjonalnie rozwinięte kończyny, ogromna głowa z nadmiernem przecięciem ust, lub wreszcie całkiem wyjątkowa siła, zgadzały się najzupełniej z naszym dawnym Huntem – tak iż nie mogło tu być mowy o powątpiewaniu co do prawdy otrzymanego zeznania. Tylko dziki, okrutny wyraz, jaki niegdyś szpecił tę twarz i wykrzywił usta, które obok swej szerokości nie zakrywały nadmiernie długich zębów, wyraz ten, nadający jego fizyonomii, wedle słów Pryma: „jakaś szatańską wesołość” – znikł bez śladu z twarzy dzisiejszego Petersa. Widocznie przeżyte lata w różnorodnych warunkach, wstrząśnienia moralne i cierpienia fizyczne, może wreszcie samo obcowanie z Prymem, zmieniły i złagodziły dziką tę naturę, wpływając zarazem na wyraz twarzy.

Dlaczego jednak Dick Peters ukrywał się tak starannie ze swem właściwym nazwiskiem, już na

Falklandach? Dlaczego nie wyjawiał go nawet kapitanowi, którego cel podróży nie był mu obcym? Dla czego? Oto bezwątpienia lękał się, by nazwisko to, nie ściągnęło mu wśród otoczenia uczucia wstrętu i pogardy, jako nazwisko człowieka, który brał udział w najdziwniejszych scenach, jakie miały miejsce na Grampiusie. Potrzeba też było tak ważnego powodu, jaki mu przedstawiała nadzieja odszukania Pryma, by zdecydował się wreszcie odkryć tajemnicę dawnego swego życia.

Bo nie w innym celu opuścił Dick Peters Illinois, i osiedlił się przed dwoma laty na Falklandach, tylko aby skorzystać z pierwszej zdarzającej się wyprawy w strony podbiegunowe. Najmując się też na Halbran, żywił nadzieję że zdoła skłonić kapitana, gdy ten już odnajdzie swych ziomków, do posunięcia się dalej jeszcze, tam – gdzie spodziewał się zastać przy życiu tego może jedyne go człowieka, którego ukochał, a z którym go los fatalny rozłączył.

Czyż jednak możebnem było, aby Artur Prym, jeżeli nie zginął w krótkim czasie na swej łodzi, jeżeli go nie pochłonęła przepaść jaką widział przed sobą, mógł żyć jeszcze w tych stronach?... Bo jeśli istnienie Wiliama Guy'a i pięciu jego towarzyszy przez te 11 lat przedstawiało się prawdopodobnem, a nawet zostało poświadczonem przez notatki Watersona, to wyspa Tsalal na której zostawali, dawała dzięki niedawnej jeszcze bujności roślinnej i dość bogatej faunie, możliwe warunki bytu. Gdy tymczasem Artur Prym...

A jednak umysł mój, przyjmujący do niedawna zimno i trzeźwo rzecz każdą pod rozwagę, nie burzył się wcale wobec nadziei jaką żywił Peters – i gdy go słyszałem wołającego głosem silnego przekonania: „Prym nie umarł – Prym żyje – trzeba ratować biednego Pryma!” – czułem się do głębi wzruszonym.

Ale bo też odkąd postanowiłem wziąć udział w tej wyprawie, zmieniłem się do niepoznania, i próżno szukałbym już w sobie owego człowieka, rządzącego się w każdej chwili praktycznym rozumem. Opuścić więc teraz Tsalal i skierować się w powrotnej drodze na Atlantycką, wydało mi się, jak już mówiłem, rzeczą całkiem niemożliwą, pozbawioną wszelkiego uczucia ludzkiego i przeczuwałem, że Peters wołając: „nie opuścimy teraz biednego Pryma”, liczy na moje poparcie.

Jakże jednak proponować nawet kapitanowi, aby narażał Halbran na dalsze niebezpieczeństwa, gdy stanowcza odmowa, nawet z jego strony, była do przewidzenia?... Korzystając wszakże z ogólnego milczenia, jakie zapanowało na pokładzie po wyznaniu Petersa, zabrałem głos.

– Przyjaciele – rzekłem – nim zapadnie ostateczna decyzja, należałoby może rozpatrzyć całe obecne położenie, abyśmy po niewczasie nie czynili sobie gorzkich, lecz próżnych już wyrzutów. Zastanów się więc, proszę, kapitanie i wy wszyscy towarzysze moi! Przed siedmiu zaledwie miesiącami Waterson zostawił jeszcze rodaków waszych na Tsalal, a jeśli zdołali oni wytrwać tu aż do tej pory, dzięki warunkom, jakie przedstawiała wyspa, mianowicie po opuszczeniu jej przez krajowców, to czyż nie jasnym jest, że niedawne dopiero trzęsienie ziemi kazało im szukać innego schronienia? W takim zaś razie mając wątle tylko łodzie krajowców do rozporządzenia, gdzieżby się mogli udać, jeśli nie na jedną z pobliskich ziem, bądź wyspy, bądź jakiego lądu stałego? Że jedynie tak być musiało, o tem mam głębokie przekonanie, lecz równocześnie przekonanie to mówi mi, iż wszystko, cośmy dotąd zrobili dla ich ratowania przepadnie marnie – czyli, że nie zrobiliśmy dla nich nic zgoła, jeżeli teraz mianowicie ich opuścimy.

Powiodłem wzrokiem po otaczających; wyraz ich twarzy nie dawał żadnej odpowiedzi; Len Guy tylko z głową schyloną, stał widocznie wzruszony uznając prawdopodobnie słuszność mego zdania.

– I o cóż teraz właściwie idzie? Oto aby przebyć jeszcze kilka stopni szerokości, korzystając z przyjaznych warunków żeglugi, a dwa miesiące pory letniej, jakie jeszcze mamy przed sobą, zanim nadejdzie sroga zima, wystarczy nam chyba do odwrotu. I my namyślały się jeszcze, mimo że Halbran bogato jest zaopatrzone w żywność i załoga cieszy się najlepszym zdrowiem? Czyż mielibyśmy się lękać jakichś wymarzonych niebezpieczeństw, czy nie mielibyśmy dość odwagi iść jeszcze tam – tam dalej!

Wskazałem ręką południe, gdy równocześnie Peters w tę samą stronę wyciągnął swe ramię.

Oczy wszystkich obecnych zwrócone były na nas, nikt wszakże nie zdobył się na odpowiedź.

– Bezwątpienia – dodałem po krótkiej chwili – jeżeli Bellingshauzen, Biscoë, Kendal i Weddell, nie posunęli się nawet do tego punktu, to dlatego jedynie, że nie sprzyjały im tak wyjątkowe warunki, w jakich zostaje Halbran, i w jakich jeszcze zostać może dłużej.

Znowu głębokie milczenie było mi jedyną odpowiedzią, a jednak dotychczas nie wymówiłem nawet nazwiska Dick Petersa ani Pryma, wiedząc, że wzmianka o nich wywołałaby pogardliwe wstrząśnienie ramion, lub może nawet groźby przeciw mej osobie. Miałem więc już zamiar usunięcia się dając wszystkiemu za wygraną, gdy Len Guy głos zabrał.

– Mówisz zatem Petersie, że jadąc z Prymem w łodzi krajowców, widzieliście niedalekie wyspy w kierunku południowo wschodnim?

– Tak kapitanie – wyspy albo ląd stały – niech mię pan zrozumie, zdaje mi się, że to tam!... I Prym, biedny Prym czeka, aby ktoś przybył mu z pomocą!...

– Tam czekają może również kapitan Wiliam Giry i jego towarzysze! – zawołałem – aby zwrócić uwagę ogólną na właściwy cel naszej podróży. Tam zatem powinien podążać Halbran!

Znowu po dłuższej chwili namysłu rzekł Len Guy.

– A po za 84° napotkaliście owe gęste mgły, czy wody zlewające się z wyżyn wodospadu? Czy tak było, Petersie?

– Ja nie wiem – nie rozumiem o co mnie pytasz, kapitanie... Mgła... tak... może była mgła – ale była też ziemia...

Prawdopodobnie Peters nie czytał nigdy pamiętników, może nawet czytać nie umiał, a powierzwszy papiery Pryma Edgardowi Poë, nie troszczył się więcej o nie, nie wiedział, jakie rozwiązanie zaczerpnięte widocznie z własnej imaginacji, dał opowiadaniu poeta; nie posłyszał nawet jakie ogólne zajęcie wywołało ogłoszenie tej wyprawy...

W tej chwili po raz pierwszy odezwał się Jem West. Czy wszakże porucznik był przychylny memu zdaniu, czy był za dalszą wyprawą, czy przeciw niej, nie mogłem poznać z nieruchomych rysów jego

twarzy.

– Jakie są twe rozkazy, kapitanie? – zapytał krótko.

Len Guy zwrócił się ku załodze. Dawni i nowo-najęci marynarze otoczyli go bliżej, tylko Hearn stanął na uboczu, gotowy widocznie do zabrania głosu, skoroby tego uznał potrzebę.

Kapitan badał najpierw wzrokiem usposobienie bosmana i całej starej swej służby. Czy dostrzegł w nich zgodę na dalszą podróż, nie wiem; dosłyszałem wszakże jak wyszeptał słowa:

– Gdybyż to tylko odemnie zależało, gdybym mógł być pewien ich wszystkich...

Tymczasem Hearn głosem stanowczym i śmiałym rzekł:

– Oto już dwa miesiące upłynęły, kapitanie, jak opuściliśmy Falklandy. A przecież nie najęliśmy się na ten statek na dalszą podróż, jak do zapory lodowej, niechby było i do Tsalal...

– Tak nie jest – zawołał Len Guy wzburzony śmiałością Hearna. – Tak nie jest!... Ja was nająłem na całą wyprawę, i mogę płynąć gdzie mi się podoba!...

– Przepraszam, kapitanie! – odparł Hearn pewny siebie – oto jesteśmy dalej, niż którykolwiek z okrętów zdołał się posunąć, prócz jednego Oriona. To też ja i moi towarzysze sądzimy, iż dosyć jest już tego, że trzeba nam wracać do Falklandów przed nadejściem zimy. Gdy nas tam odwiezie Halbran, możesz kapitanie płynąć z powrotem na Tsalal, albo gdzie ci się tylko będzie podobało, choćby nawet do samego bieguna...

Szmer zadowolenia dał się słyszeć wśród zgromadzonych.

Widocznie więc Hearn wypowiedział zdanie swych towarzyszy z Falklandów, których liczba przeważała w załodze. Działać przeciw nim, wymagać posłuszeństwa od ludzi tak mało do tego usposobionych, byłoby rzeczywiście ryzykownem, byłoby czynem wprost nawet szalonym, który mógł narazić na bunt groźny i niebezpieczny dla wszystkich.

Ale Jem West przywykły do trzymania swych ludzi w wojskowej subordynacji, zawołał z gniewem:

– Kto ci pozwolił mówić Hearnie!...

– Kapitan nas pytał, miałem więc prawo odpowiedzieć – rzekł tenże zuchwale.

Zwykle panujący nad sobą porucznik, rzucił się gwałtownie i byłby może czynnie poskromił Hearna, gdyby nie powstrzymał go kapitan, mówiąc:

– Uspokój się Jem, niema co robić, póki wszyscy nie zgodzimy się na jedno! Poczem zwracając się do bosmana:

– Jakie jest twoje zdanie, Hurliguerly? – zapytał.

– Moje zdanie – brzmiała odpowiedź – będzie zawsze zgodne z twymi rozkazami, kapitanie. Naszym obowiązkiem jest nie opuszczać Wiliama Guy’a póki tylko zostaje odrobina nadziei odnalezienia go wraz z jego towarzyszami.

Bosman zamilkł na chwilę, a tymczasem Drap, Roger, Gratian, Burry i Stern oznajmili zgodność z Hurliguerlim.

– Co się tyczy Artura Pryma – zaczął tenże znowu.

– Niema tu mowy o Prymie – przerwał z żywością kapitan – jedynie tylko o moim bracie Wiliamie i pięciu jego towarzyszach!...

Usłyszawszy to Dick Peters, rzucił się, by głośno protestować, lecz powstrzymałem go w porę, uchwyciwszy za rękę; więc choć drżał z hamowanego gniewu, milczał jednak. Byłoby bowiem najwyższą nierozwagą poruszać właśnie teraz kwestyę, którą wszyscy uważali za straconą.

– Może nadarzy się ku temu inna sposobność, może nawet z biegiem wypadków samo się tak ułoży – pomyślałem.

Kapitan tymczasem badał dalej po kolei wszystkich ze swej załogi, chcąc znać dokładnie tych, którzy mu byli przeciwni. Ale jeżeli starzy marynarze Halbranu okazali się bez wyjątku uległymi, z nowych, zaledwie trzech tylko przyłączyło się do nich – trzech Anglików. Reszta trzymała się Hearną; a że liczba ich przewyższała naszych, przeto groziło nam konieczne ustępstwo.

Pozostawał zatem jedyny sposób zyskania ogólnej zgody, sposób prawie niezawodny zawsze, a którym jest blask złota.

Głosem więc spokojnym i poważnym odezwałem się znowu:

– Posłuchajcie mię, marynarze Halbranu! Podobnie jak niektóre państwa wyznaczają nagrody za podróż w celach naukowych, tak ja wam dzisiaj proponuję wynagrodzenie. Po dwa tysiące dolarów zyska sobie cała załoga żaglowca za każdy stopień poza 84 równoleżnik!...

Sześćdziesiąt dolarów dla każdego marynarza, za każdy stopień – zbyt to ponętny grosz, by mógł być lekceważony. Poznałem też odrazu, iż tą drogą zajdę do celu.

– Zobowiązanie to – mówiłem dalej – dam na piśmie kapitanowi Len Guy’owi, który wam wypłaci zyskaną sumę zaraz po powrocie, w jakichkolwiek warunkach staćby się to miało.

– Hu-r-r-a!... – zawołał bosman, a cała załoga jednomyślnie powtórzyła przeciągłe:

– Hu-r-r-a!

Nawet Hearn nie próbował już oponować; czy pociągnięty został znacznym zyskiem, czy też uznając, że zawsze znajdzie się jeszcze odpowiednia ku temu sposobność.

Tak więc umowa została zawartą, i wyznaję szczerze, iż byłem gotów ofiarować wyższą jeszcze

sumę, aby tylko niewidzieć się zmuszonym do wyrzeczenia się gorących mych pragnień.

Bo gdy byliśmy teraz już zaledwie o 7° oddaleni od bieguna, to choćby nawet Halbran aż tam dotarł, kosztowałoby mię to nie więcej nad 14,000 dolarów.

ROZDZIAŁ III

Zniknięcie archipelagu.

Zaraz więc od rana dnia następnego, który był 27-ym grudnia, Halbran wyruszył w dalszą drogę w kierunku południowo-zachodnim.

Załoga sprawiała się jaknajlepiej; praca jej zresztą nie była teraz ciężką przy spokojnym morzu i pięknym błękitnie nieba. A jeśliby łaskawe losy również nam dalej sprzyjały, o czym nie chciałem wątpić ani na chwilę, spokój nam był zapewniony.

Zresztą, naturalną jest rzeczą, iż u ludzi pracujących fizycznie umysł mało jest czynnym; a ograniczając się teraźniejszością, nie zagłębia się w przyszłość, i jedynie jakiś nadzwyczajny, gwałtowny wypadek, zdolnym jest wyrwać ich ze zwykłej obojętności.

Nawet Dick Peters po uczynionem zeznaniu, wrócił do dawnego trybu życia, choć zaznaczyć mi wypada, że załoga nie okazywała mu w niczem odrazy, odnośnie do scen zaszłych na Grampiusie. Zdawało się iż warunki, które je wywołały, uniewinniły go zupełnie w oczach towarzyszy – a poświęcenie z jakim spieszył na pomoc tonącemu Holtowi, nie łatwo bywa zapomnianem szczególnie wśród marynarzy. Mimo tego wszakże, metys jak dawniej, sypiał i jadał w którymś kącie pokładu, i unikając towarzystwa, stał się znów niemową prawne.

Gdy po kilku godzinach spoczynku, jakie się słusznie należały utrudzonemu moralną walką kapitanowi, spotkałem go na pokładzie, zawiązała się między nami rozmowa, do której należał również porucznik.

– Nie masz pan pojęcia – rzekł do mnie Len Guy – z jakim bólem serca myślałem o powrocie... Toż nie spełniłem dotychczas zadania, nie odszukałem brata, a jednak widziałem się zmuszonym ustąpić woli przeważnej liczby załogi, bo nie mogłem przecie siłą ciągnąć ich dalej jeszcze...

– Rzeczywiście – zauważyłem – drobne dotychczas objawy niekarności, mogłyby wreszcie wybuchnąć śmiałym buntem.

– Bunt ten wszakże byłbym umiał poskromić! – rzekł Jem West ze zwykłą sobie pewnością, – choćby mi przyszło rozbić głowę Hearnowi!

– Zapewne – potwierdził kapitan – Hearn prowadzi wszystkich! A jednak po takim wymierzeniu sprawiedliwości, cóżby się stało z ogólnej zgody, której potrzebujemy?

– Oczywiście, kapitanie, lepiej jest, iż rzeczy taki, a nie inny wzięty obrót. Niechże jednak Hearn strzeże się w przyszłości!...

– Na teraz wszyscy zostali ujęci sowitą nagrodą, jaka im obiecaną została, i pewny jestem, iż okażą się uleglejszymi. Twojej to jedynie hojności, panie Jeorling, udało się to, czego bym sam dokazać nie był w stanie. Dziękuję ci!...

– Kapitanie – odrzekłem, uściskawszy serdecznie podaną sobie dłoń – jeszcze na Falklandach uczyniłem ci propozycję przyjęcia mię na współnika w kosztach tej wyprawy, słusznie zatem nie pominąłem pierwszej ku temu sposobności; nie należy mi się więc żadne podziękowanie. Dobijmy do celu, odszukajmy brata pańskiego i jego towarzyszy, oto wszystko, czego pragnę!

– Czy uważałeś pan – zagadnął po chwili Len Guy – iż żaglowiec nasz nie zmierza w kierunku, w którym wedle Petersa mają się znajdować widziane przez niego ziemie?

– Rzeczywiście, zwróciłem już na to uwagę...

– Bo właściwie – wtrącił Jem West – Artur Prym nie mówi nic o tamtych ziemiach, a tylko zeznania Petersa...

– Czy masz poruczniku cośkolwiek do zarzucenia Petersowi, czy zachowaniem swoim nie budzi on twego zaufania?... – zapytałem żywo.

– Pod względem służby, jest on bez zarzutu – odrzekł Jem West.

– Nie można mu też odmówić ani odwagi, ani uczciwości – dodał kapitan – i dobra opinia, jaką zyskał pierwotnie na Grampiusie, następnie na Orionie...

– Należy mu się słusznie – dokończyłem spieszenie; gotów byłem bowiem bronić tego człowieka, może pod urokiem ważnej roli, jaką już odegrał, i jakiej, kto wie nawet, czy w odnalezieniu Pryma przyszłość mu nie zachowała. Ale właśnie w tej kwestyi zdanie moje różniło się wyraźnie ze zdaniem Len Guy'a, który też zauważył:

– Nie podając w wątpliwość uczciwości metysa, przyjąć wszakże muszę, jako rzecz niemożliwą, a nawet chorobliwy objaw, jego nadzieję odnalezienia jeszcze przy życiu Pryma...

– Jest to wprost nedorzeczne – zawołał Jem West – spodziewać się, aby przez 11 lat mógł wyżyć człowiek, aż tam przy samym biegunie!...

– Przyjmuję – rzekłem – iż warunki są trudne; cóż nam jednak daje pewność, że są całkiem niemożliwe? Czy nie mógł Artur Prym napotkać tam dalej lądu podobnego do wyspy Tsalal, na której przecie, jak wiemy, Wiliam Guy i jego towarzysze żyli przez ten sam przeciąg czasu?...

– Przypuszczenie to w każdym razie jest bardzo wątpliwe – odpowiedział kapitan.

– A jednak, gdy już jesteśmy na drodze przypuszczeń, dla czegoż nie mamy przyjąć, że wasi ziomkowie opuściwszy Tsalal, uniesieni tym samym prądem, tam się połączyli nawet z Prymem?

Prawdopodobnie wzgląd prostej grzeczności wstrzymał Len Guy'a od dalszej w tym kierunku dysputy, wołał też zwrócić rozmowę na pierwotny temat i rzekł po chwili milczenia:

– Zanim jednak udałbym się w kierunku wskazanym mi przez Petersa, wolałem wpierv poznać lądy bliższe wyspy Tsalal; mam na myśli właśnie ów archipelag, który rozkłada się w zachodniej stronie.

– Najśluszniej w świecie czynisz tak, kapitanie, bo być może, iż znajdziemy tam ważne dla nas wskazówki, zwłaszcza odnośnie do czasu, w jakim miało miejsce trzęsienie ziemi.

– Że jest to wypadek niedawny, o tem nie wątpię; inaczej bowiem Waterson nie mógłby zostawić ich wszystkich tutaj jeszcze, przed siedmiu zaledwie miesiącami – odpowiedział z przekonaniem Len Guy.

– A Prym też mówi o tamtych wyspach, podając nawet ich liczbę – wtrącił Jem West.

– Liczba ich dochodzić ma ośmiu – objaśniłem – zgodnie z tem co Prym mógł zrozumieć ze znaków, jakie dawał w odpowiedzi ów Nu-Nu, którego zabrali jako jeńca do łodzi. Od niego też dowiedzieli się, że cały archipelag rządzonym jest przez jedną osobę, coś w rodzaju samowładnego monarchy, rezydującego na najmniejszym z tych lądów.

– Że jednak możliwem jest, iż trzęsienie ziemi nie dosięgło aż do nich, i że przeto mogą być zamieszkane, nie odrzucam jeszcze zupełnie nadziei znalezienia tam brata mego i jego towarzyszy... W każdym razie, wypada nam być przygotowanymi na spotkanie się z krajowcami – rzekł Len Guy, a zwracając się do porucznika, dodał:

– Robimy 8 do 9 mil; za kilka godzin wyspy mogą się ukazać. Wydadaj Jem odpowiednie rozporządzenia.

– Już wszystko gotowe, kapitanie!...

– Czy jest straż w bocianiem gnieździe?

– Dick Peters sam o to prosił.

– Dobrze! Na czujności jego polegamy zupełnie.

– Również zawierzyć możemy jego oczom, które mają bystrość wzroku sokoła – dodałem.

Mimo wszakże, iż żaglowiec podążał dość szybko w stronę zachodnią, minęło kilka godzin, a głos straży nie przerwał ogólnej ciszy, ani wzrok nasz opatrzony nawet doskonałą perspektywą, nie dostrzegł najmniejszej plamki, najmniejszego wzniesienia na dalekim obszarze wodnym.

– Poczyna już wydawać mi się dziwnem, że dotąd nie widać tego archipelagu, do którego Tsalal należeć miała, a przebyliśmy już z górą 50 mil... – rzekł wreszcie kapitan.

– Kto wie, może te lądy już nie istnieją – zauważyłem – może trzęsienie...

– Ziemia! Prosto od bakortu! – rozległ się w tej chwili głos Petersa.

Wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę, niczego jednak nie dostrzegliśmy przez dłuższą chwilę.

– Widocznie Peters musiał się pomylić – odezwał się ktoś z załogi.

– Ho, ho! Nie Peters będzie się mylił w takiej rzeczy! – zapewniał bosman. – Jeszcze chwilę cierpliwości, on z góry prędzej mógł dostrzedz...

I rzeczywiście; w dwadzieścia minut później zarysowały się nad powierzchnią morza ciemniejsze punkta, oświetlone miejscami ukośnymi promieniami słońca.

Jeszcze dwadzieścia minut szybszej jazdy, aż po zwinięciu mniejszych żagli z rozkazu porucznika, Halbran zaledwie nieznacznie posuwał się naprzód.

Zamiast wszakże obszernych wysp, o których wspominał Prym, ujrzelśmy w końcu zupełnie wyraźnie z jakich 12 drobnych wysepek, z których największe dochodziły 50- 60 siągów kwadratowych, mniejsze zaś nie mając więcej nad 3-4, rozsiane były niby drobne skały, o które spieniona rozbijała się fala.

W tej chwili Peters spuszczać się powoli wzdłuż wielkiego masztu, skoczył na pokład.

– Więc cóż, Petersie, poznałeś ten archipelag? – zapytał Len Guy.

– Archipelag? tam niema już archipelagu, tam są tylko kamienie, ani jednej wyspy!... – odparł żywo tenże.

Rzeczywiście, zaledwie kilkanaście wierzchołków, tworzących zapewne wzgórza dawnego lądu, wynurzało się z wody, jakby na świadectwo istnienia na tem miejscu obszernych dawniej lądów. Jeżeli wszakże wyspy ciągnęły się długim pasmem ku zachodowi, może choć ostatecznie z nich ocalały.

Należało więc po rozpatrzeniu na miejscu, jak dawną mogła być katastrofa, posunąć się jeszcze nieco w obranym kierunku.

Wprawdzie ustała już obawa przed napaścią krajowców, których oczywiście nie było, w zamian jednak roztropność kazała zatrzymać Halbran w pewnym oddaleniu, by uniknąć niebezpiecznego najechania na ląd, jaki się pod wodą zdradziecko mógł ukrywać.

Po zarzuceniu kotwicy, wsiadło nas kilku do łodzi – i kapitan kazał skierować ku największemu obszarowi ziemi. Przeprowa była dość trudną; spokojne gdzieindziej morze, rozbijając się tu o liczne przeszkody, burzyło się i szumiało. Dick Peters stojąc u rudła, wskazywał bezpieczne przejścia; przed jego wzrokiem nie ukrywały się nawet podwodne skały. Co prawda miejscami woda tak mało miała głębi, iż widać było wyraźnie jej spód czarniawy, okryty zielonością, nie wodną wszakże, lecz wyraźnie lądową; gdzieniegdzie nawet sterczały nad powierzchnią gałęzie drzew.

Gdy łódź została zaczepioną u lądu, wyszliśmy z niej wszyscy. Ziemia, na której stanęliśmy, miała kształt owalny z obwodem 50 siągów, wznosząc się do 30 stóp nad poziom morza. Wybrzeże jej zmywane ciągle falą, nagie było zupełnie.

– Czy przypływy dochodzić może aż tam w górę? – pytałem Len Guy'a.

– Nigdy! – odpowiedział kapitan – spodziewam się też znaleźć tam jeszcze szczątki życia jakiegoś.

I rzeczywiście, szczątków tych nie brakło. Dość bujna nawet roślinność ubarwiona kwieciami, pokrywała miejscami ziemię.

– Są to kwiaty tegoroczne – zawołałem – zima nie przeszła jeszcze po nich!

– A czy nie jest jednak możliwym, aby wyrosły one tu już po owym strasznym rozćwiartowaniu wysp? – zauważył Hurliguerly.

– Nie przypuszczam tego – odparłem z uporem człowieka, który nie chce się wyrzec swego zdania.

Wznoszące się miejscami krzewy z rodzaju naszej leszczyny, okryte były owocem. Peters zerwał z nich kilka, a wyłuszczywszy z zielonego okrycia dość duże orzechy, rozgryzł je w swych silnych zębach, znajdując dojrzałe jądra, tak, jak w chwili katastrofy w dolinie Klock-Klock.

Nie mało też wśród bujnych traw odszukaliśmy kości różnego ptactwa przeważnie z rzędu pletwonogich, oraz szkielety trzody domowej, okryte jeszcze tu i owdzie skórą, porośniętą czarną sierścią, co upewniło nas, że zniszczenie ogólne mogło zaledwie parę miesięcy temu mieć miejsce. Suche więc i nadpróchniałe już kości znalezione na Tsalal, nie należały do ofiar katastrofy.

Po 36 godzinach, które poświęcił Halbran okrążaniu pozostałych drobnych odłamów obszernego niedawno archipelagu, utrwaliło się w nas przekonanie co do czasu zaszłych wypadków, oraz pewność że kapitan Wiliam Guy dość wczesną ratował się ucieczką. Gdzie wszakże mógł się schronić ze swymi towarzyszami? Gdzie szukać mają go ci, którzy wreszcie przybyli mu na pomoc? ... Oto pytanie, na które próżno usiłowaliśmy znaleźć odpowiedź...

– Nie przypisując sobie nadzwyczajnej domyślności – rzekłem wreszcie do kapitana – a zestawiając jedynie fakty zebrane, sądzę że niedaleki jestem od prawdy, podając następujący wniosek:

Gdy po katastrofie w dolinie Klock-Klock, siedmiu ludzi z załogi Oriona nie licząc Pryma i Petersa uratowało swe życie, był razem z nimi pies Sułtan, czego dowodzą kości jego znalezione w pobliżu osady. Niedługo później ludność miejscowa, niewiadomo z jakiej przyczyny, opuściła wyspę, zostawiając tem samem zupełną na niej swobodę nieszczęsnym rozbitkom, którzy też jedynie dzięki temu zdołali tu wyżyć lat jedenaście, jakkolwiek nie wątpię, że próbowali uwolnić się z tego więzienia – już to na pirogach krajowców, już na własnej budowy łodziach. Wreszcie po zniknięciu Watersona, który wypadkiem czy umyślnie odpłynął na lodowcu, nastąpiło trzęsienie ziemi niszczące Tsalal, a pochłaniające zupełnie sąsiednie wyspy. Wtenczas to niezawodnie uznał kapitan Wiliam Guy, iż bądź co bądź próbować trzeba powrotu na północ. Prawdopodobnie wszakże, lekkie łodzie rozbitków nie zdołały się oprzeć silnemu prądowi, jaki mieliśmy sposobność sami stwierdzić, a który uniósł ich tak samo jak Petersa i Pryma w stronę bieguna, ku dalekim jakimś ziemiom, gdzie ci ostatni rozdzieleni zostali. Tam też mojem zdaniem powinien się zwrócić Halbran; tam, nie dalej zapewne jak za dwoma jeszcze równoleżnikami, znajdziemy cel wyprawy, cel upragniony, dla

którego każdy z nas gotów jest życie swe poświęcić!...

– Oby nas tam Bóg prowadził! – rzekł z mocą Len Guy, i odszedł by wydać odpowiednie rozkazy, podczas gdy bosman, gdyśmy zostali sami, rzekł z zaufaniem:

– Słuchałem cię z wielką uwagą, panie Jeorling, i trudno zaprzeczyć, przekonałeś mię prawie!...

– Sądzę, iż będziesz przekonany całkowicie Hurliguerly.

– Kiedy?

– Może prędzej niżeli się spodziewasz!...

Nazajutrz, 29 grudnia o 6 godzinie z rana, żaglowiec podniósł kotwicę, kierując się tym razem wprost ku południowi.

ROZDZIAŁ IV

Od 29 grudnia do 9 lutego.

Wróciłem znowu do uważnego przejrzenia ostatniego rozdziału pamiętników Pryma, rozdziału, w którym opowiedzianą jest ucieczka z wyspy Tsalal. I oto ustęp, który uznając za dość ważny, przytaczam dosłownie:

„Posuwając się od koła biegunowego, zostawialiśmy stopniowo za sobą mroźne przestrzenie, i jakkolwiek sprzeciwia się to ogólnie przyjętemu zdaniu, fakt jest, że w miarę zbliżania się do bieguna, mieliśmy coraz łagodniejszą temperaturę. Teraz więc, w zimowej już porze, nie mogłem tem więcej narażać się na mrozy północy – i strona południowa była jedyną drogą, jaka stała przed nami i gdzie mogliśmy mieć nadzieję znalezienia lądu o klimacie dość łagodnym. W tym też kierunku wiosłowaliśmy z sił całych.”

Tak rozumował Prym, tak jego śladem powinniśmy teraz postąpić. Ale gdy uciekający z wyspy Tsalal znajdowali się na oceanie „niezmiernym i pustym,” poza 84 równoleżnikami dnia 29 lutego – rok bowiem 1828 był przestępny – my teraz mieliśmy zaledwie 29 grudnia. Halbran przeto znajdował się tu o całe dwa miesiące wcześniej, nie potrzebując obawiać się bliskiego powrotu zimy. I jakież zresztą może być porównanie między naszym żaglowcem obficie we wszystko zaopatrzone, z liczną i wprawna załogą pod rozkazami takiego, jak Len Guy kapitana, z wątłą łodzią mającą 50 stóp długości na 5 do 6 stóp szerokości i trzema żółwiami, które miały być jedynem pożywieniem dla trojga ludzi!

Płynęliśmy równo i spokojnie. Pozostałe resztki dawnego archipelagu zginęły wkrótce w dali, a otaczające nas morze było takie, jakiem cieszyliśmy się już od wyspy Bennet, to jest wolne zupełnie od lodowców. Było to całkiem naturalne przy temperaturze + 11° Celsjusza, jaką miała woda, której też prąd silny, idący wyraźnie i stale z północy na południe, unosił żaglowiec do 5 mil na godzinę.

Gromady ptactwa ożywiały powietrze; zawsze te same zimorodki, pelikany, petrele i albatrosy. Te ostatnie wszakże nie wyróżniały się bynajmniej wyjątkowymi rozmiarami; nie były to owe ptaki-olbrzymy, o których mówił Prym, a które miały wydawać okrzyk: „Tekeli li” zdający się być również słowem najczęściej używanym w języku tsalalskim.

Przez całe pierwsze dwie doby nic szczególnego nie zaszło, a załoga mając dość wolnego czasu, zabawiała się obfitem połowem makreli, węgorzy morskich, stokfiszów, błękitnych delfinów i wielu innych gatunków ryb, które następnie smacznie przyrządzone przez poczciwego murzyna, spożywała z niemińszem zadowoleniem. Jakkolwiek lekka mgła zakryła blask słońca, nie braliśmy tego zupełnie za przepowiednię zmiany atmosferycznej.

– Zatem już 4 miesiące i 7 dni upłynęło, od kiedy opuściłem Kerguelen, a dwa miesiące i 4 dni,

gdy Halbran porzucił Falklandy. Nie troszczyłem się przecież w najmniejszej rzeczy o to, jak długo jeszcze potrwa wyprawa – a zajmowało mię jedynie pytanie, do jakiego punktu tych stron zawiedzie nas ona.

Zaznaczyć tu wypada, że jeżeli Dick Peters po uczynionem zeznaniu, wrócił do dawnego swego milczenia i dobrowolnego odosobnienia względem swych towarzyszy, jeżeli nie zmienił się w stosunku do kapitana i jego porucznika, to czynił wyraźny wyjątek ze mną. Być może, że siłą intuicji uznał mię za swego sprzymierzeńca, że przeczuwał iż los Pryma interesował mię żywiej, aniżeli kogobądź z załogi; dość, że nietylko mię nie unikał teraz, lecz widocznie mię szukał.

Często zadawałniał się jedynie bliskim mem sąsiedztwem, stając w pobliżu ławki na której zwykłem siadać, lecz kilka razy także zawiązała się między nami rozmowa, którą jednak wypadkowe ukazanie się kapitana lub Jem Westa, niefortunnie przerywało, metys bowiem oddalał się wtenczas natychmiast.

Gdy więc dnia tego porucznik był na straży, a kapitan siedział zamknięty w kajucie, Peters podszedł ku mnie krokiem wolnym, nieśmiałym. Domyślając się iż spragniony jest rozmowy, w kwestyi która go najżywiej zajmowała, zagadnąłem go pierwszy:

– Czy chcesz Petersie mówić mi o nim?

Żrenice biedaka błysnęły, jak zarzewie pod silnym podmuchem.

– O nim, panie!... tak o nim!... – odpowiedział szeptem prawie.

– Zostałeś wiernym jego pamięci, Petersie?

– Alboż mógłbym zapomnieć go kiedy!

– Masz go zawsze przed oczyma, prawda?

– Zawsze!... Niech mię pan zrozumie! Tyle niebezpieczeństw przebytych razem!... To ludzi czyni braćmi, nie lepiej ojcem i synem!... Bo ja go panie kochałem jak własne dziecko... Byliśmy obaj tak daleko... za daleko, kiedy on już nie powrócił... Mnie widziano jeszcze w Ameryce, ale on, Prym... biedny Prym... jest dotychczas tam!...

I mimo ognia, który się palił w czarnych źrenicach metysa, dwie wielkie łzy spłynęły po jego policzkach.

– Powiedz mi jednak Dick Petersie – zapytałem – czy nie macie żadnego pojęcia o tem, jaką drogą płynęła wtenczas łódź wasza?

– Żadnego panie! Biedny Prym nie miał przecie narzędzi ze sobą, aby mógł patrzeć na słońce. Nie wiedzieliśmy też nic, prócz tego że przez pierwsze 10 dni, zarówno prąd wody jak i kierunek wiatru, pchały nas na południe. Za żagle mieliśmy na dwóch gałęziach rozpięte własne koszule...

– Których biały kolor przestraszał waszego jeńca Nu-Nu?... – zapytałem.

– Być może, ja tego nie pamiętam, jeżeli wszakże Prym to powiedział, trzeba wierzyć Prymowi...

Kilka już razy zdarzyło mi się zauważyć, iż niektóre szczegóły umieszczone w ostatnich mianowicie rozdziałach pamiętników, były Petersowi obce, chcąc więc mieć ostatecznie pod tym względem pewność jakąś, badałem go dalej.

– A przez ten tydzień nie mieliście głodu?

– Głodni nie byliśmy, ani spragnieni nawet; pan wie, te trzy żółwie, które były w łodzi... Zwierzęta te zawierają w sobie dużo wody słodkiej, a mięso ich jest dobre, nawet surowe. Oh, surowe mięso!... – jęknął Peters, niszcząc głos i spoglądając lękliwie wokoło, jakby z obawy aby go kto podsłuchał, a w dziwnym, przerażającym skurczeniu twarzy widocznym było, jak niezatartem jest w jego duszy wspomnienie zaszłych scen na Grampiusie, jak bardzo cierpi nad tem, jak wprost brzydzi się sobą.

Po dłuższym nieco milczeniu zagadnąłem znowu:

– Przypominasz sobie? Pierwszego marca mieliście, jak opisują pamiętniki, pierwszy raz spostrzedz szeroką, mglistą zasłonę przerywaną promiennymi pasami?

– Ja nie wiem, panie, ale jeżeli Prym tak mówi, tak być musiało...

– Czy on ci nigdy nie wspomniał o ogniu, który spada z nieba – wypytywałem dalej, nie chcąc użyć wyrażenia: „zorca polarna,” którego by metys nie był pewno zrozumiał, a przypuszczałem, że zjawisko wspomniane mogło być wynikiem polaryzacji światła, tak silnej w tych okolicach antarktycznych.

– Nie mówił mi o tem nigdy! – zaprzeczył stanowczo Peters.

– A nie zauważyłeś czasem, że woda w morzu przybierała mleczną barwę, że tracąc swą przezroczystość, stawała się gęstą?

– Jeśli tak było, panie, ja nie wiem... chciej mię pan zrozumieć: ja już nic nie wiedziałem co się wkoło mnie działo. Łódź płynęła... płynęła... a w mojej głowie robiło się ciemno...

– A ten drobny biały pył, niby popiół, który padał z nieba?...

– Nie pamiętam go wcale...

– Czy to nie był śnieg, Petersie?

– Śnieg?... Albo ja wiem... może był śnieg... Ale nie, ciepło było wtenczas!... Co powiedział Prym... trzeba wierzyć Prymowi.

Zrozumiałem, że co się tyczy nadzwyczajnych zjawisk opisanych w pamiętnikach, nie otrzymam od tego człowieka żadnych objaśnień, i jeżeli w ogóle było w tem coś prawdy, to zatrzeć się musiało w niezbyt wrażliwej jego pamięci.

– Ja nie wiem nic – mówił dalej Peters, zniżając głos, ale Prym opowie to wszystko panu... on widział, niech mu pan wierzy...

– Bądź spokojnym, uwierzę mu – zapewniałem, nie chcąc zasmucać biedaka.

– Bo my będziemy go szukać, prawda panie?...

– Mam nadzieję...

– Pojedziemy po Pryma, skoro odnajdziemy Wiliama Guy'a i pięciu marynarzy z Oriona?...

– Tak, skoro odnajdziemy tamtych...

– A nawet jeśli ich nie znajdziemy?...

– Nawet w tym razie, sędzę że zdołam wpłynąć na kapitana.

– Oh, on pewnie nie odmówi pomocy takiemu jak Prym człowiekowi.

– Być może, że nie odmówi; wszakże, jeżeli Wiliam Guy i jego towarzysze żyją, czyż można się spodziewać aby Artur Prym...

– On żyje, panie, on żyje! – zawołał Petters – on jest tam... on mię czeka! Mój biedny, biedny Prym! I jaka to będzie radość, gdy się rzuci w moje objęcia... a ja... ach!... i pierś Dick Petersa wznosiła się i opadała gwałtownie, jak fale wzburzonego morza.

Zapewne by ukryć swe wzruszenie, ten na wpół tylko cywilizowany człowiek, umiejący jednak ukochać serdecznie, odszedł spiesznym krokiem, zostawiając mię na pastwę przeróżnym myślom i uczuciom.

W ciągu 2-go, 3-go i 4-go stycznia, żaglowiec nasz posuwając się dość szybko, nie napotkał przecież żadnej ziemi – i zawsze ta sama, niczem nie przerwana linia półkola rysowała się przed nami, łącząc niebo z przestrzenią wodną.

– Czyż mielibyśmy przypuścić, że ziemie widziane przez Petersa były tylko optycznym złudzeniem, przytrafiającem się dość często w tych najwyższych podbiegunowych regionach? – myślałem już nieraz.

– Właściwie od chwili opuszczenia Tsalal – zauważyłem w rozmowie z kapitanem – Artur Prym nie posiadał żadnych narzędzi, nie mógł więc też brać żadnych wymiarów.

– Otóż to właśnie przyczyna, dla której owe ziemie mogą się równie dobrze znajdować, bądź na wschodnim, bądź na zachodnim zboczeniu – odpowiedział Len Guy. – Nieodżałowaną też jest rzeczą, iż Prym z Petersem nie wylądowali na tę ziemię; nie byłoby wtenczas żadnych wątpliwości, i mogliśmy odnaleźć je łatwo...

– Odnajdziemy je i tak, kapitanie, posunąwszy się jeszcze parę stopni dalej...

– Czy jednak nie byłoby lepiej, panie Jeorling – odrzekł Len Guy – gdybyśmy zbadali przestrzeń między 43 a 45 południkiem?

– Chyba zapominasz kapitanie, że rozporządzamy tylko ograniczonym czasem, a dni poświęcone na to, byłyby bezpowrotnie stracone. Dotychczas przecie nie jesteśmy jeszcze na szerokości, gdzie dwaj ci ludzie zostali rozłączeni.

– A jakąż, jeśli wolno zapytać, jest ta szerokość? Nie znalazłem o tem żadnej wzmianki nawet; bo zresztą, jak to pan przed chwilą mówiłeś, niemożliwym było Prymowi obliczyć ją choć w przybliżeniu.

– Masz słusność, kapitanie, a jednak pewnym zdaje mi się być fakt, że Wiliam Guy opuszczając Tsalal, musiał być uniesionym daleko; dochodzę do tego przez porównanie. Bo czy przypominasz pan sobie ustęp, w którym Prym mówi iż „wielką przebyli przestrzeń.” Píše zaś o tem 1-go zaledwie marca, zatem do 22-go, pokąd trwała ich wspólna podróż, przy coraz szybszym biegu łodzi, przestrzeń ta musiała dojść setek mil zapewne. A wnosząc z tego, kapitanie, sądzę że moglibyśmy przyjąć...

– Iż dosięgnęli samego bieguna – przerwał Len Guy – czy tak sądzisz, panie Jeorling?

– Właśnie, sądzę że jest to możliwem, gdyż z wyspy Tsalal byli tylko o 400 mil od tego punktu.

– Cóż mię to wszakże obchodzić może – rzekł Len Guy zimno – ja nie Pryma, lecz brata mego Wiliama, i resztę ludzi z załogi Oriona przybyłem tu szukać. To też najważniejszą i jedyną kwestyą dla mnie jest pytanie, czy mogli oni dosięgnąć owego lądu, o którego istnieniu zapewnia nas z Prymem obecny tu Peters.

Oczywiście, Len Guy ze swego stanowiska kapitana, miał zupełną słusność; zostawałem też w nieustannej obawie, by nagle nie wydał rozkazu zwrócenia statku na wschód lub zachód, coby nas, mojem zdaniem, wytrąciło z drogi prawdziwej. A jak bardzo zależało mi na zwiedzeniu tych ziem, czyż potrzebuję zapewniać?

W dalszym ciągu żeglugi 5-go i 6-go stycznia, nie zaszło nic szczególnego, ani też zauważyliśmy jakakolwiek nadzwyczajność z rodzaju tych, jakie podają pamiętniki. Nie było więc ani gęstej mgły, ani białego popiołu spadającego rześistym deszczem z nieba, ani mlecznej białości wody.

Co się zaś tyczy temperatury, która rzeczywiście wyjątkowo w tych stronach dochodziła + 11° Celsjusza, wiele jeszcze brakowało, by jak Prym zapewniał: „trudno było rękę w niej utrzymać. Że zaś też nikt z załogi naszej nie doświadczał owej ociążałości ciała i umysłu, czyniącej niezdolnym do jakiego bądź ruchu, jakiejkolwiek myśli, prawdopodobnem jest iż stan w jaki popadł Prym, był tylko wyjątkowym, sprowadzając mu różne przywidzania i halucynacje.

Dnia 9 stycznia poczynione obliczenia wykazały nam tę samą co dawniej długość t. j. między 41 a 42 stopniem, z szerokości zaś 86° 33’.

Czy łódź rozbitków posunęła się jeszcze dalej, zanim nastąpiło spotkanie z lodowcem? Czy

możebnem jest, iż gdy jeden prąd unosił ją w tymże co dawniej kierunku, drugi z Petersem szedł w stronę przeciwną? Oto pytania, na które pragnąłem odpowiedzi. Gdy jednak pierwsze, z wiadomych nam przyczyn pozostać musiało nierozstrzygnięte, co do drugiego stwierdziliśmy, iż rzeczywiście nawet Halbranowi naszemu, drugi już dzień prąd przeciwny dał się odczuwać w żegludze. Na szczęście tylko dość silny północny podmuch wiatru nie ustawał, tak, iż w pełni rozwiniętych żagli podążać mogliśmy naprzód.

Próżno wszakże szukał kapitan ziem spodziewanych; straż w bocianiem gnieździe siedziała milcząca; ani mała wyspa, ani większy ląd nie zaznaczyły się w dali, czułem też, iż Len Guy tracił powoli resztki nadziei, która mu jeszcze dotąd pozostała. A jeżeli sam kapitan dochodził do tego stanu, czegoż mogliśmy się spodziewać od załogi? Należało więc, aby powstrzymać jawne oznaki niezadowolenia i buntu, przypomnieć im uczynioną przezemnie obietnicę, i o to prosiłem kapitana. Gdy zatem wszyscy zebrali się z jego rozkazu około wielkiego masztu, Len Guy rzekł do nich:

– Marynarze Halbranu! Od chwili opuszczenia wyspy Tsalal, żaglowiec nasz posunął się o 2 stopnie ku południowi, zawiadamiam was przeto, że zgodnie z uczynioną obietnicą przez pana Jeorlinga zyskaliście 4,000 dolarów, które wam też wypłacone będą po zakończeniu tej wyprawy!

Słaby szmer zadowolenia był jedyną na to odpowiedzią, a okrzyk „hura!” wydany przez bosmana Hurliguerly i kucharza Endirota, przebrzmiał bez echa.

ROZDZIAŁ V

Niepokojące usposobienie załogi.

Takie usposobienie załogi mocno mię zaniepokoiło; nie wątpię, że jest to wpływ Hearn. I cóż znaczyło, że starzy marynarze Halbranu gotowi byli pójść za kapitanem nie pytając gdzie i w jakich warunkach, gdy nowoprzybyli zostając w przewodzie, stanowili przeciwną nam siłę.

Któż więc zaręczy, że znużony tą głuchą walką kapitan, widząc nadto bezskuteczność poszukiwań, a dręczony widmem wczesnej zimy, sam nie nakaże powrotu? Jakiejże wagi byłyby wtenczas moje przedstawienia i prośby, gdy nie znalazłbym nikogo do ich poparcia?

Nikogo? Przecież był Peters z całą swą potęgą przekonania i nadziei! Ale któż chciałby słuchać nas obu tylko?

Tymczasem żaglowiec płynął jeszcze dalej, nie zbaczając tak z obranej drogi, jakby go wiodła siła olbrzymiego magnesu; bo zanotować też muszę, że jeżeli przez parę dni zagubiliśmy dawny kierunek prądu, to udało nam się zwrócić znowu do niego, co oczywiście wpłynęło na szybkość żeglugi.

Jakże więc daleko mogły zająć łodzie Wiliama Guy i jego towarzyszy, pozbawione żagli, więc jedynie ulegające tej sile! Na nieszczęście jednak, nie mieliśmy żadnej pewności, aby rzeczywiście w tę, a nie w inną podążyły stronę.

Tymczasem od 10-go do 12-go stycznia, termometr zaczął opadać i gdy ciepło powietrza wynosiło zaledwie + 8, woda wykazywała nie więcej + 0,56° Celsjusza. Dotychczas jednak morze było zupełnie wolne; żaden, najmniejszy nawet odłam lodu nie płynął na jego powierzchni.

Gdym 13-go stycznia przechadzał się na pokładzie, patrząc z zajęciem na liczne gromady ptaków, które szybując w powietrzu, spuszczały się nieraz aż na reje naszych żagli, gdzie się czuły zupełnie bezpieczne, (nikt bowiem nie miałby serca czynić im krzywdę w tych stronach, w których sama przyroda niszczy wszelkie życie), zbliżył się do mnie bosman i wskazując na skrzydlate rzesze, zagadnął:

– Zauważyłem rzecz ważną, panie Jeorling.

– Słucham cię bosmanie...

– Czy widzi pan te ptaki? One nie podążają już ku południowi, niektóre nawet obierają wyraźnie kierunek północny.

– Właśnie to samo zwróciło już moją uwagę.

– A mnie się jeszcze zdaje, że nawet te, które już tam poleciały, niebawem będą z powrotem...

– I jaki z tego czynisz wniosek?

– Wniosek bardzo prosty, panie Jeorling; ptactwo czuje zbliżającą się zimę.

– Co też mówisz, bosmanie! Zima już teraz, kiedy wiadomem jest, iż jeszcze całe dwa miesiące należy się nam lata.

– A jednak panie...

– To ci się tylko wydaje, Hurliguerly. Sama nawet temperatura powietrza jest jeszcze taką, iż ptaki nie potrzebują trwożyć się przedwczesną koniecznością szukania mniej trudnych warunków.

– Alboż my wiemy co właściwie dla tych stron jest przedwcześnie!

– Wiemy jednak, choćby nie więcej jak to, że wszyscy podróżnicy mogli osiągnąć regionów antarktycznych, aż do miesiąca marca.

– Tylko że nikt nie był jeszcze tak daleko, nikt aż na tej szerokości!... Zresztą, jeżeli są wczesne lata, bywają też wczesne zimy i obawiam się, iż tegoroczna nie zechce czekać, aż my jej miejsca ustąpimy.

– Choćby też nawet była wczesną, nie trwożę się wcale by nas wyprzedziła w powrotnej naszej drodze: najdale za jakie trzy tygodnie...

– Czy tak na pewno za trzy tygodnie? A któż wie, czy nie zatrzyma nas jaka przeszkoda...

– Wymyślasz najgorsze rzeczy, bosmanie; jakaż znowu może być przeszkoda?

– Któż to odgadnie! Któż przeczuć zdoła co się tam dzieje, tam blisko osi ziemskiej. Toż dla nas ludzi świat to całkiem nieznanym – rozumował stary marynarz.

– Nie przeczę, obcy nam jest zupełnie...

– Mam też wielkie wątpliwości co do ziemi, którą Peters miał niby tu widzieć, i na której mamy szukać naszych biednych rozbitków.

– Dla jakiej przyczyny wątpisz o tem, bosmanie?

– Bo Wiliam Guy rozporządzający tylko wątlą łodzią, nie mógł dopłynąć aż tak daleko...

– Zdanie moje w tym względzie nie jest tak stanowcze...

– A jednak panie Jeorling...

– Bo rozważ tylko, Hurliguerly, cóżby w tem było zadziwiającego, gdyby Wiliam Guy unoszony

tym prądem, którego siłę poznaliśmy sami, dostał się wreszcie tam daleko, do jakiejś wyspy lub większego lądu, i na nim się zatrzymał. Przecież jemu na tę podróż w lekkiej, jak sam mówisz, łodzi, nie potrzeba było długich miesięcy czasu. Samo więc to prawdopodobieństwo powinno wystarczyć, byśmy nie zaniedbali dalszych poszukiwań.

– Nie wszyscy jednak, panie Jeorling, są tego zdania – odpowiedział bosman, kiwając głową.

– Wiem o tem, i to mię najwięcej trapi. Powiedz mi jednak, czy niezadowolenie wzrasta wśród załogi?

– Obawiam się, że tak; jakkolwiek obiecana nagroda robi też swoje i miarkuje zawsze chętnych na przyjęcie garści złota. Bo też to kąsek nielada! Przypuszczając, że aż do samego dotrzemy bieguna, nagroda pańska uczyni ogółem jakieś 14 tysięcy dolarów. A jednak przeklęty Hearn pracuje ciągle i nie nadaremno.

– Wiem, że nowozaciężni są z nim w porozumieniu, ale co się tyczy starych...

– Hm... i między starymi są tacy, którzy zaczynają się namyślać, i....

– Sądzę jednak, że kapitan i jego porucznik będą umieli nakazać im posłuszeństwo.

– Nie można naprzód niczego być pewnym, panie Jeorling. Zresztą, nawet kapitan zniechęcony wreszcie, albo powodowany odpowiedzialnością, jaka na nim ciąży, sam niedługo odwrót nakaże.

– Otóż właśnie to, czego najwięcej się obawiam pomyślałem.

– Z całej załogi, za Endiraota i za siebie samego ręczyć panu mogę – mówił dalej Hurliguerly. – Obaj pójdziemy choćby na kraniec świata, gdyby kapitan nas tam prowadził. Tymczasem my dwaj, Dick Peters i pan, to jeszcze nie dosyć byśmy wszystkim prawa dyktowali...

– A cóż myślisz o Petersie?

– Właśnie jego to, cała załoga obwinia, że wyprawa przedłuża się dotychczas. Bo jeśli pan sobie tego życzysz, to niema co mówić, płacisz nam dobrze, podczas gdy ten idyota Peters wyobraża sobie, że jego Prym żyje tam jeszcze, kiedy pewną jest rzeczą, że albo utonął, albo zmarł, albo zmiażdżonym został, przed jedenastu już laty.

Milczałem, nie chcąc dysputować o to z Hurliguerlym.

– Bo widzi pan – ciągnął tenże po chwili milczenia – w pierwszym czasie Peters budził pewne zaciekawienie, a po ocaleniu Holta gorączkowe nawet zainteresowanie. Teraz wszakże, gdy wszyscy wiedzą kim jest właściwie, nie zyskał większej sympatii, tembardziej, że opowiadaniem swem o ziemi mającej leżeć gdzieś na południu od Tsalal, zdecydował kapitana do skierowania się w tę stronę. I jeśli przebyliśmy już 86 $\frac{1}{2}$ szerokości, jemu to najwięcej zawdzięczamy.

– Nie mogę temu przeczyć – rzekłem.

– To też, widzi pan, ja w ciągłej jestem obawie, aby mu co złego nie zrobiono.

– Bądź spokojnym, żałowałbym raczej tego któryby go zaczepił.

– Wiem i ja o tem, że jednemu nie byłoby zbyt wesoło w jego łapach, ale gdyby wszyscy go napadli...

– Mam nadzieję, że do tego nie przyjdzie, a nawet liczę na ciebie Hurliguerly, że uśmierzysz wszelkie niechęci przeciw Petersowi. Pomów rozumnie z tymi ludźmi, wytłomacz im, że nam nic nie grozi, że zima jeszcze daleko. Nie trzeba by ich zniechęcenie stało się przyczyną powrotu naszego i tem samem opuszczenia owych nieszczęśliwych, dla których cała wyprawa podjęta była.

– Na mnie możesz pan liczyć zawsze, panie Jeorling, jestem panu wierny i zrobię wszystko co będzie możebnem.

– I nie pożałujesz tego, mój poczciwy Hurliguerly! Bo przecie nic dla mnie łatwiejszego, nad dopisanie jednego zera w rachunku bosmana, do czterechset dolarów, które otrzyma każdy marynarz Halbranu.

Widząc o ile bosman okazywał się wrażliwym na zyski, byłem odtąd pewny jego poparcia. Tak jest, on zrobi wszystko by zniszczyć intrygi jednych, podnieść słabnącą odwagę drugich; weźmie w opiekę Petersa. A jednak to ogólne zniechęcenie, te zaledwie tylko tłumione sarkania, o których upewnił mię Hurliguerly, zmartwiły mię szczerze. Co będzie, jeżeli załoga nie ulegając ani jego przedstawieniom, ani wpływowi moich dolarów, podniesie otwarty bunt?...

Gdy przy nowem obniżeniu temperatury, coraz liczniejsze gromady ptaków spieszyły ku północy, nawet Len Guy w rozmowie ze mną 14-go stycznia, zwrócił na to uwagę. Wewnętrzne udręczenie i niepokój widne były na jego twarzy. I czyż dziwić się można? Bo oto 180 już mil byliśmy od Tsalal, a w około nas roztaczała się tylko niezmiennie równa powierzchnia morza. Żadnego lądu ni śladu. A tymczasem na czystem sklepieniu niebios błada tarcz słoneczna zakreślająca coraz niżej swe koło, przypominała że 21-go marca ostatni raz zabłyśnie nad horyzontem, by stać się niewidzialną na całą sześciomiesięczną, ciemną noc podbiegunową.

Dokładne pomiary uczynione 15-go stycznia, wykazały 43° 13' długości, a 88° 17' szerokości; zatem oddzielały nas od bieguna zaledwie 2 stopnie, równające się mniej więcej 120-tu milom morskim.

Kapitan nie robił z tego tajemnicy przed swą załogą, co byłoby zresztą zupełnie bezpożyteczne, bo zarówno Marcin Holt, jak Hearn nie omieszkaliby powiadomić wszystkich, a Hearn zawsze był gotów do szkodliwych podburzań.

Zaraz też w godzinach popołudniowych, wpływ jego okazał się niewątpliwym, gdy wśród gromadki ludzi skupionej u trójkątnego masztu, zauważyłem tajemnicze szepty, którym towarzyszyły złowrogie błyski spojrzeń, a podnoszone pięście zdawały się komuś wygrażać. Głosy zrazu tłumione, stawały się coraz śmielsze, aż wybuchły tak gwałtownem sarkaniem, że Jem West znajdujący się właśnie na pokładzie, krzyknął:

– Milczeć mi tam zaraz!... – podchodząc bliżej, dodał: – Którykolwiek z was odezwie się jeszcze choć słowem, będzie miał ze mną do czynienia!

Jak na ten raz buntowniczy żywioł uląkł się powagi porucznika; któż wszakże zaręczy czy długo tak będzie? A może sam Len Guy choć zamknięty obecnie w swej kajucie, świadomy jednak tego zajścia, ukaże się lada chwila, by nakazać odwrót?...

Niespokojny i wzburzony, przez noc całą czekałem następnego ranka. Mimo jednak że gęste mgły, niezawodna przepowiednia zmiany atmosferycznej, zasłaniały daleki horyzont, Halbran podążał niezmiennie w przyjętym kierunku. Nie mogąc wprost znaleźć sobie miejsca w nerwowym rozstroju, w który popadłem, wróciłem około południa do swej kajuty i rzuciłem się na łóżko.

– Tak, niewątpliwie – powtarzałem w myśli – jeśli porucznik rzeknie tylko słowo o koniecznym powrocie, Len Guy choćby mu się serce rwało w kawały, da swe przyzwolenie, i tyle trudu i poświęcenia staną się próżnemi, przepadną marnie!...

A co powie Peters? Jak przyjmie taką wiadomość? Choć cichy i uległy zwykle, gwałtowna to jednak natura, gotowa w ostatecznym razie na szaleństwo jakie...

W tej chwili lekkie stuknięcie do drzwi zwróciło moją uwagę: W kajucie było jasno, okno bowiem wychodzące na pokład dawało dość światła, choć drugie od tyłu, było zasłonięte.

– Kto tam? – zapytałem.

– To ja, Dick Peters!

– Czy masz mi co do powiedzenia?

– Tak.

– Poczekaj, zaraz wyjdę...

– Jeśli pan pozwoli... jabyem wolał... czy mogę wejść do kajuty?...

– Wejdz! – rzekłem nieco zdziwiony, i metys wsunawszy się nieśmiało, zamknął starannie drzwi za sobą. Uniósłem się z posłania i wsparty na ramieniu, wskazałem krzesło gościowi; ten wszakże nie przyjął zaproszenia i widocznie zakłopotany, stał chwilę milczący.

– Cóż cię sprowadza dziś do mnie, Petersie? – zacząłem pierwszy, by ułatwić biedakowi rozpoczęcie rozmowy.

– Chciałbym panu coś powiedzieć... Chciej mię pan zrozumieć... mnie się zdaje, że pan powinieneś o tem wiedzieć. Ale pan sam jeden tylko z całej naszej załogi...

– Jeśli obawiasz się mej niedyskrecyi, Petersie, to pocóż mi mówić?

– O, ja muszę, tak, muszę koniecznie! Mnie to cięży tu, jak wielki kamień, jak skała olbrzymia! –

zawołał, uderzając się w piersi. – Ja się ciągle boję – dodał po chwili milczenia – bym tego kiedy przez sen nie wypowiedział, bo mnie to nigdy nie opuszcza, czy na jawie czy we śnie...

– Więc śniesz Petersie, a o czym?

– O nim panie! I dla tego szukam ustronnych kątów, by mię kto czasem nie podsłuchał, by się nie dowiedziano o jego prawdziwym nazwisku.

– O czy jem nazwisku? O twojem? Toż wiemy już, że jesteś Dick Petersem, nie zaś Huntem – choć wytłomacz mi dla czego się przezwiałeś?

– Dla czego się przezwiałem? Bo mi moje własne obrzydło, bo nie chciałem go już od czasu tego nieszczęśliwego zajścia na Grampiusie!... I Peters zasłonił ręką twarz, a z piersi jego wyrwał się jęk głuchy.

Odczułem, jak okropne musi być dla niego wspomnienie strasznej nad wszelki wyraz sceny, którą Prym opisał tak dokładnie w swych pamiętnikach, gdy do rozpacz doprowadzeni męczarnią głodu i pragnienia, pozostali przy życiu na tonącym Grampiusie: August Bernard, Artur Prym, Dick Peters i marynarz Parker, zdecydowali się ciągnąć słomki, by los wskazał tego, który miał stać się pożywieniem dla drugich. I uprzytomniłem sobie w pamięci słowa Pryma, gdy ze szczerością i skruchą, niby na św. spowiedzi, wyznaje, jak z razu opierał się temu okrucieństwu, jak cała natura jego wstrząsała się na samą myśl o tem... Jak wreszcie uległ, gdy niepojęte męki głodu przytłumiły w nim wszelkie inne uczucia, tak, że nawet trzymając już drewniane patyczki w ręku, godził się z myślą oszukania towarzyszy, jakkolwiek zdobył się jeszcze na tyle siły, by podłości tej nie spełnić.

Peters ciągnął pierwszy; los sprzyjał mu, niema już czego się obawiać! Ale Prym liczy w myśli, że o tyle mniej warunków pozostaje dla niego.

Z kolei ciągnie Bernard – i ten ocalony!

Dzikość tygrysa budzi się w duszy Pryma. Całe piekło najgorszych uczuć wre w jego piersi. On w tej chwili szatańską nienawiścią pała ku swemu towarzyszowi niedoli.

Pięć minut upływa długich jak wieczność, zanim Parker decyduje się wybrać jeden z pozostałych dwóch odłamków drzewa, a Prym z oczami zamkniętymi stoi nieruchomo... i potem jeszcze, nie wiedząc czy los był przeciw niemu – gdy nagle uczuwa silne uściśnienie ręki.

To Peters stoi przy nim, z wyrazem twarzy który go zapewnia, że nie jemu grozi śmierć okrutna...

Niebawem, silnym pchnięciem noża w plecy Parkera, powala Peters nieszczęśliwego...

Następuje straszna uczta, przed grozą której cofa się pióro Pryma, jak również brak mu już słów na wypowiedzenie pogardy i wstrętu, jaki odtąd czuje dla siebie.

Tak jest, cały ten dziki, krwawy dramat, zapisany w pamiętnikach pod datą 16 lipca 1827 roku, nie był w najmniejszej rzeczy zmyślony, jakkolwiek długi czas uważałem go tylko za bajkę. Dla czego wszakże metys przypominał o tem teraz? Dla czego w ogóle ukrywając się tak długo pod nazwiskiem

Hunta, dał się nam poznać nie wcześniej, aż po opuszczeniu wyspy Tsalal?...

– Niech mię pan zrozumie – rzekł ten pożałowania godny człowiek, na stawiane mu w tej kwestyi pytanie – chcieliście już wtenczas wracać, stanowczo wracać, więc ja myślałem, iż gdy powiem że jestem Petersem, powroźnikiem z Grampiusa, towarzyszem Pryma, usłuchają mnie, i pojedą dalej, i zechcą go odszukać... A jednak panie, było to dla mnie bardzo ważne wyznanie, że nie Hunt, lecz Peters, ten sam który zabił Parkera... Jam zbrodniarz, panie, ale ten głód... ten straszny głód... który mi żarł wówczas wnętrzości....

– Pojmuję, jak przykrem i bolesnem musi być to wspomnienie i uznaję twój szczery żal, Petersie; gdyby jednak los był ciebie wybrał zamiast Parkera...

– Pan tak z dobroci swojej chce mię tłumaczyć, ale rodzina Parkera nie mówiłaby tak pewnie...

– A miał on rodzinę?

– Miał panie, i dla tego właśnie Prym przezwał go inaczej, bo prawdziwie zwał się on... ale zachowaj pan to w tajemnicy!...

– Nie Petersie, po co mi o tem wiedzieć! – rzekłem żywo, lecz równocześnie usłyszałem słowa:

– Może mi ulży, gdy panu powiem, że się nazywał Holt... Ned Holt.

– To może krewny naszego Marcina Holta! – zawołałem mimowoli.

– Rodzony brat jego, chciej mię pan zrozumieć...

– Ale Marcin Holt jest przekonany, że brat jego zginął w falach oceanu wraz z tonącym Grampiuszem.

– A gdyby teraz wiedział, że ja...

W tej chwili gwałtowne wstrząśnienie statku wyrzuciło mię z łóżka, i gdy zaraz potem wybiegłem na pokład, uszów moich doleciały gniewne słowa porucznika:

– Tak to gałganie siedzisz przy sterze? Tak pilnujesz swego obowiązku!...

I Jem West silną dłonią wstrząsnął za kołnierz Hearna.

– Poruczniku... ja sam nie wiem... – próbował się bronić tenże.

– Ale ja wiem, niegodziwcze, że dla tej czy innej przyczyny opuściłeś ster, że tem samem naraziłeś zagłowiec na zgubę. Marsz więc na dół do piwnic, gdzie w ciemności możesz rozmyślać nad tem, jakim powinien być dobry marynarz na statku!

– Ziemia! – zabrzmiał głos straży z bocianiego gniazda, i wszyscy znaleźliśmy się w mgnieniu oka na przodzie Halbranu, z wzrokiem zatopionym w południową stronę morza.

ROZDZIAŁ VI

Ziemia?

W dali przed nami zamajaczyły niewyraźnie ciemniejsze faliste linie. A więc nareszcie ziemia, ta upragniona ziemia, rozkłada się tam niezawodnie!

Czy będzie to ląd stały, czy też wyspa? Czy nie spotka nas tam powtórny zawód? Czy stęsknione serca braci Wiliama i Lena Guy'a odżyją w serdecznym uścisku? Czy tu będzie kres naszej wyprawy, z której niebawem wracać będziemy wszyscy, przepelnieni szczęściem? A może i Artur Prym jest tam również, może los nie poskąpi Petersowi w nagrodę jego przywiązania, tej najwyższej radości! Może i on serdecznym uściskiem obejmie tam swego przyjaciela, swego ukochanego towarzysza wspólnej niedoli!...

W jednej chwili nowe życie, nowy ruch zapanował na statku; ja sam zapomniawszy zupełnie o uczynionem mi co dopiero zeznaniu Petersa, poddałem się bezwzględnie wrażeniu chwili i śledziłem z zajęciem mglisto rysujące się kontury oczekiwanego lądu, nie zwracając uwagi na metysa, zapatrzzonego obok mnie nieruchomo w tenże daleki punkt.

Jeden tylko Jem West nie dający się niczem wytrącić z równowagi i odwrócić od obowiązku, dopilnował wypełnienia naznaczonej kary Hearnowi, który przez niedbalstwo czy też roztargnienie, mógł się stać przyczyną ogólnego nieszczęścia. Wprawdzie kilku marynarzy z Falklandów, zdobyło się na śmiały protest przeciw surowości porucznika; uciszyli się wprawdzie niebawem, skoro tenże pogroziwszy im surowo, rozkazał zabrać się natychmiast do pracy około zwinięcia niektórych żagli. Większa bowiem ostrożność w żegludze była teraz konieczną, zważywszy możliwość istnienia w pobliżu ziemi, zdradliwych skał podwodnych.

Oczywiście za pierwszym zaraz okrzykiem straży, przybiegł na pokład kapitan, i pałającym wzrokiem badał ów ląd, odległy jeszcze o jakie 10 do 12 mil. Niewielką tę już przestrzeń, nawet przy wolnym biegu statku, mieliśmy nadzieję przebyć w kilka godzin.

Zapuszczona sonda wykazała 120 sięgów głębokości wodnej, lecz kilka następnych pomiarów stwierdziło nadzwyczaj faliste dno morza. Z obawy więc byśmy nie najechali na jaką nagle wznoszącą się wyniosłość, sprawdzano odtąd z rozkazu Lena Guy'a bezustannie głębię morską.

Jakkolwiek pogoda trwała niezmiennie, lekka wszakże zrazu mgła na południo-zachodzie, stawała się coraz gęstsza, tak, iż tylko od czasu do czasu w przerwach, niby w rozdartej zasłonie, ukazywały się tak żywo zajmujące nas zarysy lądu, jakby dla upewnienia, iż nie przestały tam istnieć. Bo wątpić o tem zdawało mi się rzeczą niemożliwą, teraz mianowicie, gdy, jak to zwykle bywa przy zbliżaniu się do ostatecznego celu, serca nasze opanował niewysłowiony niepokój. Tymczasem temperatura obniżała się coraz więcej i termometr wystawiony na powietrze spadł do 0° Celsyusa, gdy woda

zachowała jeszcze 3° 33 ciepła. Jaka wszakże była przyczyna tego oziębienia, trudno nam było dociec; bo samo przypuszczenie tak wczesnego nadejścia zimy, oddalałem uparcie.

Bądź co bądź przejmujący chłód wraz z zimnym i silnym wiatrem, zmusił całą załogę do przywdziania ciepłej odzieży, którą odłożyliśmy miesiąc temu, po przebyciu zapory lodowej.

Kilkakrotne doświadczenia wykazały też, iż prąd z którym płynęliśmy od Tsalal, począł zbaczać z poprzedniego kierunku

– Nic dotychczas nie upewnia nas, czy znajduje się tam ląd większy, czy też wyspa – rzekł kapitan – jeżeliby wszakże był to ląd, wnosić wypada, iż prąd wody znajduje tam dalej ujście ku południow-schodowi.

– Możliwym jest – odpowiedziałem – iż ta część stała antarktyku tworzy małą jakby czapeczkę, na osi ziemi, którą dokoła oblewają wody. W każdym razie należy nam nie pominąć najmniejszego faktu w notatkach okrętowych.

– Czynię to sumiennie oddawna, z tem przekonaniem, że doświadczenia nasze posłużą za dokładne wskazówki przyszłym żeglarzom w tych stronach.

– Jeśli tylko znajdą się kiedy tacy; bo rozważ kapitanie, iż na wyjątkowe warunki, jakie sprzyjały naszej wyprawie, może 20 lub 50 lat czekać będzie trzeba.

– Ja też wdzięcznem sercem dziękuję za to Opatrzności, iż nadzieja pokrzepiła na nowo npadającego już ducha. Bo jeśli morze bywa tu tak spokojne, jeśli temperatura tak łagodna, jeśli wiatr i prąd wody stale jednego trzymają się kierunku, czemużby nawet w wątych łodziach, brat mój i jego towarzysze nie mieli dosięgnąć tego tam lądu, gdzie biorąc w rachunek nadzwyczajną tu obfitość ptactwa, ryb i zwierząt wodnych, przypuszczać należy możliwość utrzymania życia. Tak jest, panie Jeorling, serce moje przepelnia błoga nadzieja i chciałbym być już teraz o kilkanaście godzin starszym!

Z połową tylko rozpiętych żagli, posuwał się Halbran cicho i powoli. Ptactwo morskie znów w wielkich pojawiło się gromadach i wieloryby ożywiły fale morskie wyrzucając fontanny wody, a Holtowi udało się złowić długi do sześciu stóp sznur, spojonych ze sobą mięczaków o świetnych, jaskrawych barwach, na podobieństwo kolorowych paciorków, sprzedawanych na targach i odpustach.

Wszystko więc wskazywało bliskość lądu, a jednak jeszcze po trzech godzinach żeglugi, nawet szkła perspektywy nie uwydatniły żadnych na nim szczegółów, nic, coby nas w czemkolwiek upewniło.

Wsparty o poręcz na przodzie statku, nie spuszczałem prawie oka ze strony południowo-wschodniej, która nam tak długo ukrywała swe tajemnice, gdy naraz zagadnął mię bosman:

– Czy pozwolisz, panie Jeorling, bym panu udzielił moich uwag.

– Słucham cię, Hurliguerly – odrzekłem – lecz wymawiam sobie z góry, iż nie przyjmę za prawdziwe wszystkiego bezwzględnie.

– Moje spostrzeżenie jest prawdziwe, bo w miarę jak się posuwamy naprzód, trzeba mieć oczy zasłonięte, by nie widzieć tego.

– Więc cóż właściwie dostrzegłeś?

– Nic więcej panie nad to, żeśmy się pomylili, bo to nie ziemia żadna leży tam przed nami...

– Co ty mówisz, bosmanie!

– Niechże pan sam uważnie popatrzy, ale tak, kładąc palec przy oku w należyтым kierunku, tu między temi dwoma masztami. Czy widzi pan – mówił dalej, gdym uczynił co zalecał stary marynarz – te linie nie stoją tam nieruchomo, one zmieniają swe położenie, wszakże nie w stosunku do nas, lecz co gorsza względem siebie.

– A cóż z tego wnioskujesz, bosmanie?

– Sądzę, że to są góry lodowe w ruchu...

– Góry lodowe?! – zawołałem z najwyższym zdziwieniem.

– Tak jest, i to bez najmniejszej wątpliwości.

Czy bosman rzeczywiście się nie mylił, czy czekał nas prawdziwie tak okropny zawód?... Myśli me stanęły bezładnie, zanim zdobyłem się na opanowanie silnego wzruszenia.

Niebawem jednak wszelka wątpliwość okazała się płonną i wszystkim na statku stało się jawnem, iż to nie strome brzegi lądu, ale góry lodowe przerzynały linię horyzontu; bo w dziesięć minut później straż oznajmiła przejście kilku takich lodowców w kierunku ukośnym do drogi, którą podążał Halbran.

Wiadomość ta wywołała niebywały popłoch i zamieszanie wśród załogi. A więc nie tu jeszcze miałby być kres tej wyprawy?... Więc jeszcze dalej, jeszcze nowe niebezpieczeństwa!?!... I nagle rozległ się jednozgodny okrzyk wszystkich marynarzy:

– Nawracać, nawracać na północ!!...

I tym razem nie wpływ Hearn, nie jego buntownicze podszepty wywołały tak śmiałe zachowanie się naszych ludzi, lecz naturalny lęk, lecz instynkt samozachowawczy, wrodzony każdej żyjącej istocie, który jej każe cofać się przed czemś nieznanem, a groźnem.

Nawet Jem West nie oburzył się na to; on czekał rozkazów kapitana, który stał blady i zmieniony, wodząc dokoła błędnym wzrokiem.

Spojrzałem na Petersa. Oparty o maszt, z głową pochyloną, z bolesnem wykrzywieniem twarzy,

czynił przykre wrażenie – a gdy wzrok jego spotkał się z moim, wyczytałem w nim taki jakiś gniew i prośbę zarazem, że zadrżałem mimowoli. I nie wiem, jaką siłą powodowany, postanowiłem raz jeszcze wystąpić sam przeciw wszystkim, użyć wszelkich słów, wszelkich sposobów, by uciszyć i do uległości nakłonić tych ludzi.

– Towarzysze – rzekłem – ostatnia nadzieja nie jest jeszcze straconą! Ziemia nie może już teraz być daleko! Toż nie mamy przed sobą lodowego wału, tworzącego się zwykle na pełnym morzu, ale góry lodowe, które jedynie w pobliżu lądu powstawać mogą. Poza niemi więc znajdziemy niezawodnie ową ziemię, od której brzegów oderwały się te lodowce. Jeszcze jedna, dwie doby najdłużej, a przyrzekam wam, że jeśli i wtenczas nie ujrzymy lądu, kapitan każe nawrócić!...

Nieobecność Hearn sprzyjała bronionej przezemnie sprawie, a wierny mi bosman nie omieszkął poprzeć słów moich, gdy tonem dobrego humoru zawołał:

– Słowo uczciwego marynarza, dobrze powiedziane! I co do mnie, zgadzam się zupełnie z panem Jeorling; bo przecież jasnym jest, iż ziemia nie może już być daleko. Cóż nam zresztą znaczy jeden stopień dalej, gdy do kieszeni wpłynie nam za to paręset dolarów? A niech mnie foki pożrą, jeśli kłamię, że miło jest zagarnąć złoto, gdy się na nie uczciwie zapracowało; jak również przyjemnym jest, gdy można je potem wydawać!

– Tak, tak – potwierdził murzyn Endirot – dolary są piękne, przepadam za dolarami; – i roześmiał się szczerze, ukazując dwa rzędy białych, lśniących zębów.

– Czy załoga ulegnie takim argumentom, czy też będzie w dalszym ciągu stawiała opór? jakie zdanie wreszcie okaże sam kapitan? – pytałem się niespokojny.

Tymczasem Len Guy ujął znowu swą perspektywę i skierowawszy ją ku płynącym masom, badał je czas jakiś z natężoną uwagą, poczem stanowczym głosem zawołał.

– Kierować na południo-zachód!...

Chwilę jedną marynarze zdawali się jeszcze namyślać, powoli jednak każdy stanął na wyznaczonym sobie przez porucznika miejscu do pracy, około odpowiedniego nastawienia żagli.

Gdy wszystko zostało ukończone, ująłem bosmana za ramię i odprowadzając nieznacznie na bok, rzekłem:

– Dziękuję ci, Hurliguerly!...

– A no, udało nam się jeszcze tym razem! – odrzekł, kiwając głową – niebezpiecznym wszakże byłoby raz wtóry rzucać się tak przeciw fali, bo wówczas wszyscy będą przeciw nam, a pan wie, co to znaczy.

– Ależ ja przedstawiłem jedynie rzeczy prawdopodobne – odrzekłem.

– Nie przeczę temu, panie Jeorling, tak być rzeczywiście może, a jednak...

– Wierz mi Hurliguerly, jestem mocno przekonany, iż niebawem za temi lodowcami ujrzymy obszerny ląd...

– Możliwe, możliwe, panie Jeorling! Niechże więc ten ląd ukaze się nie dalej, jak za dwa dni, gdyż już wtenczas nic tamtych powstrzymać nie zdoła!...

Płynęliśmy zatem dzień już cały w kierunku południowo-zachodnim, i niebawem Halbran dostał się na linię lodowców, którą wypadało przejść w poprzek. Z wielką uwagą i ostrożnością przesuwając się musiał przez ciasne niby wąwozy, między skupionymi górami, jakkolwiek nie było tam owych brył płaskich lub nieforemnych, które tworząc chaos nie do opisania, tak niezmiernie utrudniały przejście przez linię zapory lodowej. Tutaj same tylko olbrzymy, lśniące zda się nowiuteńkie, płynęły wolno i majestatycznie; wysokość ich dochodziła 500 stóp, ciężar zaś mógł wynosić miliony beczek.

Aby uniknąć zetknięcia się z niemi, Jem West na chwilę nie opuszczał pokładu. Dotychczas też wskazówki busoli mogliśmy uważać za zupełnie dokładne, gdyż od bieguna magnetycznego, który odsuwa się od bieguna osi ziemi znacznie ku wschodowi, oddzielało nas jeszcze parę setek mil.

Jednakże, gdy wbrew moim przekonaniom, będącym wynikiem poważnych naukowych badań, nie ujrzeliśmy jeszcze lądu ani śladu, zastanawiałem się nad tem, czy nie należałoby raczej zwrócić się stanowczo ku zachodowi, chociażby to pozbawić nas miało tak ważnego dla świata wypadku dotarcia do punktu, w którym schodzą się wszystkie południki kuli ziemskiej.

Bo w miarę jak upływały godziny z udzielonych mi 48, coraz większe zniechęcenie znowu widocznem było wśród załogi. Jeszcze więc tylko półtorej doby, a stracę wszelkie środki do walki, i odwrót stanie się koniecznym.

Przygnębiające milczenie, z jakim pracowała załoga, przerywały tylko rozkazy porucznika. Mimo wszakże dokładnego i szybkiego wykonywania potrzebnych manewrów, nie było można ustrzedz się niejednokrotnie gwałtownych zderzeń z lodowcami, przy czem spód Halbranu najwięcej był narażony, o czem świadczyły czarne, długie pasy smołowca, widne następnie na bryłach lodowych.

I jakże się tu dziwić, że i najodważniejsi drżeli na samą myśl większego uszkodzenia statku, uszkodzenia, którego by niechybnem następstwem było zalanie wodą. A jeśliby Halbran uległ tu zniszczeniu, nie pozostałby na pewno z żyjących na nim obecnie ludzi, ani jeden świadek tej katastrofy, gdyż nawet o ratowaniu się na lodowcach nie mogło być mowy, zważywszy strome, nieprzystępne ich brzegi.

Jeżeli wszakże niepokój straszny dręczył nas wszystkich, to biedny Dick Peters całkiem upadł na duchu od chwili, gdy żaglowiec z rozkazu kapitana opuścił dawny kierunek południowy, aby przeciąć linię biegu lodowców.

W godzinach też wypoczynku nie stał metys jak dawniej, oparty o poręcz, wpatrzony w daleką przestrzeń, lecz siadał pod masztem skulony, senny i apatyczny.

– Chciej mię pan zrozumieć, to nie tam, nie tam! – powtarzał z rozpaczą w głosie – nie tam szukać winniśmy Pryma! – A ja nic znalazłem i słowa by go uspokoić i pocieszyć.

Około godziny 1-ej wieczorem podniosła się tak gęsta mgła, iż żegluga i tak już bardzo trudna, stała się prawdziwie niebezpieczną...

Dzień przebytych wzruszeń, nadziei i obaw, wyczerpał mię zupełnie; zeszedłem więc do kajuty, gdzie rzuciłem się w ubraniu na łóżko. Pokrzepiający jednak sen, nie skleił moich powiek, nie uciszył rozdrażnienia, jakkolwiek zdawało mi się, iż jakaś ręka żelazna trzyma mię nieruchomo na pościeli; pół na jawie, pół we śnie umysł mój pracował ciągle.

– Ha! gdybym tak był niezależnym panem Halbranu, gdybym go mógł nabyć teraz choćby kosztem całej mej fortuny, gdyby ci ludzie byli mymi niewolnikami, nie ustąpiłbym, i mimo wszystkiego, dotarłbym tam, tam... gdzie mię ciągnie siła nieprzeparta!...

To znowu brała mię ochota spuszczenia się potajemnie z Petersem do jednej z łodzi, by dopłynąć z prądem do lądu, na którym tamci żyją. I uczyniłem tak, ale oczywiście już we śnie. Było to niby dnia następnego, gdy kapitan wydał stanowczy rozkaz powrotu. W spuszczonej łodzi siedział metys ze mną, i podczas gdy Halbran wracał na północ, prąd unosił nas w przeciwną stronę. Niebawem ciche, czyste morze roztaczało się dokoła, a łódź szła ciągle dalej i dalej... Zatrzymała się wreszcie. To ziemia, ziemia obszerna! Wstępujemy na nią, aż tu nagle podnosi się i sięga pod obłoki olbrzymia postać lodowego sfinksa. Nieustraszony idę śmiało ku niemu. Zadaję mu pytania, a on mi powierza tajemnice stron podbiegunowych. Nagle poczyna się wszystko dziwnie zmieniać, jakaś szczególna jasność zapala się na niebie, ziemia drży podemną, rozlega się trzask złowrogi i... Czy to sen jeszcze czy rzeczywistość, lecz zdawało mi się, iż zwykłe kołysanie żaglowca ustało, że jakby zawisł nieruchomo pochylony ku tyłowi. Niebawem ponowne, silne wstrząśnienia ocuciły mię zupełnie i właśnie w chwili gdy zamierzałem podnieść się z pościeli, rozległ się straszliwy, przeciągły łoskot, jakby cały Halbran rozdierany był w kawały – przyczem nadzwyczajną siłą gwałtownego ruchu wyrzucony na podłogę, o mało nie rozbiłem sobie głowy o krawędź stołu. Gdy powoli wracając do przytomności, rozejrzałem się po kajucie z kąta w którym leżałem, stwierdziłem przede wszystkim, iż niepodobna mi będzie stanąć na podłodze, cały bowiem statek zostawał w położeniu jakby był zawieszony na jakimś olbrzymim haku.

Czołgając się, dosięgnąłem drzwi, które z trudem otworzyłem właśnie, gdy ponowne nastąpiły wstrząśnienia, poczem okrzyk przerażenia i grozy rozległ się wśród załogi.

Jeszcze raz i drugi drgnął konwulsyjnie Halbran, aż wreszcie stanął zupełnie nieruchomo.

ROZDZIAŁ VII

Na lodowcu.

Na czworakach, jak to czynią małe dzieci, dostałem się wreszcie na pokład; Len Guy również w ten sposób opuścił swą kajutę i uczepił się tu złamanego słupka od bandery.

Między wzniesieniem na przodzie statku i trójkątnym masztem, kilka głów z wyrazem nieopisanego przerażenia wychylało się z pod fałd rozpostartego płótna, niby jakiegoś namiotu zburzonego gwałtownym huraganem.

Z przeciwnej strony, uczepieni do sznurowej drabiny Dick Peters, Hardie, Marcin Holt i Endirot, zwrócili ku nam osłupiałe swe twarze.

Niewątpliwie w tej chwili zarówno murzyn, jak przyjaciel jego bosmam, byliby chętnie odstąpili 50% z obiecanej przezemnie nagrody.

Jakaś ludzka postać czołgała się ku mnie; poznałem w niej bosmana, położenie żaglowca było takie, iż niepodobieństwem okazało się utrzymanie na nogach w pozycji pionowej. Leżąc wsparty o odrzwia, nie lękałem się zesunąć w głąb pokładu; wyciągnąłem też ramię z pomocą bosmanowi

– Cóż się to stało? – zapytałem.

– Osiedliśmy na mieliźnie, panie Jeorling.

– Jakto, a więc jesteście u brzegów lądu! – krzyknąłem.

– Tymczasem jeszcze góra zastępuje brzegi lądu – odparł ironicznie Hurliguerly – boć ta oczekiwana ziemia, istnieje tylko w idiotycznej głowie Petersa!

– Gadajże jednak, co właściwie zaszło?

– Nadeszła góra wśród mgły, góra, której ominąć nie mogliśmy, dla tej prostej przyczyny, że nie była widzialną.

– Góra lodowa, mówisz bosmanie? – pytałem, nie rozumiejąc nic dotychczas.

– A no tak, lodowiec panie, który właśnie wybrał sobie tę chwilę, by wywinąć koziołka. Podnosząc się napotkał nieszczęściem nasz statek i nadział go na swój szczyt... I oto wznieśliśmy się mimowoli przeszło na sto stóp nad poziom morza antarktycznego...

Czyż można wyobrazić sobie okropniejsze zakończenie wyprawy na Halbranie!

Pośród tych ostatecznych krańców świata, jedyny nasz statek, jedyny dla nas środek swobodnego ruchu wyrwy z właściwego sobie żywiołu i uniesiony na taką wyniosłość! Czyż może być, powtarzam, tragiczniejsze i mniej prawdopodobne, mniej przypuszczalne rozwiązanie?!...

Na zatonięcie w czasie gwałtownej burzy, na zgruchotanie wśród lodowców, na rabunek wreszcie i zniszczenie przez dzikie plemiona, musi być przygotowany każdy okręt wyruszający w niebezpieczną podróż podbiegunową. Ale los jaki spotkał nas obecnie, przechodzi wszystko, o czym dotychczas kroniki żeglugi morskiej wspominają.

Czy położenie to jest bez wyjścia, czy też środkami którymi rozporządzamy, zdołamy spuścić Halbran znów bezpiecznie na wodę? Na to nie umiałem dać sobie stanowczej odpowiedzi. O tem jednym tylko nie zwątpiłem, że zarówno kapitan jak jego porucznik, skoro minie pierwsza chwila przerażenia, nie zaniechają wszelkich możliwych usiłowań i sposobów dla wspólnego naszego ocalenia.

Tymczasem gęsta mgła, jak zasłona z krey otoczyła cały lodowiec, a z nim i nasz Halbran, tak, iż niepodobieństwem było rozejrzeć się dokładnie w położeniu, bo najbliższe nawet przedmioty występowały niewyraźnie. I w tym półmroku stwierdziłem to jedynie, iż statek uwiązł w wąskiej szparze lodowca, którą prawdopodobnie własnym swym ciężarem wygniótł. O ile wszakże jest tam bezpiecznym, jakiej siły i wytrzymałości jest ta ślniaca, kryształowa masa; czy nie grozi nam obłamanie się lodów i powrotne gwałtowne zsunięcie do morza, co byłoby już bezwątpienia wyrokiem śmierci dla nas wszystkich? Dopiero szczegółowe rozpatrzenie położenia upewnić o tem nas miało.

W kilka minut później cała załoga opuściła Halbran, aby bezpieczniej stanąć na najbliższej płaszczyźnie lodowej. Mgła jednak, która niby ciężki kaptur otaczała statek, nie zmniejszała się wcale, a była tak gęstą, że słabo tylko przedzierały się przez nią promienie słońca, którego tarcz błyszczała czerwonym światłem. To też o jakie dwanaście już kroków nie mogliśmy dojrzeć się wzajemnie, i statek przedstawiał tylko niekształtną jakąś bryłę ciemną na białym tle lodowem.

Aby usunąć obawę, czy który z naszych ludzi nie został w czasie katastrofy wyrzucony do morza, rozkazał kapitan zebrać się wszystkim marynarzom na miejscu, gdzie stałem właśnie z porucznikiem, bosmanem, Hardiem i Marcinem Holtem. I oto na wezwanie Jem Westa każdego po imieniu nie odpowiedziało pięciu, a mianowicie: marynarz Drap, jeden z najstarszych na Halbranie i czterech rekrutów z Falklandów, z których dwóch było Anglików, jeden Amerykanin i jeden krajowiec z Ziemi Ogniowej.

Głośnie nawoływania zostały bez odpowiedzi.

A więc aż pięciu odrazu, pięć ofiar ludzkich w tej jednej chwili! Jakże bolesną jest ta strata! A tak szczęśliwie bez żadnego wypadku śmierci jechaliśmy od samych Kerguellen.

Jeszcze wszakże jaśniała nam iskierka nadziei, że może w upadku zdołali ucześcić się lodowca na niższych jego odłamach. Próżne jednak były nasze poszukiwania, których nie zaniechaliśmy, skoro

tylko mgła nieco się rozwiała.

Katastrofa zaszła tak nagle i z taką siłą, że ludzie ci zajęci właśnie w górze przy żaglach, nie zdążyli znaleźć pewnego oparcia, a połamane maszty i w strzępy podarte płótna, były wymownym świadectwem tego, co się tam dziać w owej chwili musiało.

Skoro śmierć pięciu naszych ludzi stała się pewną, rozpacz ogarnęła serca wszystkich, i każdy zadrżał mimowoli przed widmem oczekujących nas odtąd niewątpliwie dalszych klęsk i niebezpieczeństw.

– A Hearne? – rzekł wreszcie Marcin Holt, przerywając po dłuższej chwili żałobne milczenie.

– Przypomnienie słuszne! Co się dzieje z Hearnem, odsiadującym swą karę w piwnicach statku? W ogólnym popłochu zapomnieliśmy o nim zupełnie.

Jem West bez zmudy jednej chwili wciągnął się na pokład po linie od holowania, która służyła nam wszystkim do zejścia na lodowiec.

Z niepokojem oczekiwaliśmy powrotu porucznika, choć naprawdę Hearne postępowaniem swym nie zasługiwał na tyle z naszej strony współczucia.

A jednak trudno mi było oprzeć się myśli, że gdybyśmy byli uwzględnili jego żądania tam jeszcze w Tsalal, gdybyśmy wtenczas nawrócili na północ, żaglowiec nasz nie stałby teraz na płynącym lodowcu!... I przed ogromem odpowiedzialności jaką ściągnąłem na siebie, ja, który głównie przyczyniłem się do przedłużenia tej wyprawy, stałem teraz bezsilny i zgnębiony...

Nareszcie ukazał się porucznik na pokładzie wraz z Hearnem. Szczęśliwym wypadkiem, komora, w której został zamknięty niesumienny marynarz, nie poniosła uszkodzeń żadnych w czasie katastrofy.

Nie rzekłszy i słowa, Hearne, jakby obojętny na to co zaszło, połączył się z towarzyszami.

Wreszcie około szóstej rano, dzięki znacznemu obniżeniu temperatury, mgła opadła zupełnie pod postacią długich, ostrych kryształków, które marznąc w powietrzu pokryły niebawem chropowatą skorupą zarówno żaglowiec, jak powierzchnię lodowca. Ów „*froste-rime*,” jak nazywają Anglicy to zjawisko, znanem jest marynarzom mroźnych stron podbiegunowych, i nie należy brać go za toż samo z białą szadzią czyli szronem zjawiającym się dość często zimową porą w strefach umiarkowanych, gdzie osiadła już na przedmiotach wilgoć, ulega dopiero stężeniu.

Zaledwie teraz mogliśmy powziąć dokładne pojęcie o wymiarach bryły, na której spoczęliśmy, jak muchy na głowie cukru; sam Halbran nawet, widziany z dołu, wydawał się nie większym od małej gabary. Lodowiec ten, którego obwód dochodził mniej więcej 400 stóp, wznosił się na 140 stóp nad poziom wody; wedle więc obrachunku opartego na znanych prawach fizyki, zanurzać się musiał cztery, do pięciu razy tyle w głębi morskiej.

Niewątpliwie też katastrofa nastąpiła w chwili, gdy kolos ten podminowany napływem cieplejszych prądów, począł się wznosić do góry przyczem z powodu zmienionego punktu ciężkości, stracił równowagę i w swym gwałtownym wywrocie, odzyskał ją dopiero, obracając się ku górze

dolną swą pierwotnie częścią. Fatalnym wypadkiem znajdujący się właśnie w tym miejscu Halbran, podniesiony został tym sposobem, niby ramieniem olbrzymiej dźwigni.

Liczne lodowce ulegają takiemu przekoziółkowaniu na morzach podbiegunowych, co stanowi właśnie jedno z największych niebezpieczeństw dla płynących tam okrętów.

Ujęty w szeroką rozpadlinę od strony zachodniej, żaglowiec stał pochylony ku bakartowi z przodem mocno wzniesionym w górę, budząc tem położeniem obawę, by za najmniejszym wstrząśnieniem, nie zesunął się znowu gwałtownie na dół.

Od strony wzniesionej uderzenie musiało być bardzo silne, stwierdziliśmy bowiem, że niektóre spojenia i okucia ustąpiły, a nawet miejscami brakowało tych ostatnich zupełnie. Znajdująca się też wewnątrz właśnie pod trójkątnym masztem kuchnia żelazna, wyrwana ze swego miejsca, rzuconą została aż do wschodów wiodących na pokład, a drzwi z kajuty kapitana leżały na ziemi.

Górna część statku przedstawiała obraz straszliwego zniszczenia. Części połamanych masztów i rei, szmaty podartych żagli, zaściętały pokład, łącząc się w chaotyczny nieład z rozrzuconymi baryłkami od wody, klatkami z zabitym lub poduszonym drobiem, z połamanymi ławkami i mnóstwem drobnych części statku.

Straty te wszakże, jakkolwiek dotkliwe, usunęły się na drugi plan, wobec zupełnego zniażdżenia jednej z łodzi. Należało więc przede wszystkim zabezpieczyć drugą, bo kto wie, czy nie pozostanie nam ona jedynym środkiem ostatecznego ratunku.

Gdyby jednak udało się nam szczęśliwie oswobodzić Halbran z jego uwięzienia, gdyby znowu stanął na wodzie, dalsza żegluga byłaby jeszcze możliwą – zważywszy, iż maszty i żagle od strony rufy zachowały się w całości. Ale jakże wydobyć go z tej szczeliny, jak spuścić na morze bez odpowiednich przyrządów?

Gdyśmy z kapitanem, porucznikiem i bosmanem naradzali się nad tem, Jem West odezwał się wreszcie:

– Próba to będzie i próba ryzykowna, gdy wszakże nic innego nie mamy do wyboru, musimy się na nią zdecydować. W tym celu sądzę, iż trzeba wyłobić w łodzi aż do samej podstawy góry, rodzaj koryta, po któremby statek zesunąć można.

– Bez straty i dnia jednego zajmij się tem! – rzekł Len Guy.

– Słyszysz, bosmanie: bez straty jednego dnia! A więc do pracy, natychmiast, zaraz!

– Rozumiem, poruczniku. Jeśli mi wszakże wolno zrobić uwagę...

– Mów śmiało, Hurliguerly, co myślisz?...

– Zdaje mi się, iż bezpieczniej byłoby zrewidować cały tułów Halbranu i porobić możliwe a konieczne naprawy, bo na cóż zdałoby się spuścić statek, jeśliby niebawem miał być zalany wodą.

Słuszna uwaga bosmana przyjęta została, i podczas gdy sam kapitan z porucznikiem i kilku marynarzami rozpatrywali szczegółowo, o ile się tylko dało, spód okrętu, ja korzystając z jasności i pogody, zwiedziłem cały lodowiec.

Strona jego zachodnia była stromą i niedostępną, wschodnia jednak błyszcząca w promieniach słońca, dzieliła się jakby na obszerne tarasy, na których możnaby wygodnie rozłożyć się obozem. Niższym wszakże piętrům groziły zasypaniem zwieszające się, niby balkony, olbrzymie łomy, z których właśnie w mej obecności oberwał się jeden i roztrącając się po drodze, z głuchym łoskotem, runął do morza.

Obawa wszakże nowego przewrócenia się góry, zdała się nieuzasadnioną; lodowiec bowiem płynął równo i spokojnie, znalazłszy już widocznie właściwy punkt ciężkości.

Zrewidowanie statku w części jego przedniej, jako zawisłej w powietrzu, nie przedstawiało trudności, tył jednak zaryty w lodzie, trzeba było ostrożnie odkopać.

W ogóle licząc, uszkodzenia były stosunkowo małoznaczne i łatwe do naprawy, w czym okazała się najwyraźniej wyjątkowa sumienność i akuratność w budowie żaglowca. Naruszone też spojenia i okucia w krótkim czasie umocowane być mogły – a nawet silniej nadwerężony ster, dal się również naprawić.

Tak więc uspokojeni nieco, spożyliśmy pierwszy posiłek od chwili katastrofy, poczem miano się zabrać do pracy.

– Oby niebo dopomogło nam – westchnąłem z głębi duszy – by się ta próba udała, byśmy szczęśliwie wyszli z tak fatalnego położenia! Bo jeśli nam przyszło pozostać na tym lodowcu płynącym Bóg wie w jakie strony, gdybyśmy musieli całe sześć miesięcy straszliwej, podbiegunowej zimy, przepędzić na nim, bezwątpienia ani jeden z nas nie przeżyłby tego.

W tej chwili Dick Peters, który zdala od wszystkich stał na straży, krzyknął swym szorstkim głosem:

– Na miejscu....

Co właściwie przez to znane hasło rozumiał teraz metys?

Oczywiście rzecz jedynie możliwą, to jest, że lodowiec nie płynie dalej. Jaka wszakże była ku temu przyczyna, i jakie mianowicie będą następstwa, trudno się domyśleć.

– Prawdziwie – potwierdził niebawem bosman – lodowiec nie rusza się z miejsca, i kto wie czy nie stoi już tak od chwili, gdy przewrócił koziołka.

– Musicie się mylić – zawołałem przerażony.

– Jest tak niezawodnie – zapewnił mię porucznik – tego niezbitym dowodem są choćby te inne góry, które nas wyprzedzają. Prawdopodobnie lodowiec musiał nową swą podstawą napotkać tam w głębi znaczne wzniesienie lądu i utknął w niem, co potrwąć może dopóty, dopóki nie wypłynie znowu

wyżej, przyczem wszakże obawiać się należy nowego wywrotu.

A więc położenie nasze już i tak bez wyjścia, jeszcze się pogorszyło. Bo przynajmniej na płynącym lodowcu pozostawała jeszcze nadzieja zbliżenia się do jakiegoś lądu, a nawet opuszczenia tych stron podbiegunowych.

I otóż do czego przyszło końcu w trzymiesięcznej naszej wyprawie! O Arturze Prymie, o Wiliamie Guy i jego towarzyszach, nie mogło już być mowy. Teraz własny nasz, ratunek stał się niestety pierwszą i jedyną kwestią, i w tym kierunku winniśmy zużytkować wszystkie siły nasze.

Niechby to jedno przynajmniej nie spotkało nas jeszcze, by spokój i uległość nie dały się zachować wśród marynarzy, którzy, rozumiałem to dobrze, mieli teraz słuszną przyczynę do buntów, czyniąc odpowiedzialnymi za swój los i życie zarówno kapitana jak porucznika, przede wszystkim zaś mnie.

Obawy moje podzielał Len Guy. Istotne niebezpieczeństwo wyrwało kapitana z dotychczasowej beczynności, usprawiedliwionej zresztą zupełnie zasłużonym zaufaniem jakie pokładał w sumienności i zdolnościach Jem Westa. Teraz uszponiona energia obudziła się w nim w całej swej sile; osobiście wszystkim zarządzał, wszystkiego doglądał.

Najpierw więc wezwał załogę całą bez wyjątku, by się zgromadziła na oznaczonym tarasie. Nowozaciężni wszakże z Hearnem na czele stanęli zdala wyzywająco, zda się gotowi w każdej chwili do wybuchu. Len Guy powiódł dokoła wzrokiem pewnym i rzekł donośnym głosem:

– Marynarze Halbranu! Przede wszystkim należy się nam poświęcić chwilę pamięci tym, których brakuje wśród nas... którzy zginęli w tej katastrofie.

– A, czekajmy cierpliwie – przerwał zuchwale Hearn, czując większość siły za sobą – aż i na nas przyjdzie kolej, tu, gdzieśmy pociągnięci zostali wbrew naszej woli...

– Milcz Hearnie! – zawołał Jem West blady z gniewu – albo...

– Hearn powiedział to co miał do powiedzenia – odparł spokojnie lecz z niezwykłą siłą kapitan – a ponieważ już tak postąpił, radzę mu, by nie próbował przerywać mi raz wtóry.

Mimo jednak tak poważnej groźby z ust samego kapitana, buntowniczy marynarz nie myślał jeszcze okazać się uległym, gdyby nie Marcin Holt, który podszedł ku niemu żywo i począł go uspokajać.

Tymczasem Len Guy zdjął czapkę z głowy i rzekł ze wzruszeniem, którego szczerłość odczuliśmy w głębi duszy.

– Za tych więc, którzy zginęli nagle w tej niebezpiecznej wyprawie, podjętej w imię uczuć miłości bliźniego, za tych miłych naszemu sercu towarzyszy, pošlijmy do Boga serdeczne westchnienie, by raczył wziąć w rachunek ich zasługi poświęcenia i przyjął do wiecznej Swej chwały! Módlmy się bracia na klęczkach!...

Za przykładem kapitana poklękaliśmy wszyscy na płaszczyźnie lodowej i cichy szmer modlitwy

wzniósł się do nieba.

– A teraz – rzekł wreszcie Len Guy, powstając, cośmy równocześnie z nim uczynili – oddawszy umarłym co im należało, zwracam się do żyjących, którym zapowiadam, iż mimo wszelkich wyjątkowych okoliczności, wymagam od nich posłuszeństwa. Jakikolwiek byłby mój rozkaz, nie zniosę ani oporu, ani wahania. Na mnie ciąży odpowiedzialność za byt ogółu i nie ustąpię w niczem nikomu! Dowodzę tutaj tak samo jak tam na statku!...

– Na statku, którego już niema – rzucił śmiało Hearn.

– Mylisz się, Hearnie, zagłowiec jest tam w całości i postaramy się spuścić go znowu na morze. Zresztą, gdyby nam pozostała jedyna łódź tylko, ja jestem jej kapitanem, i biada temu, kto o tem zapomni...

Korzystając, iż sekstan i inne narzędzia zachowały się bez żadnego uszkodzenia, dokonaliśmy dnia tego pomiarów które wykazały, iż znajdujemy się pod 88 $\frac{1}{2}$ 50' szerokości, a 39° 12' długości geograficznej.

Oddzielał nas zatem od bieguna południowego tylko jeden stopień minut pięć, równający się 65 milom morskim.

W rozumnym pojęciu wspólnego dobra, cała załoga bez wyjątku w przykładowej gorliwości i zgodzie zabrała się do wskazanych czynności. Najpierw wszakże, zdaniem kapitana i Jem Westa, należało usunąć wszystko co obciążało Halbran. Tak więc cały ładunek z żywnością, nawet żagle, liny i kotwice, złożone zostały na lodowcu.

ROZDZIAŁ VIII

Daremne usiłowania.

Liczne skrzynie z solonem mięsem, sucharami, mąką, herbatą, kawą, warzywem i krupami – oraz baryłki z winem, piwem i wódkami, zajmowały znaczny obszar na tarasie, uspokoiły nas w kwestyi pożywienia, które stanowczo mogło wystarczyć jeszcze dla wszystkich co najmniej na ośmnaście miesięcy. Jedyne braki wody słodkiej mógł nam dokuczyć, tę bowiem straciliśmy przez rozbicie zawierających ją baryłek, ustawionych na pokładzie.

W każdym innym razie, strata podobna byłaby nad wyraz dokuczliwą i nie do powetowania, nam wszakże wyjątkowo brak ten nie miał zbyt dać się we znaki, zważywszy ilość wszelkich innych napoi, oraz ważną okoliczność, że woda morską przechodząc ze stanu płynnego w stały, uwalnia się od wszelkich soli które zawiera, a które dla organizmu ludzkiego są niezdrowe. Dzięki więc temu warunkowi mieliśmy możliwość każdej chwili zaopatrzyć się w dostateczną jej ilość. Szczególniej zaś dobrą, słodką wodę, nietylko do gotowania ale i do picia, otrzymać można z wyższych odłamów gór lodowych, które utworzyły się nad poziomem morza z deszczów i wilgoci atmosferycznej. Kryształowo czysty, z lekkiem zielonkawym zabarwieniem, lód taki odróżnia się od całej masy lodowca. I jakkolwiek właśnie góra na której spoczęliśmy, będąc przewróconą na dół dawnym swym szczytem, lodu takiego dostarczyć nie mogła, to z innych wymijających nas z wolna lodowców, nabrać go było można, bez zbytecznego trudu i niebezpieczeństwa.

Wprawdzie wyładowanie wszystkich ciężarów zabrało nam sporo drogiego czasu – nie żałowaliśmy go wszakże; szło tu bowiem nietylko o ulżenie Halbranowi w chwili spuszczenia go na dół, ale co ważniejsze, o bezpieczne umieszczenie zapasów żywności. Niepewna bowiem pozycja statku wśród lodowych łomów budziła poważne obawy, aby lada wstrząśnienie nie strąciło go do głębi morskiej, pozbawiając nas wszelkich środków do dalszej egzystencji.

– Niemniej też należało wziąć w szczególną opiekę jedyną łódź, która nam pozostała, a którą w danym razie Hearne ze swymi towarzyszami nie wahałby się pewno gwałtem czy podstępem zabrać. Ze wszelkim więc przyborem wiosel, masztów i żagli, kazał ją kapitan złożyć w obszernej grocie, znalezionej nieopodal Halbranu, do której wejścia strzegli, mianowicie w nocy, Dick Peters z Hurliguerlim na zmianę.

W ciągu 19-go, 20-go i 21-go stycznia, dokonana została podwójna praca około zniesienia ładunku i zdjęcia masztów, oraz założenia obozu przez rozbicie kilku namiotów, któreby dały schronienie przed wszelką nadejść mogącą niepogodą, jakiej zawsze obawiać się należy w tych stronach.

Ponieważ ciepłe pożywienie jest ważnym warunkiem zdrowia, przeto Endirot przysposabiał nam jak dawniej, obiady na swej żelaznej kuchni, ustawionej pod jedną z dłuższych ścian lodowca.

Tymczasem mimo bacznej uwagi zwróconej na Hearna, nie było mu można w ciągu tych kilku dni nic zgoła zarzucić. Czy surowa groźba kapitana sprowadziła tę zmianę, czy też zrozumiał, że od dobra ogółu i jego ocalenie zawisło, czy wreszcie obudziły się w nim lepsze instynkta, które bądź co bądź posiada ukryte w głębi swej duszy najgorszy nawet człowiek? Trudno wiedzieć; mimo jednak, że stał się nam w obecnym położeniu prawdziwie pożytecznym, zawsze z niedowierzaniem patrzałem na niego i tem szczerzej żałowałem, że człowieka tak zdolnego do każdej pracy, tak pojmującego w lot co i jak w danej chwili należało uczynić, nie zdobyła szlachetniejsza natura, któraby go też podnieść mogła do wyższego stopnia inteligencji.

Mówiąc o gorliwości Hearna, nie mogę pominąć czem był dla nas wszystkich w obecnym położeniu, nigdy niezmordowany Dick Peters. Pracując za czterech, odpoczywał zaledwie w krótkich chwilach posiłku, spożywając go zawsze, jak dawniej, na osobności, gdy nocą znowu zostawał najczęściej na straży.

Od chwili wypadku z Halbranem, bodaj nie przemówił do mnie słowa; cóż zresztą mógłby mi powiedzieć, gdy rozumiał zapewne równie dobrze jak ja, iż przepadła dla nas raz na zawsze nadzieja przedłużenia jeszcze tej nieszczęsnej wyprawy. Mimo też przyjaznego obejścia Marcina Holta, który go najchętniej wybierał do wspólnej pracy, on unikał go jak mógł, czego przyczynę rozumiałem teraz aż nadto dobrze – nieraz dreszcz zimny wstrząsał mem ciałem na samą myśl o wstrętnej scenie na Grampiusie. Nie wątpiłem też, że gdyby tajemnica którą mi metys powierzył, znaną była załodze, nieszczęsny ten człowiek stałby się przedmiotem istotnego prześladowania.

Podczas utrudzającej czynności wyładowania Halbranu kapitan ze swym porucznikiem naradzali się nad sposobem spuszczenia go na morze. Zadanie to nie było wcale łatwo, zważywszy przeszkody i niebezpieczeństwo – oraz niezmierną pracę, którą należało o ile możności zmniejszyć. Nareszcie wykreślonym został plan wyżłobienia równej drogi, niby koryta odpowiedniego do wymiarów statku, a idącego nieco krętą linią od wierzchołka lodowca aż do jego podstawy; i gdy bosman z jedną partią załogi kończył jeszcze znoszenie ciężarów, druga, pod wodzą Jem Westa, pracowała już z kilofami, łopatami i taczkami, rozbijając twarde masy płynącej góry lodowej.

Płynącej?... Doprawdy, sam nie wiem dla czego posługuję się jeszcze tem wyrażeniem, skoro lodowiec stał nieruchomo niby drobna wysepka, podczas gdy tyle innych przepływało każdego dnia w naszym pobliżu, kierując się za prądem, ku południo-wschodowi.

Więc aby Halbran razem z nim opuścił te strony, na to stanowczo liczyć nie było można, a nawet wątpliwem już mi się zdało, aby w ogóle prędzej czy później ruszył z miejsca.

Tak upłynęły nam dni aż do 24 stycznia. Powietrze było ciche i temperatura ciepła.

Hardie, jako z zawodu stolarz okrętowy, zajął się głównie reperacją żaglowca, i z rzeczywistą przyjemnością przypatrywałem się, jak szybko i z zręcznością dokonywał bądź to zatykania powstałych szpar, bądź umocnienia okuć i utwierdzenia spojeń. Odgłos też młotów i piły ginął dalekiem echem w pustej przestrzeni, wywołując głośniejsze krzyki i krakanie albatrosów, mew i petreli, które w przelocie zatrzymywały się krążąc w górze nad Halbranem.

Łatwo pojąć, że ilekroć znaleźliśmy się teraz sami z Len Guy'em i Jem Westem, jedynym

przedmiotem naszej rozmowy było obecne nasze położenie, oraz obmyślanie sposobów i środków do pożądanej zmiany. Porucznik był najlepszym myśli, ufając, że jeśli nie zajdzie jakaś nieprzewidziana przeszkoda, spuszczenie żaglowca udać się musi. Kapitana jednak dręczyły obawy niepowodzenia. Zresztą, chociaż nie rzekł ani słowa w tym przedmiocie, domyślałem się, ile moralnie kosztować go musiała niemożność dalszych poszukiwań, jak bolesną była mu myśl, że znajdując się zapewne, bardzo już blisko ukochanego brata i jego towarzyszy, zostawić ich jednak będzie musiał.

Bo czyż rozumem byłoby zapuszczać się dalej jeszcze; odsuwać się coraz więcej od Atlantyku – kto wie, czy nie na drugą aż stronę bieguna, opierając się jedynie na zwodniczych przypuszczeniach, znalezienia tam swobodnego przejścia na ocean Indyjski? Nie, zaprawdę, sama powaga odpowiedzialności za byt tych ludzi, nie dozwalała już dalszej, ryzykownej próby! Ja sam nie śmiałybym już teraz odezwać się głośno w tej sprawie, chociaż w rozmowie z Hurliguerlim nie tyle się krępowałem, chcąc też poznać jakie było jego zdanie. Często bowiem teraz, wiele częściej niż dawniej, przychodził poczciwy bosman po skończonej pracy dziennej na chwilę pogawędki do niego namiotu, a rozmawialiśmy przyjacielsko, mając już wspólne różne wspomnienia.

– Tak to, tak, panie Jeorling – rzekł raz mój stary gaduła – któż z nas myślał trzy i pół miesiąca temu, gdyśmy opuszczali Kerguelen, że znajdziemy się teraz zawieszeni na lodowcu, wśród tych przestrzeni.

– Wówczas naturalnie nikt z nas nie brał na seryo wyprawy – rzekłem. – Wszakże, gdyby nie ten nieszczęsny wypadek, bylibyśmy do tej pory niezawodnie osiągnęli już nasz cel i podążali z powrotem...

– Czy pan rozumiesz przez osiągnięcie celu odnalezienie naszych ziomków?

– Nie inaczej!

– Co do mnie, nie ufałem temu nigdy, panie Jeorling, jakkolwiek właśnie dla tej, a nie innej przyczyny, podjęliśmy trud podróży i koszta niezmiernie.

– Tak było rzeczywiście z początku, ale później, po zwierzeniach Petersa, los Artura Pryma...

– Eh, wierz mi pan, wszystko to jedynie próżne złudzenia! I łatwiej już rozumiem, że poczciwy Peters zawraca sobie tem głowę, ale pan, panie Jeorling...

– Mów co chcesz, bosmanie, ja jednak pewny jestem, że gdyby nie ta fatalna katastrofa, gdyby nie to zatonięcie u samego portu....

– Zostawiam panu tę wiarę, gdy ona ci miłą; mojem zdaniem wszakże, dalsza podróż już od Tsalal była tylko błędzeniem za czemś, czego dosięgnąć niepodobna, dla tej prostej przyczyny, że nie istnieje. Co nie przeszkadza wszakże, by obecne nasze położenie nie równało się zatonięciu, choć w każdym razie bardzo daleko od portu. I nieszczęście to powinniśmy przyjąć jako ostrzeżenie...

– Ostrzeżenie, przed czem mianowicie? – zapytałem zdziwiony.

– Przed zbytnią śmiałością, która nas ludzi pcha, byśmy gwałtem wydarli Stwórcy tajemnice, jakie

Jemu podobało się ukryć przed nami. Tak jest, panie Jeorling: mnie się zdaje że postępujemy wbrew woli Boga, wkraczając w te niedostępne strony kuli ziemskiej, pragnąc dotrzeć do bieguna osi...

– A jednak znajdujemy się od niego już tylko zaledwie o 60 mil...

– Zważ pan jednak, że owe 60 mil równają się milionom całych, gdyśmy teraz pozbawieni możliwości ruchu. I jeśli spuszczenie żaglowca nie powiedzie się, zostaniemy skazani na przezimowanie, na jakie nie zgodziłyby się bodaj nawet same niedźwiedzie polarne.

Nie rzekłszy słowa uczyniłem gest, na którym widocznie poznał się bosman.

– Nie zgadłbyś też pan o czym ja teraz często myślę – rzekł po chwili.

– O czymże takim? – zapytałem.

– O wyspach Kerguelen, jakkolwiek nie do nich zmierzamy. Wprawdzie w porze zimowej może tam trochę mróz dokuczyć, boć nie wielka istnieje różnica między tamtejszą temperaturą, a panującym zimą na lądach położonych tuż u koła biegunowego. W każdym razie przecież niedaleko od nich do Przylądka: i jeśli zziębną ci członki, marny człecze, możesz tam spacerkiem dojechać i ogrzać się dowoli, nie lękając się trudności przeprawy przez lodowe zapory. Gdy tu, niech dyabli wezmą, siedzisz w lodowym więzieniu, i ani wiesz czy jego wrota zechcą się otworzyć, skoro staniesz u nich.

– Powtarzam ci, bosmanie, że gdyby nie tak całkiem wyjątkowy wypadek, bylibyśmy niezawodnie odszukali zaginionych, mając jeszcze całe sześć tygodni do opuszczenia tych stref podbiegunowych. Bo przyznać musisz sam, wyjątkowe dotychczas powodzenie...

– Eh, panie Jeorling, powodzenie dość wątpliwe...

– Jakto, więc i ty zwątpiłeś?

– Co pan chcesz, wszystko zużywa się na świecie!... I gdy wspomnę ziomka pańskiego, tego dzielnego Atkinsa, siedzącego spokojnie i bezpiecznie w swej oberży pod „Zielonym Kormoranem,” tam w dolnej sali, gdzie przywykłem wychylić kieliszek pokrzepiającego whisky w towarzystwie przyjaciół, nieopodal od kominka na którym wesoły palił się ogień, to mówię panu, że mię zazdrość bierze, i kto wie czy Atkins nie lepiej odemnie urządził swe życie...

– Obaczysz jeszcze, Hurliguerly, bądź pewny, że obaczysz i Kerguelen, i Atkinsa, i jego oberżę! Tylko zlituj się, nie upadaj tak na duchu, nie daj się opanować zniechęceniu, bo jeśli ty zwątpisz teraz...

– Oj, byłoby jeszcze pół biedy, gdybym ja tworzył tylko wyjątek...

– Jakto, więc załoga?...

– Niestety, znam gorzej odemnie usposobionych...

– Czy Hearn rozpoczął na nowo podburzać?

– Nie mogę powiedzieć, bym go na czym nagannem schwytał, choć go oczywiście nie spuszczałem z oka. Ma się widocznie na ostrożności, wiedząc czym to pachnie; posądzam jednak, że mądry ptaszek zmienił taktykę i jeśli po nim wszystkiego można się spodziewać, to dziwi mnie że Marcin Holt...

– Co chcesz przez to powiedzieć, Hurliguerly? – zapytałem z niepokojem.

– A no, jak się zdaje, oni obaj zostają teraz w przyjaźni. Hearne szuka towarzystwa Holta, a ten wcale nie krzywi się na niego...

– Ależ bosmanie, Marcin Holt jest człowiekiem rozsądnym i spokojnym, dalekim bezwątpienia od posłuchania buntowniczych rad Hardiego.

– I jabym tak sądził; niechętnie wszakże widzę ich obydwóch razem, bo to przebiegła sztuka ten Hardie, zdolny pochwycić w swe sieci zanim się kto opatrzy. A wie też pan o czym oni wczoraj rozmawiali?

– Wiem zawsze jedynie to, co ty mi opowiesz, bosmanie.

– Otóż udało mi się wczoraj pochwycić część ich rozmowy. Hardie mówił: Nie trzeba mieć o to żalu do metysa, panie Holt, że nie przyjmuje twych podziękowań i uprzejmości, bo jeśli jest to sobie zwierzę, posiada jednak trochę odwagi, czego dał dowód ratując pana. Choć nie zapominajmy też, że należał on niegdyś do załogi Grampiusa wraz z Nedom, bratem pańskim.

– Co mówisz, bosmanie, on wspomniał o Grampiusie?

– Tak panie.

– I wymienił Ned Holta?

– Najniezawodniej.

– A cóż Marcin Holt na to?

– Nie mogłem nigdy dowiedzieć się, odpowiedział, w jakich warunkach zginął mój nieszczęśliwy brat. Być może, iż został zamordowany w czasie buntu na okręcie, choć był to człowiek spokojnego umysłu...

– Mów, mów bosmanie, co mówili dalej? – nalegałem żywo.

– Smutne to dla ciebie rzeczy, panie Holt – odrzekł niby za współczuciem Hearne – słyszałem ja tam coś, że kapitan Grampiusa przez zbuntowaną załogę puszczonej został na łodzi z dwoma marynarzami. Może brat pański był jednym z nich... ale dla czego nie pyta pan o to Petersa? on musi wiedzieć o wszystkim.

– Pytałem go już – zapewniał Holt – wszakże od tego człowieka niczego dowiedzieć się nie można. Nie wiem nic!... nic nie wiem!... – jęczał dziwnym swym głosem, chwytając się obiema rękami za głowę i uciekł coprędzej odemnie.

– Cóż jeszcze?... powtórz wszystko, bosmanie! – nalegałem.

– Nic już więcej nie słyszałem; w każdym razie myślałem zaraz powtórzyć to panu.

– Czy cię to w czemkolwiek objaśnia? czy masz jakie podejrzenie? – badałem Hurliguerlego.

– Myślę to tylko, iż Hardie pracuje nad jakimś złym planem, do którego tym czy innym sposobem chce sobie pozyskać Holta.

Rzeczywiście, fakt ten przedstawił mi się tak samo i to bez najmniejszej wątpliwości. Dla czego jednak Hearne wspomniał Holtowi o Grampiusie, dla czego mówił mu o jego bracie? Czyżby tajemnica metysa mogła mu być znana?

Jakkolwiek mocno zaniepokojony, nie dałem tego poznać po sobie, zalecając jedynie bosmanowi baczniejszą jeszcze na wszystko uwagę.

Co mię jedynie pocieszało, to nadzieja że położenie nasze wkrótce się zmieni; roboty bowiem postępowały tak szybko, iż w dwa dni później reperacja żaglowca była już ukończoną, a równocześnie też prawie wyżłobiono koryto, po którym Halbran miał być spuszczone na wodę. Pod wpływem bowiem ciepła atmosferycznego lód zmiękł tak znacznie, iż praca ta nie przedstawiała zbyt gwałtownego zesunięcia się statku; w pewnych też odstępach urządzono w tym samym celu rodzaj hamulców jakkolwiek z mej strony, przez wzgląd na temperaturę, obawiałem się raczej że lód okaże się za mało śliskim.

Oczywiście, wszystko co obciążać mogło tułów Halbranu, jak maszty, liny, żagle, kotwica i t. p., miały być dopiero. umocowane po spuszczeniu go na wodę – przezorność konieczna, jakkolwiek wymagająca parę dni czasu więcej.

W poobiedniej porze 28 stycznia, ostatnie rozporządzenia kapitana dokonano zostały, poczem Len Guy udzielił całej załodze kilka godzin zupełnego odpoczynku, przy zdwojonej porcyi obiadowej dla każdego. Że zaś usposobienie ogólne było jaknajlepsze, nie żałowano też baryłek piwa, jako słuszną nagrodę za sumienną i spokojną pracę.

Wszystko zapowiadało się jaknajlepiej. Halbran na morzu, znaczyło to samo co hasło do powrotu; choć dla mnie i dla Petersa było to ostatecznem, nieodwołalnem opuszczeniem Pryma.

Tymczasem nocą temperatura podniosła się do + 11 stopni Cel., czyli do niebywałego dotychczas dla nas tu ciepła; to też jakkolwiek słońce zniżyło się już znacznie do horyzontu, lody topniały gwałtownie i tysiące strumieni spływało wzdłuż naszej góry.

Mimo, że dopiero na dziesiątą godzinę rano naznaczył kapitan rozpoczęcie czynności spuszczenia statku, wszyscy prawie byliśmy w ruchu już o czwartej, tak niepokój spędził sen z naszych powiek.

Biorąc w rachunek możliwe opóźnienie w skutek nieprzewidzianych przeszkód, liczyliśmy jednak, iż przed wieczorem żaglowiec będzie już na wodzie.

Oczywiście, nikt nie mógł zostać w tak ważnej chwili bezczynnym; każdy też miał wyznaczone sobie stanowisko, by w razie potrzeby pchnąć statek naprzód, albo powstrzymać z pomocą podkładanych drągów, lub wiązań łożyn szybkie jego zesuwanie.

Po skończeniu śniadania o 9-tej godzinie, zadowolenie było tak ogólne, iż ludzie nasi nie mogli się powstrzymać od wychylenia po kieliszku whisky, a głośnie „hura” wśród radosnych życzeń rozlegało się z obozowiska.

Już niektórzy z gorliwszych doszli do statku, już nawet dojrzałem parę ludzkich postaci na pokładzie, gdy nagle straszliwy huk, niby grom z jasnego nieba, rozległ się w powietrzu, a silne drzenie lodowca powaliło wielu na ziemię.

Co za przerażający, co za okropny widok!... Chwila jedna tylko, a nie zapomnę jej nigdy w życiu!

Oto jeden z olbrzymich łomów, między którymi uwiązał Halbran, oberwał się nagle i wraz z usunięciem tej podstawy, żaglowiec zachwiał się, potoczył... i pchany siłą swego ciężaru, począł zwałać się na dół...

Dwóch ludzi: Rogier i Gratian, stojąc na pokładzie próbowali zeskoczyć. Nie było jednak czasu. Straszliwy upadek pociągnął ich z sobą...

Tak jest, patrzałem na to z szeroko otwartymi oczami w niemym przerażeniu, jak gwałtownie skacząc z łomu na łom, przewalając się z boku na bok, zmiażdżywszy jednego z marynarzy, który nie zdążył usunąć się w czas na stronę, statek nasz połamany, rozbity nieledwie w części, runął wreszcie do morza, wyrzucając w górę wysoki strumień wody, u stóp naszego lodowca...

ROZDZIAŁ IX

Co począć?

W niemem osłupieniu staliśmy wszyscy.

A więc z naszego żaglowca, z naszego Halbranu nie zostało nam nic, nic zgoła!... Przed chwilą jeszcze wzniesiony na przeszło sto stóp w górę, spoczywać ma już teraz na pięćset stóp w głębi morskiej!...

Po pierwszym okrzyku przerażenia, nastąpiło głucho, grobowe milczenie. Jak skamieniali, jak wryci, martwym wzrokiem wodziliśmy dokoła, nie chcąc dać wiary temu na co własnymi patrzyliśmy oczami. Tylko po twarzy Jem Westa, stojącego obok mnie, stoczyła się powoli cicha łza serdecznego żalu. Tak jest, ten człowiek żelaznej wytrwałości i siły charakteru, zapłakał nad nieszczęściem które nas dotknęło; które zgubiło ukochany przez niego statek.

I znowu trzech ludzi zabitych! Widziałem Rogera i Gratiana, naszych wiernych starych, wyciągających rozpaczliwie ramiona ku nam, jakby wzywali pomocy... A ten młody Amerykanin, którego ciało przedstawiało już tylko bezkształtną bryłę!...

Ach! zaprawdę, los sprzyjający nam dotychczas wyjątkowo, strasznej zażądał od nas daniny, przez te ostatnie dni dziesięć!

Gdy minęły pierwsze chwile niemego przerażenia, powstało wśród załogi nieopisane zamieszanie. Krzyk rozpacz i gniewu rozsadał wszystkim piersi. Każdy zrozumiał, że tym razem nieszczęście było nie do powetowania.

I niewątpliwie znalazło się wielu, którzy byliby chętnie podzielili los Rogera i Gratiana. Dla tamtych przynajmniej wszystko odrazu się skończyło, gdy dla pozostałych rozpoczną się dopiero ciężkie dni powolnego konania.

Wreszcie pod wpływem naturalnej dążności szukania jakiegokolwiek ratunku, poczęto wołać:

– Na łódź! na łódź!

Wprawdzie Hearne trzymał się z daleka, udając że nie bierze w tem żadnego udziału, wszakże towarzysze jego z Falklandów, byli najgłośniejszymi.

Posłyszawszy to, Len Guy i Jem West wybiegli z namiotu, do którego dopiero co weszli. Przyłączyłem się do nich wraz z bosmanem. Byliśmy uzbrojeni i zdecydowani do użycia broni. Jakikolwiek przedstawiałyby się okoliczności, nie można przecież było tym szaleńcom pozwolić

opanowania łodzi. Ona nie powinna żadną miarą stać się własnością kilku, będąc jedynym ratunkiem dla wszystkich.

– Stójcie! stójcie! – wołał Len Guy do biegnących w stronę groty z ukrytą łodzią.

– Wróćcie się natychmiast! – krzyknął z całych sił porucznik – albo strzelę do pierwszego, który choć krok jeden pójdzie dalej!...

Obadwaj trzymali w ręku pistolety, bosman złożył swój karabin, ja również zdjąłem z ramienia strzelbę.

Próżną jednak była wszelka groźba. Szaleńcy ci nie chcieli nas słuchać. Gdy więc jeden z nich przekraczał już ostatnią bryłę lodowca oddzielającą go od groty, Jem West dał ognia, i kula jego pistoletu powaliła buntownika. Upadające ciało nie zdążyło utrzymać się na wyżynnie, a staczając się po stromem brzegu, runęło do morza.

– Czyż na domiar zła wszelakiego, rozpocznie się teraz mord wzajemny? – pomyślałem ze zgrozą. – Cóż będzie, jeżeli ci szaleńcy nie ustąpią, a może jeszcze starzy z Halbranu przyłączą się do buntowników?...

Nie mogło bowiem ujść mej uwagi, że Hardie, Marcin Holt, Francis, Burry i Stern zdawali się namyślać po czyjej stronie, podczas gdy Hearne niby obojętny, zatrzymał się w tyle.

Jedną więc tylko pozostała nam bezwzględna stanowczość, jedynie ona mogła stłumić bunt w samym jego zarodzie. Bo trudno rządzić się sercem tam, gdzie pijani dziką rozpaczą ludzie, nie obliczając skutków, nie zważając nawet na śmierć jednego ze swoich, cisnęli się dalej, i już, już opanować mieli grotę.

Bosman dał ognia i drugi marynarz legł martwy z przebitym sercem.

Jeden zatem Amerykanin i jeden Fugijczyk, padli już ofiarą swego szaleństwa. Czy będzie koniec temu? Czyż koniecznie ma się lać krew wśród tych, którzy raczej wzajemną sobie pomocą być winni!

Aż nagle ukazuje się u łodzi barczysta postać Petersa, który nadbiegł okalając z drugiej strony lodowiec.

Metys jedną olbrzymią swą rękę oparł na łodzi, drugą wskazywał odwrót nacierającym buntownikom.

Gdy jednak gest ten pozostał zda się niezrozumianym, skoczył ku nim ze zwinnością sobie właściwą, uchwycił w pas najbliższego, wywinął nim w powietrzu niby lekkim drążkiem i rzucił gwałtownie na ziemię. Upadek był tak silny, że pozbawiony przytomności, byłby niezawodnie stoczył się na dół, gdyby Hearne jednym skokiem nie podążył go zatrzymać. Za wiele już stracił ze swoich, aby obojętnie mógł patrzeć na śmierć jeszcze jednego.

Po takim wmięszaniu się metysa do sprawy, buntownicy uciszyli się prawie natychmiast; zdawało się, iż wyjątkowa fizyczna siła Petersa zaimponowała wszystkim. Korzystając z tego podeszliśmy do

samego wejścia grotę, gdy równocześnie też starzy marynarze Halbranu stanęli po naszej stronie.

Wszakże mimo wszystkiego, tamci przewyższali nas jeszcze liczebnie. Len Guy wystąpił naprzód z iskrzącym od gniewu wzrokiem, za nim stanął Jem West, jak zawsze surowo spokojny. Przez kilka chwil kapitan miotany silnym wzruszeniem, nie mógł wydobyć głosu, wzrok jego wszakże wymowniejszy był od słowa.

– Nędznicy! – zawołał wreszcie – zasługujecie bym się z wami obszedł jak ze złoczyńcami; wolę przecież uważać was za nieszczęśliwych, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, co czynią. Chciejcie zrozumieć! Łódź ta nie może być własnością jednych, ona należy do wszystkich, jako jedyny obecnie nasz środek ocalenia. A wyście ją chcieli skraść, przywłaszczyć ją sobie przemocą! Pamiętajcie co wam mówię raz ostatni: ta łódź znaczy dla nas obecnie tyle, co cały Halbran, ja jestem jej kapitanem, i biada nieposłusznym!...

Tu kapitan zwrócił wymowne spojrzenie na Hearnę, który jakkolwiek w tym wypadku otwarcie nie był czynnym, musiał się jednak poczuwać do winy, skoro mimowoli pochylił głowę.

– A teraz – zagrział w końcu donośnym głosem Len Guy – wróćcie w porządku do obozu: łódź powierzam straży Dick Petersa!...

Bez najmniejszego oporu wróciła załoga na dół, gdzie nie mając już koniecznego zajęcia, jedni rzucili się w namiotach niedbale na posłania, drudzy dla zabicia czasu, rozeszli się po okolicy.

Zażegnanie chwilowo buntu, nie zmieniło wszakże fatalności położenia. Brak celu i zajęcia wpływa zawsze demoralizująco na umysł człowieka, a nam nie stało obecnie ani jednego ani drugiego. Pustka i beczynność, Bóg wie na jak długo, stanęły niby widma przed nami. I czegoż dobrego można się było w końcu spodziewać od tych ludzi bez podstaw i wykształcenia, gdy nawet inteligentne umysły opanować w końcu mogła czarna rozpacz?...

To też kapitan z porucznikiem i bosmanem złożyli znów naradę. Przyłączyłem się do nich właśnie, gdy Len Guy mówił:

– W imię wspólnego dobra broniliśmy łodzi i bronić jej będziemy.

– Z narażeniem życia nie oddamy jej! – potwierdził Jem West.

– Kto wie zresztą – zauważyłem – czy okoliczności nie zmuszą nas niezadługo do szukania na niej bezpieczeństwa...

– W takim razie – odparł kapitan – ponieważ łódź jest za małą, byśmy się wszyscy mogli w niej pomieścić, jedynie losowi musielibyśmy zostawić wyór. Co do mnie, poddaję się pod prawa ogólne.

– Tak źle jeszcze nie jest – zawołał bosman – lodowiec trzyma się mocno i nie grozi nam też stopnieniem przed zimą.

– Nie – potwierdził Jem West – tego nie potrzebujemy się obawiać. Jeżeli wszakże konieczną jest straż przy łodzi, należy ją również postawić przy składzie z żywnością.

– W całym tem nieszczęściu, choć to jedno jest dobre że ładunek nasz ocalał. Boże mój, toż mi się w głowie pomieścić nie chce, że nasz Halbran jest tam, w głębi morskiej, że go spotkał los starszego jego brata Oriona!...

– Tak niezawodnie – pomyślałem – los równy, choć wywołany różnymi przyczynami, bo gdy tamtego zniszczyła dzika ręka krajowców wyspy Tsalal, ten padł ofiarą jednej z tych katastrof, których żadna potęga ludzka powstrzymać nie jest w stanie.

– Masz słuszość Jem – rzekł tymczasem kapitan – nie możemy zostawiać zapasów naszych na łasce tych ludzi, którzy łatwo zabrać się mogą do rabunku. Żywności jest tyle, że wystarczyć powinna choćby na rok cały, nie licząc już co dać może rybołówstwo.

Opieka nad tem zdaje mi się tem konieczniejszą, kapitanie, że już widziałem ludzi skradających się do beczek z piwem i whisky – zauważył bosman.

– Toż dopiero byłoby nieszczęście – zawołałem – gdyby się ci ludzie popili. Do jakich scen okropnych dojść by wtenczas mogło!...

– Już ja ich utrzymam w należytych porządku – zapewnił porucznik.

– Zdaje mi się – rzekłem – iż trzeba również rozpatrzyć warunki przezimowania na tym lodowcu, na którym może nam przyjdzie spędzić całą zimę.

– Niech nas Bóg ochroni od tak strasznej konieczności – zawołał Len Guy.

– A choćby też i to nas czekało, panie Jeorling – wtrącił bosman – urządzi się to jakoś z pomocą nieba. Przedewszystkiem wykuliibyśmy sobie grotty w samym lodowcu, aby się zabezpieczyć od zbyt mrozów tej zimy podbiegunowej, i póki nam żywności starczy, jeszcze najgorsze nie nadeszło.

W tej chwili przypominałem sobie znowu owe niewypowiedziane męczarnie głodowe, które przeszli ludzie na Grampiusie, owe dzikie, wstrętne sceny, które były ich następstwem. Czyżby wśród nas miało przyjść kiedy do podobnych ostateczności?!... Pod wpływem tych wrażeń sądziłem, iż zanimbyśmy się zabrali do urządzenia tu na dłuższy pobyt, lepiej byłoby wcześniej opuścić lodowiec. Oczywiście rozwiązanie tej kwestyi wymagało szczegółowego rozpatrzenia warunków. To też Len Guy dłuższy czas siedział milczący, poczem rzekł:

– Niezawodnie byłoby to najlepsze ze wszystkiego co nam pozostaje, i gdyby tylko łódź mogła nas wszystkich pomieścić wraz z potrzebną żywnością, na kilka zapewne tygodni w tej podróży ku Północy, dziś zaraz puściłbym się na morze.

– Ależ kapitanie – zawołałem – musielibyśmy tam płynąć zarówno przeciw prądowi jak kierunkowi wiatru, a sądzę że niema się co łudzić, aby łódź nasza mogła wytrzymać podobne warunki, skoro takiemu żaglowcowi jak Halbran, przyszyłoby to z pewnością z niemałym trudem. Nie północ też miałem na myśli, lecz Południe...

– Południe? – powtórzył kapitan i spojrzał na mni bystro, jakby chciał przejrzeć do głębi mą duszę.

– Dla czegożby nie – odpowiedziałem spokojnie. – Gdyby lodowiec ten nie był się zatrzymał, dopłynąłby z pewnością do jakiejś ziemi w tymże kierunku; czego więc on nie uczynił, łódź nasza uczynić może.

Kapitan za całą odpowiedź wstrząsnął głową, Jem West również nie rzekł ani słowa.

– Lodowiec nasz prędzej czy później podniesie kotwicę – zawołał Hurliguerly, boć to nie Kerguelen ani Falklandy trzymające się mocno dna morskiego! Najbezpieczniejszą więc rzeczą jest czekać tu, gdy wszyscy w żaden sposób zabrać się nie możemy.

– Ale na cóż zaraz wszystkim jechać – rzekłem – wystarczyłoby w łodzi kilku ludzi na zwiedzenie morza w jakimś piętnastomilowym obrębie, oczywiście w stronie południowej.

– Zawsze w stronie południowej? – powtórzył z naciskiem Len Guy.

– Bezwątpienia, kapitanie, przecież znanym ci jest domysł geografów, że u biegunów osi ziemskiej, lądy stałe znajdować się muszą najniezawodniej.

– Geografowie nie wiedzą nic o tem, i wiedzieć nie mogą – odparł zimno porucznik.

– Tem więcej żałować należy, iż my nie probujemy rozwiązać tej kwestyi, znajdując się tak blisko owego punktu – odpowiedziałem, niby obojętnie, uważając za niestosowne silniejsze naleganie, tem więcej, że rozdzielenie byłoby rzeczą bardzo niebezpieczną. Cóż bowiem upewniało nas, iż lodowiec długo jeszcze pozostanie na miejscu? A jakże go później odszukać, jak się połączyć?...

– Jest nas obecnie 23 – rzekł bosman – gdyby więc przyszło ciągnąć losy, jedenastu musiałoby tu zostać, i doprawdy nie wiem, czy szczęśliwsiymi byliby ci, którzy zajęli łódź. A wątpię o tem do tego stopnia, iż ustąpiłbym tam chętnie mego miejsca każdemu, któryby zechciał...

Kto wie czy bosman nie sądził trafnie, jakkolwiek nie myślałem nigdy o stanowczem rozłączeniu, lecz tylko o wysłaniu łodzi na zwiady.

Wreszcie po długich rozprawach udecydowanem zostało, że przygotować się trzeba do przezimowania na lodowcu, konieczność, nawet w razie gdyby tenże ruszył z miejsca.

– Obawiam się znowu przykrego zajścia z naszymi ludźmi – zauważył Hurliguerly – ale cóż robić, niedarmo mus jest największym panem na świecie.

– Niezawodnie – odpowiedział porucznik – dla tego trzeba nam dziś jeszcze zabrać się do tej pracy.

Smutnym dla wszystkich był ten dzień. Jeden tylko Endirot nie wywodził skarg, nie buntował się przeciw położeniu. Czy wypływało to z właściwego charakteru murzyna, naginającego się łatwo do wszelkich zmian, czy też posiadał on tę nieocenioną filozofią życia, właściwą prostym umysłom ludzi zrodzonych w trudnych warunkach bytu.

– Obaczysz, Hurliguerly! I na tym lodowcu będę wam przysposabiał potrawy równie smaczne, jak dawniej na Halbranie, bylebym tylko miał z czego! – rzekł ten poczciwiec, ukazując w szczerym śmiechu szereg białych swych zębów.

– Już to materiału nie zabraknie ci pewnie i nie głód nam tu grozi, lecz zimno, zimno takie, mówię ci, że krew tężeje w żyłach i czaszka pęka na mózgu!... Gdybyśmy mieli jeszcze setki beczek węgla... ale po ścisłym obliczeniu, wystarczy zaledwie na codzienne zagotowanie garnka...

– I tego ruszyć nie wolno nikomu – zawołał Endirot – kuchnia przedewszystkiem!

– To ty przebrzydły murzynie dla tego się nie skarżysz, żeś pewny iż bądź co bądź, ogrzejesz zawsze swoje łapy u komina!...

– Cóż chcesz, bosmanie, nie darmo jest się kucharzem Dla ciebie jednak znajdzie się zawsze kątek u tego pieca...

– Dobrze, dobrze, dla każdego po kolei, niema żadnego wyjątku nawet dla bosmana! Już to najważniejsza rzecz, gdy nam głód nie grozi, bo od zimna przecież jakoś da się zabezpieczyć. Wydążymy sobie wielk grotę, która pomieści nas wszystkich, a słyszałem jako rzecz pewną, że lód zachowuje ciepło; to i nie pomarzniemy z Bożą pomocą.

Gdy nadeszła zwykła godzina spoczynku, wrócili wszyscy do obozowiska i każdy legł na swem posłaniu. Peters tylko stosownie do swej prośby, pozostał przy łodzi.

Dopiero przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, że mianowicie Hearne i jego towarzysze posnęli, udał się też kapitan z porucznikiem do swego namiotu, gdzie i ja niebawem się znalazłem, i wkrótce sen dobroczynny ukoił nasze troski. Aż nagle przebudziło nas znowu gwałtowne wstrząśnienie.

Czyżby lodowiec miał powtórnego wywinąć koziołka pomyślałem, zrywając się z przerażeniem na równe nogi.

W jednej sekundzie byliśmy wszyscy przed namiotami i przy jasności nieustającego dnia podbiegunowego, przekonaliśmy się, iż w skutek potrącenia przez inną płynącą górę lodową, nasza, jak się wyraził bosman, podniosła kotwicę, i ruszyła z miejsca w kierunku południowym.

ROZDZIAŁ X

Przywidzenia.

Tak więc najniespodziewaniej nastąpiła zmiana. Czy jednak skutki jej okażą się pożądane, niepodobieństwem było nam przewidzieć. To też po pierwszym wybuchu radości, nowe niepokoje opanowały serca nasze. Jeden tylko Dick Peters cieszył się zapewne, że płynie znów drogą na której spodziewał się odnaleźć swego Pryma. Dla kapitana wszakże któremu obowiązek względem załogi nakazywał powrót na Północ, przymusowe dążenie ku Południowi, było bolesnym faktem. Przewiezienie w tych stronach stało się więc nieuniknionem, nie tam bowiem gdzieśmy zdążali, leżały ziemie Orkneyów, Nowej Georgii lub Sandwich, w pobliżu których okręty rybackie mogły nas zabrać z lodowca.

Tymczasem przy silnem wstrząśnieniu, tysiące przedmiotów stoczyło się znów do morza. Szczęściem nie były to rzeczy niezbędne, a nawet prawie zupełnie nam już zbędne, jak: kotwica, maszty, łańcuchy, część żagli i t. p., gdyż dzięki pracy dnia poprzedniego, najcenniejsze teraz zapasy żywności i ubrania, umieszczono w obszernej grocie wyszukanej przez bosmana, skąd dla wąskiego wejścia wysunąć się nie mogły.

W ciągu dnia stwierdził kapitan, że lodowiec nasz podążał wraz z wielu innymi ku południowo-wschodowi; kierunek przeto prądu unoszącego nas z szybkością dwóch mil na godzinę, pozostał tenże sam co dawniej, a ta trwałość jego począwszy już od zapory lodowej, poddawała wiele domysłów. Przedewszystkiem ląd istnieć tam musiał koniecznie – i był albo tak mały że prąd obejmował go niby pierścieniem, albo też rozdzielony szeroką cieśniną, dawał ujście zarówno tej masie wody, jak lodowcom które unosiła z sobą.

– Wiem na pewno to jedno tylko – rzekł bosman, którego zagadnąłem w tej chwili – że jeżeli prąd przechodzi biegun i my go teraz przejdziemy; jeżeli zaś nie przechodzi, to i my nie przejdziemy... Nie jesteśmy już obecnie swobodnymi żeglarzami, nie możemy zwrócić się, gdzie nam się podoba. Bo lodowiec to nie statek żaden, nie ma on ani żagli ani steru...

– Przyznaję ci zupełną słuszość, Hurliguerly, dla tego też miałem myśl, aby kilku z nas wsiadłszy do łodzi...

– Zawsze jeszcze to samo, tak panu na tem zależy?...

– Bezwątpienia, bo jeśli w pobliżu znajduje się ziemia, możebna jest, że ludzie z Oriona...

– Wiem, wiem już czego się pan spodziewasz! – przerwał mi bosman – ale czy obliczyłeś pan odległość? Czteryście mil od Tsalal to nie żarty! A bierz pan na uwagę lichą tylko łódź, jaką tamci mieć mogli...

– O niczem stanowczo nie wątpię, dzieją się rzeczy nieraz wprost niemożliwe...

– Nie będę się też sprzeczał z panem, chociaż sędzę że pozostaje nam jeszcze dość czasu omówić tę kwestyę, gdy się już raz owa ziemia ukaże. Wtenczas kapitan zrobi co będzie uważał za stosowne, licząc iż nie wiele mamy czasu do stracenia. Co do mnie, wszystko mi jedno czy lodowiec poniesie nas w stronę Falklandów, czy Kerguelen, czy też w przeciwnym kierunku, bylebyśmy tylko przed zimą wydostali się na drugą stronę zapory lodowej.

Przyznać musiałem, że zdrowy rozsądek dyktował te słowa bosmanowi, a jednak, gdy załoga pracowała około przygotowań na dłuższy nasz pobyt na lodowcu, wchodziłem często na najwyższy szczyt jego, by z lunetą w rękę rozpatrywać okolice. Z miejsca tego, jako z wysokości 150 stóp nad poziomem morza, wzrok mój uzbrojony w szkła, obejmował obszar 12 mil naokoło. Próżno wszakże szukałem ciemniejszych falistych linii lądu na najdalszym horyzoncie.

Kilka razy przyszedł tam również kapitan dla dokładnego wymiaru położenia, które też 30 stycznia wykazało 67° 19' długości zachodniej, a 89° 21' szerokości, skąd wniosek, że podczas gdy prąd odrzucił nas o 24 stopnie ku wschodowi, zbliżył równocześnie na jakieś 40 mil zaledwie do bieguna południowego.

Spokój i uległość z jaką załoga oddawała się pracy, pozwalała nam nieco ufniej spojrzeć w przyszłość, i póty przynajmniej póki lodowiec był w ruchu, nie było potrzeby lękać się nowych buntów. Któż wszakże mógł zaręczyć za to, coby nastąpiło, gdy byśmy znowu osiedli na morzu, lub zatrzymali się choćby u jakiego lądu?

Gdym znowu dnia tego w poobiedniej porze zajął zwykły mój punkt obserwacyjny na wierzchołku naszej góry, ujrzałem podążającego w tę stronę metysa.

– Zapewne – pomyślałem – pragnie i on objąć swym bystrym wzrokiem daleką przestrzeń, spodziewając się znaleźć oczekiwaną ziemię. A może też sprowadza go znów chęć rozmowy ze mną, chociaż od chwili katastrofy zamieniliśmy zaledwie parę słów obojętnych.

Tymczasem metys doszedłszy do szczytu powiódł okiem dokoła, poczem zamyślony czy zakłopotany, stał dłuższą chwilę milcząc, tak iż sądziłem już, że nie spostrzegł mnie nawet.

– Panie Jeorling – rzekł wreszcie, przerywając milczenie – czy przypominasz pan sobie to o czym mówiłem wtenczas w kajucie Halbranu?... Chciej mię pan zrozumieć:: o tej sprawie, tak jest, o tem co się działo na Grampiusie...

– Czyżbym to kiedy mógł zapomnieć! – pomyślałem. – Ja wtenczas zwierzyłem się panu – mówił dalej Peters – że Parker nie był Parkerem, że nazywał się Ned Holtem... że był bratem Marcina Holta.

– Wiem, Petersie, wiem dobrze! Ale czemu powracasz do tych smutnych wypadków?

– Czemu? Jabym chciał wiedzieć... Prawda, pan nigdy o tem do nikogo nie wspomniał?

– Nigdy, do nikogo! – rzekłem z siłą – bo i jakże pomyśl tylko sam, mógłbym taką nieostrożność,

taką niedorzeczność popełnić? Bądź spokojny, jest to między nami tajemnica, która pójdzie ze mną do grobu.

– A jednak – rzekł metys zniżając głos do szeptu prawie, mnie się zdaje, niech mię pan zrozumie, ja przypuszczam że załoga wie coś o tem.

Słowa te przypomniały mi powtórzoną przez bosmana rozmowę Hearna z Marcinem Holtem. Czyby rzeczywiście nikczemny ten człowiek miał wiedzieć cośkolwiek, czy tylko wpadł na taki domysł, by podburzać załogę przeciw metysowi.

– Wytlómacz się jasno, co masz na myśli – rzekłem do Petersa.

– Niech mię pan zrozumie, ja nie umiem tego dobrze wypowiedzieć, ale wczoraj, tak wczoraj... ciągle myślę teraz o tem, Bo widzi pan, wczoraj Marcin Holt pociągnął mię na stronę, daleko od drugich, chciał ze mną mówić.

– No i cóż? – zapytałem żywo.

– Chciej mię pan zrozumieć, on wymówił to imię, imię tego, którego ja... A jednak płyniemy już całe trzy miesiące razem i dopiero pierwszy raz... dla czego?... Niech mię pan zrozumie – powtarzał w kółko nieszczęśliwy Peters w swem najwyższym zakłopotaniu tak cicho, że zaledwie go dosłyszeć mogłem.

– I widzi pan – ciągnął dalej po chwili – mnie się zdawało, że w jego głowie, tak, ja się nie mylę, on mnie posądza bezwątpienia...

– Powiedźże mi jednak, o co cię właściwie pytał Marcin Holt?

– O co mię pytał? Ależ o brata swego, tak, pytał, czy go pamiętam na Grampiusie, czy on zginął tam w czasie buntu, czy też inną jaką śmiercią... czy... czy... Silne wzruszenie zdawało się dławić metysa.

– A cóż ty na to odpowiedziałeś?

– Nic... nic!...

– Mogłeś przecie wytłómaczyć, że Ned Holt zatonął wraz z okrętem.

– Nie mogłem, niech mię pan zrozumie, nie mogłem! Ci dwaj bracia tak do siebie podobni!... Zdawało mi się, iż nie Marcin, ale Net Holt stoi przedemną, i wziął mię taki strach, że zakryłem oczy i uciekłem spiesźnie.

Pod wpływem wspomnienia tej chwili, Peters pochylił się ku ziemi w niemej rozpacz, a ja siedząc z głową wspartą na dłoni, zamyśliłem się głęboko nad przyczyną i możliwymi skutkami powtórzonej mi sceny.

– Bezwątpienia – pomyślałem – wszystko to jest dziełem Hearna, który mógł już na Falklandach

zebrać jakieś wiadomości o metysie, a teraz używa ich jako broni zemsty za to, że on jeden z nowozacieżnych trzymał ze starymi, jak również i za pośrednie przyczynienie się do przedłużenia wyprawy...

Gdym po dłuższej chwili podniósł głowę, Dick Petersa nie było już przy mnie; usunął się tak cicho, że ani tego nie zauważył, powiedziawszy mi co pragnął powiedzieć i upewniwszy się zarazem, że nie ja zdradziłem jego tajemnicę.

Godzina była już późna, gdym zeszedł na dół trawiony niepokojem, zmęczony moralnie i fizycznie. Bez zwłoki udałem się na spoczynek. Wkrótce cisza zaległa wśród obozu. Po zwykłym sprawdzeniu że wszystko było w porządku, zasnął też Len Guy i porucznik. Jeden tylko Peters czuwał przy łodzi.

Nazajutrz 31 stycznia wstawszy wcześniej, rozsunałem płótno namiotu.

– Jakaż nowa przykrość! W około mgła nieprzejrzana. Nie taka, którą promienie słońca rozproszą, ale mgła właściwa stronom północnym: wilgotna, biała, ciężka, niby rozrzucone w powietrzu kłęby waty... Przy znacznym obniżeniu temperatury, mgła owa mogła być łatwo zwiastunem zimy podbiegunowej.

– Ot, nowe niepowodzenie – rzekł bosman – gdybyśmy teraz płynęli w pobliżu ziemi, nie dojrzelibyśmy jej pewno, boć nie rozróżni oko nic na parę kroków przed sobą.

– Ale płyniemy? – zapytałem.

– A jakże, płyniemy i to znacznie szybciej niż poprzednio... robimy pewno teraz do 4 mil na godzinę.

– Co o tem myślisz, Hurliguerly?

– Zdaje mi się, wnosząc z tak gwałtownego prądu, że jesteśmy na morzu ścieśnionem; i nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby ziemia była od nas niedaleko z obu stron.

– Co znaczy, że ta szeroka cieśnina rozdziela ląd u samego bieguna.

– Tak właśnie! I kapitan jest tegoż zdania.

– A czy nie ma zamiaru zbliżenia się do jednego lub drugiego brzegu?

– Co też pan myśli! Narazić tę jedyną łódź na zatracenie! – zawołał bosman pełen oburzenia – boć jasnym jest, żebyśmy już jej nigdy nie ujrzeli. Nie możemy przecież zarzucić kotwicy na jak długo nam się spodoba i czekać. Ba! gdybyśmy tak mieli nasz Halbran, byłoby całkiem co innego!

Niestety, nie mieliśmy już Halbranu!...

Mimo trudności, jaką przedstawiało wdrapanie się na lodowiec, zwłaszcza przy tej mgle na wpół skoncentrowanej, doszedłem wszakże na szczyt, w nadziei że może stamtąd zdołam dopatrzeć ląd z prawej lub lewej strony. Próżno jednak wysilałem się przebić wzrokiem ołowianą, zda się

przestrzeń, i chociaż silny północny wiatr rozpędził nieco tumany mgły, nowe napływały ciągle na ich miejsce, pchane widocznie tym nadzwyczajnym prądem powietrza, równającym się sile prądu wody, która unosiła nas z taką szybkością, iż czułem drzenie lodowca w ruchu.

Czy owa mgła, czy też ten ruch pospieszny oddziaływały na mnie, czy też obie te przyczyny razem – dość, że popadłem zwolna w jakiś stan na wpół tylko przytomny, a dziwne jakieś złudzenia i halucynacje oładnęły mym umysłem. Bezwątpienia był to stan podobny temu, jakiemu uległ niegdyś Artur Prym w swej łodzi. I zdawało mi się, że on i ja to jedno, że widzę wszystko co on opisywał, doznając tych samych wrażeń. Nieprzejrzana mgła była ową zasłoną, którą rozdzierały miejscami świetlane błyski idące od wschodu do zachodu. Szukałem owych ogni palących się w głębi oceanu, podczas gdy spienione, białawe strumienie wodospadu zlewającego się z jakichś niebotycznych wyżyn, ukazywały w swych przerwach fantastyczne krajobrazy, niby złudne fata morgana. I poddając się wrażeniu, czekałem tylko ukazania się osobliwej postaci białego olbrzyma stron podbiegunowych.

Nareszcie czując że przytomność odbiega mię zupełnie, ostatnim wysiłkiem woli opanowałem stan ten dziwny i przykry zarazem, i mimo jakiejś bezwładności, jakiegoś odrętwienia nerwów, zeszedłem powoli do obozowiska.

W ciągu reszty dnia nie zaszła żadna zmiana, zasłona z mgły nie uchyliła się ani na chwilę, i gdyby teraz lodowiec, co być łatwo mogło, mijał punkt bieguna południowego, my mogliśmy nie wiedzieć o tem nic zgoła[4].

ROZDZIAŁ XI

Wpośród mgły.

A więc panie Jeorling – zagadnął mię nazajutrz Hurliguerly – trzeba nam już stanowczo przywdziać żałobę.

– Z jakiej racyi, bosmanie?

– A no, biegun południowy już za nami, a my nie widzieliśmy go nawet z daleka. Cóż pan chcesz, wiatr dął na tę lampę, która przygasła właśnie w chwili, gdyśmy koło niego przepływali. Teraz możemy już być o jakie 20 mil od tego punktu.

– Szkoda wielka!... Nie tak prędko sędzę, przedstawi się ludziom raz drugi równa sposobność.

– I ja tak myślę! Wyprawa tutaj, to nie zabawka. A jak ten nasz lodowy wehikuł pędzi szybko, niech go dyabli!... Ha, cóż robić, wyprawa chybiona, a niema się co namyślać i wałęsać się tu dłużej, bo patrzeć tylko jak ukaże się pani zima ze swym czerwonym nosem i odmrożonemi policzkami i rękami. Oj, oj! próżne koszta i trudy! Ani kapitan Len Guy nie odnalazł swego brata, ani my naszych ziomków, ani nawet Peters swego biednego Pryma!

Niestety, takie rzeczywiście było krótkie zestawienie naszych przepadłych nadziei, naszych ciężkich zawodów. A do tego jeszcze Halbran stracony na zawsze... śmierć dziewięciu ludzi i wszystkie nieznanne, a oczekujące nas bezwątpienia ciężkie i bolesne przejścia! Nie było jednak rady, trzeba było się poddać z całą rezygnacją losowi. I jeżeli już, teraz począwszy od bieguna, nie płynęliśmy ku Południowi lecz ku Północy, jeżeli nie zmierzaliśmy z powrotem na Atlantyck, lecz ku wodom Oceanu Spokojnego, jeżeli nie Falklandy, Sandwich lub Kerguelen, ale ziemie Australii lub Nowej Zelandyi miały nas teraz przyjąć jako rozbitków, patrzyliśmy już na to spokojnie, byle tylko dalej, pospiesznie dalej...

Ponieważ gęste mgły nie ustąpiły ani na chwilę przez długie jak wieczność dni 2-go, 3-go i 4-go lutego, niemożebnem też było określić zmianę naszego położenia. Len Guy wszakże z Jem Westem przyuszczali, iż po ominięciu bieguna posunęliśmy się już o jakie 250 mil naprzód w kierunku południowym.

Siła prądu zdawała się nie zmniejszać wcale, co nas upewniało, że zostajemy ciągle jeszcze między dwoma obszernymi lądami.

– Jesteśmy bezradni w tem położeniu – rzekł do mnie w czasie dłuższej rozmowy kapitan – trudno określić nawet w przypuszczeniu, gdzie się obecnie znajdujemy, ta nieustanna mgła działa przygnębiająco. Żadnych pomiarów powziąć niepodobna i to w chwili, gdy słońce może niezadługo

ukryje się na całe miesiące zimowe.

– Gdyby więc spróbować, na łodzi... – zacząłem nieśmiało.

– Nie możebne panie, nie możebne, ja sam nie popełniłbym takiego szaleństwa, nie mówiąc już o tem co powie załoga...

– Gdyby jednak brat pański, gdyby nasi ziomkowie znajdowali się na tej ziemi! – chciałem zawołać, lecz powstrzymałem się w porę, by nie rozdrażnić serca biednego kapitana, który przecież sann myślał o tem. A jeśli zaniechał próby, to widocznie uważał ją za próżną i zbyt ryzykowną. Być może też, iż pocieszał się myślą, że ten sam prąd wody, ten sam powiew wiatru, który nam służył bez zmiany od wyspy Tsalal, poniósł tak samo i łódź Wiliama Guy, tak że przebywszy w dość wczesnej jeszcze porze lodowe zapory, biedacy ci znaleźli ratunek na jakim rybackim statku lub u którego z łądów Oczywiście, aby przyjąć możebność takiego ułożenia się wawarunków, potrzeba było wiele dobrej wiary, za wiele może nawet.

To też kapitan nie wypowiadał tych myśli, lękając się zapewne wystawienia ich pod krytykę drugich, bo niechętnie wyjaśniamy szalone czasem złudzenia, które nam osładzają gorycz obecnej chwili.

Naturalnie polegający jedynie na poważnych obliczaniach, Jem West dalekim był od podobnych nadziei, nawet bosman wstrząsnął głową, mówiąc:

– Wszystko jest możebne, albo raczej wszystkiego można się spodziewać, to wszakże wydaje mi się już nazbyt nieprawdopodobnem...

W ciągu tych trzech dni nie spotkałem ani razu Petersa. Nieszczęśliwy trzymał się jaszczce więcej zdala, jeszcze staranniej unikał zetknięcia się z ludźmi, odkąd powziął podejrzenie, że tajemnica jego znaną jest załodze – podejrzenie niestety uzasadnione.

Nie umiem wypowiedzieć, jak przykre, jak nieznośne stały się nam w końcu owe dni mgły nieustannej. Zdawało się, że życie zamiera zwolna w piersi naszej. W tym szarym półmroku, w którym światło latarni okrętowej świeciło jak kaganek, niewiadomo było czem zająć myśli, czem wypełnić czas. A owa nieświadomość gdzie zdążamy, ów lęk straszny ogarniający nas mimowoli na wspomnienie co dalej będzie, nie dawał mi chwili spokoju.

Tymczasem silny z początku wiatr ucichł tak zupełnie, że nie poruszał nawet światłem zapalanej pochodni, i ciszę bezmierną, jaka nas otoczyła, przerywały tylko krzyki i krakania ptaków, których w górze nie mogliśmy dojrzeć, a których głos słabo tylko przedzierał się przez zgęszczone wilgocią powietrze.

Spodziewając się, że może w górze mgła rozwiła się już nieco, wdrapał się znów bosman na szczyt lodowca. O mało wszakże nie przyplącił tego swem życiem, bo w owym półmroku olbrzymi jakiś okaz petrela uderzył go w locie skrzydłem z taką siłą, że go przewrócił.

– Przebrzydłe zwierzę! – opowiadał mi później mój gaduła – anim się opatrzył, gdy runąłem na

wznak jak kłoda; ledwie zdążyłem uchwycić się sopli lodowych, ale pan wie, lód usuwa się z pod rąk niby woda... Próżno jednak wymyślałem, wołając: „A ty szaleńcze, ty przeklęty ptaku, nie możesz to patrzeć przed siebie”!... Poleciał dalej, mówię panu, nie myśląc mię nawet przeproszać, chociaż nie wiele brakowało, bym się nie stoczył aż tam, do morza.

W poobiedniej porze dnia tego, ucho moje pochwyciło dziwne jakieś głosy, niby ryk gromady osłów, a jak powiedział Hurliguerly, musiały to być pingwiny w wielkiej ilości. Otóż, ponieważ owe ptaki tak pospolite w stronach podbiegunowych, wylatują rzadko na pełne morze i trzymają się głównie wybrzeży, przyjąłem z radością domysł, że musieliśmy znacznie zbliżyć się do lądu. Nie chcąc jednak łudzić się prózną nadzieją, zapytałem Len Guya co o tem sądzi.

– Sądzę to samo co i pan, panie Jeorling – odpowiedział kapitan – od czasu bowiem jak zostajemy w tych stronach, nie widzieliśmy ani jednego z tych ptaków, bądź na naszym lodowcu, bądź też na innym. Teraz zaś musi ich być tam liczba wielka, wnosząc z siły ich głosu, a skądżeby przyszły jeżeli nie z pobliskiej ziemi? Nadto zauważyliśmy jeszcze z porucznikiem coś, co jak się zdaje uszło uwagi pańskiej.

– Co takiego?

– Posłuchaj pan tylko uważniej. W tym ogłuszającym ryku pingwinów, wyróżnić jednak można żalosne głosy, do beczenia podobne.

– Rzeczywiście – rzekłem po chwili pilnego nadśłuchiwania – tam muszą być foki i cielęta morskie, bo tylko im właściwe jest takie beczenie.

– Stąd wniosek – rzekł kapitan – że zarówno owe ptaki jak zwierzęta, muszą być bardzo liczne na ziemiach ku którym nas prąd unosi.

– Co za fatalność – zawołałem – iż ta wstrętne mgła ciągle nas jeszcze otacza tak, że nie można nic widzieć dokoła.

– I że nie pozwala nam zejść nawet do podnóża lodowca – wtrącił Len Guy – tam bowiem moglibyśmy przynajmniej przekonać się, czy woda unosi dużo piany, co byłoby bardzo ważną wskazówką. Masz pan rację, mgła ta jest dla nas fatalną!

– Czy jednak nie wypada spróbować zesunąć się na dół? – zapytałem.

– Nie mogę na to pozwolić, byłoby to nazbyt ryzykowne dla każdego: surowo nawet zabraniam wydalać się komubądź z obozowiska. Zresztą, jeżeli ziemia jest już w pobliżu, kto wie czy lodowiec nie zatrzyma się u jej brzegów.

– A jeżeliby się nie zatrzymał?...

– Musimy się zgodzić z tem, co będzie...

– Ale od czegoż mamy lódź! – pomyślałem. Kapitan jednak wolał czekać i kto wie czy w warunkach, w jakich zostawaliśmy, nie było to roztropniejszą rzeczą.

Tymczasem mgła zamiast się rozrzedzać, stawała się jeszcze gęstsza pod wieczór dnia tego. Od piątej godziny było już wprost niemożliwe rozróżnić najbliższe nawet przedmioty i aby się przekonać że ktoś stał w pobliżu, musiałem dotknąć go ręką. Światło też latarni ledwie jaśniejszym nieco odróżniało się punktem, i jakkolwiek słońce nie schodziło jeszcze z horyzontu, byliśmy pogrążeni w ciemności równającej się nocy. Nawet głos ginął tłumiony gęstością powietrza. Doszło wreszcie do tego, że każde poruszenie wymagało pewnego wysiłku, jakby otaczająca nas atmosfera przechodziła zwolna w stan stały.

Czy szczególne to zjawisko nie miało jakiego wpływu na igłę magnesową, trudno nam było sprawdzić, gdyż od chwili przepłynięcia bieguna magnetycznego, igła bussoli w bezustannym była ruchu...

Chcąc się upewnić iż nikogo z nas nie brakło w obozie, kazał kapitan bosmanowi wywołać każdego po imieniu. Wszyscy odpowiedzieli prócz metysa. Hurliguerly powtórzył głośniejsze jego imię, i czekał chwilę. Peters jednak nie ukazał się, ani odezwał; czyby pilnował jeszcze łodzi? Ale zważywszy warunki obecne, byłoby to już zupełnie zbytecznym.

– Czy nikt nie widział Petersa w ciągu dnia? – zapytał Len Guy.

– Nikt – odpowiedział bosman.

– Nie był na obiedzie?

– Nie był, jakkolwiek zapasy które zabrał, musiały się już wyczerpać.

– Może go jakie nieszczęście spotkało?

– Próżna obawa, kapitanie! Peters jest tutaj w swoim żywiole, więcej może niż niedźwiedź polarny. Raz już umiał sobie radzić, poradzi sobie i teraz!

Udaliśmy się do namiotów. Brak tlenu w powietrzu najprzykrzej dawał się nam uczuć. Nikt nie mógł doleżeć na posłaniu, dusząc się nieledwie; przepędziliśmy wszyscy całą noc bezsennie i wczesnym już rankiem każdy spieszył na taras by odetchnąć nieco swobodniej.

Mimo wszakże, iż pozornie żadna meteorologiczna nie nastąpiła zmiana, słupek rtęci w barometrze podniósł się tak znacznie, jak nie stał dotąd od czasu przejścia koła biegunowego. Po paru godzinach dopiero uczuliśmy dość silny podmuch wiatru. Był to już wiatr południowy teraz, odkąd zostawaliśmy po drugiej stronie bieguna. Aż wreszcie około godziny 9-tej, szczyt lodowca zaczął usuwać swój mglisty kaptur, i bodaj różdżka czarodziejska nie dokonałaby szybszej zmiany, nad tę której byliśmy świadkami, ku wielkiej naszej radości. Bo oto w jednej chwili mgły ustąpiły zupełnie, zabłysło słońce na pogodnym niebie i również piękne morze ujrzeliśmy dokoła.

Lodowiec nasz wśród nieco spienionych fali posuwał się ze zdwojoną siłą, gnany wiatrem i pchany równocześnie prądem, a szedł tak lekko, jakby się ścigał dla zabawki z nieprzeliczoną ilością innych, płynących około nas w kierunku północno-wschodnim.

– Ziemia! – rozległ się głos Petersa, który stojąc na samym wierzchołku, wskazywał ręką ku

Północy.

Metys nie omylił się. Tym razem była to ziemia na pewno. Ciemne jej linie rysowały się wyraźnie o kilka mil zaledwie.

Bez straty chwili, kapitan wraz z porucznikiem zabrali się do pomiarów, które wykazały iż byliśmy na $86^{\circ} 12'$ szerokości, a $114^{\circ} 17'$ długości wschodniej. Od bieguna zatem oddzielało nas już prawie cztery stopnie, a z długości zachodniej, której żaglowiec trzymał się stale, jako drogi wskazanej przez Wiliama Guy, zeszliśmy na długość wschodnią.

ROZDZIAŁ XII

Założenie obozu.

W parę godzin później byliśmy od lądu o milę zaledwie. Czy jednak prąd nie poniesie nas dalej, oto pytanie, na które pragnąłem jak najprędszą znaleźć odpowiedź, jakkolwiek wyznaję, iż sam już nie wiedziałem co byłoby lepsze: zatrzymać się tu, lub płynąć dalej. Gdym w tej kwestyi rozmawiał z kapitanem, nadszedł Jem West i przerywając nam rozmowę, rzekł:

– Powiedzcie mi, proszę, na co się zdało rozprawiać o tem?

– Masz rację, Jem, na co się zdało, nasza wola nic tu nie znaczy.

– Tak jest – odparłem – niemniej jednak nasuwa się pytanie, które z tych dwóch wypadków byłoby dla nas lepsze.

– Pozostać na lodowcu – rzekł krótko porucznik.

I rzeczywiście, bo opuścić lodowiec, równało się konieczności odbycia dalszej podróży łodzią. Gdy wszakże jedenastu zaledwie mogła ona pomieścić, reszta byłaby skazaną na niezawodną śmierć z zimna lub głodu. Wprawdzie i lodowiec małą przedstawiał pewność dowiezienia nas szczęśliwie za koło biegunowe, bo czyż nie groziło mu każdej chwili nowe przekoziółkowanie, czy to w skutek zetknięcia się z inną górą lodową, czy w następstwie burz, które z nadejściem pory zimowej szaleć będą na morzu?... Ale jak powiedział porucznik: na co się zdało dysputować w tej kwestyi...

Po obiedzie, gdy cała załoga bez wyjątku weszła na najwyższy punkt lodowca, Dick Peters, który tam stał dotychczas, usunął się spiesznie drugą stroną, unikając spotkania.

Ziemia rozkładająca się przed naszymi oczami, przedstawiała obszar gubiący się w stronie wschodniej, aż pod linią horyzontu. Powierzchnię jej przerzynały znaczne wyniosłości, wybrzeże zaś w głębokie poszarpane zatoki, kończyło się w stronie zachodniej długim, ostrym przylądkiem. Podzieleni na gromadki ludzie nasi, rozprawiali z wielkiem ożywieniem, gdy kapitan, porucznik, bosman i ja, stojąc nieco dalej czyniliśmy sobie wzajemnie uwagi.

– Nie zdaje mi się, aby ta ziemia mogła być zamieszkałą – mówił kapitan. – Pustka tu zupełna, brak nawet wszelkiej roślinności. Jakże daleko tu do tego, czem była Tsalal wówczas gdy Orion zbliżył się do niej.

– Pusty i smutny rzeczywiście jest jej widok z tego punktu, a jednak czy nie masz kapitanie zamiaru podpłynąć do niej?...

– Łodzią?...

– Tak, jeżeli prąd unosić będzie dalej nasz lodowiec.

– Każda godzina czasu nieocenionej jest wagi, lodowiec nie będzie na nas czekał.

– Byłoby największą niedorzecznością rozdzielać się – wtrącił porucznik.

– Przyznaję to, a jednak myśl że oddalamy się od tego lądu, nie zbadawszy go, sprawia mi najwyższą przykrość. Któż bowiem zapewnić może, iż brat pański, że jego towarzysze nie zawinęli tu na swej łodzi...

Za całą odpowiedź Len Guy potrząsnął smutnie głową, bo widok tego wybrzeża pustego, tej ziemi czarnej, pozbawionej wszelkiego życia, nie wzbudzał nadziei, aby rozbitki z Oriona zdołali tam wyżyć od kilku miesięcy. Mimo tego jednak, z rozkazu kapitana zatknięto na szczycie lodowca flagę brytyjską, aby ją Wiliam Guy mógł dostrzedz, gdyby był na tej ziemi.

– Cierpliwości, jeszcze pół godzinki! – rzekł Jem West po dłuższej chwili bacznej obserwacji – zdaje mi się, iż lodowiec zwalniając biegu, kieruje się ku wybrzeżom; wpływa na to bezwątpienia rodzaj wiru, jaki w tem miejscu jest widoczny.

Przypuszczenie porucznika stało się niebawem tem pewniejsze, iż kilka gór, wyprzedzających naszą, osiadło już u stromych, poszarpanych brzegów lądu. Wreszcie o 5-ej godzinie po południu stanęliśmy nieruchomo w głębokiej zatoce, której północna część ostrym cyplem wybiegała na morze. O strome jej brzegi oparł się silnie nasz lodowiec.

– Ziemia! ziemia! – zagrzmiął okrzyk załogi, z której wielu schodziło już na dół góry lodowej.

– Czekać rozkazu! – zakomenderował Jem West.

W pierwszej chwili widocznem było pewne wahanie, mianowicie u Hearna i jego ziomek; niebawem wszakże, uznając zapewne konieczność poddania się rozkazowi, stanęli w porządku naprzeciw kapitana.

Ponieważ lodowiec przytykał jedną stroną bezpośrednio do brzegu, nie potrzebowaliśmy spuszczać łodzi.

Len Guy, bosman i ja, stanęliśmy pierwsi na tej ziemi, której bezwątpienia nie dotknęła dotąd stopa ludzka, a której wulkaniczny grunt pokrywały kamienie, odłamy lawy i czarny popiół. Dalej nieco od wybrzeży ciągnęły się pasma wzgórz, a nawet gór dość wyniosłych.

Postanowiono przedewszystkiem dojść do najbliższych, by z pewnej wyniosłości rozejrzeć się po okolicy. Godzinę całą zabrało nam to przejście po gruncie nierównym, twardym, ogołoconym z najdrobniejszego nawet objawu życia roślinnego. Zrozumieliśmy też odrazu, iż w podobnych warunkach nie mógłby wyżyć dłuższy przeciąg czasu, człowiek żaden. Jedyne istoty czujące się tu swobodne, owe nieprzeliczone zastępy ptactwa oraz wielka ilość fok i cieląt morskich, nie trwożyły się bynajmniej naszym przybyciem. Widocznie człowiek, król stworzenia, był im dotychczas

nieznany, i wyobrażam sobie iż patrzyły na nas, jak na pokrewny sobie gatunek.

Dostawszy się na szczyt wzgórza, objęliśmy wzrokiem widnokraj na przeszło 30 mil. Za nami rozkładała się szeroka przestrzeń wodna, unosząca liczne lodowce; na zachód obszar ziemi ciągnął się w dal nieskończoną, wschodnie zaś wybrzeże oblewało znów morze bezmiernie daleko. Czy byliśmy na wyspie, czy też na większym lądzie antarktyku, trudno nam było orzec. Gdy wszakże Len Guy popatrzył czas jakiś przez swą lunetę i następnie nam ją podał, zgodziliśmy się na jedno, iż w dali zarysowują się kontury drugiego lądu.

– Bodaj nie omyliły nasze przypuszczenia, że prąd unosił nas ku cieśninie – rzekł Len Guy.

– Gdybyśmy teraz mieli nasz Halbran! – zawołał Hurliguerly.

– Tak, bezwątpienia – pomyślałem – na żaglowcu naszym, a nawet na owej górze lodowej, która nas tu przyniosła, moglibyśmy przebyć setki mil jeszcze, tam, tam, aż za koło biegunowe! Jakże jednak odważyć się słabą łodzią na tak daleką, tak niebezpieczną podróż? A nadto owe nieuniknione rozdzielanie!

Ale na cóż przydały się żale i rozpacz? Konieczność twardą swą dłonią zmuszała nas do przyjęcia wszystkiego z męstwem i rezygnacją. Pozostawało nam jedynie urządzić się, o ile możliwości, na tym pustym lądzie, i zabezpieczyć od zimna.

W powrotnej drodze upatrzyliśmy z bosmanem kilka obszernych jaskiń w nadbrzeżnych skałach granitowych, zdolnych pomieścić nas wszystkich wraz z ocalonym ładunkiem Halbranu. Tam więc, aż do jakiegoś czasu, postanowił kapitan przenieść się z lodowca, na którym noc ostatnią mieliśmy jeszcze przepędzić. Po wezwaniu bosmana stawiała się. cała załoga, prócz Petersa; wiedzieliśmy wszakże, iż nie zawiedzie on nigdy naszego zaufania, że w każdym razie liczyć na niego możemy.

Gdy wszyscy stanęli w porządku, Len Guy przemówił ze spokojem i wielką godnością, odpowiadającą ważności położenia. Przedewszystkiem przedstawił jako konieczność – przeniesienie się na ląd i bezpieczne umieszczenie żywności, która mogła starczyć na kilkanaście miesięcy. Dzięki więc temu, głód nie groził nikomu, również węgla nie powinno zabraknąć do sporządzenia codziennego ciepłego pożywienia. Co się zaś tyczy łodzi, kapitan uważał ją za własność ogólną. Czy wszakże będzie ona zaraz, czy później użytą mimo nalegań Hearn'a i jego towarzyszy, nie chciał wypowiedzieć od razu swego zdania – zostawiając sobie kilka dni namysłu. To tylko oświadczył stanowczo, że ani on, ani porucznik, ani bosman, ani wreszcie ja – nie chcemy korzystać z żadnych przywilejów. Wszyscy na równych prawach godzą się na losowanie w tem przekonaniu, że ci, którzy odpłyną pierwsi i szczęśliwie dostaną się za koło biegunowe, nie zaniedbają pozostałym nadesłać pomocy.

Mowa kapitana, jak już powiedziałem, miała tyle szczerości i tyle powagi, iż nikt nie śmiał słowem jednym przerywać mu lub przeczyć, i sam przyznać muszę: Len Guy rósł w miarę trudności położenia.

Nazajutrz zabraliśmy się najpierw do spuszczenia łodzi, która z całym swym przyborem do żeglugi przedstawiała się świetnie i w najlepszym stanie. Umieszczono ją w oddzielnej małej grocie pod opieką Petersa, pracującego z nami od samego rana.

Wszelkie zapasy żywności, baryłki z winem i wódką, oraz skrzynie z odzieniem, wreszcie wszystko co ocalało z Halbranu, jak: materace, łóżka, ławki, stoły i szafy, przenieśliśmy do dwóch sąsiednich sobie grot, z których jedna służyć miała za magazyn, druga za wielką wspólną sypialnię. Tutaj też stanęła żelazna kuchnia, aby ciepło palącego się w niej węgla zużytkować na ogrzanie mieszkania.

Położenie groty było wyjątkowo szczęśliwe. Przytulona do wyższych skał, mały dawała dostęp wichrom ciągnącym od morza – i gdy spód jej suchy wypełniał czarny piasek, nieopodal płynący strumień dostarczać miał potrzebną nam ilość wody słodkiej.

Przez całe trzy dni, aż do wieczora 10-go lutego, pracowaliśmy wszyscy bez wytchnienia około nowego urządzenia, i przyznać muszę, iż cała załoga zachowywała się w tym czasie wzorowo.

Bądź jak bądź jednak, nie można już było odkładać dalej postanowienia odnośnie do użycia łodzi, bowiem jeszcze miesiąc lub sześć tygodni najwięcej przeciągnie się pora łowów na wieloryby – poczem opustoszeją zupełnie południowe strony Oceanów. A przypuszczając szczęśliwe przejście zapory i koła biegunowego, nie możebneć już było, aby łódź nasza wyszła zwycięzko z burz oceanu Spokojnego i dopłynęła do Australii lub Nowej Zelandyi, gdyby nie znalazła wcześniej przytułku właśnie na którym z okrętów. Jeszcze więc tegoż wieczora oznajmił kapitan zgromadzonej załodze, że nazajutrz weźmie tę kwestyę pod rozwagę i stanowczą, da decyzję.

Była już późna godzina wieczoru. Chylące się ku linii horyzontu słońce, rzucając ukośne swe promienie, zostawiało nas w nieokreślonym półmroku. Nie zdejmując odzienia, rzuciłem się zmęczony na posłanie, i spałem już kilka godzin zapewne, gdy gwałtowne krzyki obudziły mię nagle.

Wybiegłem spiesznie przed grotę; kapitan i porucznik znaleźli się tam również.

– Łódź! łódź! – zawołał Jem West, wskazując ku morzu.

Rzeczywiście łódź nasza była już na wodzie – trzech ludzi siedziało w niej – obok widniały skrzynie z żywnością i baryłki z wódką, skradzione z magazynu. Nieopodal groty tymczasem dziesięciu Falklandczyków mocowało się z Petersem, usiłując go ubezwładnić. Hearne był między nimi; Marcin Holt stał jako niemy świadek.

Przewaga była po stronie przeciwnej, to też Len Guy i Jem West wrócili co prędzej po broń, która jedna mogła tu coś znaczyć. Właśnie i ja chciałem uczynić to samo, gdy stanąłem jak wryty pod wrażeniem tego, co posłyszałem. Była to chwila, gdy broniący się długo Peters, legł wreszcie pod przemocą nacierających, a Marcin Holt, widocznie pod wpływem wdzięczności za uratowane życie, chciał go wziąć w swoją obronę.

– Zostaw go – krzyknął Hearne – zostaw! On jest zabójcą twego brata!

– Zabójcą mego brata? – zawołał Holt.

– Tak, twego brata na Grampiusie!

– On go zabił?... On – Dick Peters?...

– Zabił go – i pożarł! Rozumiesz, on pożarł twego brata – ryczał nieludzkim głosem Hearne, i gdy Holt stanął osłupiały, Hearne skinął na swoich, którzy porwali go, ciągnąc ku łodzi. W jednym mgnieniu oka byli już wszyscy daleko. Lecz w tejże samej chwili powstał znów Peters, jak lew rzucił się za uciekającymi i pochwycił ostatniego, gdy tenże gotował się przebyć wpław przestrzeń wodną, dzielącą go już od łodzi.

Ująwszy go jedną ręką, wywinął nim młynka w powietrzu i uderzył o skałę z taką siłą, że rozprysła się czaszka nieszczęsnemu. W odpowiedzi na to Hearn dał ognia z rewolweru i metys raniony, czy kontuzjowany, padł na ziemię.

Całe to zajście nie trwało dłużej nad minutę, gdy więc kapitan i porucznik wyszli z pieczary, a wraz z nimi bosman, Hardie, Francis i Stern, łódź unoszona odpływem fali, była już o cały siąg na morzu. Celny strzał Jem Westa powalił jeszcze jednego w łodzi, kula jednak kapitana, przeznaczona dla Hearn, uwięzła w lodowcu, który właśnie zakrył uciekających. Pobiegliśmy jeszcze na drugą stronę przylądka w nadziei, że może prąd zbliży ich tam do brzegu, ale niestety, byli już w takiej odległości, że nawet próba strzału okazała się zbyteczną. Wkrótce też z rozpiętymi żaglami, pędzona przyjaznym prądem wody i powiewem wiatru, jedyna łódź nasza zniknęła nam całkiem z przed oczu.

ROZDZIAŁ XIII

Dick Peters na morzu.

Tak więc, kwestya przezimowania została nagle przeciętą. Z 33 ludzi, którzy stanowili załogę Halbranu, gdyśmy opuszczali Falklandy, 23 przybyło na tę ziemię, z tych ubyło jeszcze 14 i to nie wypadkiem, nie kaprysem losu, ale oddzielili się sami, powodowani podłą, nikczemną zdradą. Pozostaliśmy w 9 tylko, a mianowicie: kapitan Len Guy, porucznik Jem West, Hurliguerly, Hardie, Stern, Endirot, Peters i ja. Jakiegokolwiek bądź jednak były trudy, jak dokuczliwą srogość zimy, która nas tu obecnie nieodwołalnie czekała, czuliśmy się silni duchem, gotowi do przeniesienia wszystkiego bez szemrania, bez słów rozpacz.

W milczeniu wracaliśmy już najkrótszą drogą do naszej groty, gdy przypomniałem sobie Petersa, który może otrzymał cięższą ranę i potrzebował doraźnej pomocy.

– Chodźmy odszukać go – wierna to nam dusza, i mimo wszystkiego niepodobna nie uznać jego zalet – rzekł kapitan.

– Boję się – odpowiedziałem – iż nie zechce połączyć się z nami teraz, gdy już wszyscy wiedzą jak wstrętny postępek plami jego przeszłość. Nieszczęśliwy, on nad tem boleje serdecznie, mimo iż mu tłómaczyłem, że gdyby los był jego wybrał, nie zaś Ned Holta, któremu Prym w swych Pamiętnikach dał nazwę Parkera, on Peters, musiałby zginąć tak samo dla utrzymania przy życiu drugich.

– Więc Peters już dawniej zwierzył się z tem panu? – zapytał Len Guy.

– Tak jest, opowiedział mi to jeszcze na Halbranie.

– I pewny jestem, że nie wspomniałeś pan o tem nikomu. Jakimże więc sposobem Hearne zbadał tę tajemnicę?

– Było to i dla mnie zagadką. Zestawiając wszakże wypadki, doszedłem do przekonania, że w chwili gdy Peters chcąc ulżyć wyrzutom sumienia, sam przyszedł powiedzieć mi wszystko, okno w mej kajucie wychodzące na pokład było otwarte. Hearne siedzący tam właśnie przy sterze, musiał podsłuchiwać tak uważnie, iż nie dopilnował nawet swego, obowiązku, czem naraziwszy statek na zatonięcie, odsiedzieć musiał zasłużoną karę, wyznaczoną mu przez porucznika.

– Ach, więc to było wtenczas! – zawołał Jem West. – Bezwątpienia tak być musiało. Posiadłszy zaś już raz tajemnicę metysa, nikczemnik ten chciał ją następnie zużytkować na swą korzyść, jednając sobie przyjaźń Marcina Holta, który mu był niezbędny, jako doskonale obeznany ze sztuką użycia żagli. Bo, że Hearne już od pierwszej katastrofy układał plan wykonanej dzisiaj ucieczki, o tem

również nie wątpię.

Rozmawiając tak doszliśmy do wybrzeża: metys siedział nieruchomo wsparty o lodowiec. Skoro nas jednak zobaczył, zerwał się szybko w zamiarze ukrycia się, lecz Hurliguerly i Francis przemówili do niego serdecznie, a kapitan przyjaźnie podał mu rękę, dopytując o postrzał. Metys stał chwilę zakłopotany, nie śmiał przyjąć ręki, lecz w milczeniu przyłączył się do naszej gromadki.

Odtąd nie było już wzmianki między nami o zajściach na Grampiusie. Szczęściem postrzał w lewe ramię nie był niebezpieczny, kula przeszła na wylot przez mięśnie, nie naruszając kości. Po zatakowaniu ubiegu krwi i obandażowaniu żaglowem płótnem, w zdrowym tem ciele rana tak prędko się zagoiła, że w parę dni, jakby nigdy nic, pracował znów Peters jak dawniej za czterech. A pracy tej nie brakło. Zima, sroga zima antarktyczna nadejść mogła lada chwilę; temperatura obniżała się ciągle, słońce zakreślało maleńkie swe koło już nad samym horyzontem. Trzeba było poczynić różne przygotowania na tyle długich, ciemnych, mrozem piekących miesięcy.

W około wybrzeża coraz więcej gromadziło się lodowców, ilość wszakże unoszonych prądem dalej ku Północy, była nieprzeliczoną.

– Wszystko to jest materyał, z którego się buduje zaporę lodową – objaśnił gadatliwy zawsze Hurliguerly i jeśli ton hultaj Hearne nie zdoła pospieszyć, może już zastać bramy fortecy zamknięte, nie posiadając klucza do ich otworzenia.

– Więc sądzisz, że nasze tu położenie jest lepsze – zauważyłem.

– Nie życzę nikomu nic złego, nawet temu zdrajcy. Może mu też szczęście sprzyjać, choć bardzo o tem wątpię. Pora już jest spóźnioną, a jeśli go lody otoczą, pomyśl pan tylko, jakie straszne czekają ich wszystkich męczarnie... Czyż nam nie bezpieczniej tu na lądzie, gdy mamy jeszcze czem się pożywić i gdzie przed zimnem schronić?...

Hurliguerly miał słuszość; takiego zdania był też Len Guy i Jem West.

Przez następne dni do 17 lutego, pracując jeszcze nad urządzeniem się w grocie; podjęliśmy też kilka wycieczek w głąb tego lądu antarktycznego, na którym mieliśmy pozostać, Bóg wie jak długo.

Wszędzie ziemia jałowa i twarda, wszędzie pustka zupełna. Niektóre tylko okolice wybrzeży pokryła twarda, kolczasta roślina, służąca za pożywienie olbrzymim żółwiom, które się tam w wielkiej trzymały liczbie.

Po dość pochyłej spadzistości weszliśmy raz na wysoką, do 800 stóp górę. Z wycieczki tej obiecywaliśmy sobie wiele...Zawód wszakże był zupełny. Jak oko zasięгло, wszędzie te same wzgórza czarne i nagie; nigdzie znaku życia ludzkiego. Innym znów razem w blasku południowego słońca, przekonaliśmy się z pomocą lunety, że niewyraźne owe linie, spostrzeżone już dawniej w stronie wschodniej, zakreślały rzeczywiście wybrzeże dość obszernego lądu. Posiadając łódź, możnaby łatwo podpłynąć do niego; na cóż by się to jednak zdało? Prawdopodobnie i tam pustka zupełna, i tam wyżyćby nie mogli ci, których przybyliśmy szukać w tych stronach. A jednak ziemie te leżały na tejże samej prawie szerokości co Tsalal, która przed zburzeniem tak bogatą była w

roślinność, iż mogło żyć na niej tysiące krajowców, a przez 11 lat przebywali bez udręczeń głodu i zbytniego zimna, Wiliam Guy i jego towarzysze.

Dnia tego zaproponował kapitan nadanie nazwy lądowi, na który nas fatalizm losu rzucił. Imię „*Halbran Land*,” zdało nam się wszystkim najstosowniejsze, ku pamięci straconego naszego żaglowca, a łącząc w myśli dwa pokrewne sobie wypadki, ochrzciliśmy mianem *Orion Sund*, cieśninę, rozdzielającą owe dwa lądy podbiegunowe.

Ilość wielka ptactwa i zwierząt morskich znajdujących u wybrzeży, zachęciła nas do łowów. Świeże mięso przysposobione przez Endirota, smakowało nam niezłe, a ponieważ łatwo było pochwycić żywe pingwiny, sporą ich liczbę zamknęliśmy w grocie, przeznaczonej z początku dla łodzi. Tam też złożyliśmy, nie bez trudu przyciągnięte, olbrzymie żółwie, których waga dochodziła kilkuset funtów na sztukę. Zwierzęta te słusznie przez kogoś wielbłędami pustyni zwane, mają w gardzieli swojej worek, w którym zachowują na czas dłuższy sporą ilość wody słodkiej; one same obejść się mogą dłuższy przeciąg czasu bez pożywienia. Mięso ich jest smaczne i posilające.

Nie gardząc też mięsem fok, robiliśmy znaczne zapasy ich tłuszczu – obliczając, że gdy nadejdzie zima i ciemna noc podbiegunowa, materiał ten palny odda nam nieobliczone usługi.

Jakolwiekbyśmy przyjmowali nasz los z rezygnacją i męstwem, niemniej przeto położenie było okropne. Kto wie czy straszne zimna, o których wyobrażenia słabe zapewne tylko dawała pojęcie, organizm nasz zdoła przetrzymać? Kto wie czy ziemia ta nie będzie wkrótce grobem naszym? A znowu, jeżelibyśmy przeżyli tę porę, jakimże sposobem wrócić do świata? O zbudowaniu łodzi, nie mogło przecież być mowy z braku wszelkiego materiału, a czy tamci którzy odплыnęli, zechcą nam przysłać pomoc a przede wszystkim czy będą mogli? O dobrych chęciach i pamięci Marcina Holta, nie wątpiłem; on mimowoli dostał się na łódź, on pewno nie chciał nas zdradzić. Ogólnie jednak biorąc warunki, mieliśmy słaby tylko promyk nadziei, by rzeczywiście dopłynął szczęśliwie do jakiego lądu.

Rozmowa nasza obracała się przeważnie około tych kwestyi, i przypuszczaliśmy już możliwość ostatecznej próby przebycia tych przestrzeni na lodowych płaszczyznach, tak zwanych „ice-fields.” Pora jednak ku temu nie nadeszła jeszcze; powierzchnia morza była wolną, mróz nie ściał jej dotychczas.

Aż nagle 19-go lutego zdarzył się wypadek tak nadzwyczajny, że tylko miłosierdziu Opatrzności mogliśmy go zawdzięczyć.

Było jeszcze rano. Endirot przysposabiał nam śniadanie; Hurliguerly wyszedł przed chwilą – metys jak zwykle bardzo wcześnie opuścił grotę. Siedzieliśmy w milczeniu, gdy doszło uszu naszych dalekie nawoływanie. Wybiegliśmy przed grotę. Na wzgórzu wysuniętego przylądka stał bosman.

– Chodźcie prędko! Chodźcie! – wołał, poruszając żywo rękoma.

– Cóż tam widzisz? – zapytał kapitan.

– Łódź!... łódź płynie!...

– Naprawdę! Łódź... tam, tam daleko!... Widzicie ją? – wołałem w najwyższym uniesieniu.

– Może to łódź Halbranu – rzekł Len Guy – może prąd rzuca ją z powrotem.

– Nie, to nie ona! – zaprzeczył stanowczo Jem West. Zarówno kształt jej, jak wielkość, różni ją bardzo od naszej. Niema żagli, nie widzę by kto wiosłował...

– Zdaje się być pustą – potwierdziłem – widocznie fala tylko ją niesie...

– Trzeba jakim bądź sposobem dostać się do niej – zawołał Len Guy – ale ta znaczna odległość... i zdaje się że płynie jeszcze dalej; za chwilę zginie dla nas!... Boże mój, co począć, co począć!...

Nagle bliski plusk wody zwrócił z tę stroną nasze spojrzenia. To Dick Peters zrzućwszy wierzchnie ubranie, skoczył do morza, kierując się ku łodzi.

Głośny okrzyk wyrwał się z naszych piersi. Metys objął nas przelotnym spojrzeniem i silnym ruchem pchnął się naprzód. Zręczność i siła tego człowieka nie znajdzie równej sobie. Patrząc na jego ruchy pewne i miarowe, nie wątpiłem, że osiągnąć zdoła łodzi. Jakże jednak sobie powadzi, by ją doprowadzić do brzegu, skoro nie znajdzie w niej wiosła? Przyholować ciężar taki milę przeszło, byłoby niepodobieństwem, nawet dla niego.

– Zejdźmy tam niżej! – rzekł kapitan. – Z łodzią czy bez niej, Peters tam tylko wrócić może.

– Ma już ją! ma! – krzyknął bosman – Brawo Dick, brawo!

Dosięgnawszy łodzi, metys wznosił się do połowy ciała, silną ręką uchwycił za krawędź, przechylił ją znacznie ku sobie, tak, iż sądziłem że się przewróci, gdy on leciuchno jak akrobata wciągnął się do jej głębi, poczem siadł, by zaczerpnąć powietrza.

Nagle krzyknął dziwnym głosem i pochylił się na dłuższą chwilę.

– Cóż on tam znalazł? – pytaliśmy jeden drugiego.

– Niezawodnie ucieszył się wiosłem – objaśnił Hurliguerly – bo oto bierze je do ręki i z całych sił pracuje. Dzielny, dzielny Dick!

– Spieszmy tam niżej! – zawołał znów Len Guy – podążając szybko po wybrzeżu zasłanem gęsto czarnymi odłamami kamieni.

– Przyływ morza dopomaga mu teraz – myślałem, biegnąc za drugimi.

O jakie trzysta sięgów dalej, przy maleńkiej zatoce zatrzymał nas kapitan. Wprost ku nam płynęła łódź. Teraz sama fala niosła ją do brzegu. Już jest blisko nas! Peters pochyła się i unosi bezwładne ciało człowieka.

– Brat mój! Brat!... – jęknął strasznym głosem kapitan.

– Żyje!... – upewnił Peters.

W chwilę później Len Guy obejmował swego brata w serdecznym uścisku. Trzech jego towarzyszy leżało jeszcze nieruchomo w łodzi.

ROZDZIAŁ XIV

Historia jedenastu lat.

Przeniesiony do groty Wiliam Guy i trzech marynarzy: Tronkle, Roberts i Coven, wrócili prędko do przytomności. Ciepła porcja bulionu i kieliszek koniaku, pobudziły na nowo do życia ich organizm, wyczerpany jedynie brakiem pożywienia.

Powitanie tak długo rozdzielonych braci, było widokiem do głębi serca wzruszającym, i gdy łyzy radości zwilżały oczy nasze, usta szeptały dziękczynną modlitwę do Stwórcy – i nie pytając już co nam przyszłość zachowuje, oddaliśmy się bezpodzielnie obecnej chwili radosnej.

Po pierwszym wybuchu uczuć pragnął Wiliam poznać warunki naszej podróży, aż do tak odległego punktu kuli ziemskiej. Len Guy opowiedział mu wszystko kolejno, począwszy od spotkania lodowca z ciałem Watersona; a więc przybycie nasze do pustej już Tsalal, nadzwyczajną katastrofę z lodowcem, rozbicie i zatonięcie naszego statku, dalsze unoszenie prądem i ostateczną zdradę części załogi już u brzegów Halbran-Landu.

Wracając do sił, Wiliam udzielił nam również szczegółów długich jedenastu lat, przeżytych blisko bieguna.

Gdy więc 8-go lutego 1828 roku, nie posądzając o zdradę Too-Wita, udał się z całą prawie załogą Oriona do osady Klock-Klock na wyspie Tsalal, zostali wszyscy zasypani gruzami sztucznie potworzonych wzgórz, on znalazł się z kilku drugimi jeszcze w miejscu, z którego szczęśliwie zdołał się wydobyć i schronić w jednej z głębokich jam, powstałych zapewne przez wykopanie owych olbrzymich brył steadytowych. Aby ktoś inny jeszcze oprócz nich ocalał, nie przypuszczali nawet, przekonać się zaś o tem nie było możebne, z obawy przed nową napaścią krajowców, jak mu to metys opowiedział. Siedzieli więc tam ukryci, podczas gdy Prym z Petersem znajdowali się po drugiej stronie wąwozu, który przedzielał ten dziwny labirynt tsalalski, Było ich razem siedmiu, a mianowicie: Wiliam Guy, Waterson, Roberts, Coyen, Trinkle, oraz zmarli niedawno Forbes i Lexton. Nie śmiejąc się ruszyć, widzieli wszakże wszystko co się dokoła nich działo. Znany więc był im napad krajowców na Oriona, wysiłki obrony tych sześciu, którzy na nim pozostali, wreszcie straszny wybuch prochu i zupełne zniszczenie statku oraz śmierć tysiąca krajowców. Podczas jednak, gdy Prym z Petersem, jak wiemy, zdołali upatrzeć chwilę sposobną do ucieczki, oni nie mogli odważyć się na to, bowiem nazbyt wielki ruch panował nieustannie u najbliższego im wybrzeża. W każdym razie nadzieja, że zdołają prędzej czy później dopaść jakiej łodzi i porzucić tę ziemię, dodawała im siły do zniesienia nad wyraz przykrej chwili obecnej Żywiąc się bowiem jedynie orzeszkami, rwanymi z pobliskich krzewów, poczęli doświadczać w końcu strasznych boleści; aż najniespodziewaniej położenie ich uległo zupełnej zmianie.

Było to 22-go lutego, gdy głośnie okrzyki „tekeli-li” i „lama-lama”, wydawane przez biegnące w najwyższym popłochu tłumy krajowców, zwróciły uwagę ukrytych w czeluści rozbitków. Z początku nie mogli zrozumieć, co było przyczyną tak ogólnego przerażenia, aż wreszcie dojrzeli Sułtana, wiernego psa Pryma, który towarzysząc tu swemu panu, nie został zabity; ale jakże straszny przedstawiał w tej chwili widok! Z najeżoną białą swą sierścią, z ziejącą paszczą, rzucał się w szalonym pędzie ku krajowcom wpełnając, kłując i rwąc ich ciało. Niewątpliwą było rzeczą, iż tym razem Sułtan naprawdę dostał napadu wściekliwości. Ubić chore zwierzę nie było przecież rzeczą trudną dla tych ludzi, ale oni w zabobonnym strachu, który podniecała jeszcze biała barwa sierści psa, nie śmieli go dotknąć, a tylko jeden przez drugiego cisnęli się do łodzi, by opuścić bezpowrotnie wyspę. Nie wszyscy wszakże zabrać się mogli. Pozostała ich jeszcze znaczna liczba. Tu rozpoczynają się najokropniejsze sceny, jakich kiedykolwiek oko ludzkie było świadkiem. Bo gdy Sułtan, trawiony swą chorobą, legł wreszcie martwy, udzielony ludziom jad wściekliwości, w okropny sposób począł się u wielu objawiać. Nieszczęśliwi ci w szalonych męczarniach staczali walki między sobą, zaszczipiając w dalszym ciągu zarodek choroby. Trwało to jeszcze dni kilkanaście, a stos kości nieopodal wioski Klock-Klock, który zwrócił tam naszą uwagę, był smutnym cmentarzyskiem ostatnich krajowców na Tsalal.

Teraz Wiliam Guy i jego sześciu towarzyszy, zostawszy panami wyspy, rozpoczęli życie w łatwiejszych warunkach. Aby przedewszystkiem mogli czuwać nad tem, co działo się na morzu, przenieśli się blisko brzegu. Dłuższy też czas spodziewał się Wiliam Guy, że zniknięcie jego nasunie w Anglii myśl podjęcia wyprawy w te strony; że może pospieszą mu z pomocą. Minęła wszakże dość ostra zima, wróciło znów lato, a żaden okręt nie ukazał się na wodach. Powoli też zagospodarowali się dość wygodnie; zgromadziwszy pozostałe zwierzęta i ptaki domowe, nie zapominając o dość licznych jeszcze wówczas żółwiach, dopomagając sobie wreszcie rybołówstwem, nie zaznali głodu. Nieocenionej też wagi stały się dla nich pewne rośliny miejscowe, a mianowicie „Kochlearia”, której własności antyskorbutowe chroniły ich od tej choroby.

Wprawdzie zima nie była tam lekką; obok silnych mrozów, gwałtowne wichry i burze antarktyczne dałyby im się boleśniej we znaki, gdyby nie skóry ubitych zwierząt, które im pewną stanowiły ochronę.

Tak mijał rok za rokiem. Nadzieja powrotu poczęła słabnąć. Zbudować łódź podobną, do tych, jakich używali krajowcy i puścić się na morze, aby przepłynąć koło biegunowe, byłoby wielkiem szczęściem dla nich – cóż, kiedy oprócz swych kieszonkowych noży, nie posiadali innych narzędzi. Smutna rezygnacja została im jedynie, szczęśliwym o tyle jeszcze, że wszyscy żyli razem. Aż nagle w miesiącu maju roku zeszłego, ubył im jeden towarzysz. Było to w czasie liczego przyływu lodowców, gdy Waterson wyszedłszy nad morze, dla połowu ryb, nie wrócił więcej. Nie wiadano co się z nim stało. I czy Waterson wypadkiem czy umyślnie odpłynął na lodowcu, miało na zawsze pozostać dla nas tajemnicą.

Stratę ukochanego towarzysza odczuł głęboko Wiliam Guy. Ale nieszczęście rzadko przychodzi samo. W kilka miesięcy później gwałtowne trzęsienie ziemi zatracając prawie ślad sąsiednich wysp, zburzyło Tsalal i zniszczyło na niej wszelkie życie. Obawa powtórzenia się katastrofy, opanowała rozbitków. To też gdy fala w parę dni później przyniosła pustą łódź krajowców, Wiliam Guy uległ życzeniu pięciu swych towarzyszy i zabrawszy żywności ile tylko było można, wypłynęli na morze.

Pora jednak okazała się źle wybraną. Prawdopodobnie w skutek owego trzęsienia, morze było strasznie wzburzone, a silny wiatr północny dał tak, iż oprzeć się mu nie było sposobu. Długie tygodnie płynęli, nie napotkawszy nigdzie lądu, aż wreszcie niedawno wyczerpani, z resztkami już tylko zapasów, dostali się na ziemię leżącą po drugiej stronie cieśniny, nazwanej przez nas Orion-Sund. Grunt tam podobno jak Halbran-Landu jałowy i pusty, nie przedstawiał oczywiście warunków do życia. Zrozpaczeni wsiedli więc znowu do łodzi. Wkrótce wszakże opuściły ich zupełnie siły; fala niosła ich to w tę, to w inną stronę. Stopniowo tracili przytomność, nie wiedząc nic już co się z nimi dzieje. I w tej to chwili Opatrzność dozwoliła, że bosman spostrzegł ich łódź, a metys zdołał ją doścignąć, aby kochający się bracia odnaleźli się wreszcie na odległym zakątku Halbran-Landu.

ROZDZIAŁ XV

Sfinks lodowy.

W dwa dni później, nie pozostał już na owym lądzie antarktycznym ani jeden człowiek z załogi dwóch żaglowców. Bowiem 21 lutego wczesnym rankiem, łódź obciążona trzynastu ludźmi i znacznym zapasem żywności, opuściła niegościnnie brzegi Halbran-Land, kierując się ku Północy.

Skoro tylko minęły pierwsze chwile wzruszeń i radosnego powitania, poczęliśmy naradzać się nad ważną dla nas wszystkich kwestyą powrotu, który wraz z posiadaniem łodzi stał się znów możliwym. A jeśli wracać, to zaraz, bez straty jednej chwili! Jeszcze miesiąc cały mogliśmy liczyć względnej pogody; jeszcze miesiąc nim nadejdą mrozy, bylebyśmy tylko przebyli zaporę, byleby jeszcze zastać rybackie okręty! Wprawdzie nasuwała się poważna myśl, czy nie lepiej już przeczekać do wiosny, gdyśmy się tu urządzili, gdy mamy bezpieczne schronienie w grocie. Bezwątpienia, żegluga wtenczas przedstawiałaby mniej niebezpieczeństwa, ale znowu pobyt tutaj przez tyle ciężkich miesięcy, stał jako straszne widmo przed nami.

Godziliśmy się z losem – powiedziałem dawniej – tak, ale godzenie podobne, zależy od braku wyboru, od twardej konieczności, w której zmienić już nic niepodobna. A teraz gdy mogliśmy wybierać, czyż nie naturalną było rzeczą, że dążyliśmy do powrotu, drogą którą Hearne nas wyprzedził tylko w warunkach o wiele korzystniejszych dla nas.

Po rozważeniu więc wszelkich „przeciw” i „za”, pozostawiliśmy jeszcze ostatnią decyzję głosowaniu. Stary już, siwobrody kapitan Oriona był za najspieszniejszym powrotem, również Len Guy i Jem West nie lękali się skutków tej przeprawy; ze zdaniem ich godziłem się chętnie, co też uczynili zresztą wszyscy, prócz jednego bosmana, który stawiał trudności, usiłując tłumaczyć, że ryzykujemy zbyt wiele, porzucając pewne dla niepewnego. Bo trzy do czterech tygodni, to nazbyt mało na przebycie tak wielkiej przestrzeni wodnej, jaka rozkłada się między Halbran-Landem a kołem biegunowym; a czy będzie możebnem nawrócić, gdy by zaporą była już zamkniętą, czy łódź nasza wytrzyma siłę przeciwnego prądu, z jakim musielibyśmy wtenczas walczyć? Mimo wszakże tych argumentów, którym przyznawaliśmy bezsprzecznie słuszności wiele, poczciwy bosman, uczyniwszy co mu sumienie kazało, był gotów do tej podróży, choćby tylko dla tego żeśmy jej wszyscy pragnęli.

Połączonemi siłami dokonaliśmy w kilkanaście godzin potrzebnych przygotowań, dla tego też już rano dnia 21-go lutego, jak rzekłem wyżej, mogliśmy opuścić wybrzeże Halbran-Land, a płynąc zgodnie z wiatrem i prądem, nie dalej jak w poobiednich godzinach, wzrok nasz zaledwie wyróżniał odległe kontury tej ziemi.

Łódź która nas wiozła, była jednym z owych statków, jakiemi krajowcy zwykli się posługiwać do

komunikacji między wyspami. Wiedzieliśmy z opowiadań Pryma, że łodzie ich bywały dwojakiego kształtu: jedne szerokie i płaskie przypominały nasze tratwy, drugie wąskie a długie – podobne do pirogów używanych przez dzikie plemiona wysp oceanu Indyjskiego. Do tych ostatnich właśnie należała nasza, i gdy długość jej wynosiła stóp czternaście, szerokość zaledwie sześć. Przód i tył mocno wzniesione, zabezpieczały od zalania falą, a kilka par wiosł pomagało żegludze. Mimo jednak że krajowcy, nie znając zupełnie użytku i wyrobu żelaza, posługiwali się wyłącznie materiałem roślinnym, statki ich przedstawiały wyjątkową moc i trwałość. Użyte do wiązania łądy miejscowych roślin, o włóknach wielkiej sprężności, trzymały jak druty miedziane, podczas gdy żywica drzewna którą zalane były szpary, nabierała w zetknięciu z wodą twardości metalicznej.

Wyrznięta w grubych zarysach na przodzie łodzi figura ryby *parakutą* zwanej, dość pospolitej w tych wodach, podała myśl przezwania tak naszego statku.

Oczywiście, większą część ładunku ocalonego z Halbranu, pozostawiliśmy na opuszczonym lądzie, zabierając ze sobą jedynie najniezbędniejsze rzeczy, obok możliwej ilości pożywienia i napoju. Na jeden tylko zbytek pozwoliliśmy sobie, a mianowicie na maleńki piecyk ustawiony w tylnym końcu łodzi i parę worków węgla do podniecenia ognia, skoroby okazała się potrzeba ciepłego posiłku.

Tak więc, jeśli by nam przyszło ostatecznie wrócić jeszcze na Halbran-Land, nie paliliśmy mostów za sobą. Grota czekała nas zawsze z całym urządzeniem i bogatym jeszcze zapasem pożywienia, które zabezpieczyliśmy wedle możliwości od wilgoci i zepsucia.

Przed samym odjazdem zatknął bosman chorągiew brytańską na najwyższym szczycie zajmowanych przez nas skał, co zdaleka musiałoby zwrócić uwagę każdego, ktoby przybył w te strony. Czy jednak oprócz naszych dwóch kapitanów odważy się prędko ktoś inny na podobną wyprawę, wątpię o tem bardzo.

Załoga „Parakuty”, licząc obydwóch braci Guy’ów, porucznika, bosmana, mnie i reszty marynarzy z Oriona i Halbranu, liczyła 13 ludzi.

Trzynastka zatem, owa liczba kabalistyczna! Czy mieliśmy ją uważać jako przepowiednię powodzenia, czy też jako groźbę nowych zawodów?

Umocowaliśmy u Parakuty maszt na jedną trzecią całej jej długości, z rejami zdolnymi unieść dość szeroki żagiel; prócz tego mniejsze nieco płótno, oraz trzy pary wiosł w ruchu, przyspieszały naszą żeglugę. Przez pierwszych też ośm dni płynęliśmy około 30 mil na dobę.

Dotychczas nie opuściliśmy jeszcze cieśniny, trzymając się niezbyt daleko od brzegu, gdyż oba bracia Guy uznali, że dopóki tylko okaże się to możliwem, zawsze bezpieczniej będzie nie odsuwać się zbyt od lądu, na którym moglibyśmy, w razie potrzeby znaleźć punkt oparcia. Chociaż, jakie bezpieczeństwo dałaby nam ta ziemia pusta i jałowa, w przededniu srogiej zimy? Wolałem już wcale nie myśleć o tem.

Dość znaczna ilość płynących wraz z nami lodowców, nie przeszkadzała wprawdzie maleńkiej naszej łodzi, która z łatwością omijała te olbrzymy; widok ich wszakże nasuwał dręczącą myśl, że spieszą one zatarasować bramę, przez którą mieliśmy wrócić z tych sfer bezdennej pustki, do życia,

światła i ludzi.

Jedność i zgodne porozumienie wśród załogi, było nam wielką pociechą, tylko Peters przekonany ostatecznie o bezskuteczności swych poszukiwań, nie znalazłszy i na Halbran-Ladzie śladu swego ukochanego Pryma, stał się więcej jeszcze niż poprzednio milczący, nawet do mnie nie odzywał się już wcale.

Jak rzekłem, rok 1840 był przestępnym; gdy więc w notatkach mych zapisałem datę 29 lutego, Hurliguerly którego dobry humor nie opuszczał – i teraz oświadczył, że jest to dzień jego urodzin. A ponieważ uroczystość podobna zdarza mu się tylko co cztery lata, wartoby ją uświetnić szklaneczką whisky.

Wypiliśmy więc chętnie za zdrowie tego dzielnego człowieka, trochę gadatliwego, lecz wypróbowanej wierności, którego nadto krotochwilność mowy uczyniła nam niejedną przykrą chwilę łatwiejszą do zniesienia.

Poczynione dnia tego wymiary, trudne już bardzo z powodu nadzwyczajnego obniżenia się słońca, wykazały $79^{\circ} 17'$ szerokości a $118^{\circ} 37'$ długości wschodniej. Oba więc brzegi cieśniny Orion Sund ciągnęły się między 118 i 119 stopniem, podczas gdy 12 już tylko stopni dzieliło Parakutę od koła biegunowego.

Często obaj kapitanowie rozkładali na ławce bardzo jeszcze niedostateczną kartę tych stron świata, a ponieważ Wiliamowi Guy obce były oczywiście ostatnio poczynione odkrycia, mianowicie w wyprawie Kempa i powtórnej Morella, słuchał przeto uważnie opowiadań brata, albo też wspólnie zaznaczali położenie poznanych teraz lądów.

W rozmowach tych, w których naturalnie i ja najczęściej brałem udział, zrobił raz uwagę Len Guy, że zbliżamy się coraz więcej do bieguna magnetycznego ziemi, który jakkolwiek dotychczas przypuszczalnie tylko jest oznaczony, w każdym razie w tych okolicach znajdować się musi. Punkt ten, w którym jak wiadomo schodzą się wszystkie linie południków magnetycznych globu, odpowiada przeciwległemu punktowi bieguna magnetycznego półkuli północnej.

Nie była to wszakże dla nas, jak sądziłem, kwestya doniosłości jakiegokolwiek; natomiast nie uszło naszej uwagi, że Orion Sund począł zwężać się coraz więcej, że wreszcie szerokość jego wynosiła zaledwie około 12 mil morskich, co nam dozwoliło widzieć równocześnie oba brzegi lądu.

– Choćby po wąskim kanale, dość jeszcze będzie miejsca dla łodzi naszej – rozumował bosman – byleby tylko wyjście nie zamknęło się całkiem.

– Niema obawy o to – odpowiedział Len Guy, – wyjście być musi, ponieważ prąd nie ustaje dążyć w tym kierunku i mojem zdaniem, należy nam trzymać się go stale.

Rzeczywiście, Parakuta nie mogła mieć lepszego nad ów prąd sprzymierzeńca, który wszakże okazałby się niezawodnie wrogim, gdyby nam przyszło walczyć przeciw niemu. Nasze pomiary dnia 10 marca wykazały przy tej samej długości $76^{\circ} 13'$ szerokości, zatem przez owe 20 dni od chwili opuszczenia Halbran Landu, wznieśliśmy się około 600 mil ku Północy, a stosunek ten upoważniał

nas do nadziei, że jeżeli nic się nie zmieni, zdołamy jeszcze dość wczesnie przebyć zaporę, by znaleźć z tamtej strony rybackie okręty.

Tymczasem nagle przez kilka godzin staliśmy się świadkami zjawiska równie nadzwyczajnego, jak osobliwości któreśmi przepelnione są opisy Artura Pryma. W czasie bowiem śniegowej zamieci, ujrzelismy w koło siebie światełka iskier elektrycznych, które z lekkim trzaskiem sypały się zarówno z łodzi i wiosła, jak z każdej części ubrania i ciała naszego przy najmniejszym ruchu. Same nawet spadające szerokie płaty śniegu, zacinając ostro, niby ukłucie igiełek, promieniały jak gwiazdeczki. Morze przytem było tak wzburzone, iż groziło nam kilka razy zalanie falą.

Stopniowo obniżające się słońce, zaledwie trochę tylko wychyliło się za horyzont, rzucając blade, ukośne promienie; niezawodnie gdybyśmy sami nie posuwali się naprzód ku Północy, otoczyłaby nas oddawna ciemność zupełna. Mrok wszakże który rozpostarł się dokoła w połączeniu z gęstą mgłą, zmuszał nas do szczególnej w żegludze uwagi – mianowicie, gdy wypadało omijać lodowce ciągle w znacznej liczbie, gdy tymczasem w stronie południowej zapalała się często na niebie szeroka łuna zorzy polarnej, a temperatura opadając stopniowo zeszła do 5° poniżej zera.

– Jeżeli się spóźnimy do zapory – myślałem często w ponurej zadumie – jakież okropne będzie przezimowanie u stóp tych lodowców! Czyż nie lepiej byłoby już powrócić na Halbran-Land? Ale znowu, czy wtenczas jeszcze Orion Sund będzie równie wolnym jak obecnie?... Wyprzedziwszy nas o całe 12 dni, Hearne i jego towarzysze, może znajdują się już w tej chwili z tamtej strony lodowej fortecy...

Mimo trudności, dla braku światła słonecznego, obaj kapitanowie upatrzwszy chwilę wolniejszą od mgły obliczyli znów, iż znajdujemy się na 75° 17' szerokości i 118° długości wschodniej, co nas objaśniło, iż pod datą 12 marca zaledwie 400 mil dzieliło nas od zapory; równocześnie też stwierdziliśmy, że cieśnina zwężona znacznie przy 77-ym równoleżniku, poczęła znowu rozszerzać się tak, iż nie dojrzelismy już drugiego brzegu lądu. Okoliczność przeciwna nam bardzo, gdyż równocześnie prąd począł słabnąć – a cóż poczniemy jeśliby w końcu zagubił się całkiem?...

Tejże samej nocy podniosła się znów gęsta mgła przy zupełnem uciszeniu się wiatru. Nie to wszakże mogło nas dziwić lub zbytnio niepokoić; co jednak wydało nam się rzeczą bardzo szczęśliwą, to zdwojony mimo tego bieg naszej łodzi, wyprzedzającej nawet szybkość prądu. Próżno też szukaliśmy wytłomaczenia tego zjawiska, aż gdy nazajutrz około godz. 12-ej mgła poczęła nieco opadać, ujrzelismy w zachodniej stronie, w odległości zaledwie półmłowej, jakąś bryłę olbrzymią, wznoszącą się na podstawie nie większej nad 300 stóp obwodu.

Bryła ta, szczególnym swym kształtem przypominała najwyraźniej owe tajemnicze postacie sfinksów z torsem na wpół wzniesionym, z łapami wyciągniętymi naprzód. Postacie zagadkowe, które mitologia grecka stawiała na drodze do Teb.

Byłoby to zwierzę żywe?... Potwór olbrzymi tysiąc razy większy od owych przedpotopowych mastodonów, których odkopywane szczątki zadziwiają dzisiejszą ludzkość?!... W obecnem usposobieniu naszych umysłów, nie dalecy byliśmy od uwierzenia, że potwór ów żywy rzuci się lada chwila na łódź naszą, by ją zmiążyć swemi pazurami.

Po pierwszej wszakże chwili niepokoju, zarówno mało rozumnego jak rozumowanego, poznaliśmy iż bryła to ta sama przy której nastąpiła zgubna dla nas katastrofa nadziania na lodowiec Halbranu, sen, w którym ujrzałem potwornego -olbrzyma strzegącego tajemnic antarktycznych.

Zaledwie ochłonęliśmy z przykrego wyrażenia pierwszej chwili, aż nowe wypadki wywołały nasze zdziwienie, przerażenie nawet.

Jeżeli od jakiegoś już czasu Parakuta podążała ze zdwojoną szybkością, teraz siła jej ruchu przechodziła wszelką miarę, a żelazny hak pozostały nam z Halbranu, umocowany przez porucznika na przodzie łodzi, wyprężając coraz więcej trzymające go linki, odskoczył naprzód jakby ciągniony siłą nadzwyczajną. Zdawało się, iż hak ten holuje nas cudownie ku skale.

– Co to jest, co to znaczy? – zawołał Wiliam Guy.

– Przetnij bosmanie linki – przetnij je prędko – krzyknął Jan West, inaczej grozi nam rozbicie.

Hurliguerly spieszy wypełnić rozkaz porucznika. Zaledwie jednak zdążył przeciąć nożem jeden z węzłów, gdy reszta linek pęka, hak wraz z wyrwanym mu gwałtownie nożem, jak wyrzucony z procy kamień dąży ku skalistej masie. W tejże samej chwili wszystkie przedmioty żelazne złożone na łodzi, jak broń nasza, naczynia kuchenne, piecyk Endirota, nawet noże z kieszeni, lecą w tym samym kierunku, a łódź zwolniwszy nieco w biegu, zatrzymuje się u podnóża skały.

Cóż się dzieje?... Czy znaleźliśmy się w owym świecie cudowności, które przypisywałem jedynie halucynacyom Pryma? Czy też owo zjawisko niepojęte wypływa z przyczyn fizycznych?...

– To nasza łódź – to łódź Halbranu!... – woła Hurliguerly.

Tak rzeczywiście, była to łódź skradziona przez Hearna, lecz w jakimże stanie. Bez masztów, żagli i rudła, sterczały z niej tylko luźno trzymające się deski, nawpół połamane gwałtownem jakimś rozbiciem, i co dziwniejsza, wszelkie jej części żelazne, jak śruby od steru, okucia, zawiasy, gwoździe nawet, zniknęły bez śladu.

Ledwie zdołaliśmy to stwierdzić, gdy głos Jem Westa przywołał nas nieopodal, i z głębokim wrażeniem ujrzelśmy leżące na niskim w tem miejscu brzegu, trupy, w których nie trudno było nam poznać Hearna, Marcina Holta i jednego z Falklandczyków. Trzech tylko – gdzież więc reszta załogi? Może zdołała ocalić tu swe życie? Lecz napróżno obeszliliśmy skałę dokoła – żadnego śladu pobytu żywej istoty!...

– Prawdopodobnie, – zauważył Wiliam Guy – łódź rozbitą została w zetknięciu się z lodowcem – i gdy inni odrazu potonęli, tych wyrzuciła tu fala.

– Ale czemu wytłómaczyć – rzekł bosman – podobny stan łodzi?

– Tak jest – potwierdził Jem West – co znaczy ten zupełny w niej brak żelaza, iż zdawałoby się, że je ktoś jakby z rozmysłem pousuwał!

Zostawiwszy łódź naszą pod strażą dwóch ludzi, postanowiliśmy zbadać nieco dziwną tę skałę,

której kształt wyraźnie już teraz występujący, tak osobiwie przypominał legendową postać sfinksa, a na powierzchni której pod wpływem powietrza i czasu, utworzyła się owa pleśń rdzy charakteryzująca stare metale.

I nagle w umyśle moim powstało przypuszczenie, pewność nieledwie.

– Tak – zawołałem – magnes! Tu kryje się niezawodnie magnes siły nadzwyczajnej!...

Zrozumiano mnie odrazu – i w tejże chwili, katastrofa Hearna i jego współników, stała się nam jasną.

Kolos ten, niby zbiornik siły magnesowej, działał na żelazo, jak to sami stwierdziliśmy, w odległości znacznej. Porwana więc tą „atrakcją” łódź uciekających, w której budowie oczywiście dużo znajdowało się części tego metalu, biegła z nadzwyczajnym pędem, by rozbić się o brzegi skały. I nasza Paracuta uległaby niezawodnie podobnemu losowi, gdyby nie ta szczęśliwa okoliczność, że krajowcy nie mając wyrobów żelaznych, jedynie tylko drzewa i części roślinnych wzięli do niej.

– A więc tu znajduje się biegun magnetyczny naszego globu – rzekł kapitan Oriona.

– Twierdzić na pewno nie mogę – odparł Len Guy, – nie zdaje mi się przecież, aby tak bezwzględnie być miało; uczeni bowiem nie przypisują zwykle temu miejscu innych własności, nad tę, iż igła busoli nie ulega w jego pobliżu swemu zwykłemu zboczeniu.

– Jest to niewątpliwie jedna z onych gór magnesowych, o których mówiono w dawnych już czasach – zauważyłem. – Gdy wszakże opowiadania o grożącym niebezpieczeństwie, okrętom zbliżającym się do nich, uznano za bajki, gdy odrzucono możność, aby góry te przyciągając gwoździe i wszelkie żelazo znajdujące się u statku, powodowały tem samym nagle jego zatonięcie, my teraz sami doświadczyliśmy tej siły.

Prawdopodobnie elektryczność rozlana, że tak powiem, w otaczającej nas atmosferze, a której burze nie zdążyły wyładować z chmur, pchana wiatrami ku biegunom, zbiera się nieustannie w ilości nadzwyczajnej. Uważam też za jej objawy, owe zorze polarne, których cudowne blaski jaśnieją nad horyzontem w długie miesiące zimowe. Uczyniłem nawet przypuszczenie, dotychczas wszakże niesprawdzone, że podczas gdy u jednego bieguna następuje wyładowanie elektryczności „dodatniej” u bieguna przeciwnego wyładowuje się elektryczność ujemna.

Oczywiście, podobna ilość elektryczności nie może powstać bez wpływu na masy żelaza znajdującego się w tych stronach, w stosunku bez porównania większym, aniżeli na innym punkcie ziemi. Pod jej też działaniem rozbudził się w tej olbrzymiej skale, która jest jakby surowem żelazem, magnes równający się kolosalnym jej rozmiarom. Niedaleki też jestem od twierdzenia, że tu, a nie gdzieindziej znajduje się południowy biegun magnetyczny – jako przeciwległy północnemu. Oba zaś te punkta łączy przez podziemne przewodniki bezzastanne krążenie tej siły, niby między dwoma olbrzymiami „akumulatorami”.

– Naturalnie – dodałem w końcu – rozumowanie me, oparte jest jedynie na przypuszczeniach; zdaje mi się wszakże iż zjawiska jakich jesteśmy świadkami, potwierdzają je w części.

– Czy sądzisz pan, iż i dla nas zbliżenie do tej bryły przedstawia jakie niebezpieczeństwo? – zapytał Len Guy.

– Nie zdaje mi się – odparłem – bowiem nie elektryczność, lecz magnes tu działa.

– Tam – ach – tam! – zawołał nagle Dick Peters z oczami szeroko rozwartymi, dążąc naprzód ku wyżynom kolosu.

Pospiesznym krokiem szliśmy za nim po wulkanicznej, czarnymi bryłami lawy i kamieni zarzuconej powierzchni. Potwór zdawał się rosnąć w miarę, jak zbliżaliśmy się do niego, nie tracąc nic ze swych kształtów mitologicznych. Nie umiem oddać wrażenia, jakie czynił na nas w tej pustej, wodnej przestrzeni. Należały one do tych, dla których brak nam słów, a które jedynie odczuć można. I... zapewne było to tylko złudzenie zmysłów – lecz zdawało się nam, jakoby i na nas działał swą siłą przyciągającą.

Doszedłszy do jego podstawy, odnaleźliśmy wszystkie przedmioty postradane przed chwilą, obok tych, które należały do łodzi Halbranu. Ale wszystkie trzymał potwór tak mocno, iż niepodobna było w żaden sposób je oderwać – tak, iż stanowiły już jedną całość ze skałą.

– A ty sfinksie, przebrzydły złodzieju!... – zawołał Hurliguerly, nie mogąc zabrać ulubionego swego noża.

Sądzę iż nikogo nie zadziwi, że oprócz przedmiotów żelaznych i stalowych pochodzących z dwóch naszych łodzi, nic innego nie było na tem miejscu. Żaden okręt bowiem nie zawinął dotychczas aż do tych przestrzeni; najpierw łódź Hearną, a następnie nasza przywiozła pierwszych tu ludzi – i gdyby nasz Halbran pozostał był dotychczas w swej pięknej całości, bezwątpienia byłby tutaj uległ zupełnemu zniszczeniu.

Tymczasem Jem West przypomniał nam, iż czas nagli byśmy opuścili ową „Ziemie Sfinksa” – każda bowiem godzina spóźniona u zapory, stanowiła nieledwie o życiu naszym.

Rozkaz powrotu do łodzi był więc już wydany, gdy najniespodzianie doszedł uszu naszych stłumiony jęk i łkanie serdeczne. Pospiesziliśmy w tę stronę.

Okrążywszy prawą łapę potwora, ujrzałem Petersa klęczącego nad ciałem, a raczej szkieletem pokrytym skórą, którego zimno tych stron uchroniło od rozkładu, zostawiając mu pozory niedawno zmarłego człowieka. Leżał z głową pochyloną; biała broda spadała za pas, a długość paznogi u rąk i nóg, czyniła je raczej do szponów podobnymi. Rzemienny pas strzelby przerzucony przez ramię trzymał się w całości, lufy jej wszakże rdza do połowy już zjadła.

– Prym, mój biedny Prym! – jęknął Peters głosem rozdzierającym.

Nagle zadrżały pod nim kolana, łkanie przeszło w jedno głośnie westchnienie, i metys padł na wznak, bez życia. Boleść zabiła to serce oddane tak niepodzielnie jednemu swemu przyjacielowi.

Prawdopodobnie po nagłym rozłączeniu się towarzyszy przed jedenastu laty, Artur Prym dopłynął w swej łodzi aż tutaj, gdzie siła magnesu działając na stal jego broni, ściągnęła go do siebie – i

podczas gdy drewniana łódź popłynęła dalej, on nie rozumiejąc zapewne co się z nim dzieje, przytwierdzony został do twardej bryły potworu.

I dziwnym zrzędzeniem losu, ciała tych dwóch ludzi, których niezwykle koleje życia znalazły w autorze amerykańskim również niezwyklego piewcę, spoczęły teraz na wieki po długiej rozłące, jedno obok drugiego, na tajemniczej ziemi Antarktycznej.

ROZDZIAŁ XVI

Dwunastu z siedemdziesięciu.

Po niespodzianym, a bolesnym dla nas zgonie Petersa, pozostało nas tylko dwunastu na Parakucie, i oto wszystko z załogi dwóch żaglowców, z których pierwszy liczył trzydziestu ośmiu, drugi trzydziestu dwóch ludzi, razem siedemdziesięciu.

W kilka dni po opuszczeniu Ziemi Sfinksa, zgasło dla nas zupełnie światło słoneczne; lecz choć znużeni ciemnością podbiegunowej nocy, choć wiele więcej musieliśmy dołożyć trudu i pracy w omijaniu lodowców, posuwaliśmy się wszakże dość szczęśliwie naprzód.

Wprawdzie coraz częściej świetne blaski zorzy polarnej jaśniały na horyzoncie, cudowne w swych barwach mieniących się od czerwieni pożaru do zielonkawo-żółtych tonów, w dziwnych kształtach, jakie niekiedy przyjmowały jej promienie, Czyż jednak mimo swej piękności, mogła nam owa zorza zastąpić niezrównane z niczem światło dzienne?

Niezwalczony też smutek i tęsknota opanowały serca nasze. Jeden tylko Hurliguerly nie poddawał się temu, budząc w nas wszystkich otuchę swą niezachwianą ufnością, że skoro przetrwaliśmy już tyle, wszystko dobrze zakończyć się musi.

Wreszcie 27-go marca straciliśmy z oczu nawet prawe wybrzeże Halbran-Landu, które ciągnęło się aż dotąd, świadcząc o obszerności stałego lądu antarktycznego. Dla zupełnego wszakże braku światła, nie można było wymierzyć położenia; domyślaliśmy się tylko, iż zaledwie kilkadziesiąt mil mogło nas jeszcze dzielić od koła biegunowego.

Tymczasem temperatura opadała ciągle i dokuczliwe zimno dawało się nam uczuwać boleśnie, mimo ciepłej odzieży. Niejednokrotnie też musieliśmy torować sobie przejście na ściętej lodem powierzchni morza, lub znowu walczyć ze wzburzoną falą zalewającą łódź naszą, w czasie gwałtownych burz srożących się coraz częściej. Jedyne głód nam nie dokuczał; zapasy żywności były jeszcze znaczne, a słodkiej wody dostarczały lodowce.

Nareszcie 28-go kwietnia ujrzelśmy przed sobą nieprzerwane pasmo gór tworzących zaporę.

– Czy natrafimy na wolne przejście, czy znajdziemy po drugiej stronie ratujący nas okręt? Czy wrócimy jeszcze do świata?... – pytałem się w najwyższym niepokoju, mimo niezłomnej ufności bosmana.

Ale Opatrzność czuwała nad nami.

Po bajecznych trudach i niebezpieczeństwach, walcząc ostatkiem sił, znaleźliśmy się w końcu po

drugiej stronie, już na południowej przestrzeni oceanu Spokojnego. Przytomności umysłu Wiliama i Len Guy'a, oraz porucznika i bosmana, a niestrudzonej wytrwałości wszystkich marynarzy, zawdzięczaliśmy wspólne ocalenie. Lecz w jakim stanie była biedna łódź nasza, ta poszczerbiona łupinka, przez której szpary przesiąkająca wciąż wodę musieliśmy stale wylewać!

A tymczasem, gdy jeszcze parę setek mil oddzielało nas od najbliższego lądu, na bezmiernej przestrzeni nie dojrzało oko ani jednego okrętu.

Zbyt już późną była pora dla rybaków – i ponieważ zima trwała od miesiąca, cofnęły się na stanowiska również statki należące do wypraw naukowych, których, jak się później dowiedziałem, było aż dwie w tym roku, i nawet na tychże wodach, mianowicie: amerykańskiego półkownika Wilkes'a, który na Wincentym, jednym z czterech swych żaglowców, odkrył wybrzeża ciągnące się od 60 do 70 stopnia. Druga, francuzkiego kapitana Dumont d'Urville, usiłującego już po raz wtóry dotrzeć do bieguna, a któremu w tej podróży udało się zaznaczyć ziemie Adelajdy i Klary, leżące między 64 a 66 równoleżnikiem. Obadwaj jednak zajęli już bezpieczne stanowiska u Przylądka Hobard-Town.

Czarna też rozpacz zakradała się do serc naszych. Przewyciężyć tyle trudności, przeżyć tyle niebezpieczeństw, aby w końcu marnie zginąć tak blisko już ocalenia – czyżto nie byłoby istotną ironią losu! Nawet Hurliguerly zwątpił ostatecznie, gdy na domiar wszystkiego, powstała 6-go kwietnia gwałtowna burza, w czasie której cudem tylko nie poszliśmy na dno morza.

Aż nagle okrzyk bosmana:

– Okręt, okręt! – zbudził nas z niemej rezygnacji, i gdy w rzeczy samej ujrzeliśmy wszyscy w oddaleniu czterech mil zaledwie, w kierunku północno-wschodnim, żaglowiec większych rozmiarów, nadzieja ożywiła nas i nowe wzbudziła siły.

Na dane znaki otrzymaliśmy odpowiedź, i niebawem okręt stanął na miejscu, a wielka łódź jego pospieszyła na nasz ratunek.

Był to „Tasman” trzymasztowiec amerykański Charlestona, na którym znaleźliśmy gościnne, serdeczne przyjęcie.

W czasie pobytu swego przed paru miesiącami u Falklandów, Charleston powiadomiony był o naszej wyprawie, jak również o jej celu. Po dłuższem wszakże a próżnem oczekiwaniu powrotu Halbrana, uważano nas tam w końcu za straconych.

Teraz umieszczeni wygodnie, otoczeni troskliwą opieką mego ziomka, przybyliśmy po kilkunastodniowej jeszcze podróży do Melbourne, głównego miasta prowincji Wiktorii w Nowej-Holandyi – gdzie tym którzy przeżyli obie wyprawy, wypłaconą została obiecana przezemnie nagroda.

Rozglądając karty sprawdziliśmy, iż Parakuta wypłynęła na ocean Spokojny między wyspą Klary, odkrytą ostatnio przez Dumont'a d'Urville'a, a ziemią „Fabrycyą”, którą, w swej podróży w 1838 r. poznał Ballenny.

Tak skończyła się nadzwyczajna i pełna przygód wyprawa kapitana Len Guy'a, która niestety, aż nadto kosztowała ofiar życia ludzkiego. A jednak, mimo że wypadki rzuciły nas dalej niż to było naszym zamiarem, mimo że przepłynęliśmy nawet w okolicy bieguna południowego, ileż jeszcze pozostaje rzeczy wielkiej wagi w tych regionach do odkrycia i poznania!

Ale bo też wątpię aby kiedykolwiek groźny Sfinks lodowy zechciał powierzyć ludziom wszystkie swe tajemnice!

KONIEC

[1] Port Bożego Narodzenia.

[2] Edgard Allan Poë należy do najznakomitszych poetów i powieściopisarzy amerykańskich z pierwszej połowy bieżącego stulecia. Pisał po angielsku.

[3] Przylądkiem (Cap) nazywają przez skrócenie przylądek Dobrej Nadziei.

[4] To czego pan Jeorling nie mógł wtenczas dojrzeć, zobaczył ktoś inny w dwadzieścia lat później. Żeglarz to był szczególny i statek jego nadzwyczajny. Dla nich nie miały znaczenia żadnego, ani ostrość zimy, ani burze podbiegunowe. Na wulkanicznym podmorskim gruncie samego bieguna, zatknął on swój sztandar biały z błyszczącą złotem, haftowaną literą N, biorąc te ziemie w swe posiadanie. Żeglarz ów nazywał się *Nemo*, który na swym statku *Nautilus* odbył *25,000 mil podmorskiej podróży*.

Spis treści

Część pierwsza	3
ROZDZIAŁ I	4
Wyspy Kerguelen.	4
ROZDZIAŁ II	8
Żaglowiec „Halbran”.	8
ROZDZIAŁ III	13
Kapitan Len Guy.	13
ROZDZIAŁ IV	18
Od Kerguelen do wyspy księcia Edwarda.	18
ROZDZIAŁ V	25
Powieść Edgarda Poë.	25
ROZDZIAŁ VI	34
Nadzwyczajne spotkanie...	34
ROZDZIAŁ VII	39
Wyspy Tristan d’Acunha.	39
ROZDZIAŁ VIII	44
W drodze ku wyspom Falklandzkim.	44
ROZDZIAŁ IX	48
Przygotowania do podróży podbiegunowej.	48
ROZDZIAŁ X	54
Na początku podróży.	54
ROZDZIAŁ XI	59
Od Sandwich do koła biegunowego.	59
ROZDZIAŁ XII	65
Między kołem biegunowym, a lodowcami.	65
ROZDZIAŁ XIII	71
Wśród zapory lodowej.	71
ROZDZIAŁ XIV	76
Głos we śnie.	76
ROZDZIAŁ XV	80
Wysepka Bennet.	80
ROZDZIAŁ XVI	85
Wyspa Tsalal.	85
Część druga	91
ROZDZIAŁ I	92
A Prym?	92
ROZDZIAŁ II	100
Postanowienie.	100
ROZDZIAŁ III	105
Zniknięcie archipelagu.	105
ROZDZIAŁ IV	110
Od 29 grudnia do 9 lutego.	110

[ROZDZIAŁ V 115](#)

[Niepokojące usposobienie załogi. 115](#)

[ROZDZIAŁ VI 121](#)

[Ziemia? 121](#)

[ROZDZIAŁ VII 126](#)

[Na lodowcu. 126](#)

[ROZDZIAŁ VIII 132](#)

[Daremne usiłowania. 132](#)